



JULIA LEWELLYN

•

PODRÓŻ BEZŚLUBNA

PODRÓŻ POSLUCHNA WYNAJĘCIEM WŁAZNIĘCIA  
OD SAMOŚCI ŚLUBA

Przełożyła: E. S. Jan

# Llewellyn Julia

## Podróż bezślubna

**Podróż poślubna w pięciogwiazdkowym hotelu w Rzymie –  
czego można chcieć więcej?**

**W przypadku Amy przydałby się jeszcze mąż. Kiedy jej wesele nie dochodzi do skutku, a zwrot kosztów rezerwacji okazuje się niemożliwy, Amy postanawia spędzić miesiąc miodowy sama, pogrążona w żalu. Uniemożliwią jej to natrętni goście hotelowi, a szczególnie pewien słynny aktor, który przyjechał do Rzymu na premierę swojego najnowszego filmu i nie odstępuje Amy na krok. Co właściwie było powodem odwołania jej ślubu? Gdzie się podział pan młody? I czy filmowy gwiazdor naprawdę może stracić głowę dla zwyczajnej dziewczyny? Wszystko to – i znacznie więcej – wyjaśni się podczas szalonych rzymskich wakacji Amy.**

1

Była ósma rano. Kobieta o zmęczonej twarzy, pracująca na stanowisku odpraw British Airways, zerknęła na Amy - na szczęście przelotnie, bo inaczej wzięłaby ją za kompletną idiotkę, widząc, że nosi okulary przeciwsłoneczne w zamkniętym pomieszczeniu.

- Dokąd pani leci? - Zeskanowała paszport Amy i ziewnęła.

- Do Rzymu.

- Rzym - westchnęła. - Była pani już tam kiedyś?

- Nie, nigdy. - Amy zdjęła ciemne okulary.

- Będzie pani zachwycona. - Spojrzała w dal, uśmiechając się do odległego wspomnienia. Potem znów zerknęła na monitor. - O, jest notatka, że to pani podróż poślubna! Nie wyobrażam sobie bardziej romantycznego miejsca na podróż poślubną.

- Naprawdę? - Amy starała się, by jej głos nie drżał.

- Naprawdę. Przed ślubem, gdy pracowałam w lotach krótkodystansowych, robiliśmy z mężem wypadki weekendowe do Rzymu. Zanim pojawiły się dzieci... - Uśmiechnęła się znowu, jakby z cieniem żalu. - Cieszcie się sobą, póki możecie, tyle pani powiem. Niech się pani nie śpieszy z powiększaniem rodziny, pani... - Spojrzała na monitor.

- O, przepraszam, doktor Fraser. - Otrząsnęła się z zadumy i kontynuowała oficjalnym tonem: - A więc. Tak. Dobrze. Gdzie jest szczęśliwy pan Fraser?

Amy próbowała się do niego dodzwonić całą drogę na lotnisko.

- Już jedzie. Coś... mu wypadło. Ma mnie dogonić.

- Ojej. - Kobieta spojrzała na nią współczująco. - Bi-dulka. Kiedy wzięliście ślub?

- Wczoraj. Był jakiś problem z płatnością za catering. Musiał to wyjaśnić. Dlatego dojedzie później. - Telefon Amy zabrzączał w torbie. Serce aż podskoczyło jej w piersi, by po chwili runąć w dół niczym nurek z klifu w Acapulco, gdy zobaczyła w telefonie imię Gaby.

*Jak się masz?* przeczytała. I natychmiast skasowała wiadomość.

- To właśnie on - powiedziała kobiecie, a ta przypatrywała się jej z coraz większym zaciekawieniem. - Będzie tutaj za pół godziny.

- Ledwie zdąży na czas - stwierdziła ostro kobieta, jednak widząc napiętą twarz Amy, zmiękła niczym masło na słońcu. - Niech się pani nie martwi. Zdąży. - Wstukała parę słów do komputera, podniosła wzrok i mrugnęła porozumiewawczo. - Założę się, że będzie zadowolony, gdy się dowie, że leci klasą biznesową. - Drukarka zabrzączała i wydrukowała kartę pokładową Amy. Kobieta w okienku uśmiechnęła się szeroko i napisała coś na karcie. - To przepustka do poczekalni dla VIP-ów. Będzie pani mogła poczekać na niego w komfortowych warunkach, napić się szampana. Chociaż chyba ma pani dość po wczorajszym, sądząc z worków pod oczami.

Gdyby jeszcze tydzień temu ktoś powiedział Amy, że znajdzie się w takiej sytuacji, piałaby z zachwytu. Gaby dawno temu poinstruowała ją dokładnie, co robić, żeby sprawiać lepsze wrażenie, i przez lata Amy zachowywała się zgodnie z jej instrukcjami: ubierała się elegancko, sugerowała obsłudze, że jest VIP-em, nie zamawiała wegetariańskiego jedzenia halal. Nigdy nie odniosła jednak zamierzonego skutku. Aż do dzisiaj. A teraz mogliby ją nawet zapakować do skrzyni razem z gorylem, tyle ją to obchodziło.

- Dziękuję - zdołała wydusić.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ach... Życzę doskonałej zabawy. I proszę się nie martwić. Nawet jeśli mąż nie zdąży na ten lot, zawsze możemy wsadzić go do następnego samolotu. Niech się pani cieszy Rzymem. I proszę nie zapomnieć wrzucić monety do fontanny di Trevi. Wtedy na pewno tam pani wróci.

Zapytała jeszcze o zawartość bagażu i czy Amy pakowała się sama. Po raz pierwszy Amy nie czuła wewnętrznego przymusu, by powiedzieć: „Nie, pakował mnie mój kuzyn z Afganistanu i tak, poprosił, bym przewiozła mu kilka paczek, a teraz, gdy pani o tym wspomniała, owszem, słyszałam dziwne tykanie”. Kobieta odesłała ją więc od okienka z kartą pokładową, kilkakrotnie jeszcze życząc spędzenia miło czasu.

Dokoła niej kłębili się ludzie, rodziny kłóciły się skupione wokół swoich przeładowanych walizek.

Jakiś biznesmen i kobieta przepychali się wśród nich nienaturalnie szybko, niczym roboty, których mechanizmy zacięły się na niewłaściwych ustawieniach. Amy

spojrzała na zegarek. Półtorej godziny do odlotu. Jeszcze tydzień temu skakałaby z radości na myśl o tych wszystkich sklepach wolnocłowych, o szampanie i wygodnych kanapach czekających na nią w poczekalni dla VIP-ów. W tej chwili marzyła tylko o znalezieniu pustej toalety i schowaniu się w niej.

- Napijesz się szampana - powiedziała do siebie. - Bądź co bądź to twoja podróż poślubna.

Poszła do damskiej toalety, znalazła wolną kabinę, usiadła i się rozplakała.

- Nie dam rady lecieć, nie dam rady - wyjęczała. Ktoś zapukał do drzwi.

- Wszystko w porządku? - W głosie więcej było oburzenia niż z troskaniem.

- W porządku, dziękuję - krzyknęła Amy piskliwie. - Coś... wpadło mi do oka.

Nie musiała lecieć. Mogła wrócić na Heathrow Express, wsiąść do pociągu i za półtorej godziny być u siebie. Mogła się tam zaszyć, zamawiać jedzenie z dostawą do domu, zapuścić włosy po kostki i spędzić resztę życia jak odludek w rodzaju Howarda Hughesa. Tyle że tak naprawdę nie mogła tego zrobić - za dwa tygodnie musi wrócić do pracy albo ją straci, nie będzie w stanie spłacić hipoteki i wyląduje na bruku. A poza tym Doug wciąż tam mieszkał...

Rozległ się dzwonek telefonu. Pociągając nosem, wygrzebała komórkę z torby. To pewnie on, to musiał być on. Ale - o nie - rodzice. Powinna odebrać, przechodzili trudny czas i bez jej zniknięcia.

- Cześć.

- Amy? - odezwały się dwa głosy naraz. - Jak się masz, kochanie? Gdzie jesteś? Razem z Dougiem? Co się dzieje, kochanie?

- Jestem na lotnisku.

- Na lotnisku? - Mamę zatkało, a tata krzyknął: - Co tam, u diabła, robisz?

- Jadę w podróż poślubną.

- W podróż poślubną? - powtórzył ze zdumieniem tata. - Amy, przecież ty nie wzięłaś ślubu!

-No...

- Pogodziłaś się z Dougiem? - W pytaniu mamy było tyle nadziei, że Amy nie mogła tego znieść.

- Yhm...

Ton głosu mamy zmienił się z zaniepokojonego w podejrzliwy.

- Chyba nie pobraliście się w tajemnicy, co?

- Och, Amy, wiesz, jak bardzo chciałem poprowadzić cię do ołtarza - wtrącił się tata.

- Nie, nie martwcie się, nie było żadnego ślubu. Po prostu muszę na jakiś czas wyjechać.

- Ale Amy, kochanie - mówiła zupełnie zdezorientowana mama. - Nie rozumiem. Powiedz nam, co się stało?

Nie mogła znieść tej rozmowy. Rodzice zawsze chcieli dla niej jak najlepiej, a ona nienawidziła ich zawodzić.

- Nie teraz, mamó, wzywają już na mój lot. Odezwę się. Pa. Posiedziała jeszcze chwilę na sedesie, przysłuchując się rozmowom innych pasażerów:

„Muszę kupić jakiś dezodorant”.

„Pośpiesz się, musimy kupić trochę euro przed wejściem na pokład”.

„Cześć, przepraszam, tracę zasięg... Tak, tak, jestem w drodze do Zurychu. Nie, jutro wracam. Tak, wiem, spotkanie. Nudne jak cholera, ale trzeba to jakoś przeżyć”.

Trzeba to jakoś przeżyć, pomyślała.

Westchnęła głęboko i wstała, chociaż nogi miała jak po wypiciu butelki San Pellegrino. Otworzyła drzwi. Nie korzystała z toalety, ale podeszła do umywalki i umyła ręce, jak przystało na sumiennego lekarza.

Z lustra, spod perfekcyjnie wyregulowanych brwi i rzęs wytuszowanych granatową maskarą, spoglądały na nią zapadnięte oczy ze śladami łez. Była tak zorganizowana, że zabiegi kosmetyczne wykonała tydzień wcześniej, na wypadek alergii, tak jak radzono w magazynie „Panna młoda”.

- Trzeba to jakoś przeżyć - powiedziała głośno, aż stojąca obok niej kobieta odziana od stóp do głów w hidżab podskoczyła.

Amy wyszła z toalety, przecisnęła się przez tłum litewskich emerytów wracających do domu po wymianie kulturowej i skierowała się do odprawy paszportowej.



Samolot wystartował o czasie. Amy usadowiła się na miękkim siedzeniu kabiny Club World. Wpatrując się tępo w chmury, myślami cofnęła się o dwadzieścia cztery godziny. Powinna być wtedy w urzędzie stanu cywilnego, wymieniać obrączki i przysięgi, a zamiast tego siedziała w fartuchu lekarskim na sofie swojej przyjaciółki Gaby, w jej salonie w Balham, sączyła gin z tonikiem i szlochała.

Gaby była najlepszą przyjaciółką Amy. Poznały się w akademiku Uniwersytetu Edynburskiego, gdy okazało się, że mieszkają obok siebie. Na pierwszy rzut oka wiele je różniło. Amy pochodziła z małego miasteczka w Devon i była chowana pod kloszem. Gaby chodziła do szkoły z internatem dla pańienek z dobrych domów, w której życie polegało głównie na picciu jabłeczniaka na skraju boiska i podrywaniu tyłu chłopców ze szkoły po drugiej stronie ulicy, ilu się dało. Amy chciała uciec od swoich korzeni, więc skutecznie zachęcana przez sąsiadkę wkrótce popijała piwo w barze, tańczyła na stołach przy najnowszym disco i odkrywała radość z palenia marihuany i z seksu, zarówno grupowego, jak i w parze.

- Ja nie mogę! - powiedziała Gaby rankiem, po wyjątkowo dzikiej imprezie. - Nie wróciłaś wczoraj na noc, nie? Cicha woda brzegi rwie!

Amy poczerwieniała.

- Ja się tylko dobrze bawię. Przecież to właśnie robi się na studiach, nie?

- No jasne. Ja cię nie potępiam. Jestem pod wrażeniem.

Po ukończeniu studiów Amy przeniosła się do Londynu, żeby ukończyć specjalizację lekarską, a Gaby została w Edynburgu, gdzie dostała pracę jako specjalistka do spraw PR-u w biurze podróży. Przez prawie dekadę wysyłała dziennikarzy na testowanie nowych pięciogwiazdkowych ośrodków SPA. Miała trzydzieści jeden lat, gdy dołączyła do Amy w Londynie. Założyła tu własne biuro podróży organizujące wakacje dla tych, których nazywała „bogatymi w gotówkę, ubogimi w czas”. Jednym z tych okazji był prawnik około czterdziestki zwany PJ-em, który niedawno się rozwiódł, nieprzyzwoicie bogaty i - wbrew stereotypowi - bardzo sympatyczny. W miesiącu, w którym Gaby obchodziła trzydzieste trzecie urodziny, przyszedł na świat ich syn, Archie. Miesiąc wcześniej Gaby i PJ pobrali się na trawniku w Wiltshire, w obecności dwustu najbliższych przyjaciół.

Zakończenie jak z bajki, ale niezupełnie. Ekszona PJ-a Annabel ciągle miała do niego żal, podobnie jak ich dwie nastoletnie córki. Gaby była szczęśliwa, chociaż nieco zszokowana, gdy cztery miesiące temu zorientowała się, że znów jest w ciąży.

Kiedyś Amy onieśmielało zorganizowanie Gaby. Należała do osób, które dwa razy do roku rozmrażają zamrażarkę, raz w miesiącu przewracają materac na drugą stronę,

na pudełkach z butami przyklejają zdjęcie zawartości, kupują i naprawdę używają ustrojstw do czyszczenia zmywarki. Dawniej Amy męczyła obsesja Gaby na punkcie listy magazynu „Harper's Bazar” *Hity i Kity* i jej pozycji na liście oczekujących na torbę Balenciagi.

Pod warstwą pozorów Gabi skrywała jednak serce bardziej szczerzłote niż u labradora. Tyle razy Amy nie poradziłaby sobie bez niej - zwłaszcza poprzedniego dnia, gdy o siódmej rano zjawiała się przed pachnącym farbą domem przyjaciółki, w którym trwał remont. W holu stał owinięty folią podwójny wózek dziecięcy. Gaby od razu wzięła się do roboty: skontaktowała się z każdym z listy gości, informując, że wszystko jest odwołane, a potem zadzwoniła też do urzędu stanu cywilnego i wścieklej obsługi sali balowej.

Następnie przyrządziła Amy ogromny gin z tonikiem i zajęła się odbieraniem jej telefonu, który dzwonił mniej więcej co dwadzieścia sekund.

-Halo?... Nie, jej przyjaciółka Gaby... Cześć, John. Pamiętam cię. Co słyhać? Ojej, przykro mi. Nie, Amy nie ma. Obawiam się... tak, to było zaskoczenie... Wiem, że loty są kosztowne... Naprawdę aż tyle?... Nie wiem, gdzie ona jest... Zadzwoni do ciebie... Tak... Cześć.

- Twój stary kumpel, John - oznajmiła. - Wkurzony jak cholera. Przyleciał z Francji i zatrzymał się w hotelu Landmark. Mówi, że wydał pięćset funtów na wesele, którego nie było.

Amy chwyciła się za głowę.

- O Boże, to straszne.

- Na litość boską, przestań się nim przejmować! Pomyśl o sobie. To ty zostałeś porzucona przed ołtarzem.

Amy się skrzywiła. Gaby nigdy nie mówiła niczego delikatnie, jeśli można to było ująć brutalniej. Ale Amy i tak nie wiedziała, jak poradziłyby sobie bez niej w sytuacjach takich jak ta.

Telefon znów się odezwał.

- Halo? Dzień dobry, pani Gubbins, tu Gaby. Nie, niestety Amy nie ma. Nie wiem, gdzie jest. Tak, zapomniała komórki. Jest teraz trochę roztargniona... Z pewnością niedługo do pani oddzwoni... Tak, to okropne. Ci wszyscy krewni... Cóż, skoro jesteście w Londynie, może powinniście i tak pójść razem na kolację. Albo na spektakl. Na *Mamma Mia* mogą być jeszcze bilety... Proszę o tym pomyśleć... Jeśli się odezwie, powiem, żeby do pani zadzwoniła... Nie, niestety raczej nie jest z Dougiem. Nie, nie wiem, co się stało... Oczywiście, powiem jej, że pani dzwoniła. Do widzenia.

Rozłączyła się.

- To znowu twoja mama. Naprawdę będziesz musiała do niej zadzwonić, Amy.

- Wiem. Zadzwonię. Zadzwonię. Ale Gaby, to jakiś koszmar...

- Amy znów zaczęła płakać. - Moi biedni rodzice. To kosztowało ich fortunę.

- No, niezupełnie fortunę. Sama się żaliłaś, że dali ci na wesele tylko trzy patyki.

- Zachowałam się okropnie. Trzy patyki to dla nich dużo. - To było dużo. Tata Amy pracował w urzędzie miasta, a mama zajmowała się domem. - Powinniśmy jednak zdecydować się na ubezpieczenie ślubne.

- Niewiele by to zmieniło. Ubezpieczenie nie obejmuje zmiany decyzji.

- Trzy patyki wyrzucone w błoto. Cholera, jak im to wynagrodzę?

- Trzy patyki to nic w porównaniu z tym, ile kosztowałyby cię rozwód. Wiesz, ile cholerna Annabel i dziewczyny kosztowały PJ-a? Sto pięćdziesiąt patyków rocznie.

Dla Amy nie było to żadne pocieszenie.

- Wydałam tyle pieniędzy. I tych dwieście osób... Zmarnowałam ich czas. Jak mogłam to zrobić?...

Gaby tupnęła nogą.

- Ile razy mam ci powtarzać? Ty nic nie zrobiłaś. To była decyzja Douga. Chociaż chciałabym, żebyś mi powiedziała dlaczego. - Zmrużyła oczy. - Jesteś pewna, że to nie ma nic wspólnego z Pinny?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Zanim Gaby zdążyła zaprotestować, do pokoju wszedł PJ w pomarańczowej koszulce do rugby i różowych sztruksach, niosąc Archiego, świeżo po dwugodzinnej południowej drzemce, zgodnie z zaleceniami superniani. PJ wyglądał, jakby podczas przerzucania kanałów natknął się na reklamę tamponów. Nie znał się na dziewczynskich kłopotach.

- Hej, Amy. Jak leci? - Rzucił okiem na swoją żonę, miał bowiem nadzieję, że jakoś go naprowadzi. Nie widząc odzewu, dodał: - Co zamierzasz zrobić z podróżą poślubną?

- Cholera. - Gaby złapała się dłonią za usta. - Jak mogłam zapomnieć? Przykro mi to mówić, ale... jeśli odwołasz ją teraz, nie dostaniesz zwrotu. Za późno.

- Chyba żartujesz.

- Niestety nie. Mogę zadzwonić w kilka miejsc. Zobaczę, co da się zrobić. Ale w najlepszym razie i tak będziesz

musiała zapłacić przynajmniej trzy czwarte ceny. Hotele są nieubłagane, jeśli chodzi o anulowanie rezerwacji.

- Niech to szlag.

- Słuchaj, postaram się jakoś tę sprawę załatwić - obiecała, chociaż z tonu jej głosu Amy wywnioskowała, że szanse są nikłe.

- Idę dzwonić.

- W ogóle nie pomyślałam o podróży poślubnej... Gaby przewijała listę kontaktów w telefonie.

- Okej, nie ma pewności, że są dzisiaj w pracy, ale warto spróbować. Pójdę do gabinetu.

Amy i PJ zostali sami. Uśmiechali się do siebie z zakłopotaniem.

- Piękna pogoda. - PJ wyglądał przez uchylone okno na podmiejską ulicę. - Wspaniały dzień na ślub. Szkoda.

- Widząc minę Amy, pośpiesznie dodał: - Może jeszcze ginu?

Zaciekle rozmawiali o krykocie, a Archie popychał przez pokój wózek, który Amy, jego matka chrzestna, podarowała mu z okazji chrztu, i od czasu do czasu obejmował ją za nogi. Widok jego pulchnych nóżek, zapach jego loczków, dźwięk jego głosu, rozkoszne gaworzenie

- a także alkohol, którego PJ ciągle jej dolewał - sprawiły, że Amy poweselała. Gdy Gaby wróciła, Amy była już nieco wstawiona.

- Nie jest dobrze - oznajmiła Gaby. - Nie chcą zwrócić pieniędzy. Mówią, że gdyby to było chociaż na tydzień przed... Ale na dobę przed to za późno.

Amy jednym haustem wychyliła resztę drinka.

- A więc nie dość, że zmarnowałam czas i pieniądze tylu osób i wystawiłam się na pośmiewisko, to jeszcze

wywaliałam prawie dziesięć tysięcy funtów na wakacje, na które nie mogę jechać.

- Miałaś lecieć jutro, tak? - zapytał PJ. -No.

- Więc możesz zrobić tylko jedno: nie rezygnuj z podróży poślubnej. Po prostu jedź sama.

Spojrzały na niego z niedowierzaniem.

- Nie wygłupiaj się - odezwała się Amy. - Nie mogę.

- Dlaczego nie?

- No... bo to podróż poślubna. Czyli po ślubie.

- Tyle że ty nie wzięłaś ślubu - podsumował PJ. - Ale nie możesz pozwolić, by zmarnowało się tyle kasy.

Amy zastanowiła się przez chwilę. Wzięła przecież wolne w pracy. Ucieczka od ciągle dzwoniącego telefonu kusiała. Poza tym gdzie miałyby spędzić następne tygodnie? Nie mogła wrócić do domu, bo z tego, co wiedziała, to nadal był również dom Douga. Chociaż uwielbiała Gaby, spędzenie nocy pod jednym dachem ze szczęśliwym małżeństwem i brzdącem w pokoju obok też byłoby trudne do zniesienia. Mogła jechać do rodziców, ale ich rozczarowanie sprawiało jeszcze większy ból niż jej własne.

- Dwa samotne tygodnie w Rzymie...

- Nie muszą być samotne - powiedziała wolno Gaby. - Mogę jechać z tobą.

- Naprawdę?

- No tak. Przecież należy mi się kilka dni wakacji. Nie mogę wylecieć jutro, bo we wtorek mam USG w dwudziestym tygodniu ciąży. Ale mogę w środę. Do tego czasu Faviola już wróci.

Faviola była mieszkającą z nimi „cudowną” nianią z Filipin.

- To znaczy... Byłabym z tobą tylko kilka dni. Nie sądzę, żebym przetrwała tyle czasu na Capri bez wyrzutów sumienia - mocno przytuliła Archiego - ale nie byłam nigdzie sama, odkąd się urodził. W każdym razie to lepsze niż nic, prawda?

- Byłoby wspaniale. - Amy westchnęła. - Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem pewna. Urlop dobrze mi robi. PJ zajmie się resztą. Prawda, kochanie?

- Oczywiście - przytaknął dobrodusznie.

- A, słuchaj, miałam cię o coś zapytać. Nie czułam jeszcze ruchów dziecka, to normalne? Czy powinnam się martwić?

- Normalne. - Amy już przywykła do tego typu pytań ze strony znajomych. Zwróciła się do PJ-a: - Naprawdę nie masz nic przeciwko?

- Nic a nic. Z przyjemnością spędzę kilka dni sam, zwłaszcza że zaczynają się zawody. Ej! - krzyknął, gdy Gaby go szturchnęła.

- Możemy wygrzewać się na słońcu, chodzić do muzeów. - Amy puściła wodze wyobraźni. Wszystko, o czym marzyła, miała robić z Dougiem. Gardło jej się ścisnęło. - Pięć dni w Rzymie i dziesięć dni na Capri.

- Będziemy jeść makaron i pizzę. - Gaby się uśmiechnęła. -1 lody... a nie, lody lepiej nie, nie wiadomo, czy są pasteryzowane. Leżeć przy basenie. Chodzić po mieście. Poznawać Romeów. Bo jeśli się nie poderwie nowego faceta we Włoszech, trzeba sprawdzić w akcie urodzenia, czy na pewno jest się dziewczyną.



- Ej! - PJ skarcił żonę wzrokiem i po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin Amy się uśmiechnęła.

- Ja nie chcę nikogo podrywać. Już nigdy się nie zakocham.

- Tylko tak mówisz. Ale poczekaj, aż jakiś lubieżny Luigi zacznie ci szeptać czułe słówka w świetle księżyca.

Znów zadzwonił telefon.

- Halo? - Mina Gaby od razu się zmieniła. - Witam, pani Fraser. Hm, niestety nie ma jej w tej chwili. Nie wiem, gdzie jest. Tak, wiem. Wiem, że jest pani zdenerwowana... Nie, nie wiem, gdzie jest Doug. A pani?

Amy się skrzywiła. Widok matki Douga na wojennej ścieżce to więcej niż mogła znieść. Przynajmniej więcej jej nie zobaczy. Ani nikogo z klanu Fraserów. Były więc jakieś plusy tego zerwania.

- Tak, przepraszam - kontynuowała Gaby. - Tak, tak. Na pewno jest zdenerwowany. Ale Amy też. - Zacisnęła zęby. - Tak, przekażę, żeby do pani zadzwoniła. Ale nie potrafię powiedzieć, kiedy to będzie. Po prostu nikt nie wie, gdzie ona teraz jest.

Rozłączyła się.

- No więc wiesz już, kto to był.

Amy pomyślała o kolejnych dniach pełnych takich rozmów. Więcej już nie wytrzyma.

- Macie rację. Muszę stąd wyjechać.

- Hurr! - Gaby wyciągnęła rękę, by przybić piątkę. - Dalej, dziewczyno! Jedziesz w podróż poślubną! I nie przejmuj się kilkoma dniami w samotności. Dobrze ci to zrobi. Nabierzesz sił. Zobaczysz.

W salonie apartamentu Picasso w hotelu de Russie Hal Blackstock, jedząc owoce, ze znużeniem skakał po jakichś pięćdziesięciu kanałach na olbrzymiej plazmie, najwidoczniej pozostawionej przez George'a Clooneya po jego dłuższym pobycie. Opera mydlana, powtórka „Przyjaciół” po włosku, powtórka „Ostrego dyżuru”, opera mydlana. O Boże. Piłka nożna. Zatrzymał się na chwilę, ale grały ze sobą dwie mało znane drużyny tureckie, o których nawet on słyszał tylko raz, więc przeskakiwał dalej, aż na ekranie pojawiły się dwie blondynki o ostrych rysach twarzy i ewidentnie sztucznych cyckach, wijące się na dywanie z owczej wełny.

- Ekstra. Rosyjskie porno. To z chęcią obejrzę.

- Och, Hal - westchnęła Vanessa, jego asystentka, siedząca przy małym biurku i przeglądająca plan trasy.

Hal uśmiechnął się szeroko i pogłośnił telewizor.

- Uwielbiam, kiedy jęczą z tym słowiańskim akcentem. To takie seksowne.

- Jesteś okropny - powiedziała spokojnie Vanessa, jak zwykle nie dając się sprowokować.

Blondynki zaczęły udawać jednoczesny orgazm. Hal ziewnął i zmienił kanał. - Hej, Scooby Doo po włosku!

- Oglądał może przez pięć minut, potem się znudził i dalej przeskakiwał z kanału na kanał. Chwilę zatrzymał się na wyścigu motocykli. Może się zdrzemnie. Tylko że służąca wciąż była w sypialni i rozpakowywała jego walizkę Vuittona. Kobieta była niska i biuściasta, rudawa, ale Hal trzymał się z dala od personelu hotelowego, odkąd dziewczyna, która zapewniła mu „obsługę pokojową” na wyspie Man, sprzedała swoją historię do „Sunday Mirror”.

Poczuł mrowienie pod koszulką. O Boże, znowu ten pryszcz. Miał go od kilku dni, po lewej stronie, na drugim żebrze od dołu, poniżej i na prawo od sutka. Kiedy pierwszy raz go zauważył, pomyślał, że to zwykły syf. Był jednak spuchnięty, bardzo wrażliwy, bardziej niż normalne pryszcze, i nie znikał, nie zmniejszał się ani nie rósł. Hal się skrzywił, lepiej o tym nie myśleć.

- To co mamy dzisiaj w planach, Nessie? Nessie? - Ona jednak tym razem nie słuchała, wpatrzona w ekran laptopa.

- Wiedziałam! - krzyknęła nagle. - To nie jest najlepszy apartament w hotelu. Powinieneś mieszkać w apartamencie Niżyński albo w Popolo. Oba są dużo lepsze.

- Stąd, gdzie siedzę, widok jest niezły.

- Nie dość dobry - stwierdziła, a różowy punkt na czubku jej delikatnie zadartego nosa pociemniał. - Stąd mamy widok tylko na ogród. A z innych apartamentów widać dachy rzymskich budynków.

- Jakoś przeżyję. Widziałem już dachy. - Hal ziewnął i pomyślał, że może zagra na Play Station.

- Nie w tym rzecz. - Zmrużyła oczy. Wzięła słuchawkę telefonu i końcem ołówka wcisnęła zero.

Vanessa już trzy lata pracowała dla Hala i była najlepszą asystentką, jaką kiedykolwiek miał. Jego osobistą panną Money Penny, o głosie, przy którym głos królowej brzmiał pospolicie. Miała mózg jak iBook i była bezwzględna niczym Attyla, wódz Hunów. Żaden szczegół nie umknął jej sokolemu wzrokowi, a żadna osoba nie była zbyt ważna, by uniknąć jej wyrzutów, jeśli cokolwiek dla jej szefa nie było zrobione perfekcyjnie.

Oczywiście to, że - jak większość kobiet - kochała się w Hala, bardzo pomagało. Nigdy jednak do niczego między nimi nie doszło. Nie żeby Nessie była nieatrakcyjna, ze swoimi anielskimi blond włosami i długimi nogami. Raz czy dwa, znudzony i napalony, utknąwszy w jakimś obskurnym moskiewskim apartamencie podczas kolejnej podróży, nawet to rozważał - już nawet podnosił słuchawkę, by zadzwonić do jej pokoju. Ale zawsze na czas ją odkładał.

Na dłuższą metę bardziej zabawne było obserwowanie jej poświęcenia nieudolnie maskowanego władczym spojrzeniem i tego zawsze skrywanego nagłego bólu, przeszywającego ją, gdy rano wchodziła do jego apartamentu i zastawała tam kolejną dziewiętnastolatkę, którą poznał w nocnym klubie i która ziewała ubrana w górę od jego piżamy Thomasa Pinka. Ostatnio Vanessa lekceważyła go za każdym razem, gdy przełączała rozmowę od Flory albo gdy prosił, by przesłała jej kwiaty. A Hal nie był głupi. Wiedział, że seks wszystko by zepsuł, że złamałby Vanessie serce, musiałby ją zwolnić i nie znalazłby żadnej innej, która byłaby choć w najmniejszym stopniu tak skuteczna i broniła jego interesów jak ona.

Wystarczyło jej teraz posłuchać:

- Tak, witam, signor Ducelli, jak się pan miewa?... Cóż, przykro mi to mówić, ale nie jest dobrze. Apartament niezły, lecz nie rozumiem, dlaczego pan Blackstock nie znalazł się w apartamencie Niżyński albo Popolo. To najlepsze, jakie macie, prawda? Czy może pan natychmiast nas przenieść? - Zaciśnęła wargi. - Rozumiem... Cóż, oczywiście Justina musi zostać tam, gdzie jest. Ale czy nowożeńców nie można nakłonić do zamiany? Przypominam, że mówimy o Halu Blackstocku. Prawdopodobnie z chęcią by to zrobili... Nie może pan zapytać?... Dlaczego?... Cóż, przykro mi, signor Ducelli, ale to naprawdę nie wystarczy. Powinnam dopilnować, by studio zadbało, żeby jego gwiazdy w przyszłości omijały hotel de Russie... Możliwe, że w naszym apartamencie są dwie litografie Picassa, ale pan Blackstock ma własnego olejnego Picassa, więc... Rozumiem, że apartament jest już zajęty, ale nie rozumiem, dlaczego nie może ich pan prosić o zamianę... Nie, mnie jest przykro, signor Ducelli. Do widzenia.

- Niezła próba, Nessie. - Hal wyciągnął się na sofie.

- Było bardzo blisko. Nieważne.

- Chciał nas spławić, mówiąc, że w apartamencie są dwie litografie Picassa - prychnęła.

- Nie mam Picassa.

- Wiem o tym. Ale Ducelli nie wie. - Skrzywiła się.

- Niżyński odpada, bo Justina go zajmuje.

Justina Maguire była drugą obok Hala gwiazdą filmu „The Apple Tree”, na którego promocję przyjechał do Rzymu. Była dwudziestojednoletnią pustą bulimiczką z Laguna Beach o figurze wykałaczkki. Hal za nią nie przepadał.

- Jezu, nie myślałem, że umieszczą ją w tym samym hotelu co mnie. Cóż, jak dotąd szanse, żebym z nią po-flirtował, są absolutnie zerowe.

- Ale Popolo zajmują nowożeńcy. - Vanessa się zamyśliła. - Oczywiście się zamienią. Jeśli signor Ducelli nic nie zrobi, sama będę musiała to załatwić.

- Nie rób tego. - Hal ze znużeniem potarł twarz. W większości wypadków Vanessa bywała zabawna, zachowywała się niczym rottweiler, jednak czasem czuł zakłopotanie, słysząc, jak wyklóca się z menedżerem restauracji o najlepszy stół, ze stewardessą o najlepsze miejsce w samolocie, z agentami domów mody o darmowe ubrania. Nie mógł udawać, że tego nie lubi. I wiedział przecież, jak wygląda świat filmu - kłótnie o to, kto ma największe winneba-go\*, najbardziej błyszczącą limuzynę, którą podjeżdża codziennie rano na plan, najlepszy stół u Ivy, prywatny odrzutowiec zamiast zwykłych miejsc w pierwszej klasie.

- Zostaw nowożeńców w spokoju - powiedział. - Niech mają trochę przyjemności, zanim on zacznie ją zdradzać, a ona się puszczać.

- Jesteś cyniczny - odparła Vanessa oschle. - Mimo to zapytam. Z doświadczenia wiem, że będą zaszczytzeni, mogą zamienić się z Halem Blackstockiem. A jeśli będą się opierać, dorzucę dwa bilety na premierę.

Zadzwoił telefon.

- O, to pewnie signor Ducelli, chce powiedzieć, że ich przekonał.

Podniosła słuchawkę.

\* Winnebago - marka amerykańskiego samochodu kempingowego.

- Halo? - Ton jej głosu zmienił się z agresywnego w służalczo uprzejmy. - Ach. Tak, witaj Floro. Tak, sprawdzę tylko, czy jest dostępny.

- Oczywiście, że jestem dostępny dla Flory - krzyknął Hal. Boże, Nessie potrafiła być śmieszna.

Odebrał przy stole.

- Cześć, kochanie.

- Czy to pan Jarse? - spytała Flora omdlewającym głosem z Upper East Side.

Nie mógł powstrzymać chichotu.

- Przy telefonie.

- Pan Hugh Jarse? - Westchnęła. - Nigdy ci się nie znudzi meldowanie się pod innymi nazwiskami?

- Nigdy.

Wyobraził sobie Florę w jej apartamencie na Jamajce, przewracając z irytacją oczami. Nie do końca akceptowała jego poczucie humoru.

- Jak się masz, kochanie? U ciebie musi być... - rzucił okiem na swojego roleksa - strasznie wcześnie.

- Jest przed siódmą. Ale ja jestem na nogach od piątej. Medytowałam, a potem poszłam popływać. Za pół godziny jedziemy odwiedzić obóz dla kobiet. A jak u ciebie?

- Po staremu. Jestem tutaj dopiero od godziny. Hotel w porządku. Tak myślę, chociaż Nessie nie udało się załatwić dla mnie najlepszego apartamentu. - Ostatnie słowa wypowiedział głośniej, wiedząc, że to strasznie wkurzy Nessie. A właściwie dlaczego ona się tutaj cały czas kręci? - Zaczekaj chwilę, skarbie.

- Rzucił asystentce swoje najbardziej władcze spojrzenie. - Vanessa, czy mogę mieć chwilę prywatności?

Rozbawiło go, że czubki jej uszu poczerwieniały.

- Oczywiście, Hal. - Nawet nie mrugnęła okiem. - Pójdę wyjaśnić tę nonsensowną sytuację z apartamentem. - I wyszła z pokoju, stukając platformami od Patricka Coxa.

- Ta kobieta podtarłaby mi tyłek, gdybym ją o to poprosił - stwierdził.

- Hal! Jesteś obrzydliwy! Zginałbyś bez Vanessy.

- Zginałbym bez ciebie - powiedział tym głupim, przesłodzonym tonem bohatera romansu, którym zawsze mówił przy Florze. Udając, że gra, nie musiał się zastanawiać, czy naprawdę miał na myśli to, co mówił.

- Och Hal, to takie słodkie. - Odpowiedź Flory też brzmiała jak czytana ze skryptu.

- Jak dziewczynki? - Flora miała dwie małe córeczki ze swoim byłym mężem, francuskim dyrygentem Pierre'em de Belleville Crecy. Hal nie lubił dzieci, ale zaskoczyło go, że w niewielkich dawkach były nawet miłe. Czasem nawet zabawniejsze od ich matki.

- Świetnie. Szaleją na plaży, uczą się o morskich ekosystemach. Jakie masz plany?

- Jutro cały dzień wywiady. Wiadomo, jak będzie: „Hal, kiedy ożenisz się z Florą?”, „Hal, czy kochasz jeszcze Marinę?”. Bla, bla, bla, bla. - Nie powinien był tego mówić. Dwa najlepsze tematy, żeby wywołać u Flory złość.

- Powiedz, że nie rozmawiasz o swoim życiu prywatnym - odpaliła.

- Powiem, ale i tak będzie to cholernie nudne. - Od razu zmienił temat: - I ciągle mam ten pryszcz.

- Jaki pryszcz? A, ten na piersi?



- No. Naprawdę boli - dodał, tylko trochę przesadzając. - Gdy naciskam, ból rozchodzi się falą.

- To nie naciskaj - odparła, jakby mówiła do półgłówka.

- Dobrze, nie będę. - Westchnął. - To chyba nic poważnego, jak myślisz?

- Nie. Ale jeśli się martwisz, może powinieneś iść do lekarza.

- Nie, nie ma takiej potrzeby. - Nie spodobał mu się ten pomysł. Albo dowie się, że to śmiertelne, z czym sobie nie poradzi, albo, jak bywało do tej pory z jego przeróżnymi dolegliwościami, usłyszy, że nie ma się czym martwić, i poczuje się jak marnujący czas kretyn. Lepiej o tym nie mówić. - Czy nie mogłabyś przyjechać trochę wcześniej? Zostaw tych durnych Jamajczyków. Sami są sobie winni, że byli tak głupi i próbowali szmuglować narkotyki.

- Hal! Wiesz, że to nie tak. Zdajesz sobie sprawę, w jakiej biedzie żyją tu kobiety?

- Przepraszam! Tylko żartowałem. Po prostu... byłoby fajniej, gdybyś się tutaj pojawiła.

- Już niedługo będę z tobą. - Miała przylecieć we wtorek, żeby towarzyszyć mu w środowy wieczór podczas premiery, po której zaplanowali tydzień w hotelu Quisi-sana, na Capri. - A w tym czasie możesz się świetnie bawić sam. Rzym to niezwykle miejsce.

- Tak, ale wszystko tutaj już widziałem. Chciałem pokazać ci miasto. Zrobić na tobie wrażenie moim włoskim. Chciałem, żeby wspomnienia odżyły. - Uczył się włoskiego oraz francuskiego w Cambridge i w ramach studiów spędził rok w Rzymie. Jego włoski nie był doskonały, Hal miał zamiar jeszcze się podszkolić. To by

przypomniało Florze, że nie jest tylko ładną twarzą o bezmyślnym wyrazie. Flora, kobieta o statusie poważnej aktorki, mogłaby traktować protekcjonalnie jego, gwiazdę komedii romantycznych.

- Dojadę do ciebie za kilka dni. Hał, mój samochód właśnie podjechał. Słuchaj, zadzwonię, gdy wrócę, dobrze?

- Okej. Pogadamy później.

- Pa, skarbie.

Odłożył słuchawkę i wyciągnął się na kanapie znudzony. Dlaczego wspomniał o Marinie? Wiedział, że Flora nie znosi, kiedy on mówi o swojej byłej. I po co ta uwaga o ślubie? Flora pewnie i tak wie, że ludzie wciąż go wypytują. Niemniej jednak zawsze radził sobie z unikaniem tego tematu, jakby to był kosmita próbujący schwytać go w grze na Play Station.

Wstał i poszedł do sypialni. Otworzył szafę i nacisnął 1102, cyfry daty jego urodzin, na klawiaturze sejfu. Drzwiczki się otworzyły. Wyjął z wnętrza aksamitne pudełko i otworzył je. W środku lśnił wielki diament otoczony maleńkimi szmaragdami. Flora miała dużo biżuterii, ale z pewnością czegoś takiego jeszcze nie widziała. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie chwilę, kiedy jej go da. Oczywiście jeszcze nie zdecydował, czy tego właśnie chciał, ale ten hotel wydawał się idealnym miejscem na taką okoliczność. Oświadczy się przy kolacji, na tarasie. Szkoda - dopiero teraz pomyślał o tym - że mieli widok tylko na ogród. Dachy domów byłyby lepsze. Poza tym będą tutaj na widoku, ludzie w innych pokojach mogą ich zobaczyć, tak samo z innych tarasów. Nessie miała rację. Jak zwykle.

Chwycił pilota i znów zaczął skakać po kanałach. Wreszcie trafił na jeden ze swoich filmów, pod który podłożono bułgarskie dialogi. Boże, minęło zaledwie pięć lat, a dużo lepiej wtedy wyglądał... Rzucił okiem na zegarek. Po pierwszej. Kiedy Nessie wróci, każe jej zamówić jakiś lunch, potem może się zdrzemnie, a później trening. Sam nie wiedział, dlaczego ma taki ponury nastrój. To pewnie nerwy. Bądź co bądź był tuż przed zrobieniem życiowego kroku - nawet ktoś tak pewny siebie jak on czuł się nieswojo na krawędzi.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Amy rzymskie lotnisko było takie jak każde inne, oświetlone nieprzyjemnym światłem jarzeniówek, z niekończącymi się pasażami i reklamami sieci komórkowych. Przeszła przez kontrolę paszportową, wzięła swoją walizkę ze Snoopym z pasa transmisyjnego i przecisnęła się przez tłum podróżnych. Po drugiej stronie barierki stał, ziewając, przysadzisty mężczyzna w uniformie, z kartką, na której widniał napis *Państwo Fraser*. Puknęła go w ramię.

- Dzień dobry, to ja jestem panią Fraser.

- Dzień dobry. Nazywam się Vincenzo. - Rozejrzył się wokół.

- A... pan Fraser?

Amy jakoś to przełknęła. Będzie musiała do takich sytuacji przywyknąć.

- Dołączy do mnie później. Coś go zatrzymało. Przyleci późniejszym lotem.

- Późniejszym lotem? Ale to państwa podróż poślubna?

- Tak. Szkoda. Ale co zrobić! - zabrzmiał jej stłamszony śmiech. - Muszę na niego poczekać!

Vincenzo podniósł jej walizkę ze Snoopym, którą wypatrzyła w butikku ze stylowymi rzeczami niedaleko Brick

Lane i pomyślała, że będzie to śmieszny zakup. Teraz poczuła się staromodna. Przeszła za mężczyzną przez drzwi terminalu. Żar rzucił się na nią niczym wściekły kochanek.

- Uff, ale upał! - stwierdziła bardzo oryginalnie. Rzucił jej spojrzenie, na jakie zasługiwała ta uwaga.

- Jest sierpień. Za gorąco, żeby zostać w Rzymie. Wszyscy są na wakacjach. - Amy zauważyła, że jego angielski był perfekcyjny, z delikatnym śladem akcentu z Birmingham.

- Poza panem - odparła, podążając za nim na wielopoziomowy parking.

- Nie, ja wolę być tutaj. - Amy czekała na ciąg dalszy, ale mężczyzna zatrzymał się przy dużym czarnym mercedesie. Gaby pytała ją, czy zniesie Rzym w środku lata. „Będzie pałace słońce i puste ulice”, mówiła. „Ale apartament dużo tańszy”. „W hotelu jest klimatyzacja, prawda?”, odpaliła Amy. „To ulubione miejsce Douga, które zawsze chciał mi pokazać”. A gdy Gaby się zgodziła, Amy wykrzyczała „Zróbmy to!”.

Wsiadła na tylne siedzenie samochodu. Chwilę później Vincenzo wiózł ją po autostradzie otoczonej wypalonymi nieużytkami i gdzieś tam rozjazdami. Równie dobrze mogliby być na peryferiach Milton Keynes. Nie pędzili z zawrotną prędkością, jak sobie wyobrażała, droga była prawie pusta, a prędkościomierz nie wskazywał więcej niż sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Co gorsza, nie było słońca, za którym Amy tęskniła. Dzień wilgotny i szary, jak zapomniana koszulka na dnie kosza na pranie, nie nastrojał optymistycznie.

- Pierwszy raz w Rzymie, signora?

- Tak, pierwszy raz we Włoszech. - Amy nie przypuszczała, że tak to będzie wyglądać. Wyobrażała sobie błękitne

niebo, szalonych młodzieńców jeżdżących we wszystkich kierunkach na vespach, melodię *Thafs Amore* graną na akordeonie i zgarbione staruszki przy drodze robiące domowy makaron. Ale myślała też, że będzie tutaj ze swoim mężem.

Przypomniała sobie o telefonie, który wyłączyła na czas lotu. Wygrzebała go z torebki i włączyła. Może dzwonił, gdy była osiem tysięcy metrów nad ziemią? W poczcie głosowej czekało siedem nowych wiadomości. Z każdą kolejną odsłuchiwaną wiadomością nadzieja jednak przygasała. Przyjaciół, koleżanek, daleki znajomy, daleki znajomy Douga, którego widziała w jakimś pubie przez dziesięć minut - wszyscy dzwoniли, by dowiedzieć się, czy wszystko u niej w porządku, a w ich współczujących głosach słyszeć było wyraźnie nieprzepartą chęć dowiedzenia się, co się tak naprawdę stało. Sześć wiadomości tekstowych miało podobny wydźwięk.

Niech ich szlag. Amy nie zamierzała nic nikomu tłumaczyć.

- Gdzie pani mieszka w Anglii?

- W Londynie.

- A zna pani Nuneaton? Przez dwa lata pracowałem tam w barze.

- Nie znam. Ale to tłumaczy pański doskonały angielski. Vincenzo kiwnął głową z zadowoleniem, skręcając

z autostrady w drogę, która wyglądała jak wąska wiejska ścieżka, wysadzana drzewami. Po chwili jednak znów się rozszerzała - musieli być na przedmieściach. Przy ulicy stały nowoczesne bloki mieszkalne w kolorze brzoskwini, z zamkniętymi okiennicami. Co jakiś czas Amy widziała napisy *Pizzeria*, *Trattoria*, *Gelateria*. Na ulicach nie było

żywego ducha. Droga stawała się coraz szersza i bardziej ruchliwa. Minęli wielką piramidę z cegieł.

- Grobowiec Gajusza Cestiusza - wyjaśnił Vincenzo. - Widział piramidy w Egipcie i postanowił zbudować taką również dla siebie.

- No tak. - Amy zastanawiała się, czy powinna wiedzieć, kim był Gajusz Cestiusz.

Przed nią wyłaniał się pierwszy znak, że jest rzeczywiście w Rzymie - Koloseum. Takie, jak zapamiętała z „Gladiatora”.

- Koloseum - powiedział Vincenzo. - Tutaj pierwszych chrześcijan rzucono na pożarcie lwom.

- Oczywiście. - Wiedziała, jak musieli się czuć.

- A po lewej widać Forum. - Spojrzała przez zamglone okno na coś, co wyglądało jak kupa gruzu. Dalej zobaczyła dużo nowocześniejszy wielki budynek, biały niczym zęby na reklamie pasty Colgate, ze schodami i filarami, usiany posągami jadących rydwanów, które wyglądały jak anioły.

- Pomnik króla Wiktora Emanuela. Nazywamy go tortem weselnym. - Amy wzdrygnęła się na to porównanie, a Vincenzo kontynuował: - To jedyny brzydki budynek w Rzymie.

Jechali dalej długą wąską uliczką, wzdłuż której znajdowały się same sklepy. Po lewej minęli duży plac z rzeźbioną kolumną - Vincenzo wyjaśnił, że to Piazza del Parlamento. Potem skręcił w prawo i przejechał przez ogromny plac z małą fontanną pośrodku i ludźmi kłębiącymi się wszędzie.

- Piazza di Spagna. - Po prawej Amy zobaczyła schody wznoszące się do eleganckiego kościoła, i też mnóstwo ludzi. - Tutaj rzymianie przychodzą na *rimorchiare*. Podrywać

dziewczyny. Ale to akurat pani nie zainteresuje. Pani jest w podróży poślubnej. - Jechali dalej w dół wąską uliczką.

- To jest Via del Babuino. *Eccol* Pani hotel.

Hotel de Russie był wysokim budynkiem z kamienia, stojącym tuż przy ulicy. Boj hotelowy w eleganckim szarym uniformie i czapce otworzył drzwi i wyjął walizki z bagażnika. Amy poczuła się niezręcznie: podziękowała Vincenzowi, ale nie mogła dać mu napiwku, bo zapomniała wymienić pieniądze na lotnisku.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało - odpowiedział. Wyciągnął do niej rękę. Od razu zauważyła, że miał idealnie wypielegnowane dłonie i paznokcie pociągnięte różowawym lakierem.

- Miłego pobytu, signora.

Weszła za bojem do budynku i skierowała się do hotelowego lobby. Było urządzone minimalistycznie, z kamienną podłogą i wysokim sufitem. Zza kontuaru recepcji uśmiechał się do niej młody łysy mężczyzna.

- Witam, pani Fraser. Miło nam gościć panią w hotelu de Russie.

- Właściwie to doktor Fraser - sprostowała. W duchu dziękowała Bogu, że jej medyczne wykształcenie pozwala ominąć tytuł „pani”, do którego przecież nie miała żadnego prawa. Postanowiła przez jakiś czas pozostać przy nazwisku Fraser. Po latach bycia doktor Gubbins przynajmniej na tyle zasługiwała. Tak bardzo nie mogła doczekać się porządnego nazwiska, że zawczasu zmieniła dane na kartach kredytowych, w paszporcie i na karcie Club Card do Tesco. A teraz będzie musiała znów je wymieniać. Kolejny punkt do jej listy zadań, obok nieuniknionego



wystawienia aukcji na ebay'u: *Sprzedam nową suknię ślubną Very Wang, rozmiar 10. Okazyjna cena.*

- Przepraszam - powiedział recepcjonista. - Doktor. *Mamma mia* - Więc Włosi naprawdę tak mówią. - To dla nas zaszczyt. A... pan Fraser?

To będzie koszmar.

- Przyleci późniejszym lotem.

- Rozumiem - odpowiedział spokojnie recepcjonista. - Nie ma problemu. Proszę o wypełnienie tego formularza i o pani paszport.

Amy wypełniła formularz. Fałszywe nazwisko. Adres. Gdy szukała w torebce paszportu, na podłogę wypadł jej tampon. Schyliła się, by go podnieść, i usłyszała krzyk mężczyzny o akcencie z Yorkshire:

- Halo, przepraszam!

- Tak, panie Doubleday? - Recepcjonista miał ten sam przyjazny uśmiech na twarzy.

- Nie jestem zadowolony z pokoju. Proszę natychmiast przydzielić mi apartament.

- Panie Doubleday, przykro mi, ale wszystkie apartamenty są zajęte.

Amy odwróciła się, by spojrzeć na mężczyznę. Koło pięćdziesiątki, niski, przysadzisty, szpakowaty, o wykrzywionych ustach i czole tak błyszczącym, jakby dopiero co je wypolerował. Miał na sobie luźne spodnie i sweter z golfem. Na jego szyi wisiała cała kolekcja aparatów fotograficznych.

- Na pewno możecie coś zrobić! - warczał. - Jestem bardzo ważnym gościem!

- Przykro mi. To bardzo gorący sezon. W środę mamy premierę filmową i mnóstwo osób się u nas zatrzymało.

- Wiem, że jest premiera, kolego. Jestem tutaj, żeby robić na niej zdjęcia - wrzasnął i odszedł.

- Co za kretyn - odezwał się ktoś wytwornym tonem, również po angielsku.

Amy znów się odwróciła. Kobieta w średnim wieku, ubrana w granatową letnią sukienkę, uśmiechnęła się do niej. Za nią stał mężczyzna w koszulce i szortach.

- Prawda? Kompletny prostak.

- Rzeczywiście, zachował się dość niegrzecznie - przytaknęła Amy.

- Dość niegrzecznie?! - parsknęła kobieta. - Kutas jeden!

- Marion! - uspokajał ją łagodnie mężczyzna.

- No co, Roger, wiesz, że zawsze nazywam rzeczy po imieniu.

- Znów uśmiechnęła się do Amy, pokazując rząd zdrowych, mocnych zębów. - Pani dopiero przyjechała? Tutaj jest pięknie. Będzie się pani podobać.

- Na pewno. - Amy odwróciła się do lady.

- Jest pani w podróży poślubnej? Zauważywszy kątem oka spojrzenie recepcjonisty, Amy potwierdziła.

- My też - powiedziała Marion. -Ale...

- W drugiej podróży poślubnej - uściśliła. - Po raz pierwszy przyjechaliśmy tutaj trzydzieści lat temu, uwierzyłaby pani? Teraz kiedy dzieci są już dorosłe, pomyśleliśmy, że wrócimy przeżyć drugą młodość. Jesteśmy skiersami\*.

\* Skier - ang. narciarz; tutaj gra słów: SKI-er - określenie emerytów wydających pieniądze na ekskluzywne życie zamiast pozostawienia ich dzieciom w spadku (Spending the Kids' Inheritance) - przyp. tłum.

- Czy o tej porze roku jest wystarczająco zimno? Marion wybuchnęła śmiechem.

- A to dobre! Nie, SKI-ersami. Nasze dzieci są już dorosłe, właśnie wykopaliśmy z domu najstarsze. Ma trzydzieści cztery lata.

- Tyle, ile ja.

- No tak, ale pani jest wrażliwą mężatką, a on narko-manem-włóczęgą. A gdzie pani mąż?

- Poszedł już na górę - odparła Amy cicho, żeby recepcjonista nie usłyszał.

- Cóż, mam nadzieję, że go poznam. Musimy wybrać się razem na drinka któregoś wieczoru. Nie zatrzymujemy pani. Dzisiaj zwiedzamy Villa Borghese. *Ciao*, jak mówią Włosi.

Odeszła, serdecznie machając ręką, a za nią Roger. Amy odwróciła się z powrotem do lady. Recepcjonista uśmiechnął się i grzecznym gestem dłoni wskazał na boja hotelowego.

- Miłego miesiąca miodowego, pani Eraser. Tommaso zaprowadzi panią do apartamentu.

Amy podążyła za Tommaso przez lobby z wysokim sufitem, pełne nowoczesnych rzeźb. Z tyłu szklane drzwi prowadziły do ogródka ze stolikami skrytymi pod dużymi białymi parasolami. Skręcili w lewo, Tommaso nacisnął przycisk windy. Wjechali na szóste piętro i znaleźli się w korytarzu wyłożonym beżową wykładziną. Przeszli do końca holu, gdzie Tommaso włożył kartę-klucz w bladozielone drzwi i otworzył je.

- Proszę przodem, signora. Amy weszła do salonu.

- Wow.

Pokój, w którym stała sofa i biurko, nie był duży, ale przepiękny: żółte ściany były ozdobione czarno-białymi zdjęciami kwiatów. Amy pomyślała, że bałaby się tutaj poruszać, żeby nie narobić bałaganu.

- Tam dalej jest sypialnia, signora.

Amy weszła za Tommaso do sypialni pełnej balonów. Były wszędzie i miały kształt różowych serduszek. Na każdym widniał napis *Amy i Doug*. już bardziej kiczowato być nie mogło. Gaby musiała to zaaranżować i pewnie zapomniała odwołać.

- Szczęśliwego miesiąca miodowego! - życzył Tommaso.

- Dzień... dziękuję. - Poczowała znajome swędzenie w nosie i pieczenie w oczach. Tommaso spojrzał na nią zaniepokojony.

- Signora, proszę zobaczyć tutaj - wykrzyknął niczym matka próbująca odwrócić uwagę płaczącego dziecka.

Otworzył drzwi na taras, gdzie drzewka cytrynowe mieszały się z donicami geranium. Stały tam dwa leżaki wyściełane białymi poduchami. Stół pod białym parasolem był nakryty na dwie osoby, z białym obrusem, błyszczącymi sztućcami, połyskującą porcelaną, świecami i kwiatami. Idealne miejsce na romantyczną kolację à *deux* o zachodzie słońca. Amy nie mogła znieść tego widoku.

- Pięknie - zdołała wydusić.

- Proszę podejść, signora - zachęcał Tommaso, wskazując barierkę.

Pod nimi roztaczał się wielki plac z szeroką bramą po jednej stronie i olbrzymią kopułą kościoła po drugiej - tak blisko, że Amy mogła jej prawie dotknąć. Pośrodku wznosił się spiczasty obelisk.

- Proszę spojrzeć, signora. Piazza del Popolo. Jesteśmy w samym sercu Rzymu.

- Tak.

Spojrzał na nią zatroskany.

- Proszę za mną, signora. - Wskazał gestem, by weszła z powrotem do środka. - Tutaj jest łazienka.

- Yhm. - Spoglądała na mozaikę na ścianie.

- Signora, czy mam pokazać, jak korzystać z telewizora? Zestawu stereo? Pysznicza?

- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

- Richard Gere zawsze tutaj nocuje. I Madonna. A także Sting i Leonardo di Caprio. - Po chwili dodał: - Ostatnio gościliśmy Victorię Beckham.

- Wspaniale.

- I proszę nie zapomnieć, signora, że mamy wspaniałe centrum odnowy z sauną, łaźnią parową, basenem do hydroterapii. Jest w podziemiu.

- A, tak. - Amy nie mogła się doczekać, kiedy on wreszcie pójdzie, ale wciąż zwlekał. Oczywiście. Czekał na napiwek.

- Tak mi przykro, nie wymieniłam jeszcze pieniędzy. Czy mogę dać panu napiwek później?

- Żaden problem, signora. - Uśmiechnął się życzliwie. - Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, proszę pytać o mnie. Jesteśmy do pani dyspozycji. Mały napiwek wystarczy.

Czy możecie cofnąć zegar o tydzień? Powiedzieć mi, że wszystko, co się zdarzyło, to tylko zły sen?, pomyślała.

- Dziękuję. - Wysiliła się na uśmiech. - Będę o tym pamiętać.

Wracając do windy, Tommaso nie mógł zebrać myśli. Naprawdę nie miał żalu o brak napiwku. Martwił się o tę kobietę o czarnych włosach związanych w kucyk i długich, patykowatych nogach. Ani trochę nie przypominała kobiet, które zazwyczaj zatrzymywały się w apartamencie Popolo. Były to albo bizneswoman w garsonkach, które od razu bombardowały go pytaniami o wtyczki i dostęp do sieci, albo żony (a często również kochanki) po drogich operacjach plastycznych, choć żadna kwota pieniędzy nie była w stanie ukryć niezadowolenia w ich oczach. Ta kobieta też

nie wyglądała na szczęśliwą. Gdzie był jej mąż? Tommaso, żonaty od blisko trzydziestu lat, nigdy nie spędził nocy z dala od swojej żony. Przyjaciołom przytakiwał w żartach, że skok w bok byłby ciekawy, choć wcale tak nie myślał.

Na górze, w apartamencie Popolo Amy siedziała na łóżku i płakała, płakała, płakała. Nie mogła uwierzyć, że to ją spotkało: że była w luksusowym hotelu, z cudownym widokiem, a jedyne na co miała ochotę, to wskoczyć do wanny, zanurzyć głowę i już więcej nie wypłynąć.

- Dlaczego mnie to spotyka? - krzyknęła i zamilkła, usłyszawszy dzwonek do drzwi. Szeroko otworzyła oczy, przekonana, że się przesłyszała, ale dzwonek znów zabrzmiał. To on! Przyjechał! Rzuciła się do drzwi i otworzyła. Za nimi stała kobieta mniej więcej wzrostu Amy, w dopasowanym kostiumie, z błyszczącymi blond włosami związanymi w ścisły kucyk.

- Dzień dobry - powiedziała kobieta gładką angielszczyzną. - Przepraszam, że panią niepokoję. Vanessa Trimmingham. Gratuluję. Słyszałam, że jest pani świeżo upieczoną mężatką.

-Ja...

- Świetnie. Cóż. Proszę wybaczyć, ale zaszło pewne nieporozumienie. Jestem osobistą asystentką Hala Blackstocka, który również zatrzymał się w tym hotelu... - Zawiesiła głos, by do rozmówczynie dotarła waga informacji. - Zwykle to jest jego apartament. Ale wygląda na to, że głupki w recepcji pomyliły się i przydzieliły go pani. Pan Blackstock ma więc nadzieję, że się pani zamieni. Jest w apartamencie Picasso po drugiej stronie, więc właściwie to bez różnicy.

- Słucham?

- Tak, gdyby mogła pani zamienić się na apartamenty. Pan Blackstock będzie bardzo wdzięczny.

Amy nie wierzyła własnym uszom.

- Nie, dziękuję. Chcę zostać tutaj.

W głosie Vanessy pojawiła się ostra nuta, a jej spojrzenie stwardniało; przypominała teraz Charlesa Bronsona w „Życzeniu śmierci”, gdy mścił się za zmasakrowanie jego rodziny.

- Hmm, niezmiernie mi przykro, ale chyba się nie rozumiemy. Mówimy o Halu Blackstocku. Na pewno wie pani, kim on jest.

- Oczywiście - wypaliła Amy. Do cholery, wszyscy wiedzą, kim jest Hal Blackstock. Brytyjskim gwiazdorem filmowym, mającym około czterdziestki. Zdumiewająco dobrze wyglądającym, z dopasowanymi zębami, roztrzepaną grzywką i powierzchownością amanta z wyższych sfer. Był nieco zbyt ugłaskany jak na jej gust, ale Gaby zawsze miała do niego słabość, a dla matki Amy ucieleśniał ideał mężczyzny. Na początku lat pięćdziesiątych występował w wielu filmach kostiumowych, potem nakręcił kilka hollywoodzkich hitów. Głośny był romans Hala z Mariną Dawson, prezenterką, która dzięki niemu zaistniała w Hollywood, została twarzą Magie Cosmetics i jurorką w programie „Catwalk”, telewizyjnym show modelingowym, które leciało od lat. Nocami, gdy Doug grywał z zespołem, ulubioną rozrywką Amy było leżenie na kanapie i oglądanie go.

Marina i Hal zerwali kilka lat temu. Teraz ona umawiała się z jakimś miliarderem. Od tamtej pory Hal trochę zniknął



z widoku, Amy nie mogła sobie przypomnieć żadnego filmu, w którym by wystąpił od lat, chociaż ostatnio był we wszystkich magazynach - zaśmiecały poczekalnię na chirurgii - przez swój związek z Florą de Belleville Crecy, piękną aktorką (a są jakieś inne?), która sporo udzielała się charytatywnie.

- Więc nie będzie problemu? - naciskała Vanessa.

- Tego bym nie powiedziała. To jest moja podróż poślubna. Nie chcę się zamieniać.

- Apartament Vaselli też jest uroczy.

- Cóż, w takim razie pan Blackstock powinien być zadowolony.

- Ale on zawsze zatrzymuje się w tym apartamencie.

- Więc zmiana dobrze mu robi - Amy nie mogła uwierzyć, że prowadzi taką rozmowę. - Żegnam.

Zatrzasnęła drzwi.

- Bezczelna krowa. - Odetchnęła. Usiadła na łóżku i obrzuciła wzrokiem otaczający ją luksus. Cóż, to jednak było coś; Hal Blackstock chciał się z nią zamienić na apartamenty! Gaby padnie z wrażenia, gdy jej to powie.

Znów dzwonek...

Telefon! Amy rozejrzała się, niezdecydowana, który aparat wybrać. Wreszcie chwyciła słuchawkę leżącą na biurku.

- Halo? - Nadzieja była tym razem mniejsza, ale jeszcze się tliła. Głos Vanessy całkiem ją zgasił.

- Pani mnie chyba nie zrozumiała. Pan Blackstock zawsze zatrzymuje się w apartamencie Popolo. Był tak uprzejmy, że zaoferował pani i mężowi bilety na jutrzejszą premierę jego filmu „The Apple Tree”.

- Przykro mi - odparła Amy - ale ja... to znaczy my zarezerwowaliśmy go trzy miesiące temu. Na moją... to znaczy naszą podróż poślubną. I nie mam zamiaru się zamieniać.

Gdy się rozłączyła, zachichotała po raz pierwszy od trzech dni, po raz pierwszy od czasu, gdy zapadła decyzja, że ślubu nie będzie.

- Chodź, Amy Gubbins - powiedziała na głos. - Teraz zobaczysz Rzym.

Pierwsze wyjście Amy było katastrofą. Tym bardziej, że upał aż dusił. Idąc ulicą, czuła się jakby brnęła w gęstej zupie, a piękna lniana sukienka szybko zrobiła się mokra i przykleiła do ciała.

Kiedy ona i Doug wyjeżdżali na weekendy do Sztokholmu, Lyonu, Barcelony, Nowego Jorku - cudowne weekendy, gdyby nie fakt, że to Amy zawsze musiała je organizować, płacić za nie, wymieniać pieniądze i zamawiać transport z lotniska i na lotnisko - spędzała godziny przed komputerem, czytała relacje z podróży, szukała ważnych szczegółów, istotnych słów jak „proszę” i „dziękuję” czy lokalnych zasad dawania napiwków (w egalitarnej Szwecji to nie jest w zwyczaju, natomiast w Nowym Jorku to co najmniej piętnaście procent, jeśli nie chciało się być gonionym po ulicy przez kelnera z tasakiem w ręku].

Na żółtych karteczkach zapisywała rzeczy do zrobienia i zobaczenia, restauracje, w których należało zjeść, i sklepy do odwiedzenia.

Bez reszty pochłonięta przygotowaniami do ślubu nie myślała o podróży poślubnej. A teraz nie miała serca otworzyć przewodnika kupionego tydzień temu w Daunt

Books przy Marylebone High Street po ostatniej szybkiej wizycie w firmie cateringowej w celu skontrolowania tortu weselnego, który tak długo wybierała. Tydzień temu, gdy wszystko wydawało się być na dobrej drodze.

Amy włóczyła się, mając nadzieję, że natknie się na kilka obowiązkowych pozycji do zobaczenia, jak Forum czy Piazza Navona. Miasto wyglądało obiecująco: na Via del Babuino było mnóstwo cudownych starych sklepów i modnych butików, postanowiła jednak nie zaglądać do nich dzisiaj, ale zostawić tę przyjemność na przyjazd Gaby. Skreśliła za rogiem i znalazła się na mrocznej ulicy w pobliżu dworca, pełnej obskurnych sklepów z plastikowymi figurkami papieża. Wokół widziała tylko albo wyglądających na zmęczonych transwestytów, albo Afrykańczyków - ci próbowali wcisnąć jej podróbki toreb od Valentino. Wreszcie znalazła bankomat. Rozejrzawszy się, czy w pobliżu nie ma podejrzanych typów, włożyła kartę, kładąc maszynie przejść na angielski, i wystukała PIN. Wpisała maksymalną kwotę pięciuset euro - to powinno jej wystarczyć na czas pobytu. Maszyna zawyla. Niewystarczające środki do dokonania transakcji - przeczytała na ekranie. - Sprawdź saldo.

Z duszą na ramieniu nacisnęła kilka kolejnych przycisków. Na ekranie wyświetliło się saldo. Dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć funtów na minusie. Cholera! Zwykle stawiała sobie sztywny limit pięciuset. Dziurę w budżecie spowodowały pewnie te cholerne buty od Emmy Hope. Zaczęła nerwowo liczyć. Pensja wpłynie na konto w połowie tygodnia - do tego czasu może wyjść jedynie równowartość czterdziestu pięciu funtów. Oczywiście mogła korzystać z karty kredytowej, ale ile będzie musiała za to zapłacić?

Chryste! Zawsze śmiała się z ludzi, którzy spłukiwali się na wesela, a teraz ona zrobiła to samo.

- Spokojnie - powiedziała do siebie, gdy wyjęła kilka euro. - Po prostu trzeba będzie zacisnąć pasa przez parę dni.

Głodna i spragniona usiadła w ogródku kawiarnianym i zamówiła espresso, pewna, że dostanie prawdziwą włoską kawę. Po dwudziestu minutach skrzywiony kelner przyniósł jej filiżaneczkę płynnej smoły, która nie miała nic wspólnego z pyszną kawą, jaką można dostać w Starbucks za rogiem obok jej miejsca pracy. Wypiła to w pięć sekund, nie zamówiła kanapki i poprosiła o rachunek.

- Dziesięć euro - burknął kelner. Gorączkowo liczyła. To jakieś siedem funtów.

- *Scusi?*

- Dziesięć euro.

- To śmieszne - odpowiedziała. - Rozbój w biały dzień.

- Siada pani przy stoliku, płaci pani więcej - wyjaśnił z kamienną twarzą. - Jeśli chce pani espresso za jedno euro, stoi pani przy barze.

Trzęsąc się i z wściekłości, i od kofeiny, wyciągnęła banknot. Chamstwo. Myślała, że Włosi są lekkoduchami, pełnymi wiary w *dolce vita*. Nawet nie mogła myśleć o lunchu. Ile kazaliby jej zapłacić? Zresztą i tak nie miała ochoty na samotne siedzenie w restauracji i reklamowanie faktu, że jest porzuconą panną młodą. Dlaczego posłuchała Gaby? Przyjaciółka nie miała racji: samotny wyjazd nie dodawał sił. Wręcz przeciwnie.

Spłynęła na nią fala strachu. Co z nią będzie dalej? Straciła miłość swojego życia, mężczyznę, z którym

planowała się zestarzeć. Chciała do niego zadzwonić. Ale duma i strach, że może być z Pinny, powstrzymały ją.

O szóstej, zmęczona bezcelową wędrówką po rozgrzanych upałem ulicach, umierała z głodu. Dlaczego nie wzięła kanapki, gdy obsługa samolotu częstowała ją na pokładzie? Nie tylko głód jej doskwierał - na obu dużych palcach u nóg miała bąble od chodzenia godzinami w japonkach po bruku, ramiona już piekły poparzone słońcem - nie zastosowała się do rady, którą zawsze dawała pacjentom: niezależnie od pogody trzeba stosować kremy z filtrami, bo promienie słoneczne mogą przenikać przez najgrubsze chmury.

W hotelu de Russie portier, inny niż ten, który był wcześniej, spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Przepraszam, signorina, czy jest pani gościem hotelu? - zapytał.

- Owszem, jestem. Mieszkam w apartamencie Popolo. Patrzył z niedowierzaniem.

- Czy mogę zobaczyć pani kartę-klucz? Wyjęła kartę z torebki. Portier był zakłopotany.

- Bardzo przepraszam, signorina. Chodzi o bezpieczeństwo gości, rozumie pani.

- Nic się nie stało - wymamrotała Amy.

Po powrocie do apartamentu położyła się na łóżku i gapiła w sufit.

Pomyślała, że poczuje się lepiej, jeśli coś zje. Wzięła menu z biurka i zaczęła je przeglądać. Nie chciała okonia morskiego ani poledwicy cielecej, wystarczyłby jej talerz makaronu. Spaghetti ze świeżym sosem pomidorowym i bazylią - to było to. Wtedy dostrzegła

cenę: siedemnaście euro pięćdziesiąt plus cztery euro za obsługę pokojową.

Nigdy nie była biegła w przeliczaniu walut. Trzydzieści pięć funtów. Nie, nie, coś bliżej piętnastu. Ale nawet na to nie mogła sobie pozwolić, wydała wszystkie pieniądze na cholerny ślub i podróż poślubną. Przejrzała menu w poszukiwaniu czegoś tańszego.

Pozostawało jeszcze picie. Mała butelka z minibaru kosztowała pięć euro, a Amy bała się pić wodę z kranu. Miała jednak do wyboru: to albo wyjście z powrotem na ulicę - zapadał zmierzch - na upokarzający i prawdopodobnie tak samo drogi samotny posiłek. Chyba że...

Znalazła wyjście.

Po półgodzinie była z powrotem w pokoju i siedząc na łóżku z baldachimem, rozkładała prowiant: podwójny cheeseburger, ekstraduże frytki i dietetyczna kola, wszystko przyniesione z McDonalda, którego zauważyła wcześniej na rogu Piazza di Spagna. Przeszmuglowała jedzenie obok portiera. Och, jakie dobre były frytki, gorące i słone, chociaż żałowała, że nie wzięła keczupu. Wyobraziła sobie siebie i Douga, jak zajadają i śmieją się ze swojej „uczty”. Teraz pewnie dzielił się frytkami z Pinny.

Pomyślała o wszystkich pacjentach, których pouczała, by wykreślili ze swoich jadłospisów śmieciowe jedzenie. Ale oczywiście te zasady nie mają zastosowania przy złamanym sercu. Bo nieważne, ile kilogramów z tych, które straciła, odzyska, jeśli jej serce stanie od nadmiaru tłuszczu i odporność zaniknie z braku witamin. Bo nikt już więcej jej nie pokocha, starej panny z brodawkami na brodzie. Będzie się złowieszczo uśmiechać do dzieci

w supermarkecie, a one będą krzyczeć z przerażenia na jej widok.

Jedynie angielskie kanały telewizyjne nadawały wiadomości. Wzięła pilota i zaczęła skakać po kanałach nadających różne show z grupkami niekompletnie ubranych kobiet, wreszcie przełączyła na wiadomości po włosku. Prezenter mówił tak szybko, że miało się wrażenie, jakby uciekał przed wściekłym rottweilerem. Nie rozumiała ani słowa, chociaż ze zdjęć miała mgliste pojęcie, o czym mowa. Spiker podkreślał gestem treść każdej informacji. Kiedy podawał złe wiadomości ze Środkowego Wschodu, wznosił ręce do nieba. Gdy opisywał coś, co musiało być katastrofą kolejową w Indiach, złapał się za serce w geście współczucia. Kiedy zapowiedział, że gwiazdka Justina Maguire przyjechała do miasta na premierę filmu „The Apple Cart”, w którym występowała razem z Halem Black-stockiem, cmoknął w zachwycie nad jej urodą.

Popatrzyła na zegar przy łóżku. Minęła ósma. Cóż, mogła napuścić wody do wanny, wlać cały żel i wylegiwać się w kąpieli godzinami, a potem iść spać. Boże, jak bardzo tego potrzebowała!

Leżała w wannie, aż palce u stóp się pomarszczyły. Ale gdy była już w łóżku, nie mogła zasnąć. Nic dziwnego, było dopiero po dziewiątej lub po ósmej czasu brytyjskiego. Przewracała się z boku na bok. Nawet pigułki nasenne nie zadziałały. Próbowwała liczyć barany, ale myślami wracała do rodziców i ich bólu. Daj spokój, napomniiała sobie. W tym łóżku spała Madonna. I Richard Gere. I Victoria Beckham.

Poczuła się jeszcze gorzej.



Nagle przypomniało jej się, co powiedział Tommaso: „Mamy wspaniałe centrum odnowy z sauną, łaźnią parową, basenem do hydroterapii. Jest w podziemiu”.

Okej. Zastosuje się do rady, którą zawsze dawała pacjentom, kiedy skarżyli się na bezsenność. Trzeba ostro poćwiczyć. Fizycznie wycieńczyć organizm. Oczywiście seks jest do tego idealny, ale ona już nigdy nie będzie uprawiać seksu. Chwyła czarno-czerwone bikini, na które namówiła ją Gaby, włożyła hotelowy szlafrok i poszła do podziemia.

Hal był podenerwowany. Spędził całe popołudnie, oglądając grę w golfa na Eurosporcie i jednocześnie wertując magazyny, których stos leżał na stoliku. Przeglądał już trzynasty, kiedy przyszła Vanessa, by przedstawić mu plan następnych kilku dni.

- Och, kochana. - Roześmiał się beztrzesko, chociaż tak naprawdę czuł się fatalnie. - Straciłem czar.

- Słucham?

- Jestem na cholernym czterdziestym siódmym miejscu. Oburzające!

- O czym ty mówisz?

Trzymał egzemplarz czasopisma „People”.

- Wydanie z listą pięćdziesięciu najseksowniejszych facetów na świecie - zadeklamował kpiąco z amerykańskim akcentem. - Boże. W zeszłym roku poszło mi lepiej.

- Byłeś siódmy - potwierdziła Vanessa, tak jakby Hal tego nie wiedział.

- Cholerny Hugh Grant. Ralph Fiennes. Jude - drań - Law! Wszyscy są wyżej niż ja. - Wciąż kpił. Bo to przecież i tak tylko żart z tych bredni o sławie. Wszyscy o tym wiedzieli. Rankingi i nagrody kompletnie się nie liczyły.

Chociaż wkurzające było, że w kobiecym rankingu, który pojawił się miesiąc wcześniej, Marinę umieszczono na miejscu dziewiątym (duży skok z zeszłorocznej dwudziestej siódmej pozycji), a Florę na piętnastym (bez zmian).

- W tym roku pozostali mieli lepsze notowania niż ty - zauważyła Vanessa. - Hugh grał w nowym filmie i Ralph też.

- Ja również - przypomniał jej.

- Tak, ale... - Zabrakło jej słów. Rzeczywiście, „The Apple Cart” trudno było nazwać filmem. To raczej coś w rodzaju przysługi oddanej staremu kumplowi z Cambridge Benowi Balantonowi, który desperacko potrzebował gotówki, by spłacić alimenty na rzecz trzeciej żony (Ben nie odwdzieczył się, odmówił udziału we włoskim pokazie, twierdząc, że musi zabrać swoją czwartą żonę na wakacje). Nie mówiąc już o słowach rodziców Hala, którzy kilkakrotnie delikatnie sugerowali, że skoro Hal obecnie dużo nie pracuje, mógłby chociaż pomóc Florze w jej projektach charytatywnych.

Rodzice Hala lubili Florę. Cóż, może „lubili” to określenie trochę na wyrost. Nie była typem miłej synowej, ale entuzjastycznie pochwaliła zrobione przez mamę Hala risotto z owocami morza, mimo iż dwie trzecie krabów znalazło się w jego kieszeni. Teraz jednak Hal podejrzewał, że jego rodzice nie mieliby nic przeciwko temu, gdyby zjawił się u nich z jednooką węgierską mistrzynią w pchnięciu kulą, jeśli tylko byłaby płodna. Nie to, że Blackstockowie nie interesowali się jego karierą filmową, oni marzyli o wnukach. Dzieci miał począć (to irytujące) z obowiązku, jako że jego młodszy brat Jeremy, wykładowca fizyki

elementarnej, zamieszkał ze swoim chłopakiem, fryzjerem o imieniu Stan, w Minneapolis.

- Czas na twój trening. - Nessie gładko uniknęła pytania o „The Apple Cart”. - Signor Ducelli cię zaprowadzi.

- O Boże. Obawiam się, że nie jestem w nastroju do ćwiczeń. Twarz Vanessy pozostała kamienna.

- Mam im powiedzieć, że zmieniłeś zdanie?

- Nie, nie - odpowiedział mrukliwie. - W porządku. Pójdę. - Ale tak naprawdę wcale nie był pewien, czy powinien. Znów czuł tę krostę ocierającą się o koszulkę. Może wystawienie jej na działanie chlorowanej wody

i pokazanie publicznie nie jest dobrym pomysłem. Jakiś paparazzo ukrywający się w odpływie zaraz by uchwycił tego rodzaju rzecz długim obiektywem i „Heat” natychmiast poinformowałby na swoich łamach: *Hal ma pryszcz*. A potem jakiś lekarz, przeglądając egzemplarz swojej córki, zauważył to i krzyknie: „Zaraz, to nie pryszcz, to bardzo groźny guz”... Skontaktuje się z Halem poprzez Calluma, jego agenta, i...

- Potrzebujesz jeszcze czegoś dzisiaj wieczorem? - pytała Nessie. - Mam ci zamówić kolację do pokoju? A może wolisz gdzieś wyjść? Konsjerż zrobił na wszelki wypadek rezerwacje w kilku restauracjach.

Wyjść. Przynajmniej to zrobiłby automatycznie. Kazać konsjerżowi i Nessie oraz lokalnej firmie PR-owej, by zebrali kilka najgorętszych w mieście laseczek i uderzyć do restauracji, a potem do klubu. Następnie zabrać jedną czy dwie do hotelu. Ale odkąd Flora była w jego życiu, ta opcja nie wchodziła w grę, paparazzi czailiby się na niego,

zauważyli, że wychodzi z jakąś ptaszyną, następnego dnia znalazłby się we wszystkich gazetach plotkarskich i kosztowałoby go to majątek.

- Nie, nie będę wychodził. Zamów mi coś. Może być pizza. I dowiedz się, czy transmitują gdzieś mecz piłki nożnej lub krykieta.

- Nie ma problemu, Hal. - Rozległ się dzwonek u drzwi apartamentu. - Ach, to pewnie Ducelli.

Gdy Hal przebrał się w dres, Ducelli, gładki jak balsam do ciała preferowany w hotelowym centrum rekreacji, odprowadził go do gabinetu odnowy.

- Mam nadzieję, że dobrze się pan bawi w Rzymie, panie Blackstock. Proszę pamiętać, jeżeli jest coś, co moglibyśmy zrobić, by umilić panu pobyt, wystarczy, że pan poprosi. Możemy zorganizować zwiedzanie kilku miejsc. Może się pan wybrać nocą, jeżeli obawia się pan zbytnej uwagi publiczności. Albo możemy panu zapewnić wespę, jeśli woli pan zwiedzać miasto sam. Kask pozwala zachować anonimowość. Pan Pitt skorzystał z tej opcji podczas ostatniego pobytu i bardzo mu się to podobało.

- Tak? A w którym apartamencie zatrzymał się pan Pitt? - Zupełnie nie obchodziło to Hala, chciał go po prostu rozdrażnić.

Ducelli wyglądał na zażenowanego.

- No cóż, był w Popolo. Niestety, apartament został dużo wcześniej zarezerwowany na ten sam okres, co pana pobyt.

- Wiem. Przez nowożeńców. Rozkosznie. Ale z pewnością mógłby pan znaleźć sposób, by zmienili zdanie. Przecież jesteśmy we Włoszech. - Starał się naśladować głos Ala

Pacino. - Niech pan im złoży propozycję nie do odrzucenia. Głowę konia w łóżku\*. To by rozwiązało sprawę. Ducelli zaśmiał się cicho.

- Przepraszam. To niemożliwe. Mam nadzieję, że pan rozumie.

Otworzył drzwi do kompleksu SPA, wprowadził Hala przez recepcję do siłowni i wskazał na puste pomieszczenie.

- Proszę spojrzeć. Oficjalnie jest teraz zamknięte. Nikt nie będzie panu przeszkadzać w treningu. A po skończeniu ćwiczeń może pan zanurzyć się w jacuzzi. Zamknę za panem drzwi, by nikt inny nie mógł tutaj wejść. Oto klucz. Ma pan czas nieograniczony. Miłego treningu.

Kiedy poszedł, Hal ściągnął bluzę i obejrzał swoją klatkę piersiową. Krostka pulsowała, mógłby przysiąc, że jej wypełnione ropą oko mrugało do niego. To tylko głupi pryszcz, powinien był kazać Nessie kupić coś w rodzaju Clearasilu lub jego włoskiego zamiennika. Zadzwoeni do niej, gdy wróci do pokoju, niech zajmie się sprawą. Wszedł na staimastera. Osiem kilometrów, zdecydował. Wystarczy jak na jeden dzień. Życie Hala było nieustanną walką pomiędzy lenistwem i próżnością. Zazwyczaj wygrywała próżność, ale nie znosił myśli, że ktokolwiek mógłby się dowiedzieć, ile tak naprawdę kosztuje go utrzymanie dobrej formy. Od czasów prywatnej szkoły, kiedy spędzał mnóstwo czasu, jeżdżąc konno, i denerwował woźnych, gdy robił to również po kryjomu przy świetle latarki, chociaż wyłączali światła, Hal miał obsesję na punkcie wygrywania przy minimum wysiłku.

\* Odniesienie do sceny z filmu „Ojciec chrzestny” - przyp. tłum.

Kiedy biegł na bieżni, jego myśli powędrowały ku Florze; teraz zapewne siedzi w pokoju hotelowym na Jamajce i czyta dziewczynkom bajkę na dobranoc, potem skub-nie sałatki przed spędzeniem nocy na czytaniu Prousta. W przeciwieństwie do niego nie widziała nic wstydlivego w rozwijaniu swojego wnętrza. Mimo urody nie stała się pustą pięknoscią. Miała nienaganne pochodzenie z Upper East Side, a za przodków pierwszych kolonistów angielskich w Stanach. Jej nieżyjący już ojciec był dyrektorem teatru, a matka (wciąż jeszcze zatruwa życie innym) była odnoszącą sukcesy aktorką teatralną, zanim porzuciła aktorstwo, by zasiadać w radach nadzorczych paru organizacji charytatywnych.

Flora chodziła do najlepszej szkoły prywatnej w Stanach i pewnie poszłaby na Harvard, gdyby przyjaciel rodziny nie zaproponował jej roli Ofelii w nowej ekranizacji „Hamleta”. Zdobyła za nią nominację do Oscara i od tego czasu zajmowała się aktorstwem, z małą przerwą na ślub z Pierre'em, urodzenie ślicznych dzieci i pożyteczną pracę na rzecz krajów rozwijających się (nie trzeciego świata, już nie wolno było tak mówić).

Poznali się z Halem na obiedzie u Mitcha Weldona, gwiazdy popu, który znał wszystkich i który nie miał pomysłu, na co wydawać swoje miliardy poza zabawianiem innych supergwiazd. Hal od roku nie był już z Mariną. Związała się z tym łamagą Fabriziem de Michelisem, podczas gdy Flora dopiero co się rozwiodła, mówiono, że z powodu romansów Pierre'a, ale nigdy nie powiedziała Halowi, dlaczego tak naprawdę im nie wyszło, co bardzo go irytowało. Miała raptem trzydzieści lat, nominację

do Oskara, nazwisko i urodę. Była więc w ich świecie najbardziej pożądaną rozwódką. Czekano niespokojnie, z kim się teraz zwiąże.

Kiedy Hal usłyszał, że jej nazwisko znajduje się na liście gości, postanowił, że właśnie on będzie tym następnym.

Był zachwycony, gdy Mitch posadził ich obok siebie przy obiedzie, i tylko trochę się zawahał, kiedy zamiast skrytykować ostatni album Madonny, Flora od razu zajęła go rozmową na temat długu krajów trzeciego świata (znaczy rozwijających się), do której Hal nie był przygotowany. Tydzień później kazał Nessie skontaktować się z asystentką Flory i zaprosić artystkę na kolację. Odmówiła - miała zaraz wyjeżdżać na Syberię, by nagłośnić zagrożenie wiecznej zmarzliny.

Zapomniał o całej sprawie, zafascynowany niesamowitym seksem z bardzo ładną słowacką tancerką erotyczną. Aż pewnego dnia Nessie poinformowała go, że dzwoniła asystentka Flory z zaproszeniem na bal charytatywny organizowany na rzecz fundacji, w której Flora się udzielała. Poszedł, siedział obok Flory, poczytał o długu krajów trzeciego świata, zdołał jej zaimponować i dwa miesiące później spali ze sobą.

To był najdłuższy okres, kiedy ktoś kazał Halowi czekać, odkąd Marianne Powers ze szkoły żeńskiej nie chciała go dopuścić do „trzeciej bazy” ze strachu przed posądzeniem, że jest zdziurą. Stanowiło to odświeżającą odmianę od tych wszystkich dziewczyn, które tylko czekały, by przespać się z jakimś gwiazdorem. Chociaż, jeśli miał być zupełnie szczery, w jego wypadku nie należało za dużo sobie obiecywać. Zazwyczaj szybki numer bez finezji.



Ale właściwie nie seks trzymał go przy Florze. Pewnie, był ważny, ale żeby cieszyć się długotrwałym, poważnym związkiem, trzeba patrzeć na to z szerszej perspektywy.

Hal myślał o pierścionku czekającym w sejfie. Wyobraził sobie zachwyconą minę Flory, gdy będzie wkładał go jej na palec. Kilka miesięcy temu, po dość przykrym spotkaniu z Mariną podczas ceremonii wręczenia jakichś nagród, wysłał Vanesę do Asprey, by go kupiła. Ale podczas następnego spotkania z Florą miał ciężką migrenę, więc to nie był właściwy moment na oświadczenia. A potem uznał, że nie powinien się śpieszyć. Spotykali się dopiero od roku, ona wciąż nie doszła do siebie po nieudanym małżeństwie. Dla jej córek zbyt szybkie zaangażowanie się Flory w kolejny związek nie było dobre, a poza tym jej terminarz na przyszły rok już został wypełniony, raczej nie udałoby się im wcisnąć do niego ślubu. Zresztą wyobrażał sobie zamieszanie nie do zniesienia, jakie wywołałaby prasa wokół ich zaręczyn.

Ale, pomyślał, zatrzymując się na chwilę, by nabrać powietrza, może odwlekanie to głupota. Może powinien to po prostu zrobić. Już nigdy nie znajdzie kobiety piękniejszej, bogatszej ani z lepszymi koneksjami. I chociaż nie chciał się do tego przyznać, dotarło do niego, że Flora pochodziła z wyższych sfer: była po imieniu z rodziną Kennedych i Gettych, nigdy nie musiała się uczyć kolejności posługiwania się sztućcami, ona to zwyczajnie wiedziała, dorastała w mieszkaniu wielkości małej wioski.

Porównał to z maleńkim domem Mariny przy ślepej uliczce w Swindon, gdzie spali na materacu rozłożonym na podłodze w pokoju jej młodszej siostry i musieli schodzić

na dół do łazienki, a jej rodzina z niecierpliwością chciała się dowiedzieć, czy kiedykolwiek spotkali Jordana, i wszyscy jedli kolację, oglądając telewizję z szeroko otwartymi buziami. Może przez Hala przemawiał snobizm, gdy tak myślał, ale co z tego? Gorzej, gdyby na przykład okazał się malwersantem. Albo mordercą.

Oświadczyły w Rzymie, koniec końców, byłyby dość niesamowite - coś, co można by opowiadać wnukom. Przyśpieszył kroku. Hmm. Może lepiej, gdyby miał apartament z widokiem na dachy Rzymu. Ten z widokiem na ogród można mieć wszędzie i każdy gość restauracji siedzący na tarasie mógł się na nich gapić z dołu. Rano powie Nessie, by jeszcze przycisnęła nowożeńców.

- Aaa!

Nie zauważył, że bieżnia, która powoli zwalniała, zatrzymała się, a on znalazł się na podłodze.

- Cholera! - Szczęście, że nic sobie nie złamał. Ani nawet nie otarł.

Okej. To był znak, że jak na jeden dzień wystarczająco dużo już ćwiczył. Dźwignąwszy się z podłogi, zdjął spodenki oraz koszulkę i w samych tylko bokserkach w różowe kwiatki poszedł korytarzem do SPA. Otworzył drzwi sauny i wszedł w gorącą gęstą chmurę, która zasłaniała wszystko. Nozdrza wypełnił mu zapach eukaliptusa. Po omacku doszedł do drewnianej ławki, położył się i głęboko wciągnął powietrze.

- Łaa.

Strumyki potu spływały mu po skórze. Podrapał się. -Uff.

Poczuł, jak bąbel gazów zabalgotał mu w żołądku i zaczął przesuwać się w stronę jelit. To pewnie fasolka,

jadł na lunch. Dla Hala to odczucie było zawsze dziwnie przyjemne. Uniósł lewy pośladek i głośno puścił bąka.

- Teraz lepiej.

Zawsze tak mówili z Jeremym, kiedy leżeli owinięci w kołdry w swoich łózkach na poddaszu bliźniaka w Didcot. Roześmiał się na to wspomnienie. O, następny się zbliżał.

Prrrr. Nawet Hal był lekko zaskoczony jego głośnością. Ale gdy decybele się wyciszały, usłyszał inny dźwięk. Chichot. Delikatny, ale z pewnością chichot.

- Halo? - Usiadł prosto i odruchowo zasłonił ręką pryszcz. - Kto tu jest?

- Przepraszam. Nie chciałam cię przestraszyć - usłyszał damski głos. Kobieta była chyba młoda, mówiła po angielsku.

- Cholera. Myślałem, że jestem sam.

- Przepraszam - powtórzyła. - Zeszłam na dół popływać, ale basen okazał się wielkim jacuzzi, więc już dość długo tutaj jestem. Chyba zasnęłam. Czuję się jak suszona śliwka.

Ledwo ją widział przez mgiełkę. Ciemne włosy zebrane na czubku głowy. Twarz oblana rumieńcem. Czerwono-czarne bikini, bujne piersi.

Znów położył się na drewnianych deskach. Słyszał, jak ona oddycha, i wytrąciło go to z równowagi. Była tutaj prawdziwa kobieta, nie żadna gwiazda filmowa czy modelka. Od ponad dziesięciu lat nie miał kontaktu ze zwyczajnymi ludźmi poza makijażystkami i stylistkami. To było jak dzielenie sauny z Marsjaninem, prawdopodobnie nie niebezpieczne, niemniej jednak czuł się nieswojo.

- Więc - odezwał się - podoba ci się w Rzymie?

- Tak - odparła. - A tobie?

- Niezbyt. - Musiała wiedzieć, kim on jest, jednak lepiej będzie postawić na skromność. - Widzisz, jestem aktorem, promuję tutaj mój nowy film i prawdę mówiąc, to okropnie nudne.

- Wiem, kim jesteś. Chciałeś zamienić się ze mną na apartament. Albo raczej twoja asystentka próbowała.

W głowie Hala zapaliła się czerwona lampka.

- Więc ty jesteś tą panną młodą w podróży poślubnej?

- Tak - powiedziała po chwili.

- I odprawiłaś Vanesę z kwitkiem?

- Dokładnie tak.

Hal patrzył na nią poprzez kłęby pary. Uznał, że tego rodzaju konfliktowa sytuacja była dla niej całkiem nowym doświadczeniem, dziewczyna nie czuła się pewnie. Warto było spróbować jeszcze raz. Zniżył głos, zatrzepotał rzęsami. Jego klasyczna poza brytyjskiego lalusia. Nigdy go nie zawiodła.

- Słuchaj. Jesteś pewna, że nie chcesz się zamienić? Widzisz, to dla mnie naprawdę ważne. Moja dziewczyna zawsze zatrzymuje się w apartamencie, który zajmujesz. Przyjedzie niebawem i byłoby bardzo miło z twojej strony, gdybyś przystała na moją prośbę. Wynagrodziłbym ci to. Co powiesz na bilety dla VIP-ów dla ciebie i twojego męża na premierę mojego filmu w środę? I również na przyjęcie po pokazie. Niezwykle sztywne. Myślę, że by ci się spodobało.

- Nie, dziękuję.

Był zszokowany. Rzadko mu odmawiano.

- Sądzę, że byłoby to dla ciebie ekscytujące przeżycie. A mój apartament jest naprawdę bardzo przyjemny. Są w nim dwie litografie Picassa.

Kobieta wstała.

- Jeżeli masz bardzo przyjemny apartament, twoja dziewczyna na pewno będzie zadowolona z pobytu w nim. Tak jak ja jestem zadowolona ze swojego. Więc, proszę, nie wracajmy już do tego, dobrze?

Otworzyła drzwi. Cała para wydostała się na zewnątrz i Hal zauważył, że dziewczyna ma zaczerwienioną twarz, rozmazany tusz pod oczami i fantastyczne nogi.

- Miłego pobytu - powiedziała.

Wyszła, zostawiwszy Hala samego pocącego się na ławce.

Po powrocie do apartamentu Amy wciąż nie mogła zasnąć. Żałowała, że basen, choć piękny, nie nadawał się do pływania. Uwielbiała pływać; zbyt rzadko znajdowała na to czas, ale gdy już znalazła, rytm jej ruchów i oddech wprowadzały ją w stan bliski medytacji, w którym każdy problem - od ostatniego zachowania Douga po źle zdiagnozowane dziecko ułożone pośladkowo - można było spokojnie rozważyć i rozwiązać. Po pływaniu mogłaby wrócić do łóżka z wolną głową. A tak była rozemocjonowana, nie tylko wydarzeniami minionego tygodnia, ale też spotkaniem z zachowującym się protekcjonalnie Halem Blackstockiem. Okazał się nie tylko nadętym bufonem, ale też - co wcale jej nie zdziwiło - dupkiem.

Tak bardzo chciała powiedzieć o wszystkim Dougowi. Wzięła telefon, wcisnęła D na liście kontaktów i zobaczyła swoje ulubione zdjęcie Douga - spał na sofie z jedną ręką spoczywającą na klatce piersiowej, a drugą odrzuconą bezwładnie za głowę. Ogarnęła ją nieprzeparta chęć zadzwonienia do niego. Jakoś się powstrzymała. Jeśli Doug zmieni zdanie, sam się z nią skontaktuje.

Doug, Doug, Doug. Pomyślała o tym, jak się poznali trzy lata wcześniej, pewnej mokrej marcowej nocy. Amy miała trzydzieści jeden lat. Wreszcie skończyła specjalizację i rozpoczęła pracę jako lekarz rodzinny w przychodni w centrum Islington. Miała bardzo różnych pacjentów: od zestresowanych bankowców cierpiących na przepuklinę po nastolatków z Bangladeszu, niemówiących ani słowa po angielsku, za to z dwójką dzieci i trzecim w drodze. Praca była wyczerpująca. Czytała o biedocie miejskiej i marginesie społecznym, ale nie miała pojęcia, jak to będzie, kiedy odwiedzi sześciuosobową rodzinę, która mieszka na szesnastym piętrze w dwóch pokojach o zagrzybionych ścianach, drzwi w drzwi z meliną, ani jak będzie wściekła, gdy na jej sugestię, by rodzice przestali palić ze względów zdrowotnych i finansowych, usłyszy, żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy.

Mimo wszystko, nie licząc pracy, Amy miała idealne życie, o jakim marzyła jako dziewczynka dorastająca w niewielkim nadmorskim miasteczku. Po spłaceniu pożyczek studenckich od razu kupiła własne lokum. Mieszkanie z jedną sypialnią w Clissold Park było jej dumą i radością, chociaż jakoś nie mogła się zebrać, by zmienić je w wymarzone gniazdko. Pieniądze, które miała, lubiła wydawać na egzotyczne wakacje, ładne ciuchy i imprezy praktycznie co wieczór.

Nie tylko kariera Amy świetnie się rozwijała - pozornie jej związek też można by uznać za idealny. Była z Dannym od ostatniego roku studiów w Edynburgu, razem przenieśli się do Londynu. Robił specjalizację z chirurgii ogólnej w tamtejszej klinice. O takim facecie mogła marzyć każda

dziewczyna: miły, godny zaufania, odnoszący sukcesy. Dość przystojny, chociaż nieco nudnawy w łóżku. W każdy weekend grał w rugby i naprawiał Amy kanalizację. Rodzice Amy go uwielbiali. Spotykał się z nią już od ośmiu lat i wszyscy zastanawiali się, kiedy się pobiorą, a także dlaczego nie mieszkają razem. Danny sugerował to, gdy przeprowadzili się do Londynu, ale Amy zawsze mówiła, że nie ma pośpiechu, że to ich lata wolności, że gdy mieszkają osobno, czas spędzony razem jest wyjątkowy, a poza tym ona pracuje w południowej części miasta, on w północnej. Gdy nadejdzie właściwy dzień, znajdą coś w połowie drogi.

Nigdy się nie przyznawała, nawet przed sobą, że myśląc o tym dniu, miała wrażenie, iż słyszy gwóźdź wbijany do swojej trumny.

Przez ostatnie lata - trzy, cztery, może pięć - Amy się odkochała. Uważała za obrzydliwy jego zwyczaj wydmuchiwania nosa w slipy, a robienie awantury osobie, która w restauracji dostała największą porcję, za co najmniej małostkowe. Nudził ją tłum na meczach rugby oraz żony

i dziewczyny ze sztucznymi uśmiechami, które uważały chyba, że nie ma lepszego sposobu na spędzenie soboty niż dygotanie na zamarzającej linii autowej. Czuła ulgę, gdy przynajmniej dwa razy w tygodniu miał nocny dyżur, a ona mogła spotkać się z przyjaciółmi sama, nie martwiąc się, że Danny pojawi się w swojej dzinsowej kurtce z wyszytym z tyłu napisem Led Zeppelin.

Gardziła nim, nawet zaczęła nosić okropne majtki, gdy wiedziała, że będzie się z nim widzieć - nie obchodziło jej, co pomyśli Danny - i przestała się starać, by ich wspólne



noce były ekscytujące, zamiast tego wolała zdrzemnąć się przy nim, oglądając telewizję. Był wygodnym kocykiem, z którego już jednak wyrosła. Liczyła nawet, że ją zostawi - dostanie propozycję nie do odrzucenia pracy w Nowej Zelandii lub pozna kogoś nowego. Zdawała sobie sprawę, że źle robi, nie kończąc tego związku. Tyle że zwyczajnie nie miała odwagi. Wiedziała, że Danny będzie zdruzgotany, a ona bała się, że nie znajdzie drugiego, który nosiłby ją na rękach.

Tamtej marcowej nocy sprawa miała się jednak wreszcie rozstrzygnąć. Właśnie wrócili z wakacji w Kalifornii. Amy bardzo czekała na ten urlop, liczyła, że ożywi ich związek. Niestety, już pierwszego dnia przekonała się, że to katastrofa. Spędzili kilka miłych dni w Los Angeles u starego przyjaciela, ale Danny, który po locie czuł się fatalnie, nalegał, żeby z takich modnych miejsc jak Skybar czy Viper Lounge wychodzić już o dziesiątej wieczorem, co doprowadzało ją do szału. Jeszcze bardziej wkurzył ją w Las Vegas, gdzie chciał spędzić tylko jeden dzień, bo najbardziej zależało mu na San Francisco, w którym mieszkał przez rok po maturze.

Gdy jechali przez jedno z miejsc słusznie nazwanych pustynią, wkurzał ją, nie przekraczając sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Potem ona wkurzyła jego, gdy przejęła kierownicę i jechała ponad sto czterdzieści. Oczywiście zatrzymała ich policja. Później on chciał jak najszybciej przejechać Dolinę Śmierci, a ona - zostać tam choć jedną noc. Najgorsze nastąpiło w połowie drogi między Doliną Śmierci a Yosemite, gdy niby niewinnie pokłócili się o to, co będą jeść na kolację.

- Mam ochotę na chińszczyznę, a ty? - spytała Amy. Danny miał minę niczym Charlie Brown.

- Nie chcę chińszczyzny. Mam ochotę na wielki deser. W chińskich restauracjach nie dają deserów.

Ta niewinna uwaga sprawiła, że Amy wpadła w histeryczny płacz. Płakała całą drogę do najbliższego motelu, gdzie zmartwiony Danny musiał wlec ją przez lobby i przygotować kąpiel, a ona płakała i płakała coraz bardziej, w miarę jak docierało do niej, że ich wspólna przyszłość jest niemożliwa. Gdy przestała płakać, restauracja była już zamknięta - nie mieli szans ani na chińszczyznę, ani na deser. Jakoś wytrwali do końca dwutygodniowych wakacji, ale resztki nadziei umarły. Raz uprawiali seks. Trzy minuty. Amy wiedziała, że musi niedługo to zakończyć, ale wciąż nie mogła znaleźć w sobie odwagi.

Tamtej piątkowej nocy razem z Gaby, która niedawno znów przeprowadziła się do Londynu, poszły zobaczyć występ Pinny z zespołem Ambrosial w przykościelnej sali w Southgate. Pinny była współlokatorką Amy, gdy ta po raz pierwszy zamieszkała w Londynie. Poznały się przez ogłoszenie w internecie i od pierwszego dnia polubiły, orientując się, że łączy je zamiłowanie do imprezowania.

Pinny bardzo różniła się od Gaby. Ta była biuściastą blondynką, wciąż kontrolowała swoją wagę i uwielbiała Estee Lauder oraz wiązane w pasie sukienki. Chuda Pinny bez wysiłku utrzymywała linię (cóż, niezupełnie bez wysiłku, fakt, że prawie nic nie jadła, sporo pomagał, jednak nie widziała sensu w jedzeniu, skoro mogła palić marlboro, a czekolada w jej lodówce mogła przeleżeć nietknięta trzy tygodnie). Preferowała dzinsy, które odsłaniały jej brzuch

z kolczykiem w pępku, małe T-shirty i nie nosiła stanika. Czasem zachowywała się infantylnie - przeczesywała palcami włosy nieznanym mężczyznom, chcąc, by poczęstowali ją papierosem, albo w skąpej podomce otwierała drzwi inkasentowi telewizyjnemu - był tak zszokowany, że odpuścił jej tysiąc funtów grzywny.

Miała beztrudne podejście do życia. Zaprzepała świetne oceny, odkąd zaczęła się imać różnych prac, od barmanki po asystentkę profesora historii na Uniwersytecie Londyńskim. Zawsze, gdy tylko się znudziła, zmieniała posadę. Jej ojciec był prezesem banku i miała okazały fundusz powierniczy, mogła więc sobie pozwolić, by pracę traktować bardziej jako hobby, a nie przykrą konieczność. Tak samo podchodziła do mężczyzn. Podczas gdy Gaby marzyła o Panu Odpowiednim, Pinny miała obok siebie mężczyzn dużo starszych na przemian z dużo młodszymi. Byli już lord i marynarz z HMS Beaver (podał jej parę fig z wyhaftowaną nazwą statku), etiopski kierowca mini-taksówki i chińsko-amerykański absolwent uniwersytetu o nazwisku David Moo - jego budzik w kształcie krowy krzyczał „Muu, muu, wstawaj!”.

Amy i Pinny świetnie się razem bawiły, chociaż Pinny bywała irytująca, zwłaszcza gdy chodziła po mieszkaniu w majtkach i podkoszulku zawsze, kiedy Danny był w pobliżu, nie wspominając o tendencji do podważania autorytetu Amy uwagami typu: „Naprawdę myślisz, że słusznie przepisujesz tyle antybiotyków? Czemu nie zasugerujesz pacjentom, żeby spróbowali kryształów energetycznych?”. Miała jednak naprawdę dobre serce i pewność siebie, którą Amy chciała się zarazić. Pinny zawsze wierzyła,

że jakoś sobie poradzi, i zawsze tak było. Mimo że wiele na to wskazywało, Amy nigdy nie potrafiłaby być aż tak beztroska. Zawsze gdy szły na imprezę do modnego klubu, jak Ongar, to Amy martwiła się, czy będzie taksówka na powrót, podczas gdy Pinny, śmiejąc się, była pewna, że coś się znajdzie. I zawsze się znajdowało (zazwyczaj siadała jakiemuś facetowi na kolanach, a ten oferował im podwiezienie swoim bmw). Pinny nigdy nie tkwiłaby w związku z Dannym z bezradności i strachu, dawno już znalazłaby sobie kogoś innego.

Gaby nie przepadała za Pinny, uważała ją za „płytką flirtiarę”, ale ponieważ nie miała ciekawszych planów na tamten wieczór, zgodziła się przyjść i zobaczyć zespół. Siedziały więc, sącząc zwietrzałe piwo z plastikowych kubków, i czekały, aż Ambrosial wyjdzie na scenę. Amy była sceptyczna. Pinny miała niezły głos i niezaprzeczalnie rockandrollowy wygląd z burzą tlenionych włosów i sprężystym ciałem, ale czy to wystarczy? Z pewnością to tylko kolejne hobby Pinny, które może przetrwać jakiś tydzień, zanim punkowa wokalistka zdecyduje, że jednak jest stworzona, by zostać zawodowym spadochroniarzem.

Kiedy czekały, aż Pinny pojawi się na scenie, Amy opowiadała Gaby o wakacjach.

- To było straszne, Gaby. Zupełnie nie wiem, co robić. Myślę o znalezieniu pracy w jakiejś organizacji humanitarnej w Afryce. Bo dalej tak nie może być.

- Ojej - zaczęła Gaby, ale zanim zdążyła dać jej jakąś radę, zespół wybiegł na scenę, spóźniony czterdzieści pięć minut. - W samą porę - jęknęła. - Dlaczego tylko koncerty nigdy nie zaczynają się o czasie? Kiedy idziesz do teatru,

nie każą ci czekać godzinami, podczas gdy aktorzy palą skręty za kulisami.

Jej marudzenie przerwały cztery głośne akordy gitary basowej. Wtedy Pinny zaczęła śpiewać.

Amy siedziała jak zahipnotyzowana. Pinny ze zwykłej przyjaznej hipiski zmieniła się w wyjąca do mikrofonu seksbombę. Wiła się, a publiczność szalała, skacząc do góry, ludzie wyciągali ręce, by móc jej dotknąć. Piosenki były fantastyczne, chwytliwe, ostro punkowe, ale z domieszką popu. Amy nie zajmowała jednak tylko muzyka. Jej uwagę przykuł pierwszy gitarzysta - wysoki, z długą szyją, krótkimi brązowymi włosami i idealnie równymi zębami. Nieziemsko przystojny. Chyba nie tylko ona tak uważała, sądząc po tłumie nastolatków stłoczonych w jego części sceny, które aż piszczały, gdy się poruszał, wyginając seksownie ciałem.

- Są fantastyczni - krzyknęła do ucha Gaby.

- Niezli - przyznała Gaby niechętnie.

Zespół grał przez czterdzieści minut, potem dwukrotnie bisował. Wreszcie spocona, triumfująca Pinny przecisnęła się do baru, a za nią reszta członków grupy. Amy oczywiście patrzyła tylko na gitarzystę, podobnie jak cały jego piszczący fanklub, który otoczył swojego idola.

- Jesteście niesamowici - rozlegały się okrzyki. - Byłeś cudowny, kochamy cię!

- Naprawdę robisz wrażenie - powiedziała Amy do Pinny. - Musisz się czuć jak bogini.

- Było fajnie - zgodziła się solistka. - Boże, dajcie mi piwa! Umieram z pragnienia!

- Już zachowuje się jak diwa - mruknęła Gaby, a głośno dodała: - Musisz się cieszyć, że znalazłaś coś, co naprawdę sprawia ci przyjemność. Wreszcie.

- No. - Pinny nie wyczuła sarkazmu. - Owszem. Chociaż na razie to tylko hobby. Wszyscy chłopcy mają normalne zajęcia oprócz Hanka, który jest naszym menedżerem. Nikt z nas by się nie utrzymał ze śpiewania na pełny etat. Chodź, przedstawię cię.

- Później. - Amy się zaczerwieniła. Nie chciała spotkać gitarzysty, bo wiedziała, że nie wydusi z siebie nic prócz paru banałów, tak będzie stremowana. Pinny jednak nalegała i za chwilę Amy ścisnęła dłoń basisty Gregora, perkusisty Baza i wreszcie pierwszego gitarzysty i autora tekstów Douga.

- Byliście świetni - wykrztusiła, nie zwracając uwagi na długonogą szesnastolatkę, która wyzywająco potrząsała blond lokami tuż za nią.

- Tak myślisz? - Doug wydawał się szczerze ucieszony. Miał delikatny, seksowny szkocki akcent. - Pomyliłem się trochę przy *Moja mama jest kosmitką*. Zauważyłaś?

- Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą, zastanawiając się, jak on całuje...

Zapytał Amy, skąd zna Pinny i czym się zajmuje.

- Jestem lekarzem rodzinnym - odpowiedziała nieco zawstydzona. - A ty? Kiedy nie grasz na gitarze, oczywiście.

- Jestem nudnym prawnikiem. - Uśmiechnął się. - Doradcą prawnym. Ale lekarz rodzinny? Wow. To znaczy, że musisz być naprawdę mądra.

- O nie, nie - wymamrotała Amy, która nieraz to właśnie słyszała. - Muszę po prostu być odporna na widok krwi, jelit i zawartości ludzkich żołądków.

- Zawsze chciałaś być lekarką?

- Zawsze chciałam pomagać innym. - To nie była całkiem prawda. Amy nie wiedziała, co chce robić, ale była bardzo dobra z przedmiotów ścisłych, a rodzice skakali z radości, gdy doradca zawodowy zasugerował medycynę. I tam też poszła.

- To niesamowite - mówił Doug. - Robisz to, co zawsze chciałaś robić. Ja od małego piszę piosenki. Zawsze chciałem grać w zespole, ale tata nie pozwalał, więc najpierw musiałem iść na studia i dostać dyplom. Pomyślałem, że mogę go zdobyć i jednocześnie grać w zespole. Po studiach miałem spore długi, więc zdecydowałem się zostać prawnikiem, płacić rachunki, a muzyką zajmować się na boku. Teraz jednak Ambrosial ma wzięcie i zastanawiam się, czy nie powinienem muzyce poświęcić całego mojego czasu. Iść za marzeniem.

- Wszyscy powinniśmy iść za naszymi marzeniami. - Amy nie miała na myśli problemów Douga, ale swoje pragnienie odgarnięcia mu loka, przysłaniającego lewe oko.

- Masz rację - odpowiedział Doug, gdy podszedł do nich siwy mężczyzna w średnim wieku, który przypominał Amy wikarego.

- Amy, to jest Hank, nasz menedżer. Hank, to jest Amy, przyjaciółka Pinny. - Hank i Amy z uśmiechem uściśli sobie dłonie.

- I co, był dzisiaj ktoś wśród publiczności? - zapytał Doug, nieco dziwnie, bo przecież nie mógł nie widzieć setek fanów w ekstazie.

Hank zmarszczywszy czoło, ruchem głowy wskazał niskiego mężczyznę w żółtej bluzie rozmawiającego z jedną

z najładniejszych dziewczyn. - Matt Rees z Convexu. Ale wszyscy wiemy, że to dupek. Przychodzi jedynie po to, żeby wyrywać panienki. Udaje, że interesują go tylko klony Jamesa Blunta, na których może zarobić. - Zwrócił się do Amy: - Wszystko, co trochę inne, oryginalne, nie ma szans. Żadna z firm fonograficznych na nich nie postawi. To takie niesprawiedliwe.

- To takie niesprawiedliwe - przytaknął Doug. Amy nie mogła przewidzieć, jak często będzie słyszeć to zdanie przez kolejne miesiące.

- Ludzie z prawdziwym talentem po prostu są pomijani - powiedział Hank.

- To takie niesprawiedliwe - dodała Amy, a obaj mężczyźni spojrzeli na nią, potakując.

- Ona to łapie. - Hank się uśmiechnął. Doug też się uśmiechnął.

- Mogę ci postawić drinka? - zapytał, a żołądek Amy wywrócił się - czuła satysfakcję, gdy złapała podejrzliwe spojrzenie Gaby, ale też odezwało się poczucie winy. Modliła się, by Pinny taktownie nie zapytała, co porabia tej nocy Danny.



Amy obudziła się zdezorientowana. Pikający telefon wyrwał ją z niezwykle realnego snu, w którym zgubiła swoją ślubną podwiązkę na basenie. Niczym najlepszy członek zespołu SAS na czerwonym alarmie, przeczołgała się przez pustynię Gobi swojego łóżka i złapała komórkę leżącą na stole. Umówili się z Dougiem, że nie będą się kontaktować, ale to musiał być on. Z przeprosinami, tłumaczący się.

*Słyszałem, co się stało. To pech. Daj mi znać, jeśli mogę w jakikolwiek sposób pomóc. Myślę o tobie. Danny*

Dlaczego on zawsze musiał być dżentelmenem? Przez jego szlachetność czuła się dużo, dużo gorzej. Przeturlała się z powrotem po łóżku, a towarzyszące jej ciągle łzy znów popłynęły po policzkach.

- Przestań płakać, mięczaku - burknęła do siebie tonem sierżanta Foleya z filmu „Oficer i dżentelmen”. - Weź się w garść.

Odsłoniła zasłony, a Piazza del Popolo ukazał się jej skąpany w słońcu. Przynajmniej pogoda się poprawiła.

Musi wziąć prysznic i zejść na śniadanie, które było wliczone w cenę pokoju. Dzięki Bogu, bo umierała z głodu. Sprawdziła już obsługę pokojową: szesnaście euro za kawę i rogalika. Pod prysznicem straciła kilka minut na rozpracowanie jego działania, a i tak skończyło się na wrzącej lawie, która trysnęła jej prosto w oczy. Potem nie pociągnęła zasłony jak trzeba, w rezultacie zalała podłogę, a przy okazji zamoczyła sandały. Włożyła szorty i T-shirt, sycząc z bólu, gdy materiał pocierał o schodzącą już skórę na ramionach. Wreszcie zjechała windą na dół.

Śniadanie serwowano na tarasie u stóp wspinających się po zboczu ogrodów. Przywitała ją kobieta w uniformie.

- Signora? - zagadnęła miło. - Numer pani pokoju?

- Mieszkam w apartamencie Popolo.

Jej brwi uniosły się wysoko. Pewnie po raz pierwszy w historii hotelu gość zajmujący ten apartament pofatygował się na dół i mieszał z plebsem.

- Rozumiem. A więc stolik na dwie osoby?

- Nie, nie. Tylko dla jednej. Mąż nie jest głodny.

- Oczywiście. - Kobieta skinęła ręką na kelnera i mruknęła coś pod nosem, co pewnie mogłoby znaczyć: ta ofiara losu próbuje wmówić nam, że jest mężatką.

- Signora. - Kelner gestem wskazał Amy, by poszła za nim, a jej wydawało się, że patrzy na nią pogardliwie.

Przeszli przez taras, mijając eleganckie pary, eleganckie pary i kolejne eleganckie pary, do najdalszego kąta. Była przekonana, że wszyscy na nią patrzą, zastanawiając się, co robi tutaj ktoś, kto z pewnością nie należy do międzynarodowej śmietanki towarzyskiej.

- Kawa, herbata? - zapytał, gdy Amy usiadła przy stoliku.

- Poproszę kawę. I może tosta? Mężczyzna wskazał w głąb sali.

- Tam jest bufet. Znajdzie pani tam wszystko, czego potrzebuje.

- Aha, okej.

Znów musiała przemaszerować przez taras, pewna, że znajduje się pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń. Kątem oka spoglądała na boki, oceniając współgości. Oprócz eleganckich par były też idealne rodziny, z blond mamusiami, przystojnymi tatusiami i dziećmi o nienagannych manierach ubranymi w T-shirty od Diora. Amy poczuła się jak trędowata.

Rozpogodziła się nieco, gdy zobaczyła bufet. Jedzenie wszelkiego rodzaju: sery, wędliny, owoce, jogurty, wędzony łosoś, płatki zbożowe, góry apetycznych ciast, różne rodzaje pieczywa. Zaburczało jej w brzuchu. Nie miała zamiaru jeszcze raz przechodzić tej drogi przez mękę, więc musiała ocenić, ile uda jej się wcisnąć na talerz. Zaczęła od paru truskawek i gronka winogron, dodała kromkę chleba i parę plasterków szynki. A może placek drożdżowy? Pod srebrną kopułą czekała jajecznica na bekonie z grzybami. Amy uwielbiała śniadania na ciepło. Po miesiącach katowania się dietami czas na rozpustę. Zaczęła ładować na, i tak już pełny, talerz.

- Ktoś tutaj chyba jest głodny? - usłyszała za plecami. Odwróciła się. Za nią stała Vanessa w kremowych spodniach i niebieskim kaszmirowym swetrze.

- Wczoraj niewiele zjadłam - pośpiesznie powiedziała Amy.

- Oczywiście. Przemyślała pani zamianę apartamentów? A więc nie wiedziała o spotkaniu w saunie.

- Tak. Zostanę tam, gdzie mieszkam.

- Dobrze. Szkoda, że ominie panią premiera. Ale pewnie pani i mąż będziecie mieli inne rzeczy do roboty.

- Wyciągnęła swoją długą szyję i rozejrzała się po sali.

- A gdzie małżonek?

- Nie czuje się zbyt dobrze. - Spojrzała na Vanessę.

- Zatem do widzenia.

- Do widzenia. Miłego miesiąca miodowego. Poruszona tym spotkaniem Amy tylko trochę zdołała

pocieszyć się śniadaniem. Szynka była pyszna, ciasto cudowne, jajka takie właśnie jak lubiła - lekko ścięte. Miała wątpliwości, czy zmieści resztę jedzenia, które sobie nałożyła. Ale przecież nie musiała jeść wszystkiego od razu. Może mogłaby wziąć resztę ze sobą, na później? Nie byłaby zmuszona do kupowania drogich posiłków. Szkoda, że nie zabrała ze sobą torebki. Ale duża, biała lniana serwetka będzie przydatna. Zerkając na boki, by upewnić się, że nikt nie patrzy, zawinęła kilka plastrów wędzonego łososa, kilka kromek chleba ryżowego, kilka plastrów kiwi, jogurt i dużą kulę mozzarelli. Teraz może robić sobie kanapki w pokoju, nie da się nabijać w butelkę, jak to robią w niektórych kawiarniach.

Dopiła kawę i znów się rozejrzała. Taras pustoszał, zostało niewiele par. Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, związała serwetkę w węzełek i wepchnęła sobie pod koszulkę. Powoli się podniosła i z jedną ręką na brzuchu wolno ruszyła przez taras, gdy raptem rozległo się:

- Witam!

To była poznana poprzedniego dnia Marion: machała do niej ze stolika w rogu. Roger posepnie wpatrywał się w miseczkę z jogurtem.

- Co słyhać? - krzyknęła niecierpliwie, kiwając na nią. Amy nie zdejmując ręki z brzucha, powoli do nich podeszła.

- Witam! - przywitała się radośnie.

- Jak mija miesiąc miodowy? - spytała Marion. - Przepraszam, czy mówiła nam pani, jak ma na imię?

-Amy.

Marion z radością rozpostarła ręce i wskazała na jej brzuch.

- Ojej! Wczoraj nie zauważyłam, gratulacje!

- Ślub z konieczności, co? - Roger zachichotał i nagle wydał się radośniejszy.

- Yyy, no cóż...

- Tak właśnie myślałam, widząc, jakie ilości jedzenia nakłada sobie pani przy bufecie - dodała Marion. - Kiedy termin?

- Na Gwiazdkę.

- Naprawdę? - Zmarszczyła wysokie czoło, licząc w pamięci. - Wygląda na dużo bardziej zaawansowaną ciążę. Kiedyś byłam położną, więc coś o tym wiem.

- Jest pani pewna, że to nie bliźnięta?

- Roger! - Marion szturchnęła go w ramię. - A gdzie pani mąż?

- On... poszedł już do pokoju. Musiał zatelefonować. Służbowo.

- Mężczyźni! Zawsze są zajęci. - Uśmiechnęła się. - Ledwie utrzymuję Rogera z dala od tej jego komórki.

I komputera! Ciągle musi sprawdzać wyniki krykieta czy czegoś tam.

- No tak... - Amy rozejrzała się, chcąc najszybciej wybrnąć z tej sytuacji. - Do zobaczenia później. Miłego dnia.

Poszła dalej ciężkim krokiem kobiety w ciąży, mijając smoka na drzwiach, i skierowała się przez lobby do windy. Wcisnęła przycisk, drzwi się rozsunęły. Weszła i patrzyła, jak się zamykają.

- Halo! Proszę zaczekać! - rozległ się głośny męski głos. O nie, to ten okropny pan Doubleday z wczoraj. Amy

szukała przycisku zatrzymującego drzwi, ale nie mogła go znaleźć.

- Proszę zaczekać, mówię!

Mężczyzna w ostatniej chwili wsadził rękę do windy, drzwi się zatrzymały, a po chwili otworzyły.

- Dziękuję za pomoc - rzucił, wchodząc do środka. Za nim szła kobieta, dużo młodsza, o okrągłej ładnej twarzy, długich włosach o kilka odcieni za jasnych do jej cery, w welurowych spodniach od dresu podkreślających jędrne pośladki i pasek brązowego brzucha oraz w koszulce, którą Amy widziała w sklepie Chloe podczas pamiętnej wyprawy po ślubne buty. Uśmiechnęła się do Amy.

- Przepraszam - powiedziała Amy, gdy drzwi windy znów się zamknęły, niczym kurtyna po pierwszym akcie przedstawienia, i ruszyli w górę. - Próbowałam.

- Trzy, niech pani wciśnie trzy - powtarzał niecierpliwie mężczyzna, sięgając przez nią do przycisków. Popchnął Amy i cała zawartość serwetki wysypała się spod koszulki na podłogę windy.

- Cholera, ma pani bulimię czy co? - burknął, gdy winda zadzwieczała, otwierając się na trzecim piętrze.

- Biorę tylko trochę dla męża, na górę - tłumaczyła się Amy; schyliła się, by zebrać zgniecione ciasto drożdżowe i plasterki szynki.

Towarzyszka mężczyzny też się schyliła i podała jej brudną bułkę.

- Chodź, Lisa, to nasze piętro. - Mężczyzna zrobił gest, jakby chciał ją wyciągnąć z windy. Wysiedli i zanim Amy się zorientowała, winda ruszyła z powrotem w dół. Wciąż na kolanach zbierała prowiant, kiedy drzwi znów się otworzyły i wsiadła Vanessa.

- O, to znowu pani. - Spojrzała z uśmiechem na jedzenie w rękach Amy. - Widzę, że nadal jesteśmy głodne?

- Wzięłam trochę dla męża, na górę.

- Jest coś takiego jak obsługa pokojowa - poinformowała ją Vanessa drwiąco.

Zadzwieczał dzwonek i drzwi windy otworzyły się na czwartym piętrze.

- Udanego pikniku - z kpina w głosie dodała Vanessa, a Amy gotowała się ze złości.

Podobnie jak Amy Hala obudził dzwoniący przy łóżku telefon.

- Idźcie do diabła! Kto to, do cholery, może być? - burczał, zanim podniósł słuchawkę.

-Tak?

- Dzień dobry, Hal. - Głos Vanessy był gładki niczym alabaster. - Jak się masz?

- Było dobrze, dopóki mnie nie obudziłaś.

- Przepraszam cię - powiedziała nieszczercze - ale za godzinę zaczyna się pierwszy wywiad. Śniadanie już jedzie na górę. Będiesz miał za pięć minut. Ja przyjdę za pół godziny, żeby cię przepytać.

Rozłączył się i opadł na poduszkę, myśląc o wydarzeniach poprzedniej nocy. Cholera. Kim była ta dziewczyna, na którą wpadł? Twierdziła, że jest w podróży poślubnej, ale pewnie była zakonspirowaną reporterką „News of the Screws”, która zrelacjonuje jego problemy z gazami. Nie żeby było się z czego śmiać. To mogło być coś poważnego. Na przykład rak jelita. Przypomniawszy sobie o swoim drugim problemie. Pomacał pierś. Krosta była dzisiaj rano nawet większa - niczym wulkan ropy wyłaniający się z dżungli



włosów na klatce. Cholera. Powinno to już dawno zniknąć. Coś było bardzo nie tak. Mógł wysłać kogoś po krem na pryszczę lub zadzwonić do dermatologa, ale chciał poradzić sobie z tym szybciej. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - Zwlókł się z łóżka i włożył szlafrok. Kelner wjechał wózkiem do apartamentu.

- Dzień dobry, panie Blackstock. Jak się pan miewa?

- W życiu nie czułem się gorzej - rzucił, ale kelner nie rozumiejąc jego sarkazmu, spojrział na niego z żalem.

- Nalać kawy czy zostawić?

- Proszę nalać. - Hał zawsze czuł się dziwnie, kiedy służba wszystko za niego robiła. Niczym księżę Karol, któremu ktoś wyciskał pastę na szczoteczkę i przytrzymał nocnik, żeby mógł się wysuszać. Ale w zasadzie czemu nie. Sława to jedno wielkie bagno, więc niech chociaż skorzysta z dodatkowych przywilejów. A skoro

o tym mowa...

- Czy mógłby mi pan przynieść garnek wrzącej wody? - zapytał. - I igłę? I krem antyseptyczny? I kilka plastrów? i pudełko zapalek?

Kelner zareagował jakby zapytano go o pogodę.

- Igła, krem, plastry, zapalki - powtórzył bardzo dokładnie. - Oczywiście, panie Blackstock. Proszę dać mi dziesięć minut.

Po jego wyjściu Hał podniósł srebrną kopułę skrywającą śniadanie: talerz owoców tropikalnych, dymiące espresso i wielką szklanę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. Nie był to najbardziej ekscytujący początek dnia, ale konieczny, żeby utrzymać formę. Czterdziesta siódma

pozycja. Przygnębiało go, że tak szybko spadł. Oczywiście wszystkie te rankingi są śmieszne, ale - w przeciwieństwie do jego i Jeremy'ego żartów o puszczaniu bąków - lepiej było być w nich niż poza nimi.

Rozejrzył się po pokoju: stylowe meble, plazmowy telewizor, drzwi prowadzące na piękny taras. Pomyślał, że jeszcze piętnaście lat temu szalałby z radości, gdyby zakwaterowano go w takim apartamencie. Pamiętał nocleg w madryckim Ritzu, gdy skakał po wielkim łóżku, sprawdzał liczbę kanałów w telewizji i zachwycał się parasolem w szafie. W tym czasie Marina wypełniała torebkę miniszamponami i odżywkami, po czym dzwoniła do pokojówki, prosząc o więcej i mówiąc, że się skończyły.

- Wzięłabyś wszystko, co da się wynieść - wytykał jej.

Z uśmiechem pokiwała głową, mówiąc: „pomyśla, że wygraliśmy jakiś konkurs”.

Marina. Lubiła podróżować bardziej niż on. W Stanach wszyscy uważali ich za parę z wyższych sfer, ale tak naprawdę oboje wzięli się właściwie znikąd. Rodzina Hala była tylko nieco bardziej inteligencka niż jej. Dorastał w Didcot, dziurze w Oxfordshire. Matka była sekretarką, a ojciec miał sklep z łózkami, który rozrósł się w niewielką sieć, co pozwoliło mu posłać synów do prywatnej szkoły.

Inni chłopcy wyśmiewali się z pracy jego ojca - „Ojciec Henry'ego sprzedaje łóżka, ojciec Henry'ego sprzedaje łóżka!” - a Henry, jak go wtedy nazywano, strasznie się wstydził i przysiągł sobie, że nigdy nie będzie wykonywał tak służalczej pracy. Pomijając to, bardzo lubił szkołę. Był jednym z najlepszych uczniów, a z pewnością najprzystojniejszym. Mnóstwo uczennic z lokalnej szkoły dla

dziewcząt się w nim kochało. W ostatniej klasie przeleciał już wszystkie najładniejsze. Nawet opierająca się Marianne Powers też mu uległa.

Dostał się do Cambridge - jako jeden z zaledwie pięciu z tej szkoły, którzy dostali się w ciągu ostatnich dwudziestu lat. I to właśnie w Cambridge zaczął się zmieniać.

Już pierwszego dnia zauważył, że na uniwersytecie są dwa rodzaje studentów. Większość stanowili porządni uczniowie średnich szkół, takich jak jego szkoła, którzy zawsze odrabiali prace domowe i zdawali egzaminy, a teraz chcieli zdawać jeszcze więcej egzaminów (żeby ich CV wyglądało lepiej, zwykle uczestniczyli w dodatkowych zajęciach, na przykład uprawiali wioślarstwo) i dostać dobrą pracę.

Nie brakowało też młodych i pięknych absolwentów dobrych prywatnych szkół, dla których studia w Cambridge to było coś oczywistego. Nie tylko dlatego, że ich lepsze geny zapewniły im wyższe IQ, ale również dlatego, że ich rodziny były związane z uniwersytetem od ponad trzystu lat. Teraz, będąc w Cambridge, nie zamierzali się uczyć. Martwienie się o coś tak burżujskiego jak kariera zawodowa uchodziło za szczyt plebejskości. Nie, oni byli tutaj, żeby imprezować, pić szampana na śniadanie, pływać po rzece i uprawiać seks.

Ci ludzie studiowali na takich kierunkach jak literatura angielska czy historia sztuki, ubierali się w sztruksy oraz koszulki polo i nosili okrągłe plakietki z pluszowym misiem. Henry bardzo chciał być częścią tej społeczności, ale parę rzeczy stało mu na drodze: uczył się w Girton, najgorszym college'u na całym uniwersytecie, podczas

gdy młodzi i piękni chyba wszyscy chodzili do Trinity; studiował filologię francuską i włoską, które nie były aż tak dziwaczne jak matematyka czy inżynieria, ale wciąż zbyt poważne dla młodych i pięknych, ci bowiem faworyzowali kierunki takie jak geografia czy historia sztuki. Przeszkodę stanowiło również to, że oni wszyscy chodzili wcześniej do tej samej szkoły, a jedynym znajomym ze szkoły Henry'ego był Nigel Wilson, noszący kurtkę z kapturem, szycza w społeczności piwoszy. Jedną rzecz przemawiała jednakże na korzyść Henry'ego - jego aparycja: gęste blond włosy, wielkie niebieskie oczy z ciemnymi rzęsami, długi prosty nos, pełne usta i mocny podbródek - całość, która sprawiała, że można go było podejrzewać o arystokratyczne pochodzenie.

Taki wygląd niewątpliwie mógł ułatwić przeniknięcie do złotego kręgu: dziewcząt o perlistym śmiechu i aksamitnej skórze, która zdradzała ich doskonałą dietę, chętnych, by się z nim przespać, i facetów, chcących być jego kumplami. Henry zostawiał Nigela i spędzał tak dużo czasu, kręcąc się po Trinity lub w kawiarence niedaleko katedry historii sztuki, że wkrótce wszyscy byli przekonani, iż tam studiuje. Postanowił zmienić swój image. Dżinsy i trampki, które przywiózł ze sobą, wylądowały w koszu, a ich miejsce zajęła para butów z niewyprawionej skóry i tweedowa marynarka z Oxfam. Brał udział w tradycyjnych przyjęciach herbatkowych na trawnikach prowadzących w dół rzeki, podczas których serwowano kanapki z jajkiem, rzeżuchą i ogórkiem oraz herbatę earl grey. Dołączył do klubu Klaustrofobów, elitarnej grupy pijących, którzy każdego roku przyjmowali tylko dwunastu

nowych członków i organizowali coroczną kolację, a menu obejmowało takie przysmaki, jak smażone koniki polne; każdy członek musiał pić, aż będzie wymiotować. Do rodziców zwracał się mamusiu i tatusiu, już nie mamo, tato.

Na drugim roku zaczął grywać w sztukach uniwersyteckich. Jemima Arthur-Hills, z którą wtedy chodził, grała Julię w „Romeo i Julii” i namówiła go do uczestnictwa. Nie dostał wprawdzie roli Romea, bo nie miał doświadczenia, ale zagrał Merkucja, postać bez wątplenia ciekawszą, a w uniwersyteckiej gazecie „Varsity” ukazała się o nim wzmianka. Połknął aktorskiego bakcyła. Nigdy nie był pewien, kim chce zostać, więc z radością przyjął oferowaną mu skórę. Dostał role jeszcze w paru sztukach, otrzymał więcej pochlebnych opinii i przeleciał jeszcze więcej ładnych panienek.

Granie traktował niezbyt serio. Zakładał, że po dyplomie dostanie pracę w bankowości albo w zarządzaniu lub innej dziedzinie, o której wspominali jego koledzy, gdy już koniecznie musieli mówić o czymś tak przyziemnym jak praca.

Nadszedł trzeci rok, który studenci filologii musieli spędzić za granicą. Hal zachęcany wizją roztaczaną przez firmę Merchant Ivory wybrał Włochy. Zaproponowano mu stanowisko asystenta językowego w państwowej szkole w Rzymie. Patrząc z perspektywy czasu, był to prawdopodobnie najlepszy rok jego życia. Znalazł czyste mieszkanie na poddaszu na Zatybrzu, dawnej dzielnicy robotniczej, stopniowo kolonizowanej przez osoby, które chciały tworzyć bohemę. Rankami uczył dzieci (wszystkie dziewczynki się w nim kochały, dawały mu prezenciki

i płakały na koniec roku, kiedy wyjeżdżał), na popołudnie znalazł pracę w Interlingua, prywatnej szkole językowej, która właśnie wygrała duży przetarg ogłoszony przez wojsko na nauczanie angielskiego chłopców w lokalnej bazie marynarki wojennej.

Szkoła była świetna: prowadziła ją wyluzowana Szkotka imieniem Sandra, której zupełnie nie obchodziło, czego się uczyli klienci, dopóki na czas płacili rachunki. Każdy nauczyciel miał podręcznik, który przerabiał ze studentami przez jakieś piętnaście minut, po czym obie strony, znudzone, zaczynały po włosku rozmawiać o futbolu. Dzięki temu Hal podciągnął się z włoskiego - i jeszcze mu za to płacono. Gdy wyczerpali już temat Lazio - Roma, grali w karty: kierki lub makao. Hal nalegał, by przynajmniej w trakcie gry mówili po angielsku, żeby wszyscy jego uczniowie umieli powiedzieć „kier, pik, trefl i karo”. Czasem czuł się winny i zadawał coś do czytania - zwykle z angielskojęzycznych magazynów i komiksów. Podobał im się zwłaszcza „Viz” i wkrótce wszyscy umieli powiedzieć „Finnbar Saunders and his double entendres” i „Fat Slags”. Hal zmartwił się nieco, kiedy kilka lat później Włochy znalazły się wśród krajów, które wysłały wojska do Afganistanu - już widział swoich uczniów próbujących negocjować z talibami językiem Johnny'ego Fartpantsa czy Sida the Sexisty.

Na wakacje znalazł pracę jako pilot wycieczek oprowadzający grupy amerykańskich nastolatków po Świętym Mieście. Fantastyczna robota: od każdego sklepu czy baru, do którego ich zabierał, dostawał prowizję. Kupił nawet drukarkę, żeby wystawiać fałszywe bilety wstępu

i sprzedawać je zwiedzającym miejsca, do których wstęp był wolny. Co więcej, mnóstwo nastolatków chciało się z nim przespać, a niektóre były bardzo ładne. Nawet teraz, lata później, zdarza mu się otworzyć „National Enquirer” i znaleźć zwierzenia rozmówczynie kury domowej z Des Moines w stanie Iowa, twierdzącej, że po gorącej włoskiej nocy spędzonej z nią Hal Blackstock przestał być prawiczką.

Kiedy po tym złotym roku wrócił do Cambridge, wszystko wyglądało nieco inaczej. Większość jego kolegów ukończyła studia uniwersyteckie i odbywała staż w bankach. W weekendy Hal odwiedzał ich w wielorodzinnych domach w Clapham i Battersea i wcale nie podobało mu się, jak żyli. Wstawali co rano o siódmej, wkładali garnitur, pędzili do biura, przez cały dzień robili wszystko to, co się robi w biurze, i wracali do domu. Owszem, zarabiali niezłe pieniądze, ale żyli w klatkach. W pułapce.

Z decyzją co do swojej przyszłości postanowił zaczekać do egzaminów końcowych, których wynik lubił wspominać czasem w wywiadach, gdy rozmowa schodziła zbyt na jego talent do „lekkich komedii”. Krótco jednak przed pierwszym egzaminem kolega Hala Ben Balanton, aspirujący reżyser, powiedział, że jedzie ze sztuką na festiwal do Edynburga i zaproponował mu główną rolę. Hal się zgodził - sztuka okazała się hitem i objechali z nią wiele krajów, zanim zadomowili się w londyńskim teatrze. Dostał agenta i zasypały go propozycje pracy w telewizji, teatrze i filmie. Zanim się zorientował, był już wziętym aktorem, miał pozycję, która zapewniała mu wygodne i ciekawe życie.

Co najważniejsze, Hal nigdy nie musiał o nic walczyć. Znał siebie dobrze, by wiedzieć, że nie może sobie pozwolić na odrzucenie kilku propozycji z rzędu. To utrudniłoby mu sprawę, musiałby bardziej się starać, żeby utrzymać się na fali. Zawsze dziwił się innym aktorom, którzy dla zdobycia roli zrobiliby wszystko. Zbytne staranie się - nie, w ogóle staranie się - było upokarzające. Hal nigdy nie był jednak bez pracy dłużej niż miesiąc z kawałkiem. A gdy zdarzyło się, że odrzucono jego kandydaturę, za tydzień pojawiała się następna propozycja. Nawet jeśli sprawy nie układały się po jego myśli, to nie miało znaczenia, bo wiadomo, że aktorstwo nie jest przyzwoitą pracą, a tylko przebieraniem się i byciem za to opłacanym. W każdym razie jest zajęciem atrakcyjniejszym od pracy jego przyjaciół.

Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało, pomyślał smutno Hal, nalewając sobie kolejną filiżankę mocnej czarnej kawy. Gdyby wtedy wiedział, jak to będzie: czerwone dywany, festiwale filmowe w nieznanym miastach, dni takie jak ten, z niekończącymi się wywiadami - starałby się o jakąkolwiek pracę biurową.

I znowu rozległo się pukanie. W drzwiach stał kelner z przyborami medycznymi. Dał mu napiwek, nie tak hojny jak by chciał, ale w kieszeni zostało mu tylko pięć euro, i zaniósł rzeczy do łazienki. Krosta miała już mniej więcej pół centymetra średnicy i żółte oko - przysięgłby, że na niego mrugało. Na chwilę Hal przeniósł się do niewielkiego domu w Didcot, gdzie zamknięty w łazience na górze (niesamowicie, była tylko jedna na całą rodzinę) rozprawiał się z pryszczami, jedynym problemem jego młodszych lat.



Pamiętał sposób: zanurzyć igłę we wrzątku, położyć gorącą flanelę na kroście, żeby ją zmiękczyć. Wyjął igłę z wody (zapomniał rękawic, więc owinął rękę ręcznikiem, by ją wyciągnąć), zapalił zapalniczkę i umieścił igłę w środku płomienia, po czym przekłuł pęcherz. Omal nie krzyknął z bólu; zawartość krosty wypłynęła na flanelę. Przemył ranę i przycisnął flanelę, póki ropa nie przestała się sączyć. Potem posmarował kremem i zakleił plastrem. Powinno pomóc.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi.

- Hal - wołała Vanessa - czekają na ciebie na dole.
- Tak, tak, wiem. Ubieram się.
- Mogę wejść? Przepytam cię, gdy będziesz się szykował.

Vanessa otworzyła notes.

- Okej. Dzisiaj rano mamy konferencję prasową z dziennikarzami - czterech Europejczyków, jeden Nowozelandczyk, jeden Japończyk, więc nie powinni być nadgorliwi. Następnie wywiad z włoskim wydaniem „Marie Claire”. Potem kolejny z Christine Miller z „Daily Post”, a po nim sesja zdjęciowa.

- O Chryste. Mogę zamiast tego zrobić sobie operację na otwartym sercu zardzewiałym skalpelem?

- Nie, Hal, nie możesz. Będzie dobrze.

- Uprzedziłaś ich, żeby nie pytali o Florę?

- Tak. Ale wiesz, że i tak będą pytać.

- To wyjdę.

- Nie wyjdiesz, Hal. Powiesz: bez komentarza.

- Dlaczego? - zapytał ostro, wkładając skarpetki.

- Bo wiesz, że jeśli wyjdiesz, jutro napiszą o tym tabloidy na całym świecie. Jaki jesteś niewdzięczny i nie masz poczucia humoru.

- Nie, nie wiem.

- Proszę cię, żebyś się zachowywał, Hal. Tylko o to proszę. Jesteś gotowy?

- Jak nigdy.

Opuścili apartament, wsiedli do windy i zjechali cztery piętra niżej.

- To tylko dwadzieścia minut. - Nessie próbowała podnieść go na duchu.

Hal westchnął. Na początku kariery nawet lubił marketingową część swojej pracy - okazje do flirtowania z ładnymi dziennikarkami i wygłaszanie ekstrawaganckich sądów. Ostatnio jednak stało się to uciążliwe. Najmniejsza rzucona ot tak sobie uwaga była wyolbrzymiana, zdania wyrywane z kontekstu - gdy żartował sobie z jakimś ładnym chłopcem z „Attitude”, że podoba mu się Jude Law, w świat poszła informacja: „Hal przyznaje - jestem gejem!”. Mamusia by tego nie przeboleła, już jeden syn był homoseksualistą. Ostatnio wszystko, co dotyczyło pracy, jakoś mniej go obchodziło. Mając czterdzieści trzy lata, nie nadawał się już na bohatera komedii dla chłopców, które były jego specjalnością, a propozycje porządnych ról dramatycznych nie nadchodziły, za to zapychały skrzynki mailowe Seana Penna i Philipa Seymoura Hoffmana.

No i kwestia „The Apple Cart”. Od pierwszej strony skryptu wiedział, że to będzie gówniecznie. Ale był winien Benowi przysługę - dzięki niemu zaczął robić karierę. Co więcej, dał mu szansę wystąpienia u boku Justiny Maguire, wtedy najgorętszego nazwiska w Hollywood, której nienawidziła Marina. Sam podjął decyzję; jego agent, Callum, nie był entuzjastycznie nastawiony, chociaż zgarniał dziesięć procent. Flora przekonywała Hala, żeby tego nie brał. „Musisz pozostać wierny swojej

artystycznej duszy", mówiła. Ale Hal nie miał artystycznej duszy. Nie wiedział, czy ma jakąkolwiek. Podpisał więc w wykropkowanym miejscu. Okej, film może zostanie obsmarowany, ale kogo to obchodzi? Poszedł drogą swojego idola, Michaela Caine'a, który tak mówił o jakimś tandetnym filmie: „Nie widziałem filmu, ale słyszałem, że jest okropny. Widziałem za to dom, za który nim zapłacono, i jest wspaniały”.

Czym innym było jednak żartowanie w ten sposób wśród przyjaciół, a czym innym otworzenie gazet, jak zrobił to w dniu amerykańskiej premiery „The Apple Cart”, i przeczytanie pierwszych recenzji: „Blackstock przelatuje przez kolejną rolę jakby znudzony i obojętny wobec akcji toczącej się wokół” - to najlepsza opinia. „Totalna katastrofa, Balanton i Blackstock powinni się wstydzić” - tak pisała większość. Hal śmiał się z tego, mówiąc, że w zasadzie dziennikarze mieli rację, ale w środku aż go zmroziło. Dlaczego nie posłuchał Flory? Wyszedł na idiotę. A najgorsze, że między prezenterami telewizji śniadaniowej było więcej seksualnego napięcia niż między nim i Justyną. Marina pewnie to czytała i śmiała się z niego.

Odwaliwszy akcję promocyjną w Stanach, potem znów w domu, w Anglii, teraz przez ten cholerny kontrakt musiał trzeci raz promować film, tym razem w Europie. Zaciśnij zęby i miej to za sobą, Hal - przekonywał siebie, dodając ulubione powiedzenie Mariny: „Lepsze to niż podcieranie tyłków w domu starców”.

Tylko czy na pewno? Koniec z aktorstwem, mówił sobie pod nosem, idąc korytarzem do sali konferencyjnej.

Nudzi mnie to już. Żadnych nowych wyzwań. Popracuję nad powieścią. Zrobię coś wartościowego. Chciał poigrać z dziennikarzami, sprzedać im tę wiadomość, ale nie zdecydował się na to. Takie plany mogą spalić na panewce. Lepiej poinformować świat, gdy będzie to już *fait accompli*.

Czekali na niego przy okrągłym stole.

- O rany, jak to miło z waszej strony, że pofatygowaliście się do nudnego staruszka. Nie mogę pojąć, że się wam chciało.

Sala zachichotała. Hal odetchnął. Stary numer z autoironią zawsze na nich działał. Złożył ręce w geście pokory.

- A więc? Czym mogę wam służyć, dobrzy ludzie? Poważny mężczyzna w grubych okularach i koszulce

polo, który musiał raczej pisywać eseje o dekonstrukcjonizmie politycznym do nieznanym magazynów o sztuce aniżeli pytać gwiazdy, jakich używają perfum, wychylił się do przodu.

- Thomas Schlieffer, niemieckie wydanie „Glamour”. Panie Blackstock, czy według pana podejście Bena Balantona do robienia filmów najlepiej można opisać jako postmodernistyczne czy może bardziej jako *nouvelle vague*!

Podetkał Halowi dyktafon pod nos i wskazał ruchem głowy.

- Bena? - Hal rozparł się na krześle. - Jego podejście do robienia filmów? Ja bym powiedział, że to raczej coś w stylu „Studio wypisało mi czek na olbrzymią sumę, więc może zrobmy to gówno”. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Część zachichotała pochlebnie, reszta milczała skonsternowana.

- Rzeczywiście jest tak cyniczny? - Niemiec miał minę, jakby huragan właśnie zmiotł jego dom z powierzchni ziemi.

Hal spojrział na siedzącą w kącie Nessie. Niezauważalnie na niego skinęła. Okej. Czas skończyć z pieprzeniem

0 niczym i odpowiednio to rozegrać.

- Przepraszam, tak sobie tylko żartuję. Ben jest niezwykłym artystą. Praca z nim była dla mnie niesamowitym doświadczeniem. I nie tylko z nim, z całą obsadą

1 zespołem. To wspaniali ludzie, profesjonalni i zabawni. Naprawdę świetnie się bawiliśmy. Myślę, że to najlepszy film, jaki Ben zrobił w ostatnich kilku latach.

- Nie sądzi pan, że trochę obniżył loty po filmach takich jak „Analyse Love”, grając w filmie o farmerze i jego owczarku? - zapytała kobieta w średnim wieku, o wydatnych zębach. Była obrzydliwa i miała całkowitą rację. Hal zapałał do niej wyjątkową nienawiścią.

- A pani jest...? - rzucił.

- Helena de Moretti. Włoski „Vogue”.

- Włoski? Nie chce pani spytać o czas, jaki spędziłem we Włoszech jako student?

- Nie, dziękuję. Zignorował jej odpowiedź.

- Wspaniale jest tutaj wrócić. Mieszkałem w Rzymie przez rok, kiedy miałem dwadzieścia lat. To był jeden z najszcześniejszych okresów w moim życiu. Jeździłem vespą, mieszkałem na strychu na Zatybrzu, uczyłem angielskiego, poznawałem tajniki gotowania...

- Spotykał się pan wtedy z kimś? - zapytała młoda kobieta o chrapliwym głosie.

- Hm. O rany, spotykałem się z kilkoma! To znaczy z Włoszkami... Dajcie spokój!

Na sali rozległ się śmiech i Hal się uśmiechnął z zadowoleniem, że udało mu się ominąć niebezpieczne pytania. Ale wtedy znów odezwała się wstrętna Włoszka:

- Panie Blackstock, pytałam, czy nie uważa pan, że „The Apple Cart” to dla pana degradacja?

Okej, głęboki oddech, jeszcze jeden, jeszcze jeden, spokojnie.

- Nie, to nie degradacja. „Analyse Love” było arcydziełem, ale w tym biznesie jest miejsce na wszystko. „The Apple Cart” to urocza historyjka, ma bawić widzów, rozweselać, dodawać koloru marnemu światu. Myślę, że co do tego wszyscy się zgadzamy. Następne pytanie?

Japończyk w garniturze wyciągnął ku niemu dyktafon.

- Junichiro Kanai, „Tokyo Lights”. Czy był pan kiedyś wiosną w Tokio?

Tak! Idealne pytanie!

- Owszem, przepiękne miasto. Kwitnące wiśnie są niesamowite i... - Jeśli będzie ciągnąć w tym tonie, wkurzy innych dziennikarzy i nie zostawi im czasu na wgłębienie się w jego podupadającą karierę. Gdy dobełkotał do końca, odezwał się jedyny kociak na sali, elegancka blondynka z diablikami w oczach.

- Marion Demazière, „Jeunesse Française” - przedstawiła się dziennikarka, która pytała, czy spotykał się z kobietami. - Czy to prawda, że ma pan kuzyna Francuza?

Dobre. Kolejna zwyciężczyni. Coraz bardziej mu się podobała ta dziewczyna. Może uda mu się zdobyć jej numer i... Ale nie. - Nie, to nieprawda. Chociaż chciałbym, bo

Francuzki są cudowne. Uwielbiam je. Są najseksowniejszymi kobietami na świecie, naprawdę. Chciałbym mieć pretekst, by częściej bywać we Francji.

- Ale co by na to powiedziała Flora? - spytała przebiegle Włoszka.

Cholera. No i wdepnął.

- Flora też uwielbia Francję - odpowiedział bez mrugnięcia okiem. Wszyscy zaczęli nerwowo pisać w notesach. Nessie rozejrzała się po sali.

- Okej, ostatnie pytanie - ucięła. Odezwał się chudy, wysoki mężczyzna.

- Witam, Jim Pallet, „New Zealand Age”. Czy zna pan Russella Crowe'a?

- Tak, ale... jaki to ma związek z „The Apple Cart”?

- Żaden, ale on jest Nowozelandczykiem.

- A nie Australijczykiem? - Na widok urażonej miny mężczyzny Hal zmienił ton. - Tak, oczywiście. No cóż. Poznałem Russella, przesympatyczny facet. Niezwykle zabawny. Oczywiście nie znam go zbyt dobrze, ale...

- Okej - przerwała Nessie. - Czas minął.

- Proszę, jeszcze jedno pytanie! - odezwał się francuski kociak.

- Dobrze, ale tylko jedno - odparła Nessie, jakby dawała jej kartę kredytową i PIN sułtana Brunei.

Hal przygotował się na pytanie w rodzaju „Jak wyglądają sprawy z Florą?”. Czuł pod koszulą łomot serca. Przyłożył do piersi rękę. O mój Boże. Krosta urosła, spuchła, teraz była jak ugotowane jajko pod jego żebrami. Cholera. Nie wyglądało to najlepiej. Poszpera w internecie, co to może być.



- Czy rozmawiał pan już może z Mariną o jej zaręczynach? Gratulował jej pan? - Kobieta zamachała mu przed nosem tabloidem z uśmiechniętą Mariną na okładce.

Co takiego?

- Marina się zaręczyła? - zapytał. Serce napuchło mu jak ciasto, ale głos mu nawet nie zadrżał, a uśmiech nie zszedł z twarzy. Przyjrzał się bliżej gazecie. Oto ona, kiedyś jego miłość, w objęciach tego małpoluda, Fabrizia.

- Nic pan nie wiedział? - Wszyscy w sali pochyłili głowy. Długopisy latały po notesach. Pod nos podetknięto mu trzy dyktafony.

- Proszę państwa - wtrąciła się Nessie. - To na razie jest niepotwierdzona informacja.

- Jest pewna - zaprotestowała Włoszka. - Godzinę temu potwierdził ją Reuters.

- Pan Blackstock będzie rozmawiał z panną Dawson w swoim czasie i przekaże jej najszczerze gratulacje.

- Tak - powiedział Hal, gdy wszyscy z oczekiwaniem wlepili w niego wzrok. W uszach mu szumiało. Czuł się, jakby znalazł się gdzieś bardzo wysoko i patrzył na siebie z góry. - Tak zrobię. Bardzo się cieszę i życzę im wszystkiego najlepszego.

- Proszę państwa. - Nessie uderzyła w dłonie. - Myślę, że już wystarczy na dzisiaj. Pan Blackstock jest bardzo zajęty. Dziękujemy za przybycie.

- Dziękuję - niczym echo odpowiedział Hal, gdy wszyscy, mamrocząc, zaczęli wstawać. - Dziękuję za poświęcony czas. - Spojrzał na swojego roleksa. Zdaży wrócić

do apartamentu i sprawdzić wiadomości przed następną konferencją prasową. Gdy wychodził z sali, usłyszał, jak Japończyk mówi do Francuzki:

- Szkoda. Chcieliśmy zrobić wywiad z Justyną Maguire, ale ona jest rozchwytywana.

- Pewnie - zgodziła się dziewczyna. - Też ją chcieliśmy, ale ona udziela wywiadów tylko „Vogue'owi”. Musieliśmy zapisać się na Blackstocka.

Amy miała nadzieję, że jej pierwszy pełny dzień pobytu w Rzymie będzie jakimś krokiem naprzód, ale okazało się, że był jeszcze bardziej gorący, samotny i frustrujący niż poprzedni. Rano postanowiła zwiedzić Watykan. Wsiadła w metro - nazwa nieco przesadzona w porównaniu z londyńskim - bo to wydawało jej się mniej stresujące niż spacer, a jazda autobusem przerażała ją; nie wiedziała, jak zapłacić kierowcy ani gdzie wysiąść. I tak znalazła się w wagonie z trójką cygańskich dzieci, żebrzących o pieniądze. Dała im kilka euro, ale wtedy jeszcze bardziej na nią napierały, więc żeby się od nich uwolnić, wysiadła na następnej stacji i zaczęła na inny pociąg.

Zaplanowała zwiedzanie Muzeów Watykańskich i Kaplicy Sykstyńskiej, lecz były akurat zamknięte z powodu jakiegoś katolickiego święta. Gdy przechodziła przez okazałe drzwi do Bazyliki św. Piotra, zakonnica chwyciła ją za ramię i kategorycznie zabroniła wchodzić do świątyni w szortach.

- Ale... - zaprotestowała Amy, wskazując na mężczyznę przed nią, który miał na sobie T-shirt z napisem „Windsurferzy robią to na stojąco”.

Zakonnica była jednak niewzruszona. - Wstydz się - powiedziała, robiąc znak krzyża. Pokonana Amy kupiła kawałek pizzy w barze z jedzeniem na wynos i zjadła, stojąc w cieniu platanu. Gdy przestudiowała przewodnik uważniej, okazało się, że wszystkie zabytki są zamknięte w poniedziałki. Postanowiła iść na zakupy, chociaż miała je zostawić na przyjazd Gaby. Była to jednak pora lunchu, większość sklepów zamknęto do czwartej. Włóczyła się bez celu po brukowanych, ale przepięknych ulicach tego, co nazywano historycznym centrum, i wciąż zerkając na komórkę, sprawdzała, czy nie przegapiła jakiegoś telefonu. Czuła coraz większe rozczarowanie. Nieustannie rozmyślała o swojej sytuacji. Nie mogła już planować przyszłości z cudownym mężczyzną, jedynym, którego naprawdę kochała. Może była zbyt ostra dla Douga. Mimo wszystko starała się go tłumaczyć: nikt nie jest doskonały.

To, że była w szortach, dało się Amy nieźle we znaki. Na jej widok kierowcy trąbili niczym myśliwi, którzy dostrzegli zwierzynę. Kupcy schowani za drzwiami sklepów syczeli jak węże. Mężczyźni na skuterach, nawet ci wiozący z tyłu dziewczynę, zwalniali i mamrotali pod nosem coś, co z całą pewnością było obsceniczne.

Jej komórka zaczęła dzwonić. Promyk nadziei rozbłysnął w Amy, zanim zerknęła na identyfikator rozmówcy.

- Cześć, mamó. - Siliła się na pogodny ton.
- Kochanie! Gdzie ty się podziewasz? Jesteś z Dougiem?
- Nie, mamó. Jestem w Rzymie. W podróży poślubnej. Sama.
- Ojej, córeńko! Doug się nie odezwał?

Zacisnęła powieki, jakby coś miało ją uderzyć.

- Ani słowem.

- Amy... - W głosie matki zabrzmiało rozczarowanie. Jej rodzice zawsze chcieli dla niej tak dużo, że aż ją to przerażało. Była jedynaczką, urodziła się po latach fałszywych nadziei. Tak wiele poświęcili (na próżno, wytykała jej zawsze Gaby), żeby mogła brać lekcje baletu, lekcje judo i lekcje gry na skrzypcach, żeby poszła do dobrej szkoły i na studia. Dzień, w którym uzyskała dyplom lekarza, był najszcześniejszym dniem ich życia, a tuż za nim dzień, gdy zaręczyła się z Dougiem. Albo raczej dzień, gdy przyprowadziła do domu Danny'ego, był tym drugim - Doug był raczej kimś, kogo tolerowali i do kogo przywykli.

Cudownie być tak bardzo kochaną, jednak często to również ciężar. Czasem Amy pragnęła, żeby matka po prostu ją przytuliła. Teraz musiała pocieszać ją, udając, że jej własne głęboko zranione serce jest tylko lekko drażnione.

- Mamo, nie martw się. Dam sobie radę.

- Po prostu nie mogę tego pojąć. Jestem wściekła na Douglasa. Jak on mógł zrobić to mojej córeczce?

- Mamo...

- Chcesz, żebym do niego zadzwoniła?

- Nie, mamo!

- Posłuchaj, skarbie. Dużo osób dzwoni, pytają, co z prezentami ślubnymi. Nie żeby żalowali pieniędzy, ale chcą wiedzieć. Zatrzymasz prezenty... na pocieszenie? Czy zamierzasz je odesłać? Zależy od ciebie. Zdaje się, że ciocia Joan kupiła wam toster, a Joan Millikins zestaw do krykieta.

- Myślę, że trzeba je odesłać, mamó. Ale nie przejmuj się, zrobię to po powrocie. A wiesz co? Nie zgadniesz, kto zatrzymał się w tym samym hotelu co ja: Hal Blackstock!

- Hal Blackstock? - Ta wiadomość ożywiła matkę. Zawsze jej się podobał, nawet bardziej od Harrisona Forda: gdy emitowany był film z jego udziałem, jedli kolację przed telewizorem i nikt nie śmiał przeszkadzać.

Amy potwierdziła, że na żywo jest tak samo przystojny, nie wspominając ani słowem o gazach. Gdy się rozłączały, matka zdawała się mieć dużo lepszy humor, z pewnością przekonana, że Hal Blackstock jest jej przyszłym zięciem, za to Amy ogarnęło przygnębienie. Miała nieprzepartą chęć zatelefonowania do Douga, jednak wybrała numer Gaby.

- Jak leci?

- Świetnie. - Amy obserwowała policjantkę na niemożliwie wysokich obcasach i w obcisłym mundurze, poprawiającą makijaż w bocznym lusterku zaparkowanego na ulicy fiata. - Hotel jest niesamowity i wiesz co? Hal Blackstock też się w nim zatrzymał i chciał się zamienić ze mną na apartamenty!

-Nie!

Zrelacjonowała jej incydent w saunie, na co Gaby co jakiś czas odpowiadała westchnieniem, powtarzając „nie wierzę”.

- Będzie jeszcze w środę? Przylecę porannym lotem. USG mam o dziesiątej.

- Więc na pewno będziesz przed środowym wieczorem?

- Na sto procent. Pójdziemy na pyszny makaron. Już nie mogę się doczekać. Zakładam, że się nie odezwał.

- Nie. Ale wcale na to nie liczyłam.

- Wciąż to samo... - Gaby westchnęła. - Powinien do ciebie zadzwonić. O cholera, muszę kończyć, mam klienta na drugiej linii. Dam znać jutro, kiedy będę. Kocham cię.

Kocham cię. Te słowa powinien wypowiadać po drugiej stronie słuchawki stęskniony chłopak, a nie najlepsza przyjaciółka. Ale kiedy Doug ostatnio jej to powiedział? Nieczęsto to mówił przez ostatnie miesiące pełne kłótni o miejsce wesela, dekoracje kwiatowe i kroki pierwszego tańca. A kiedy ona powiedziała mu ostatnio „kocham cię”?...

Wracając do hotelu, Amy myślała o idyllicznych początkach swojej znajomości z Dougiem. Po niestosownej liczbie drinków, wypitych tamtej marcowej nocy, i po wyjściu Gaby i Pinny (ta milczała, jednak było widać, że jest wściekła), Amy poszła do jego paskudnego mieszkania, żeby „posłuchać muzyki”. Udawała zainteresowanie jakimiś zespołami, których płyty jej puszczał, gadali o głupstwach do czwartej rano, gdy wreszcie nastąpiła cisza: do tej chwili wszystko prowadziło i nie mogli już dłużej czekać.

Wtedy Doug rzucił się na nią.

Mimo że nie na trzeźwo, seks był niesamowity. Amy nie doświadczyła czegoś takiego nigdy w życiu. Po latach kopulowania z Dannym w pozycji misjonarskiej zmieniła się w gwiazdę porno: jej ciało przechodziły dreszcze, a mięśnie drżały, jakby właśnie obudziły się z długiego snu.

Rano Doug wstał i poszedł po zakupy. Gdy go nie było, Amy rozejrzała się po mieszkaniu, szukając śladów jakichś dziewczyn, ale znalazła tylko pod łóżkiem paczkę z resztką herbatników, których termin ważności minął siedem

miesiący wcześniej. Skrzywiła się, ale to, co zobaczyła, było tak nie w stylu Danny'ego, że się roześmiała. Wtedy wrócił Doug z gazetami i rogalikami i obawa Amy, że był to wybryk jednej nocy i za chwilę odeśle ją autobusem, się rozwiąła.

Dla niej Doug powinien być wybrykiem jednej nocy. Nie powiedziała mu, że ma faceta, który ratuje komuś życie, gdy ona uprawia dziki seks. Zanim wyszła koło południa, kochali się jeszcze dwa razy. W ustach jej zaschło, gdy się żegnała, ale wtedy Doug powiedział:

- Hej. Wezmę twój numer od Pinny.

- Nie, lepiej nie. - Bała się, co Pinny mogłaby mu wyjawiać. - Myślę, że nie powinna o nas wiedzieć. To znaczy o tym, co zaszło.

Doug przytaknął.

- Chyba masz rację. Pinny zawsze miała do mnie słabość. Więc daj mi swój numer teraz.

Całą drogę do domu jej skóra była napięta i zaróżowiona, jakby o rozmiar za mała. Na sekretarce miała wiadomość od Danny'ego, który zapowiadał się na wieczór

i pytał, czy ma może ochotę na indyjskie zarcie i DVD. Po raz pierwszy dopadło ją poczucie winy. Danny nie był facetem dla niej, ale zachowywał się przyzwoicie, a ona postąpiła obrzydliwie. Zastanawiała się, co robić: rzucić go od razu, a może poczekać i sprawdzić, czy Doug był naprawdę nią zainteresowany, gdy zadzwonił jej telefon. Pinny. Spojrzała ze strachem na wyświetlacz jak na kawałek plutonu. Niech dzwoni. Albo nie, odbierze. Chociaż nie miała ochoty z nią rozmawiać, to zbliży ją do Douga.

- Cześć - rzuciła. - Jezu, byłaś wczoraj świetna.



- A gdzie ty przepadłaś? - Wyczuła napięcie w głosie Pinny.
- Jak to?
- Baz powiedział, że wyszłaś z Dougiem. Serce podeszło Amy do gardła.
- Tak, wzięliśmy jedną taksówkę.
- Przecież mieszkacie zupełnie nie po drodze.
- Wiem. Wyrzuciłam go przy King's Cross.
- Aha. Skoro tak mówisz.
- Tak właśnie było - zełgała rozdrażniona.
- Doug potrafi być trudny, Amy. Pamiętaj o tym.
- Do niczego nie doszło, Pinny.

To samo powtórzyła Gaby, w której głosie słyhać było mniej złości, a więcej zaniepokojenia. Przez cały dzień czuła się fatalnie: zbyt przybita, by zasnąć, zbyt zmęczona, żeby zrobić coś pożytecznego. Obgryzała skórki paznokci i zerknęła na telefon. Wieczorem przyszedł Danny. Czowała się wykończona, odłożyła zerwanie na później. Zjedli indyjskie jedzenie i obejrzel film, potem umyli razem zęby i grzecznie poszli spać. Jak każdej sobotniej nocy. Następnego dnia Danny szedł do pracy na dwunastą. Amy wróciła do łóżka, załamana, próbując pogodzić się z tym, że chyba już nigdy nie zobaczy Douga. Ale około piątej, gdy już zmierzchało, jej komórka zapikała.

*Me mogę zapomnieć wczorajszej nocy. Czy możemy niedługo ją powtórzyć?* Odpisała natychmiast: *Może teraz?*

Tak zaczęły się najbardziej burzliwe i najbardziej ekscytujące trzy tygodnie w życiu Amy. Trzy tygodnie, gdy całe

noce spędzała w ramionach Douga; w dzień funkcjonowała dzięki adrenalinie i tabletkom z kofeiną. Danny'emu mówiła, że z powodu nocnych dyżurów zobaczą się dopiero w weekend. Powinna czuć się z tym bardzo, bardzo źle, ale jej obsesja na punkcie Douga działała znieczulająco na świadomość.

Wreszcie, gdy nie mogła już dłużej żyć w kłamstwie i była pewna, że Doug chce być jej facetem, zebrała się na odwagę: powiedziała Danny'emu, że jest ktoś inny. Zareagował tak, jak myślała: płakał, błagał, by zmieniła zdanie, wierzył, że stworzą rodzinę i razem się zestarzeją. Amy czuła się strasznie, ale im bardziej błagał, tym nabierała większej pewności, że postąpiła słusznie. Potem poszła prosto do Douga, wylądowali w łóżku i wyrzuciła Danny'ego z pamięci.

Jeszcze kilka razy Danny dzwonił do niej w środku nocy, szlochając w słuchawkę. Napisał kilka listów, które wyrzuciła bez czytania. Zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie wlokła go ze sobą tyle lat. Czuła się szczęśliwa, wolna, jakby obudzona po długim letargu. Wreszcie znalazła prawdziwą namiętność. Prawdziwą miłość.

Kilka pierwszych miesięcy z Dougiem było błogostanem. Po latach, które teraz określała „latami śpiącej królowny”, Amy stanowiła połowę wyjątkowo rozrywkowej pary, ciesząc się w pełni młodością i pieniędzmi. Jeździli po Londynie jego vespą. Jednej nocy jedli w eleganckiej restauracji, następnej robili wypadki na przedmieścia, by zapolować na koreańskie dania, o których czytali w „Time Out”. Bywali w drogich hotelach i spędzali tanie weekendy w obskurnych pensjonatach. Brali dużo prochów (jako lekarz Amy zdawała sobie sprawę z konsekwencji, ale nie przeszkadzało jej to jako trzydziestoletniej hedonistce). Cieszyli się czułym, pełnym pasji, odkrywczym i wybuchowym seksem.

Gdy nigdzie nie wychodzili, Doug zwykle siadał na podłodze, grał na gitarze i śpiewał falsetem swoje kompozycje dla Amy. Czasem, kiedy przypominało to dziecięcą piosenkę, musiała stłumić chichot, ale mimo wszystko czuła się wyróżniona. Pomyśleć tylko, że gdyby była z Dannym, siedzieliby z nosami zanurzonymi w gazetach albo oglądaliby czarno-białe filmy z napisami, wtuleni w kanapę. Film „La Dolce Vita” zrobił na Dougu wrażenie. Noc, kiedy

wsunął płytę z nim do DVD, była najwyraźniej testem dla Amy.

- I co o tym myślisz? - spytał na końcu tonem, który przypominał jej nauczyciela, który przepytывał uczniów z tabliczki mnożenia.

- Niesamowite - odparła, przytakując gorliwie, a Doug zadowolony potwierdził.

Tak naprawdę uważała, że film jest chaotyczny i nudny, ale Marcello Mastroianni wspaniały, a Anita Ekberg stojąca w fontannie di Trevi była uosobieniem seksu.

- Kocham Rzym - powiedział. - Kocham Włochy. Włosi potrafią fajnie żyć i doszliby w tym do perfekcji, gdyby mieli kilka dobrych zespołów. Ale cały ich potencjał muzyczny wyczerpał się na opery.

- Nigdy tam nie byłam.

- Naprawdę? - Musnął jej włosy i uśmiechnął się. - Pewnego dnia zabiorę cię tam.

Najpierw jednak poszła zobaczyć Ambrosial. Zespół koncertował mniej więcej co tydzień, zazwyczaj w jakimś obskurnym miejscu w Londynie, i z każdym występem miał coraz większą publiczność. Oglądając ich, często zza kulis, Amy czuła się dumna - i trochę zszokowana - że ona, Amy Gubbins z Salcombe, upolowała tego pięknego, seksownego i fajnego mężczyznę. Zawsze czuła się nieciekawa w porównaniu z Pinny oraz zacofana w porównaniu z Gaby, ale z nim u boku wreszcie wyzbyła się kompleksów i nabrała pewności siebie.

Gaby spokojnie przyjęła wiadomość o związku z Dougiem, mówiąc, że lubiła Danny'ego, ale ponieważ chodzi o szczęście Amy, będzie ją wspierać we wszystkich jej decyzjach. Pinny potraktowała ją mniej łaskawie.

- Tak jakby to nie było oczywiste - powiedziała smętnie, kiedy wreszcie Amy się przyznała. - Cóż, powodzenia. Mam tylko nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz.

Od tego dnia, chociaż pozostały przyjaciółkami, ich stosunki się ochłodziły. Martwiło to Amy, ale nic nie mogła poradzić, że zakochała się właśnie w nim. Przecież Pinny nigdy nawet nie wysunęła jakichkolwiek roszczeń wobec Douga. Świadomość, że nie tylko jej piękniejsza przyjaciółka, ale również mnóstwo innych panienek zwinęłoby jej faceta, gdyby tylko dała im najmniejszą szansę, na pewno kazała jej trzymać rękę na pulsie. Przywykła już do bycia odpychaną łokciami oraz do kobiet, które patrzyły niemal przez nią, skupione na jej facecie.

Ale Doug, co nadzwyczajne, wydawał się z nią naprawdę szczęśliwy. Pół roku później Amy powiedziała na próbę, że chciałaby, by poznał jej rodziców. Ziewnął i rzucił: czemu nie? Pojechali więc do Salcombe, do domu, w którym dorastała. Mama i tata byli rozczarowani utratą Danny'ego, jednakże bardzo mile powitali Douga, a on zachowywał się uprzejmie. Babcia Amy, którą uwielbiała, przyszła ze swojej chatki na wzgórzu i śmiała się z jego żartów.

- I co myślisz? - spytała Amy konspiracyjnie, kiedy zostały same, podczas gdy rodzice oprowadzali Douga po grządce z warzywami.

- Jest bardzo miły, słodziutki. I przystojny. Och. Zupełnie jak ten goguś w telewizji.

- Jaki goguś w telewizji? - Amy była zadowolona.

- Och, no wiesz. Ten, który ocenia piosenkarzy. Niemiły, ale bardzo przystojny.

- Czyba nie Simon Cowell? - zagadnęła Amy, wiedząc, że babci właśnie o niego chodzi.

- Tak, to ten. Bardzo przystojny. Cudowny.

Amy zdecydowała, że nie powtórzy tego Dougowi. Poza tym wizyta naprawdę się udała. W drodze powrotnej do Londynu powiedziała, że go kocha, i Doug wyznał, że też ją kocha.

Kiedy więc Amy zdała sobie sprawę, że już nie buja w obłokach, że w jakiś sposób niepostrzeżenie jej stopy znalazły się prawie na ziemi? Mimo starań nie mogła sobie przypomnieć pierwszej nocy, gdy poszli do łóżka i nie było seksu, po prostu zasnęli. Pamiętała jednak to uczucie niepokoju, iż Doug już nie jest nią zainteresowany, połączone z myślą, że ich związek przeniósł się na następny poziom partnerstwa, kiedy chodziło już nie tylko o seks, ale bardziej o towarzyszenie sobie.

Nie potrafiła też dokładnie określić, kiedy przeszła od tego do niechęci i unikania go - bo była zmęczona, bo miała ciężki dzień w pracy, bo naprawdę podobała jej się książka i chciała skończyć rozdział, zanim sen ją zmorzy, bo przeżywała historię starszego pana wyrzucanego przez córkę, który nie miał dokąd pójść. Poza tym niechęć była tylko okazjonalna, a Dougowi zawsze udawało się zdobyć Amy. Wyśpi się w trumnie. Sceptycznie podchodziła do ciągnięcia jej na koncerty w jakichś spelunach w Home Counties i powrotów o drugiej w nocy, ale nigdy nie odmawiała. Zagrożenie ze strony Pinny i fanek Douga nie pozwalało jej postąpić inaczej.

Po dziewięciu miesiącach Doug wprowadził się do niej. Nie było żadnej wielkiej dyskusji na ten temat. Właściciel

wynajmowanego przez niego mieszkania zostawił mu wypowiedzenie, a następnego dnia Doug zjawił się u Amy - przyjechał z Pinny, jej samochodem - i zaczął wypakowywać z bagażnika czarne pojemniki, jeden po drugim.

- Jesteś pewien, Doug? - usłyszała głos Pinny, wnosząc ostatni pakunek po schodach. - Pamiętaj, mój pokój gościnny stoi wolny, gdyby wam nie wyszło.

Chociaż musiało minąć kilka tygodni, nim zapomniała o tej uwadze, Amy była pełna entuzjazmu. Spełniała swoje marzenia. Jej życie miało teraz przypominać reklamę telewizyjną: późne wstawanie w niedzielny poranek, spotkania z przyjaciółmi na brunch w restauracji, siekanie warzyw i przyrządzanie wymyślnych potraw w woku.

Rzeczywistość oczywiście wyglądała inaczej. Amy nie wzięła pod uwagę, jak trudno będzie zmieścić wszystkie rzeczy Douga w jej mieszkaniu. Choćby grubo ponad setkę płyt CD, nie mówiąc o płytach gramofonowych z czasów, gdy ludzie polowali na mamuty - nie chciał ich wyrzucić, choć nie miał na czym odtwarzać. Muzyczne szpargały okazały się jednak niczym w porównaniu z resztą dobytku. Na przykład zegar Swatcha zajmował całą ścianę. Był jaskrawożółto-niebieski i przedstawiał kangura, którego ramiona zastępowały wskazówki.

- Super, nie? - stwierdził Doug z uśmiechem. - Moglibyśmy powiesić go tam - wskazał najdalszą ścianę sypialni, którą, jako domorośla Martha Stewart, ozdobiła tapetą od Osborne and Little po sto dziewięćdziesiąt funtów za rolkę. - Zerwij tę babciną tapetę. Dziwię się, że nie zrobiłaś tego od razu po tym, jak się wprowadziłaś.

Amy przełknęła tę uwagę.

- Doug, nie powiesimy tego zegarka tutaj. Jest wstrętny!

- Tak myślisz? - Wyglądało, że się naprawdę zmartwił. Amy użyła najdelikatniejszego tonu - takim informowała pacjentów, że cierpią na śmiertelną chorobę.

- To najbrzydsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Idzie do Oxfam.

- Nie, nie, nie możesz tego zrobić! Pomyśl, załóżmy, że przeprowadzimy się do większego lokum. Będzie wisiał w moim studio. Nie pozbywajmy się go, po prostu odłóżmy na razie.

Oczywiście argument o przeprowadzce do większego lokum oraz obietnica, że będzie to na stałe, podziałały. Swatch dołączył zatem do zalegających w przepełnionej szafce kuchennej plakatów filmowych z „Betty Blue” i „Prom Russia with Love”, batikowych obrusów, które Doug nabył w tym roku na wyprzedazy w Indiach, brzydkich figurek afrykańskich, kupionych podczas wakacji w Gambii, oraz paskudnych kubków w kwiaty podarowanych mu przez ciotkę z okazji jego dwudziestych pierwszych urodzin.

- Jeżeli minie rok i nie będziesz za nimi tęsknić, idą do Oxfam - ostrzegła Amy, na co Doug odparł „ta, ta” i minęło szesnaście miesięcy, a ona wciąż nie mogła się zebrać, by je spakować i pozbyć się ich. Choć udało jej się, przy pewnym ponagleniu ze strony Douga, znaleźć czas na kupno największej dostępnej plazmy i podpisanie umowy ze Sky Plus.

Okazało się jednak, że szpargały to niejedyny problem. Amy namiętnie kochała Douga, ale - jak większość mężczyzn - był niechlujem; nie zwracał uwagi na brudną wannę i nigdy nie pomyślał nawet, by umyć warzywa



przed włożeniem ich do lodówki (Amy miała zbyt wielu pacjentów z problemami gastrycznymi, by zaniedbywać takie środki ostrożności). Był bardzo sprytny: gdy zwracała mu uwagę, obruszał się niczym nastolatek: „myślałem, że mieszkam z dziewczyną, a nie ze swoją matką”.

Mimo że starała się utrzymać stan rzeczy, Amy czasem zwierzała się z kłopotów swoim przyjaciółkom.

- Wydaje mi się, że jesteś zbyt wymagająca wobec Douga - stwierdziła Madhura, inna lekarka, mająca idealnego, zwariowanego chłopaka, który bez proszenia przygotowywał dla niej gorące kąpiele i robił tygodniowe zakupy i którego Amy uważała za totalnego mięczaka. - Co byś wolała, dom jak z magazynu wnętrzarskiego czy mężczyznę, który zapewnia ci niezłą porcję miłości? Musisz wyluzować, Amy.

- Może powinniście kupić mieszkanie albo dom - zasugerowała Gaby, gdy Amy jej się żaliła. - I razem jakoś je zagospodarować. Ty odpuścisz sobie kontrolę nad wspólnym terytorium, a on będzie bardziej zaangażowany w sprawy domu. Zarabia chyba wystarczająco, byście mogli coś kupić, prawda? I rzeczywiście powinnaś pomyśleć, by przesunąć się na wyższą pozycję w społeczeństwie.

Miała rację. Następnego wieczoru, przy kolacji, Amy przedstawiła pomysł Dougowi. Myślała, że się ucieszy, przecież to on marudził, że jej mieszkanie jest tak daleko od metra, ale pokręcił głową.

- Raczej nie.

- Dlaczego nie? - Aż poczuła fizyczny ból. Co on wygadywał? Nie chciał być z nią? Wymyśliła sobie to wszystko?

- Kupno domu będzie kosztować fortunę i to nie jest sposób, w jaki obecnie chcę wydawać moje pieniądze.

- Dobrze. - Mdłości sięgnęły jej gardła. Jak mogła się tak pomylić? Naprawdę myślała, że są szczęśliwi. Dlaczego nie powiesiła tego cholernego Swatcha? Jutro kupi podręcznik tańca na rurze.

Wstał, obszedł stół i oplótł ją ramionami.

- Hej, hej. Nie smuć się. To jest dobry pomysł, ale nie na teraz. Chodzi o pieniądze. Nie mam ich tyle, by kupić dom.

- Ale ty zarabiasz mnóstwo pieniędzy. Doug westchnął.

- Ames, odkładałem tę rozmowę, ale... Wszystko wokół niej zawirowało i spadło na nią,

zupełnie jak wtedy, gdy zemdląca w kolejce do kina. Zostawia ją.

- Nie sądzę, bym mógł zostać w swojej pracy. Będę musiał odejść.

Ulga jeszcze bardziej ją oszołomiła. Po sekundzie zapytała:

- Dlaczego? Co się stało? Westchnął.

- Wiesz dlaczego. Po prostu tego nienawidzę. To nie dla mnie: siedzenie za biurkiem przed stosem papierów, szukanie niejasności w zakurzonych księgach. To nudne, Amy. Niszczy moją duszę. I myślę, że powinienem mieć więcej z życia.

- Oczywiście, że tak. - Była wstrząśnięta. Doug czasami narzekał na pracę, ale nigdy nie słyszała takiego wybuchu. - Nie żyjesz, by pracować, ale pracujesz, by żyć. Liczy się

to, co robimy w wolnym czasie. Nasza praca sponsoruje nasz styl życia.

- Ale z tobą jest inaczej - zaprotestował Doug. - Twoja praca się liczy. Nie ma nic ważnego w bogatych gnojkach, którzy wyszukują sposoby na wyciśnięcie forsy z innych bogatych gnojków.

- Nie ma nic ważnego w odsyłaniu ludzi do specjalisty w sprawie wrastających paznokci - odparła, choć wcale tak nie myślała. - Daj spokój, Doug. Życie nie jest idealne. I tak jesteśmy w lepszej sytuacji niż wiele innych osób.

Uważała temat za zamknięty. Ale Doug nie. Coraz więcej czasu poświęcał na pisanie nowych piosenek i nagabywał Hanka, by częściej organizował koncerty Ambrosial. Nadszedł też dzień, kiedy szef jego firmy nawtykał mu za spisywanie nut, gdy miał przygotowywać umowy. Doug zasnął po powrocie o piątej rano z występu w Luton i dostał ustne ostrzeżenie. Kiedy indziej zadzwonił, że jest chory, podczas gdy tak naprawdę utknął w Glasgow, bo spóźnił się na poranny lot. To wystarczyło, dostał ostateczne pisemne ostrzeżenie.

Amy była poruszona obrotem sprawy.

- Tak jest lepiej - tłumaczył jej. - Nie mogę spędzić reszty życia jako niewolnik pensji. To nie dla mnie.

- Ale jak spłacimy hipotekę bez twoich zarobków? - spytała.

- Spłacałaś hipotekę, zanim ja się pojawiłem.

- Pewnie tak, ale... raty ciągle rosną. - Tak naprawdę chodziło jej o to, jak w takiej sytuacji kupią większy dom z ogrodem? Te wszystkie rzeczy, do których nakłaniał ją Danny, które budziły w niej odrazę, w ciągu ostatnich

miesiące stały się jej marzeniem, ukrytym marzeniem. Jednak Doug nie wykazywał chęci, by wieść sielskie życie w domu pod miastem.

- Czy nie możemy pójść na kompromis? - próbowała. - Graj z zespołem, ale zachowaj swoją dzienną pracę. Jeżeli zespołowi się uda, oczywiście, możesz wtedy ją rzucić.

Zgodził się i zapanował pozorny spokój. Ale jakiś miesiąc później nadszedł kryzys, kiedy szef poprosił go, by został po godzinach w tym samym dniu, gdy zespół miał mieć jakiś ważny występ. Doug odmówił, występ okazał się sukcesem, ale następnego dnia był już bez pracy.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze - uspokajał, widząc bladą twarz Amy. - A może pójdziemy na jeszcze jeden kompromis? Przez rok dam szansę zespołowi i jeżeli to nie wypali, znajdę porządną pracę.

Niechętnie, lecz się zgodziła. Miała złe przeczucia, ale potrzebowała Douga jak powietrza. Poza tym rzuciła Danny'ego, bo jego stateczność i odpowiedzialność doprowadzały ją do szału, więc teraz byłoby absurdem narzekać, że jego następca okazał się indywidualistą z duszą artysty. Wybrała i teraz musiała zrobić wszystko, by im się udało.

Przed wywiadem z dziennikarką włoskiego wydania „Marie Claire” Hal poprosił o dwudziestominutową przerwę. Wrócił do swojego apartamentu, wyciągnął laptop i wpisał w Google Marina Dawson i Fabrizio de Michelis. Trzy tysiące pięćset pięćdziesiąt dwa wyniki wyszukiwania. Kliknął na pierwszy link. *Dziś ogłoszono zaręczyny prezenterki „Catwalk” i modelki Mariny Dawson z jej wpływowym przyjacielem. „To była trochę niespodziewana decyzja, ale jesteśmy przeszczęśliwi” - powiedziała Marina (34). „Zamierzamy się pobrać pod koniec roku, w hotelu Cipriani w Wenecji”.*

„Trzydzieści cztery”! Ma tupet! Była sześć lat młodsza od niego - na Gwiazdkę skończy trzydzieści siedem. Nie mógł uwierzyć, że prasa do tej informacji nie dotarła. Kliknął jeszcze na kilka linków. Wyskoczyło zdjęcie Mariny - wyglądała zjawiskowo w ciemnozielonej sukni podczas ceremonii rozdania jakichś nagród. Niewątpliwie jego eks była piękną kobietą, chociaż z dużymi ustami i obfitym biustem zdawała się dość pospolita. Flora natomiast miała szlachetniejsze rysy dzięki pokoleniom arystokratycznych przodków. Na pewno nie będzie potrzebowała operacji

plastycznych, żeby na długo zachować urodę - no, może odrobinę botoksu. Będzie się pięknie starzeć, a Marina sflaczeje.

Powinien zadzwonić do niej i pogratulować. Ale nie dzisiaj, może jutro. Hal nie wiedział, dlaczego właściwie informacja o jej zaręczynach tak go poruszyła. To on zerwał z Mariną, chociaż w wywiadach twierdziła inaczej. No dobra, ona z nim zerwała, ale tylko dlatego, że nie dał jej innego wyboru.

Czuł się dziwnie na myśl, że ktoś, kto byt kiedyś tak ważną dla niego osobą, szedł dalej, otwierając nowy rozdział swojego życia, w którym jego już nie będzie. A był to ktoś, komu pozwolił wyciskać swoje wągry, kto ganiał go nago po pokoju, wymachiwał plastrem z woskiem, chcąc wydepilować mu tyłek, zanim oboje nie padli z histerycznego wyczerpania. Jak to wszystko mogło nic nie znaczyć? Niemożliwe, żeby z Fabriziem osiągnęli ten poziom bliskości. Byli razem dopiero rok, a biorąc pod uwagę ich plany dnia, spędzili ze sobą może z tydzień. Oczywiście Hal zamierzał oświadczyć się Florze, ale ona to zupełnie co innego - miała rozum, a Fabrizio był kawałkiem mahoni po lobotomii. Właściwie to nie całkiem prawda - podczas ich nielicznych spotkań wydał się Halowi zaskakująco sympatycznym facetem jak na spadkobiercę jachtowej fortuny, zabawnym i wyluzowanym. Ale jednak miał twarz jak tort z Parku MacArthura i z pewnością nie był odpowiednim kandydatem do Nagrody Nobla za zasługi dla nauki. To możliwe, żeby Marina naprawdę go kochała?

Pomyślał, czyby nie ogłosić swoich zaręczyn z Florą. Nikt nie mógł nazwać jej głupią. Ale gdyby zaręczyli się

akurat teraz, wszyscy powiedzieliby, że zrobił to wyłącznie z chęci zemsty.

Co oczywiście byłoby nieprawdą.

Myśli Hala krążyły wokół tego niczym pszczoły wokół słoika dżemu przez cały czas trwania następnego wywiadu, podczas lunchu i przez godzinę z Christine Miller z „Daily Post”, która była irytująco ładną blondynką o reputacji zabójcy. Próbowwała wszelkimi sposobami zmusić go, żeby się otworzył i zaczął mówić o Marinie i Florze, ale Hal nie dał się podpuścić. Potem musiał jeszcze spędzić godzinę z Simonem, fotografem „Post”, który - inaczej niż każdy schlebiający mu fotograf - zachowywał się jak strażnik w więzieniu o zastrzonym rygorze. Hal był padnięty.

Wieczorem trenował trochę, korzystając z przyrzędów, które kazał przynieść do apartamentu (już nigdy nie zejdzie do wspólnej siłowni). Zjadł kolację samotnie, oglądając jakiś film z Eddiem Murphym wybrany spośród DVD przysłanych na górę przez konsjerżę. Gdy się skończył, Hal pomyślał, że powinien jednak zadzwonić do Flory.

- Halo, Hal? - Z jakiegoś powodu jej przeciąganie słów go zirytowało.

- Cześć, kochanie. Jak leci?

- Naprawdę dobrze. Otwarcie ośrodka było ogromnym sukcesem. Mam nadzieję, że w jutrzejszych gazetach poświęcą nam sporo miejsca.

- Mhm. - Pomyślał, że może to przyćmić zaręczyny Mariny. - Cudownie, kochanie, dobra robota.

- Dzięki. Jestem podekscytowana. Cieszę się, że zadzwoniłeś, bo muszę ci coś powiedzieć.

- Tak? - Poczuł nagłe ukłucie niepokoju pod mostkiem.

- Nic szczególnego, kochanie. Mam nadzieję, że będę u ciebie w środę, ale są pewne sprawy związane z fundacją, które mogą potrwać dłużej, niż sądziłam. Mogę więc spóźnić się dzień czy dwa.

-Co?

- Nie jestem pewna, ale w piątek albo w sobotę byłoby mi łatwiej. Henrietta szuka właśnie lotu dla mnie. Nie martw się, skarbie. Będę z tobą, ani się obejrzysz.

- Cholera jasna. Nie chcę spędzić tutaj ani dnia dłużej, niż będę musiał.

- Hal, to tylko jeden dzień. Nie bądź egoistą. Wiesz, że fundacja jest bardzo ważna.

- Ale w środę jest premiera - jęknął. - Nie chcę tam iść sam.

- Skarbie, bardzo cię przepraszam, ale chyba nie mam wyboru.

Wiedział, z jakiego powodu najbardziej chciał, żeby była u jego boku na premierze. Jeśli jej nie będzie, już widział nagłówki w gazetach: *Hal samotny, Marina planuje ślub stulecia*. Ale lepiej nie wspominać o tym Florze.

- Cóż - powiedział nadąsany. - Zrób tak, jak będzie najlepiej dla ciebie. Mnie to nie obchodzi. Muszę kończyć.

- Hal, nie bądź taki! Zachowujesz się jak dzieciak.

- Nie zachowuję się jak nikt - odparł chłodno. - Pogadamy później. *Ciao*, kochanie, jak mówią w Rzymie.

Rozłączył się. Cholera. Dlaczego miał wrażenie, że wszystko wokół wymyka mu się spod kontroli? Jego eks, która jeszcze dwa lata temu zrobiłaby wszystko, żeby za niego wyjść, zaręczyła się z facetem, który był od niego bogatszy. A jego dziewczyna, kobieta idealna, pod każdym



względem lepsza od Mariny, rezygnowała z jego towarzystwa, bo wolała bujać się ze skazańcami z wyrokami za szmuglowanie narkotyków.

Poczuł pulsowanie pod koszulką. Ostrożnie pomacał i wyczuł krostę.

O Boże, jeszcze się powiększyła. I ból był silniejszy. Właśnie, miał to przecież sprawdzić. Wziął laptop i włączył Google.

*Swędząca oporna krosta*

*Bling.* Osiemnaście tysięcy siedemset dwa wyniki wyszukiwania. Losowo kliknął na czwarty link. *Doraźne leczenie ospy*

Zmroziło mu krew w żyłach. O Chryste, więc jednak. Miał ospę. Pewnie zaraził go jakiś fan, dźgając czubkiem parasola.

Daj spokój, Hal. Nie bądź śmieszny. Kliknął na pierwszą stronę, która powie mu, że to tylko zwykła krosta, w którą wdała się infekcja po przebiciu igłą.

*Alarmujące objawy raka skóry*

Cholera! Zatrzasnął pokrywę laptopa. Rak skóry. Wiedział, że te wszystkie sesje w solarium, które studio mu nakazało przed rozdaniem nagród BAFTA kilka lat temu, nie były najlepszym pomysłem. Cholera. Umierał. A czegoż takiego zdążył w życiu dokonać? Zagrał w kilku ckliwych komediach romantycznych, pozwolił odejść dziewczynie z Oskarem. Zero dzieci. Nic naprawdę ważnego.

Tak, oświadczy się Florze, wieczorem tego dnia, gdy przyleci. Ślub będzie szybki: nic przesadnie wystawnego, skromna ceremonia, może w willi George'a nad jeziorem Como. A potem postara się, żeby jak najszybciej zaszła

w ciąży. Przynajmniej zostawi po sobie jakiś ślad, coś, co pocieszy jego rodziców, których syn został im przedwcześnie odebrany... Nie ma sensu planować pogrzebu (z całą pewnością kremacja - Hal bał się pochowania żywcem, odkąd zobaczył w telewizji „Zniknięcie”), dopóki nie zbada go lekarz. Rano każe Nessie zadzwonić po jakiegoś. Chociaż może być już za późno na chemio- albo radioterapię.

Spokojnie. To tylko zainfekowana krosta. Może sam jest winien temu, że wdało się zakażenie? Sepsa. Będą musieli amputować mu rękę albo nogę. A może jedno i drugie? Ale czy to musi być koniec świata? Na przykład Heather Mills McCartney, którą spotkał na jednej z imprez charytatywnych organizowanych przez Flore, nadal wydaje się radzić sobie dobrze, chociaż Hal pamięta, jak podczas rozwodu opowiadała o tym, że musiała sikać do szpitalnego basenu. O Chryste. Tak samo będzie z nim. Jaki był głupi, zwlekając tak długo! Natychmiast musi go obejrzeć lekarz. Spojrzał na zegarek: była prawie północ. Trudno. To nagły przypadek.

Wzjął telefon i zadzwonił do recepcji.

Obudził ją telefon. Odchrząknęła i odebrała.

- Halo?

- Doktor Fraser? - zapytał głos z włoskim akcentem. - Tak?

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Mówi signor Ducelli, menedżer.

- Tak?

- Mamy problem i zastanawiamy się, czy mogłaby nam pani pomóc. To jest, czy by pani chciała... Nie jest pani zobligowana.

Amy wiedziała. Właśnie przyjechała Mariah Carey i musiała zwolnić jej apartament.

- To zależy...

- Oczywiście! Pani jest lekarzem, tak?

- Owszem.

- Z dużym doświadczeniem?

- No, raczej dużym...

- Proszę wybaczyć, że pytam. Po prostu wygląda pani tak młodo. - A to czaruś. - Problem jest taki, że gość zachorował. Potrzebuje natychmiastowej pomocy medycznej.

Ale doktor, którego zwykle wzywamy, jest nieobecny. Chyba na urlopie.

- Więc ten gość powinien zgłosić się do szpitala. - Zasada numer jeden bycia lekarzem: nigdy nie wstawać z łóżka, jeśli jest ktokolwiek, komu można przekazać forszę. Spojrzała na zegar przy łóżku. 23:36. Chryste.

- Nie, doktor Fraser, sprawa jest bardziej delikatna. To znany gość. Nie możemy po prostu zadzwonić po jakiegoś lekarza. Wymagana jest najwyższa dyskrecja. Więc myślimy, że kto lepiej zbada pana... To znaczy gościa VIP-a niż inny gość VIP.

- Ale jest prawie północ... Już spałam.

- Wiem, doktor Fraser. I jako rekompensatę za pani uprzejmość z przyjemnością zaoferujemy cały pobyt w hotelu gratis. Dla pani męża także. Wydaje mi się, że jeszcze nie dojechał, tak?

Umysł Amy natychmiast wskoczył na piąty bieg.

- Tak! Okej! Będę za chwilę. Muszę się tylko ubrać.

- Doktor Fraser, jest pani taka miła, zbyt miła. Gdy będzie pani gotowa, proszę iść do apartamentu Picasso. Powiem pani w najgłębszej tajemnicy, że pacjentem do zbadania jest... - zniżył głos, mówiąc teatralnym szeptem, chociaż ona oczywiście już wiedziała - ...pan Hal Blackstock.

Minęło pół godziny, zanim Hal usłyszał pukanie do drzwi.

Dzięki Bogu.

Kiedy zadzwonił na recepcję, w pierwszej chwili Du-celli powiedział, że nie będzie problemu - sprowadzą lekarza w ciągu godziny. Ale potem oddzwonił i mniej

pewnym głosem stwierdził, iż mają problem. Potem zadzwonił znowu i radośnie poinformował go, że wszystko jest pod kontrolą.

- Idę! - krzyknął i poszedł otworzyć. Przed drzwiami stał Ducelli i wysoka brunetka w szortach i wyblakłym T-shircie. Wyglądała dziwnie znajomo.

- Przepraszam, że pan czekał, panie Blackstock. Mały problem z naszym lekarzem. Ale jest doktor Fraser, która zatrzymała się w naszym hotelu.

Przypomniał sobie.

- Świeżo upieczona mężatka?

- Zgadza się - przytaknęła. - W podróży poślubnej. Jestem wykwalifikowanym lekarzem rodzinnym i absolwentką akademii medycznej w Edynburgu.

- Naprawdę? - Ha! spojrział jej w oczy z szacunkiem. To mogła być kobieta, od której usłyszy wyrok śmierci.

- A więc co mogę dla pana zrobić, panie Blackstock?

- Hm... To sprawa intymna. - Ściszył głos, spoglądając na Ducellego, który zrozumiał aluzję.

- A więc zostawiam pana z tą piękną młodą kobietą... to znaczy znakomitą lekarką, która się panem zajmie.

- Czy w pobliżu jest całodobowa apteka? - zapytała. - Tak na wszelki wypadek.

- *Si, si, dottoressa*. Nasz pracownik na nocnej zmianie służy pani, gdyby czegokolwiek pani potrzebowała.

- Świetnie. Dam znać.

- Bardzo dziękuję za pomoc, *dottoressa*.

- Nie ma za co.

Kłaniając się w pas, Ducelli wreszcie wyszedł.

- Dobrze - powiedziała, gdy drzwi się zamknęły. - Co się dzieje?

- Cóż, to trochę wstydliwe...

- Proszę się nie przejmować. Wszyscy tak mówią.

- Ale naprawdę.

- Jestem pewna, że wcale nie. Proszę powiedzieć. - Jej głos był nieoczekiwanie łagodny.

- Więc chodzi o to, że... chyba mam sepsę. Będzie trzeba amputować mi rękę i nogę.

- Sepsę? - Uniosła brew.

- Chociaż to może też być rak skóry. Strasznie się spaliłem jako nastolatek na wakacjach w Hiszpanii. No i korzystałem z solarium - dodał niczym ktoś, kto spowiada się księdzu z uprawiania seksu z osłem.

- Rak skóry? A jakie ma pan objawy?

- Mam krostę na piersi i przekłułem ją igłą. Wysterylizowaną, ale krostka się nie goi i czytałem, że...

- Pani Blackstock, jestem pewna, że nie ma pan sepsy. Ani raka skóry. A nawet jeśli pan ma, to jest to uleczalne. - Rozejrzała się po pokoju. - Hmm. Ładny apartament. Szczerze mówiąc, nie widzę różnicy pomiędzy tym a Popolo.

Wbrew sobie zachichotał.

- Pani ma widok na miasto, a ja tylko na ogród.

- Ojej, biedaczek. - Uśmiechnęła się szeroko, ukazując uroczą przerwę między jedynkami. - A teraz pani Blackstock, nie przypuszczałam, że kiedykolwiek to do pana powiem, ale proszę zdjąć koszulę.

Ściągnął koszulę przez głowę. To musi być dla niej przeżycie, zobaczyć z bliska rozbierającą się gwiazdę

filmową. Pewnie pójdzie i wypapla o tym wszystkim swoim znajomym, ale co z tego? Przecież nie zdiagnozuje u niego opryszczki czy czegoś podobnego. Chociaż, cholera, jeśli to rak skóry, a ona powie to przyjaciółce, ta kolejnej przyjaciółce i tak dalej, wiadomość będzie we wszystkich gazetach, zanim zdąży zadzwonić do mamy i ją ostrzec. Lepiej zrobi to od razu jutro rano. Zdenerwuje się, ale zapewni ją, że w dzisiejszych czasach są dostępne cudowne kuracje, a on może sobie na nie pozwolić. A jeśli zupełnie wyłysieje? Na szczęście miał gęste włosy - inaczej niż Fabrizio de Michelis, który, mógłby przysiąc,łysieje na czubku - więc z pewnością by odrosły. Stała tuż przy nim.

- Myślę, że to krwisty pęcherz. -Co?

- Pęcherz wypełniony krwią. Nie ma się czym martwić. Zagoi się w ciągu kilku dni. Proszę smarować to miejsce kremem. I nie przekłuwać go więcej żadnymi igłami, nawet sterylizowanymi. Fuj.

Poczuł euforię, jakby wszystkie uderzenia ekstazy, które kiedykolwiek przeżył, zlały się w jedno (nie żeby było ich aż tyle). To jak ponowne narodziny. Dzięki ci, Boże, za drugą szansę, pomyślał. Dzięki. Obiecuję, że postaram się być lepszym człowiekiem. Będę dawał więcej na cele charytatywne i będę częściej odwiedzał mamę i tatę, i ożenię się z Florą, i będę miał z nią czworo uroczych dzieci. Chociaż Flora chyba nie byłaby zachwycona, jaki wpływ miałoby to na jej figurę. To może troje. Albo dwoje.

- Jest pani pewna, że nic mi nie jest?

- Jestem pewna.

- I nie mam raka skóry?

- Nie mogę mieć stuprocentowej pewności, chyba że sprawdzę każdą plamkę na pańskiej skórze. Czego nie chciałabym robić... - Spojrzała na zegarek. - O pierwszej w nocy. W Londynie jest mnóstwo klinik, które mogę polecić, jeśli chciałby pan być szczegółowo przebadany. Ale zakładam, że może pan pójść prywatnie?

Poczuł się zażenowany.

- Nie, nie, w porządku. Bardzo przepraszam, że wyciągnąłem panią z łóżka. Współczuję pani mężowi. Nie ma zbyt wiele zabawy podczas podróży poślubnej.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała szybko. Ziewnęła dyskretnie. - Przepraszam. Czy mogę tylko umyć ręce?

- Oczywiście. - Wskazał jej łazienkę. - Pani łazienka jest chyba większa.

- Pewnie tak.

Wyłoniła się z niej chwilę później nieco zdezorientowana.

- A więc pana przyjaciółka już przyjechała?

- Moja przyjaciółka? Nie. Będzie dopiero w piątek. Albo nawet w weekend.

- A te wszystkie kosmetyki? Clarins, Lancôme... - mówiła coraz wolniej, widząc jego twarz. - Och. To pana?

- Trzeba o siebie dbać, nigdy nie wiadomo, kto zrobi człowiekowi zdjęcie - tłumaczył się.

- Oczywiście. - Nie udało jej się powstrzymać uśmiešku. Hal jej wybaczył, bo miała naprawdę uroczy uśmiech.

- Dziękuję. Była pani bardzo miła.

- To nic. Hotel mi to wynagrodzi.

- Nie powie pani znajomym, jaki ze mnie dureń?



- Oczywiście, że nie. Przysięga Hipokratesa zobowiązuje mnie do nieujawniania pod żadnym pozorem jakichkolwiek informacji o moich pacjentach. A teraz dobranoc, panie Blackstock. Niech pan idzie się przespać. Jutro pana wielki dzień, prawda?

- Dziękuję - powtórzył; nagle dziwnie zapragnął, by została.

- Proszę bardzo - odpowiedziała, zamykając za sobą drzwi.

Halowi nie pozostało nic innego, jak iść do łóżka i wreszcie zasnąć.

Kiedy Amy z powrotem znalazła się w łóżku, nie mogła zasnąć. Odkrywała się, przykrywała, otworzyła okno, potem je zamknęła, włączyła, za moment wyłączyła klimatyzację. Wzięła do ręki telefon - może w środku nocy przyszła jakaś wiadomość, gdy jej nie było. Oczywiście nie przyszła.

W masochistycznym odruchu rzuciła się do odczytywania starych wiadomości, tych sprzed tygodnia, gdy jeszcze wszystko było w porządku. Kolejna, kolejna i jeszcze jedna, brnęła dalej. Zazwyczaj jadąc znudzona autobusem, usuwała stare wiadomości, by nie zaśmiecać pamięci telefonu, niektóre zostawiała z praktycznych względów, inne, bo nigdy nie miała czasu na ich przeczytanie. Pierwsza wiadomość od Douga, aż serce szybciej jej zabiło. Pisał, że wróci późno i żeby nie czekała. Potem wspominał, że facet z firmy fonograficznej zjawił się na koncercie i sprawy wyglądają bardzo obiecująco; pisał też z supermarketu, przeproszał, że zapomniał, co miał kupić, i prosił o przypomnienie. I jeszcze jedna bardzo, bardzo stara, sprzed kilku lat: Doug informował, że zespół zwalnia Hanka, ich menedżera.

- Wydaje nam się, że nas kantuje - tłumaczył, kiedy wrócił do domu po wyczerpującej wizycie w pubie.

- Jak może was okradać, skoro nic nie zarabiacie? - zapytała prowokacyjnie Amy.

Doceniała i szanowała Hanka za wysiłek i energię, jaką wkładał w organizowanie minibusów dowożących grupę na koncerty do zapadłych dziur, wynajdywanie prochów dla Gregora w tych miastach, gdzie diabeł mówi dobranoc, oraz zapewnianie powrotów - w środku nocy odwoził ich do Londynu, podczas gdy reszta bandy była zbyt wyczerpana, by prowadzić, i to wszystko za marne grosze.

- Kotku, już postanowione - oznajmił Doug. - Poza tym jest w porządku. Zdecydowaliśmy, że ja będę menedżerem, a to znaczy, że dwadzieścia procent zysku pójdzie prosto do ciebie i *moi*.

Nie miało sensu wspominać, że dwadzieścia procent zysku dawało dziewięćset funtów rocznie. Od czasu kiedy Doug porzucił nudną, ale dającą dużą elastyczność pracę w handlu jako telemarketer, był bez grosza. Nie zaprzestali posiłków poza domem, wyjść do kina, ale nie bawiły ich tak jak dotąd; Amy musiała wysupływać na nie kasę. Nie miała nic przeciwko samemu płaceniu, ale sytuacja odzwierciedlała to, co działo się w ich związku: spadało na nią coraz więcej i więcej obowiązków.

Typowy dzień wyglądał tak: wstawała o siódmej i szła na dyżur. Doug spał, gdy wstawała, spał również, gdy opuszczała dom o ósmej, i nadal spał, gdy dzwoniła o dziesiątej, by przypomnieć o kupieniu jedzenia dla rybek. Wracała o szóstej - emocjonalnie wyczerpana po całym dniu wysłuchiwania płaczliwych historii - do rozgardiaszu:

porozrzucanych płyt DVD wokół telewizora, wetkniętego gdzieś programu telewizyjnego, niezastanego łóżka, pralki, którą włączyła rano, a która wciąż była wypchana wilgotnym praniem, oraz tak ważnych dla Amy karteczek z informacjami typu „zapłać za abonament parkingowy, kup kostki do zmywarki”, które były kompletnie ignorowane.

Nie marzyła o niczym innym, tylko o tym, by ktoś nalał jej ginu z tonikiem, a zamiast tego zwykle szła do kosza ze śmieciami do recyklingu, wyciągała plastikowe butelki, które Doug tam wrzucał, choć tłumaczyła mu, że nie tam ich miejsce. Pragnęła porozmawiać z kimś o całym dniu, zwinąć się w kłębek przed telewizorem, jednak Doug zwyczajem wampirów był żywotny tylko nocą i często znikał, zaszywał się na długie godziny w sypialni z laptopem, przygotowywał koncerty i wysyłał e-maile do facetów z wytwórni.

Gorzej, gdy był na koncercie - nie tylko z Ambrosial, bo jak mówił, musiał mieć oko na konkurencję. Oczywiście zawsze zapraszał Amy, jednak pomimo zagrożenia, jakie stanowiły fanki zespołu, odmawiała, zbyt wycieńczona po pracy. Zaczynała nie znosić tego zespołu za to, że wywrócił jej życie do góry nogami.

Poznała jego historię rodzinną. Ojciec Douga, prawnik z przerostem ambicji, wymusił na nim pójście w swoje ślady. Tej decyzji Doug zawsze żałował. Starszy brat, Alan, który po paru spotkaniach wydał się Amy ostatnim bucem, drwił z muzycznych aspiracji Douga. Doug wyklócał się latami z rodziną, wyszydzał wartości materialne, powtarzał, że w życiu chodzi o coś więcej niż tylko robienie pieniędzy. Jeśli zespół nie wypali, straci twarz, a tego by nie zniósł.

Rozumiała go, tak samo dobrze jak to, że nawet zapach Douga na poduszce wystarczał, by pod Amy ugięły się kolana: był najbardziej czarującym, seksownym facetem, jakiego знаła. I uważała, że mimo wszystko życie z nim jest lepsze od tego, które wiodła z Dannym. Doug ją rozśmieszał (przeważnie). Mówił o ciekawszych sprawach, niż kto przejmie piłkę w meczu rugby. Dzięki niemu poznała tajniki sztuki miłosnej. Doug był wyzwaniem, a Danny ją nudził. Przy Dougu musiała być czujna, zatrzymanie go przy sobie stało się jej celem.

Jednocześnie niepewność co do przyszłości zaczynała być dla Amy krepująca. Rodzina i znajomi zaczęli dopytywać, co będzie z nimi dalej: mama, tata, babcia, koleżanki Madhura, Andrea i Rosa, które pracowały na recepcji oddziału chirurgii. Czasem ktoś rzucał mimochodem: „To już ponad rok, więc jakie macie plany?”. „Jest nam dobrze tak, jak jest” - kłamała z hardo odrzuconą głową. Chciała go przycisnąć w tej sprawie, ale obawiała się, że ucieknie gdzie pieprz rośnie, wydzierając się wniebogłosy. Poza tym usilna potrzeba małżeństwa obrażała jej feministyczne zasady, takim zachowaniem upodabniała się do bohaterki powieści Barbary Cartland. Z drugiej strony wiedziała, że nie chodzi tylko o białą suknię i wesele. Chodziło o poczucie sensu, cykliczny charakter: pracy, imprez, obiadów poza domem, wakacji za granicą, wyjść do kina, które jeszcze niedawno dawały jej tyle satysfakcji. Ale potrzebowała poczucia, że idzie w życiu naprzód.

Dotarło to do niej pewnego wieczoru, podczas dyżuru. Jej drugim pacjentem był dwudziestojednoletni mężczyzna z ciałem pokrytym przerażającymi tatuażami. Narzekał

na bóle z tyłu szyi, które promieniowały na całe ciało. Wspominał, że kumpel zmusił go do zażycia paru tabletek w pubie, które mu nie posłużyły.

- W jaki sposób cię zmusił? Przytrzymał cię i siłą zmusił do połknięcia? - Nie starała się być sarkastyczna, bo takie sytuacje mają miejsce nieustannie.

- Nie, powiedział, że to viagra, więc wziąłem. Spojrzała w swoje notatki i zdała sobie sprawę, że

zażył dużą dawkę ekstazy i był szczęściarzem, że w ogóle przeżył. Przepisała mu coś na bóle głowy, nie dlatego, że chciała mu pomóc, ale by się nie awantuował.

- I nie będziesz już zażywał narkotyków? - zapytała podczas drukowania recepty.

- To zależy.

- Od czego?

- Jak się będę czuł. I czy będzie chodziło o viagrę. Następną pacjentką była Sophia Franklin, zestresowana

prawniczka. Podczas jej użalania się, że nie może spać, Amy rozmyślała, co by było, gdyby otrzymywała kasę od liczby osób, których życie zostało zmarnowane przez narkotyki. Dawno już mieszkałaby na Bahamach. Zamiast tego jednak spędzali weekendy z Dougiem, paląc trawkę, czasem coś wdychali lub łykali. Danny nienawidził narkotyków. Amy uważała go za nudziarza, teraz zaczynała myśleć, że jednak miał rację. Czemu usprawiedliwiali swoje zachowanie? Bo należeli do klasy średniej, a nie byli biedni ani bezrobotni? Amy zdecydowała - żadnych więcej narkotyków. Narkotyki nie są niczym pozytywnym, są świństwem, to synonim brudu, zaniedbania, ohydy, niezależnie od tego, kto je zażywa.

- Więc co powinnam zrobić? -Yyy?

- Czuję się taka pusta, przygnębiona. Moja praca jest stresująca, nie mogę spać, gdy mam podniesiony poziom adrenaliny. Proszę o przepisanie jakichś tabletek nasennych.

Tabletki nasenne były według Amy ostatecznością, zwykle najpierw zalecała szklankę ciepłego mleka przed snem, ćwiczenia oddechowe oraz gałązki lawendy pod poduszkę, ale w tej chwili miała inne sprawy na głowie.

- W porządku - powiedziała. - Wypiszę receptę. Sophia była zaskoczona.

- O rany, jest pani pewna? To znaczy czy tabletki nasenne są dobrym rozwiązaniem? Może powinnam spróbować szklanki ciepłego mleka przed snem albo jogi?

- Sądzę, że to pomoże - stwierdziła Amy, pisząc na klawiaturze. - Po jednej na noc.

- Chwileczkę. - Sophia miała jednak wątpliwości. - Jest jedna sprawa, mianowicie próbuję zajść w ciążę. Myśli pani, że tabletki w takiej sytuacji to dobry pomysł?

Na litość boską.

- Jeśli próbuje pani zajść w ciążę, tabletki nie są najlepszym rozwiązaniem. O takich sprawach mówi się wcześniej.

- Podarła receptę. - Niestety, musimy zostać przy gorącym mleku.

- Próbuję od paru miesięcy - przyznała, gdy Amy już chciała ją pożegnać. - Myśli pani, że coś jest ze mną nie w porządku?

Amy uśmiechnęła się, starając się nie tracić cierpliwości.

- Pani Sophio, ta rozmowa wymaga kolejnej wizyty.

- Spojrzała na informacje w komputerze. Sophia miała

trzydzieści dziewięć lat. - W pani wieku zajście w ciążę może zająć trochę czasu.

- Wiem. Ale sześć miesięcy? Myśli pani, że za długo czekałam? Powinnam spróbować in vitro?

- Sądzę, że powinna pani umówić się na kolejną wizytę i wtedy o tym porozmawiamy - odpowiedziała mechanicznie.

- Ale przecież jestem tutaj!

Poświęciła Sophii kolejne dwadzieścia minut. Dobrze знаła ten typ kobiet będących jej pacjentkami. Atrakcyjne, po trzydziestce, kobiety sukcesu, które z różnych przyczyn odkładały ciążę do ostatniego momentu, aż odkrywały, że jest o sekundę za późno.

Wreszcie pożegnała Sophie, zmęczona wrzuciła rzeczy do torebki i włożyła płaszcz. W korytarzu wpadła na Madhurę.

- Hej, Amy. Jak minął dzień?

- Paskudnie, a tobie?

- Podobnie. Boże, nigdy nie zgadniesz, na kogo się natknęłam wczoraj w nocy!

- Na kogo? - zapytała niespokojnie.

- Na Dannyego.

- Aha. Tak? - Amy wciąż miała koszmary związane z Dannyem. Wyrzucała sobie ze złością, że zmarnowała tyle czasu, bo jej tchórzostwo nie pozwoliło na zakończenie tego związku przed laty.

- Był z dziewczyną. Trzymali się za ręce. Wyglądali na szczęśliwych. - Madhura spojrzała na nią z troską. - Nie gniewasz się, że ci o tym mówię?

- Nie, jasne, że nie - wychrypiała Amy. - To wspaniale, cieszę się. Tak czy siak muszę już zmykać. Do jutra.



Siedząc w autobusie, zastanawiała się, co poczuła po usłyszeniu wiadomości o Dannym. Ulżyło jej, bo wybrnęła z tej niekomfortowej sytuacji. Ciekawiło ją jednak, czy dziewczyna była ładniejsza niż ona. Dziwne, ale czuła nieuzasadnione rozczarowanie, że Danny nie miał już złamanego serca. Po chwili jej myśli powędrowały w stronę Sophii i jej podobnych pacjentek. Jeszcze rok temu posiadanie dziecka było dla Amy kwestią tak odległą i niezrozumiałą jak zasady gry w hokeja czy grecki taniec ludowy. Zaczęło się to jednak już zmieniać. Kilka koleżanek z uniwersytetu zaszło w ciążę. Amy spotykała się z coraz większą liczbą kobiet, którym to się nie udawało. A ona chciała mieć dzieci. Idealnie byłoby, gdyby najpierw był chłopiec, potem dziewczynka. Uświadamiała sobie, że jeśli tego pragnie, musi zacząć działać. I raczej wcześniej niż później, jeśli nie chciała być kolejną osobą, która skorzysta z in vitro. Musiała koniecznie porozmawiać z Dougiem. Tyle że on nie był skory do poważnych rozmów, był typem luzaka, traktował życie jak zabawę, bez niepotrzebnej presji i spinania się. Gdy Amy pytała, co chce na kolację, łatwo tracił kontrolę nad sobą, krzycząc, że nie wie i niech przestanie go zdręczać.

Otworzyła drzwi wejściowe i weszła do kuchni. Nie-pozmywane naczynia z obiadu z poprzedniego dnia tkwiły w zlewozmywaku. Doug, Gregor, Baz i Pinny leżeli na kanapie (Pinny miała głowę na kolanach Baza, a stopy opierała o kolana Douga, co Amy zauważyła z niechęcią). Kątem oka patrzyli na mecz i oddawali się swojej ostatnio ulubionej czynności - wieszaniu psów na facetach z wytwórni. Ogromny skręt krążył z rąk do rąk.

- Głaby - powiedział Gregor. - Nie potrafiliby rozpoznać prawdziwego talentu, nawet gdyby usiadł im na kolanach i się rozebrał.

- Danny z Upstairs był tam wczoraj w nocy, prawda?

- odezwała się Pinny, zwijając kolejnego skręta na swoim płaskim, umięśnionym brzuchu. - Co mówił?

Doug wzruszył ramionami.

- Powiedział, że jest w porządku, choć piosenki nie były jeszcze dopracowane. Przyjdzie za kilka miesięcy.

- Nawet ich nie słuchał, przez pierwsze trzy piosenki był przyklejony do słuchawki, widziałem. - Niewidoczna w korytarzu Amy przysłuchiwała się ich rozmowie, czekając na nieuchronne „Najbardziej mnie wnerwią...”.

- Najbardziej mnie wnerwią, że nie mają jaj. Czekają na kolejny Coldplay. Tak bardzo trzęsą się przed szefostwem, że przestali się zastanawiać, co im się podoba. Przytakują panującej przewidywalnej modzie. O, cześć, Amy.

- Hej - powiedziała chłodno.

- Hej. - Doug pomachał. - Chciałem tylko powiedzieć, że to się musi niedługo zmienić.

- Jasne - przytaknęła Amy.

- Nie wiem, jak długo jeszcze damy radę to ciągnąć

- burknął Gregor. - Jeśli ci faceci są tak tępi i nie dostrzegają, że jesteśmy świetni, to muszę się zastanowić, czy chcę z nimi podpisać kontrakt.

- Doug, możemy porozmawiać w sypialni? - spytała Amy.

Podniósł się niechętnie.

- Możesz im powiedzieć, żeby sobie poszli?

- Co? Dlaczego?

- Padam z nóg. Nie jestem w nastroju do towarzyskich pogaduszek. - Nie potrafiła powiedzieć wprost: biorą prochy, a ja podjęłam decyzję - żadnych więcej prochów w tym domu. Pomyślałby, że jej odbiło. Na razie to odłożyła.

- Amy! Nie mogę, to byłoby niegrzeczne.

- A to, iż mnie nie uprzedziłeś, że ich tutaj zastanę, jest grzeczne?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Przecież nie masz nic przeciwko nim, są też twoimi przyjaciółmi, jesteś blisko z Pinny. Co się z tobą dzieje? Uwielbiałaś, gdy dom był pełen ludzi.

- Jestem zmęczona. - Padła na wznak na łóżko.

- Zawsze jesteś zmęczona. Kiedyś nie byłaś taka, miałaś w sobie więcej życia, radości.

Poczuła się zraniona.

- Potrafię być radosna, gdy tylko da mi się szansę.

- Szansę? Na przykład taką...? - Gładził jej piersi. Pomimo żalu poczuła podniecenie.

- Doug, co ty wyprawiasz? Oni są obok.

- No i co z tego? O takiej... szansie mówisz? Zaczął rozpinąć spodnie. Zachichotała i wsunęła rękę pod jego T-shirt.

- Taka szansa mi odpowiada.

Wyłonili się z sypialni po piętnastu minutach: w nieładzie i - na pewno Amy - w dużo lepszym nastroju. Doug miał rację, musiała poprawić sobie nastrój. I przestać ciągle myśleć o dziecku, na miłość boską. Jeszcze zostało mnóstwo

czasu na rozmowy o tym, a znając Douga, pewnego dnia i tak ją zaskoczy i powie, że tego właśnie pragnie, więc po co martwić się na zapas?

Myśląc o tej scenie, schowała twarz w dłoniach i łkała. To, co straciła, straciła bezpowrotnie. Płacz zwykle usypia, jednak minęła co najmniej godzina, zanim Amy wreszcie usnęła.

Amy obudziło pukanie do drzwi, które po chwili się otworzyły.

- Kto tam? - wychrypiała.

Ładna pokojówka zajrzała do apartamentu.

- Przepraszam, signora! Nie wiedziałam, że jest pani w pokoju.

- Cholera! - Amy przetarła zaspane oczy i spojrzała na zegar na telewizorze: 10:03. - Może mi pani dać dziesięć minut?

- Si, signora.

Szybko! Śniadanie kończy się o dziesiątej trzydzieści. Pysznic wezmę po powrocie, pomyślała, wkładając przez głowę letnią sukienkę. Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła, że ktoś wsunął pod nie kopertę. Serce znowu zabiło mocniej. To musiała być wiadomość od Douga. Otworzyła dopiero w windzie. Ze środka wypadły dwa bilety i odręcznie napisany liścik.

*Droga pani doktor (proszę wybaczyć, nie znam pani imienia),  
bardzo przepraszam za zawracanie głowy w nocy. Proszę przyjąć  
zaproszenie dla pani i męża na pokaz*

*premierowy oraz przyjęcie po nim. Nie, o nic nie poproszę w zamian (nawet o zamianę apartamentów).*

*Pani zakroszczony Hal Blackstock*

Uśmiechnęła się, oglądając wytłaczane zaproszenie na premierę przy Piazza di Spagna oraz przyjęcie na tarasie hotelu de Russie. Drzwi windy otworzyły się i Amy pośpieszyła przez podwórze na prawie opustoszały taras restauracyjny. Kelnerzy sprząтали już stoły, przygotowując je do lunchu.

- Hej, Amy!

Rozejrzała się. Marion i Roger siedzieli przy stoliku w rogu z elegancką kobietą. Chwilę zajęło jej przypomnienie sobie, że to blond żona wstrętnego pana Doubledaya, z którą spotkała się w windzie.

- Dzień dobry!

- Jak się pani miewa, Amy? A gdzie mężuś?

- Ma migrenę.

- Ojej, biedaczek - powiedziała Marion. - Strasznie chciałabym go poznać. Mógłby do nas dołączyć: właśnie świętujemy szampanem naszą trzydziestą piątą rocznicę ślubu. Niech pani siada, kochana. I pozna Lisę. To kolejna Brytyjka tutaj.

Amy i Lisa skinęły do siebie głowami bardzo po brytyjsku i wymamrotały powitanie.

- Amy jest w podróży poślubnej.

- O, wspaniale - skomentowała Lisa. Miała wschodnio-londyński akcent. Amy zauważyła wielki brylant błyszczący na jej dekolcie i drugi na palcu serdecznym.

- Zechce pani do nas dołączyć? - zachęcał Roger. - Chyba nie będzie pani siedzieć sama jak palec?

Marion uniosła do góry palec.

- Ale Roger, Amy nie może pić szampana. - Lisa wyglądała na zdziwioną, więc Marion dodała szeptem: - Maleństwo jest w drodze.

- Rozumiem. - Uśmiech rozjaśnił ładną buzię Lisy.

- Gratulacje. Mam nadzieję, że udało się pani wypić kilka drinków na swoim weselu. Nie mogę sobie wyobrazić nic gorszego niż niemożność upicia się w wielki dzień.

Amy uśmiechnęła się z przymusem i odwróciła do młodego kelnera, który czekał za nimi.

- Uwaga - ostrzegła Marion. - Żadnych jajek na miękko. Proszę pamiętać, że byłam położną. Służę radą.

- Kawa? Herbata? - zapytał kelner.

- Poproszę kawę.

- O nie - zaprotestowała Marion. - Nie wolno pani pić kawy. To może zaszkodzić dziecku.

Amy zastanawiała się nad wyjawieniem, że jest lekarzem i ma doświadczenie w instruowaniu piętnastolatków, że palenie w ciąży to nie najlepszy pomysł. Ale nie miała na to siły. Poza tym wszyscy wiedzą, że położne nie znoszą lekarzy niemal tak bardzo jak kobiet, które wybierają znieczulenie do porodu i karmienie butelką.

- Jestem pewna, że jedna filiżanka nie zaszkodzi

- stwierdziła.

- O nie, nie, nawet tyle może być szkodliwe. Lepiej dmuchać na zimne, prawda?

- Dobrze, w takim razie poproszę herbatę. - Amy ustąpiła, mimo że nie znosiła pić rano herbaty.

- Herbata jest tak samo szkodliwa. Ta sama kofeina. Dla tej pani poprosimy ziółka - zwróciła się Marion do kelnera. - Miętę. To będzie dla pani najlepsze, kochana. Poza wszystkim innym, to pomoże na tę upiorną zgagę. Miałam ją we wszystkich ciążach. A właśnie, czy robi pani ćwiczenia mięśni dna miednicy? To niezwykle ważne. Chyba że chce pani popuszczać mocz przy każdym kichnięciu.

- Przepraszam. - Amy wstała. Podeszła do bufetu i napełniła sobie talerz.

- Hmm, jemy za dwoje - zauważył Roger, gdy wróciła do stolika.

- Ja przytyłam ponad dwadzieścia pięć kilo, gdy byłam w ciąży z córką - powiedziała Lisa. - A taką byłam laską. Chyba w życiu tego nie zgubię. Więc uważaj, kochana. Zwłaszcza z czekoladą.

- Ma pani córkę? - spytała zaciekawiona Marion.

- Emily. Z pierwszego małżeństwa. Ma dziewięć lat. - Cień smutku pojawił się na twarzy Lisy.

- A gdzie ona teraz jest?

- Z moją siostrą i jej dziećmi w Sevenoaks. Rozmawiam z nią codziennie. Świetnie się bawi.

Gawędzili dalej swobodnie. Roger opowiadał o historii kościołów, które zwiedzali poprzedniego dnia. Marion dzieliła się wrażeniami po zwiedzeniu Forum - absolutnie fantastyczne. Amy zauważyła, że trzymają się pod stolikiem za ręce. Łzy napłynęły jej do oczu. Nigdy nie znajdzie kogoś, kto by tak ją kochał.

Marion się podniosła.

- Lepiej już chodźmy, Roger. Mamy dzisiaj napięty plan. Chcemy zwiedzić katakumby, gdzie pochowano



pierwszych chrześcijan. Ale musimy spotkać się potem na drinka.

- Byłoby miło - rzuciła Amy przez ramię, a Marion uniosła palec i krzyknęła: - Uważaj na upał, moja droga! I pamiętaj, żadnych pasztetów ani niepasteryzowanych serów. W tym gorgonzoli, niestety.

Gdy zostały same, uśmiechnęły się nieśmiało do siebie.

- Jakie ma pani plany na dzisiaj? - spytała Amy.

- W zasadzie żadnych. Simon pracuje cały dzień, a ja nie mam nic do roboty. Może pójdę na zakupy. Chociaż byłam wczoraj. A pani?

- Sama nie wiem. Mój mąż ma taką migrenę, że do niczego się nie nadaje. - Spojrzały na siebie, a Amy wypaliła: - Czy miałaby pani coś przeciwko, żebym poszła z panią?

Pierwsze, o czym pomyślał Hal po przebudzeniu, to pomacanie klatki piersiowej. Cholera! Krosta wciąż tam była. Lekarka się pomyliła. Z całą pewnością wdało się zakażenie. Wstał z łóżka i powlókł się do łazienki; z jękiem zerwał plaster i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze.

Okej, musiał przyznać, że krosta nieco się zmniejszyła. Ale i tak będzie miał na nią oko. Wziął krem antyseptyczny i rozsmarował całą garść na pryszczu. Lepiej się upewnić, czy Nessie ma jeszcze zapas.

Wracając do pokoju, zastanawiał się, która godzina. O rany, dopiero dziesięć po ósmej. Przed nim cały długi dzień. Nalegał, by ten dzień pozwolono mu poświęcić na „zwiedzanie Rzymu”. Tylko jak, do cholery, miał to robić sam? Lepiej, gdyby wypełnił go wywiadami i zdjęciami. Przynajmniej godziny płynęłyby szybciej.

Ale wtedy zadzwonił telefon hotelowy.

- Halo? - odezwał się, mając cichą nadzieję, że to Marina.
- Hal? - spytał mężczyzna o silnym akcencie z Belfastu.
- Ekhm, a kto mówi?
- Odwał się, skurczybyku. Dobrze wiesz, że to ja, Callum.

- Callum? A tak, chyba kiedyś poznałem kogoś o tym imieniu... - zażartował. - Jak się masz, przyjacielu? Jesteś w Rzymie?

- Owszem i mam się bardzo dobrze. Przyleciałem wczoraj wieczorem. Musiałem okazać nieco lojalności mojemu ulubionemu klientowi. Jak tam?

- Do dupy. Puszczam się jak dziwka, promując ten gówniany film.

Callum się roześmiał.

- Życie gwiazdy jest ciężkie, nie? Słuchaj, jakie masz plany na dzisiaj? Możesz się urwać?

- Jasne. - Hal czuł głupią ulgę, że nie spędzi dnia samotnie. - Gdzie się zatrzymałeś? Zjemy razem śniadanie?

- Mieszkam w hotelu Baglioni. Bardzo blisko ciebie. Z chęcią zjadłbym z tobą śniadanie, ale mam mnóstwo telefonów do wykonania, więc może lunch? Mógłbym wpaść do ciebie.

- Okej - odpowiedział Hal bez zastanowienia. - Albo nie. Zjedźmy na mieście. Wpadnijmy do moich dawnych met. Nie zapominaj, że ja tutaj kiedyś mieszkałem.

- Naprawdę? Kiedy to było?

- Podczas studiów. - Hal miał żal, że Callum nie pamiętał. Znajomość włoskiego i francuskiego była jedną z mocnych stron jego CV. Agent powinien pamiętać takie rzeczy.

- A, rzeczywiście. Ciągle zapominam, że nie jesteś kompletnym durniem. Okej. Gdzie proponujesz?

Przez chwilę Hal miał pustkę w głowie, ale potem odparł:

- W Ghetto jest fajne miejsce, nazywa się Da Emilia. Każę Nessie zarezerwować nam stolik. Nie pamiętam dokładnego adresu.

- Nie ma sprawy, konsjerż mi powie. Więc jesteśmy umówieni. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, jak mówisz po włosku. To *ciao*.

- *Ci vediamo* - odpowiedział Hal z uśmiechem, odkładając słuchawkę.

Callum był jego agentem od - cholera - już ponad dwudziestu lat. Oczywiście czasem potrafił być jak wrzód na dupie, każąc mu czytać scenariusze napisane przez jakichś odmóżdżonych kretynów i chodzić na spotkania z obleśnymi domorosłymi reżyserami z Europy Wschodniej. Ale potrafił być też zabawny. Hal spędził niejedną noc w jego domu na walijskiej wsi; do późna w nocy urządzali sobie w kuchni konkursy karaoke. Marina uwielbiała tam jeździć, pomyślał z ukłuciem w sercu. Kiedyś zabrał tam Floreę, ale cały czas była spięta, bo dziewczynki zostały z Pierre'em i chciała się położyć już

o dziewiątej, właśnie wtedy, gdy dziewczyna Calluma, Robyn (jedna z wielu, ale ta kręciła się koło niego już od kilku lat), zaczęła nakrywać do kolacji. Poza tym niskie stopy stanowiły utrudnienie podczas codziennych ćwiczeń jogi.

Dobra, dosyć wspomnień. Wziął telefon i poprosił Nessie, żeby kazała kierowcy odebrać go o wpół do pierwszej

i zawieźć do restauracji. Gdy snuł się po apartamencie, nie wiedząc, co zrobić z kilkoma następnymi godzinami, coś sobie przypomniął. Znów do niej zadzwonił.

- Nessie? Cześć. Słuchaj, możesz powiedzieć Ducellemu, żeby ruszył tyłek i skombinował mi vespę?

- Vespę? A umiesz na tym jeździć?

- No pewnie, przecież mieszkałem tutaj przez rok!

- Myślisz, że to bezpieczne? Paparazzi nie pojedą za tobą?

- Ducelli mi to podpowiedział. Nikt mnie nie rozpozna. Będę miał kask. Mogę się kręcić po Rzymie całkowicie anonimowo. To genialne. Przynajmniej pozornie. Brad tak robił.

- No, dopóki jesteś ostrożny, Hal.

- Ja zawsze jestem ostrożny - skłamał.

Godzinę później Ducelli prowadził go do podziemnego garażu hotelowego, gdzie już czekała nowiutka, lśniąca jasnoniebieska vespa.

- Idealna. - Hal był zachwycony. - Jest idealna.

- Piękna, prawda? - Ducelli się uśmiechnął. - Na pewno przejazdka się panu uda.

- Och, z całą pewnością. - Hal wcisnął kask na głowę i wsiadł na skuter. Przekręcił kluczyk w stacyjce i poczuł, jak silnik pod nim zaczął pracować.

- Wie pan, jak jechać? - spytał z niepokojem Ducelli.

- Nie potrzeba ochrony?

- Absolutnie - krzyknął Hal przez ramię, ruszając.

- Mam zamiar po prostu dobrze się bawić!

Wjechał po rampie do wyjazdu na ulicę i skręcił w prawo, w Via del Babuino. Pojechał prosto, przez Piazza del Popolo, lawirując pomiędzy białymi vanami i fiatami. Porsche zatrąbiło na niego, a on odtrąbił. To było jak błogosławieństwo. Czuł się wolny, nikt na niego nie patrzył, a nawet gdyby, to co? Skręcił w Via di Ripetta i dodał gazu.

Nagle na jezdnię weszła zakonnica. Pamiętał, co się mawiało w Rzymie: jedynym bezpiecznym sposobem przedostania się na drugą stronę ulicy jest pójście za zakonnica

lub mnichem - przed nimi zatrzymywały się nawet byczki w ferrari.

Chichocząc, nacisnął gaz i ruszył prosto ku niej. Odskoczyła z krzykiem. Hał odwrócił się przez ramię i zobaczył, że wygraża mu pięścią. Parsknął śmiechem i pojechał dalej. Miał czas na szybką przejażdżkę. Pojechał Via Arenula, przez most przechodzący nad ospałym strumyczkiem, jakim zdawał się latem Tyber, i znalazł się na Zatybrzu, na swoich starych ścieżkach, wśród domów w kolorze dyni, moreli i krwistej czerwieni.

Minał piekarnię, w której każdego ranka kupował *cornetti* - obrzydliwe włoskie rogaliki smakujące kurzem, które jednak były częścią włoskiego stylu życia. Dalej stał sklep z artykułami gospodarstwa domowego, w którym kupił mały ciśnieniowy czajniczek do parzenia kawy, po tym, gdy jego włoscy znajomi wkurzali się, kiedy próbował serwować im Nescafe. Tuż za nim był bar, gdzie wieczorami popijał *birrę*. Hala przeszedł dreszcz. Cholera, że też nie mógł wiedzieć wcześniej, iż to właśnie będzie najszczęśliwszy rok w jego życiu! Mógłby rozkoszować się nim, a nie tracić czas, martwiąc się, z czego opłaci rachunki.

Nie mógł wjechać na Piazza Santa Maria z fontanną pośrodku, więc zsiadł ze skutera i pchał go przed sobą. Chryste - wyczyścili front kościoła na rogu tak, że mozaiki, które zawsze były brudnożółte, teraz w słońcu lśniły złotem. Po prawej była ścieżka prowadząca do kina Pasquino - oczywiście zamkniętego w sierpniu - gdzie pokazywano filmy po angielsku, a latem zdejmowano dach i oglądało się filmy pod gwiazdami.

Pojechał dalej, nie mogąc się nadziwić, jak dobrze zapamiętał labirynty uliczek, podczas gdy nie potrafił sobie przypomnieć, co jadł wczoraj na lunch. Przejechał przez most na Via Giulia, otoczoną zakurzonymi butikami. W jednym z ciemnych sklepów starszy mężczyzna czyścił żyrandol. Pies chrapał pod zaparkowaną vespą, nad ulicą wisiał sznur z praniem, który Hal musiał ominąć.

Odtąd wszystkie znaki mówiły, że musi dalej iść pieszo, by dotrzeć do ulubionego placu: gwarneho Campo di Fiori, gdzie grupa sprzątaczy zamiatała stare kwiaty, zgniłe winogrona, figi nadgryzione przez osy i łupinki pistacji z porannego targu. Hal wsiadł na skuter i skierował się do starego getta żydowskiego, potem na Piazza Mattei, by podziwiać oryginalną fontannę z czterema marmurowymi żółwiami pijącymi wodę.

Zawrócił i skręcił w uliczkę, która wyglądała na ślepy zaułek. Jakiś mężczyzna leżał pod swoim skuterem, jedną ręką podtrzymywał go, a w drugiej trzymał skręta. Wychylił się i pozdrowił po imieniu przechodzącą obok zakonnicę. Hal zaparkował vespę i zsiadł; zauważył spoconego Calluma, który stał przed porośniętym winoroślą starym budynkiem z nazwą Da Emilia nad drewnianymi drzwiami.

- Hej! - zawołał Hal.

- Hej! - odkrzyknął Callum, rozcierając ślady po okularach na nosie. - Dobry Boże, Hal Blackstock. Zadowolasz się byle czym? A gdzie limuzyna z przyciemnionymi szybami?

- Pozbyłem się jej. Wracam do przeszłości. Dobrze cię widzieć, stary. - Wyciągnął rękę, a Callum ją uścisnął.

- Tutaj mnie zaprosiłeś? - Wskazał wyblakłe drzwi za nim. - Wygląda zbyt etnicznie, nie odważyłem się sam tam wejść.

- To najlepsza restauracja w mieście. A przynajmniej była dwadzieścia trzy lata temu. - O kurczę, dwadzieścia trzy lata. - Nie jest wytworna, ale bardzo włoska.

- To będzie miła odmiana. - Callum popchnął drzwi. - Chodźmy.

Hal szedł za nim dość spięty. Wnętrze wyglądało tak, jak je zapamiętał z dawnych lat: chłodna kamienna podłoga, ciemnozielone obrusy. Wentylatory pod sufitem delikatnie wirowały nad salą, w której poza dwoma biznesmenami cicho rozmawiającymi przy stoliku w rogu, nie było nikogo.



- Zupełnie jakbyśmy mieli rezerwację. - Callum się uśmiechnął.

- Jest sierpień - przypomniał Hal. - Miasto opustoszało.

- Pamiętał restaurację zawsze przepełnioną, z wysmakowanym jedzeniem, i to, że kiedyś jeden z Amerykanów, których oprowadzał po mieście, dał mu tutaj wyjątkowo hojny napiwek. Teraz brakowało mu tego niezblazowanego Hala, który cieszył się na myśl o posiłku poza domem.

Z zaplecza wyłoniła się starsza dama w czarnej sukni. Rozpoznał w niej Emilię, choć się postarzała. Wtedy, lata temu, bardzo się o niego troszczyła, podtykała darmowe desery i nazywała go swoim angielskim synem. A teraz jej oczy były zamglone z powodu zaćmy, kroki powolne i mimo jego światowej sławy nic nie wskazywało, by go rozpoznawała. A Hal, który wyobrażał sobie serdeczne powitanie, pewien, że z dumą obserwowała jego karierę, sparaliżowany nieśmiałością postanowił nic nie mówić.

- *Si?* - spytała.

- *Yyy... Abbiamo riservato un tavolo. Il nome e Signor farse.*

- *Che?*

Callum stłumił chichot.

- Mamy rezerwację - powiedział. - Pan Jarse.

- *Ah, si, si! Signor farse.* - Wskazała stolik w rogu.

- Proszę tutaj.

Usiedli, a Callum wciąż chichotał.

- Nieźle jak na płynny włoski.

Bezczelny. Czasami Hal zastanawiał się, czemu dotąd go nie zwolnił. Agentka Mariny, Nora, zawsze jej przytakiwała: „tak, Marina, oczywiście, Marina”. Ale on w głębi

duszy lubił to, że Callum się na nim wyżywał. Nikt inny już tego nie robił.

- Mój akcent może trochę zardzewiał - odparł opryskliwie. - Albo jest przygłucha.

- Nie przejmuj się, możesz przetłumaczyć mi menu.

- Callum przewrócił oczami, gdy wręczyła im dwie kartki.

- Nie rozumiem ani słowa. O nie, przepraszam: *pesce alla spada* to miecznik, prawda? Wezmę to.

- Na twoim miejscu bym tego nie brał - powiedział Hal.

- Jest poniedziałek. Nikt nie zamawia ryby w poniedziałki, nie będzie świeża. Targ jest we wtorki i czwartki.

- Naprawdę? To dlaczego jest w menu? - Callum wzruszył ramionami.

- Żebyś wyszedł na ignoranta, jeśli to zamówisz.

- Uśmiechnął się do swoich wspomnień. - Włosi mają dużo dziwnych zasad, zwłaszcza gdy chodzi o jedzenie.

- Tak? Na przykład jakich?

- Nigdy nie dodaje się sera do dań rybnych. Zatem żadnego parmezanu do spaghetti z owocami morza.

- Nie zamówiłbym spaghetti z owocami morza! - zawołał Callum z udawanym oburzeniem. - Mamy poniedziałek.

- Szybko się uczysz! - Hal grzebał w pamięci. - Żadnych sałatek na przystawkę. Sałatki je się po posiłku. Nigdy nie pij soku owocowego z czymkolwiek poza ciastem.

- Boże, twoja partnerka z filmu miałyby problem z trzymaniem się tych reguł.

- Prawda? - przyznał Hal. Justina na planie „The Apple Cart” doprowadzała wszystkich do szału ścisłym przestrzeganiem diety na bazie soków owocowych. - Co jeszcze? Żadnego cappuccino po dziesiątej rano.

- Żadnego cappuccino? Ale ja uwielbiam tak kończyć posiłek.

- O nie! - Hal zamachał rękami. - Całe to mleko i cukier rozchłapane w twoim żołądku i utrudniające trawienie... Czyś ty zwariował?

- Kurczę, sądziłem, że Włosi są anarchistami. Nie wiedziałem, że mają tyle zasad.

- O tak. Też byłem zaskoczony, kiedy tutaj przyjechałem. Myślałem, że się niczym nie przejmują, ale zasady dotyczą wszystkiego - są zasady zabraniające stacjom benzynowym sprzedawać żywność, zasady, które określają, kiedy sklep może wstrzymać sprzedaż, z jakim wyprzedzeniem należy zamawiać taksówkę, a nawet ile zamków muszą mieć drzwi frontowe. Nawet w Neapolu, który wygląda jak dom wariatów, wszyscy zatrzymują się na zielonym świetle, by ustąpić samochodom jadącym na czerwonym...

- Jesteś kopalnią wiedzy, Hal.

- ...i najgorsza rzecz - rozkręcił się Hal - że kocham włoskie jedzenie, chociaż czasem mam dosyć makaronu i pizzy. Ale jeśli masz ochotę na curry, twoi włoscy kumple popatrzą na ciebie, jakbyś zaproponował im talerz z pieczonym psem. Jeżeli *mamma* nie przyrzadzała im tego, gdy byli dziećmi, zwyczajnie tego nie ruszą. Mieszkając tutaj, tęskniłem za vinaloo.

Uśmiechnął się na wspomnienie zakończonej katastrofą próby podania włoskim przyjaciołom jego wersji Pad Thai. - Ale czekaj. Teraz mam ochotę na talerz czegoś prawdziwie rzymskiego. To jak, decydujemy się?

Pół godziny później obaj rozparli się na krzesłach, stękając nad pustymi talerzami. Zaczęli od przystawek złożonych

z różnego rodzaju mięs, przeszli do *carciofi alla giudia*, czyli smażonych karczochów, a następnie zjedli po solidnej porcji jagnięciny w sosie cytrynowym z pieczonymi ziemniakami i brokułami. Dzisiaj Hal będzie musiał ćwiczyć dwa razy dłużej na siłowni, ale posiłek był tego wart.

- Chryste, Hal, wiem, że chcesz zniszczyć mój młodzieńczy urok, ale tym razem przegiąłeś. - Callum śmiał się, poklepując wyraźnie zaokrąglony brzusek ukryty pod pomarańczową koszulką. - Chcesz mnie utuczyć!

- Taki miałem zamiar. - Hal się uśmiechnął. - Jednego mniej w zawodach.

- A jaki jest twój hotel? - Callum wycierał sos kawałkiem chleba. - Mam nadzieję, że dali ci lepszy apartament niż Justinie.

- Ona dostała lepszy - przyznał Hal. - Dużo większy, no i z własną sauną. - Sprawdził to w internecie. - Miałem na oku taki jeden po drugiej stronie korytarza. Ma widok na Rzym, a mój tylko na ogród. Widok na ogród można mieć gdziekolwiek. Ale jacyś nowożeńcy go zakleпали. Dziwne. Zeszłej nocy poznałem kobietę, która go zajmuje; okazało się, że jest lekarką. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że ją na to stać.

- Lekarze zarabiają teraz krocie. Moja Robyn jako dermatolog zarabiała trzy razy tyle, ile ja.

Hal przez moment zastanawiał się, dlaczego Callum użył czasu przeszłego, ale wolał trzymać się swojego wątku.

- Tak, ale ta leczy państwowo.

- Cóż, jej mąż musi być nadzianym bankierem.

- Pewnie tak - zgodził się Hal, jednak w tym wypadku wydało mu się to mało prawdopodobne. Znał

wiele żon bankierów, wszystkie wyglądały tak samo: blond pasemka we włosach, masa beżu i szarości, świeżo wyprasowany len i jedwab. Nie nosiły wyblakłych, workowatych koszulek i nie upinały włosów fioletową zapinką na czubku głowy. Gdy się nad tym zastanowił, żadna nie była lekarzem - prawie wszystkie to matki na pełnym etacie mające do dyspozycji pomoc domową. Tych kilka, które pracowały, zajmowało się wyposażeniem wnętrz albo miało butik z ubraniami dla ciężarnych, „ponieważ było im trudno dostać coś stylowego na swoją figurę”.

Podejrzewał jednak, że bankierzy to niejedyni nadziani goście, choć na myśl nie przychodził mu nikt inny, oczywiście poza gwiazdami filmowymi.

- Lekarz - zaczął w zamyśleniu. - Wiesz, naprawdę podziwiam takich ludzi. Robią w życiu coś ważnego, zamiast przebierać się w kostiumy i wygłupiać, recytując kwestie napisane przez innych. Spotkanie z nią sprawiło, że naprawdę zacząłem się zastanawiać. Może powinienem się wycofać...? Zrobić coś z moim życiem...

Callum się uśmiechnął. Już to słyszał. Nie od Hala - od wszystkich swoich klientów.

- Mógłbyś tak zrobić. Daniel Day-Lewis rzucił to wszystko i został... szewcem. Ale zanim podejmiesz jakąś decyzję, zastanów się chwilę nad tym, co chcę ci powiedzieć.

- Tak? - Hal wysączył ostatnie krople czerwonego wina z karafki.

- Mam scenariusz Andreasa Bazottiego z fantastyczną rolą dla ciebie. Nie komedia, prawdziwa sztuka. Mówimy tutaj o małych złotych statuetkach, Hal. To by zupełnie

zmieniło twój aktorski profil. Mógłbyś na dziesięć minut wyłączyć w nocy telewizor i to przeczytać?

Hal miał mętlik w głowie. Myślał o porzuceniu aktorstwa, ale Andreas Bazotti był bardzo modnym reżyserem: młodym i ostrym. Każdy chciał z nim pracować. Flora, wiedział to na pewno, przytyłaby cztery tony i porzuciłaby wszystkie swoje zasady, nawet gdyby miała jedynie stać jak słup w jakimś jego filmie.

- Pomyśl o Johnie Travolcie w „Pulp Fiction” - mówił Callum, jakby czytając w jego myślach. - To by mogło tak samo wpłynąć na ciebie, Hal.

Po raz pierwszy od pięciu lat Hal poczuł podniecenie niezwiązane z seksem ani z wygraną na Play Station. Mógłby zagrać w poważnym filmie, a nie jakiejś farsie. Byłby nominowany do Oscara. Dostałby statuetkę i udowodnił, że jest kimś więcej niż tylko ozdóbką u boku Flory, nie tylko ładnym chłoptasiem, który potrafił wypowiedzieć zabawny tekst. Jednocześnie jednak powstrzymywał go ten Hal, który nie lubił, gdy ktoś widział, że w cokolwiek wkłada wysiłek.

- Mógłbym zerknąć - zaryzykował.

- Zrób to, stary. - Callum wziął łyk wody. - Jeśli ci się spodoba, jak najszybciej wsadzimy cię do samolotu do Los Angeles. Do końca tygodnia powinieneś się spotkać z Andreasem.

- Do końca tygodnia? Chyba nie dam rady, stary. Pamiętasz, że przyjeżdża Flora? Spędzimy krótkie wakacje na Capri.

- Hm... Nie sądzisz, że starczy wakacji na ten rok, Hal?

- Cal! Chyba nie wierzysz w te bzdury, które wypisują gazety?

- Oczywiście, że nie. - Callum się uśmiechnął.
- Wcale nie miałem tak dużo urlopu - bronił się Hal. - Okej, pojechaliśmy na Nowy Rok do Kenii.
- No tak.
- W lutym wybraliśmy się na Mauritius. Potem w marcu i kwietniu byliśmy u Flory na Barbadosie. Ale to nie były wakacje!
- dodał triumfująco. - Ona pracowała.
- Ona pracowała?
- Tak, ja też! Czytałem kilka scenariuszy. Trochę myślałem o mojej książce. Łączę teraz wątki.
- Callum wycierał sos z talerza kromką chleba. -No i?
- Potem w czerwcu pojechaliśmy do Pragi - ale miałem tam spotkania. Tylko weekend mieliśmy wolny. A w zeszłym miesiącu promowałem w Los Angeles ten cholerny film. Więc to też praca.
- Mimo że na tydzień wyjechałeś do domku w Big Sur...
- Nieważne. To tyle - podliczył Hal. - Dwa razy były porządne wakacje i jakieś wyjazdy weekendowe. To nie tak dużo.
- Pewnie, że nie. Wiem, że ciężko pracujesz. Ale spójrz, proszę, na ten scenariusz. Być może uznasz, że warto dla niego poświęcić kilka dni wakacji. - Milczał chwilę, zanim powiedział:
- Mój telefon dzwonił wczoraj jak oszalały. Wiesz, zaręczyny Mariny.
- A, tak - rzucił lekko Hal, czując jak serce mu łomocze niczym zepsuta winda. - Słyszałem. Muszę jej pogratulować.
- No, wypadaloby. Wysłałem jej kwiaty.

- To ile czasu im dajesz? Rok? Dziewięć miesięcy? Callum pokręcił głową.

- Chryste, ale z ciebie cynik. Możesz nie wierzyć, ale kiedy wpadłem na nią i Fabrizia w Cannes, naprawdę wyglądali na zakochanych.

- Świetnie.

- I jak się z tym czujesz? - zagadnął Callum. - Boże, ale pyszne to wino. Wypiję jeszcze jeden kieliszek.

- Dobrze się z tym czuję - odparł Hal, patrząc w talerz. - Marina może wyjść za mąż za kogo zechce.

- Ale to musi być dla ciebie trudne, po tylu latach spędzonych razem.

- Po prostu nam nie wyszło. Nasze uczucie umarło już dawno. Przez ostatnie trzy lata po prostu telepaliliśmy się ze sobą. Gdyby praca przez tyle czasu nie trzymała nas z dala od siebie, rozstalibyśmy się dużo wcześniej.

- Albo nie. A może gdybyście spędzali więcej czasu razem, mielibyście coś bardziej trwałego, podstawę, żeby budować związek.

- Niewykluczone - odpowiedział Hal uprzejmie. Co to, sesja u psychologa? - Marina nie okazała się tą właściwą. Zbyt głośna, zbyt ambitna, zbyt bezpośrednia w stosunku do mnie.

Była zabawna. Przypomniawszy sobie, jak grali w rozbieranego tenisa na korce Calluma, kiedy ten pojechał z Robyn odwiedzić jej babcię. Marina w samym biustonoszu, a on tylko w skarpetkach. Próbował namówić na to samo Flore, ale popatrzyła na niego tak, jakby mówił o czymś tak wstydlwym jak kurczajki analne.

Callum wzruszył ramionami.

- Chyba masz rację. To znaczy na pewno masz rację.



- Flora jest dla mnie lepsza. Jest mniej... chciwa. Nie obchodzi jej przyjęcia i czerwony dywan ani pozowanie paparazzim. Jest piękna, inteligentna i... dobrze wychowana. Mogę powiedzieć, że jest moim ideałem.

- To wspaniale, Hal. Bardzo się cieszę. Przyjeżdża jutro, tak?

- Nie, ma jakieś problemy w fundacji. Nie uda jej się dotrzeć tutaj przed weekendem. Więc jutro będę miał randkę z tobą.

- Och, muszę pamiętać, żeby włożyć mój najlepszy frak! - Na chwilę zapadło milczenie. - Chciałbyś dzisiaj przeczytać ten scenariusz?

Hal się zawahał.

- No nie wiem. Chciałbym odpocząć.

- Łatwo się czyta. Myślę, że ci się spodoba.

Nagle propozycja Cala wydała mu się nie do przyjęcia. Gdy zapozna się ze scenariuszem, będzie musiał zdecydować, czy startować do roli, a takie decyzje go przerażały.

- Nie dzisiaj, stary. Nie jestem w nastroju do czytania. Jutro.

- Okej. Ale nie siedź nad nim zbyt długo. Nie traćmy czasu. Jeżeli chcemy się zgłosić, musimy działać szybko. Więc może jednak dzisiaj przeczytasz? Wyślę ci go kurierem.

- Zobaczymy. - To był jego ulubiony zwrot, oddalający konieczność zaangażowania się. Marinę doprowadzał on do szału. - Myślałem o treningu i wcześniejszym położeniu się spać.

- Spodoba ci się. Proszę, zrób to dla wujka Calluma.

- Zobaczymy.

- To musi być Via Condotti - powiedziała Lisa, gdy schodziły po schodach hotelowych. - Konsjerż mówił, że to taka włoska wersja Bond Street. Wczoraj byłam na Via del Corso, trochę tandetna. Jutro chyba wybiorę się do outletu na obrzeżach Rzymu. Mają tam dziewięćdziesiąt pięć sklepów. Możesz iść ze mną, jeśli masz ochotę.

- Hmm. - Amy westchnęła. Uwielbiała zakupy, jednak przesadziła z wydatkami podczas przygotowań do ślubu. A jutro będzie tutaj Gaby. - Myślę, że dopóki mój mąż jest chory, nie powinnam iść na zakupy. Poza tym jestem kompletnie splukana po... ślubie.

- Wyobrażam sobie. Simon będzie następnym bankrutem. Wszystko już zaplanowałam: wynajmiemy karoce ślubną, włożę suknię zdobioną kryształami górskimi... No i musi być też wersja mini dla Emily. Impreza weselna będzie kameralna, najwyżej pięćdziesiąt osób, Simon nie ma wielu znajomych, ale za to miesiąc miodowy spędzimy na Seszelach. - Upajała się tą myślą. - Nie mogę się doczekać. Muszę tylko go przekonać, żeby zgodził się, by Emily pojechała z nami, wtedy wszystko będzie idealnie. - Zatrzymała się, gdy przechodziły przez

ulicę, spojrzała w prawo, potem w lewo. - A u ciebie jak było?

- Wspaniale - odpowiedziała Amy niewyraźnie. Gdy stały, czekając, by przejść na drugą stronę, przyjrzała się Lisie dokładniej. Niepotrzebnie nakłada taką grubą warstwę makijażu. Pod nią kryje się bardzo ładna buzia: prosty nos, wydatne usta i ogromne brązowe oczy, prawie całkowicie przysłonięte toną tuszu. Blond włosy lśniące, a cera gładka i promienista. - Och! Uważaj na skuter! Więc gdzie będzie ślub?

- Znalazłam cudowny dworek w pobliżu Guildford. Dokładnie tam, gdzie wokalistka Rockdoodle poślubiła tego piłkarza. A twój gdzie był?

- W urzędzie stanu cywilnego, natomiast przyjęcie w miejscu zwanym Cinnamon Club w Westminster. - Przypomniała sobie to napięcie, kłótnie związane z wyborem miejsca, łzy mamy, gdy dowiedziała się, że nie będzie ślubu kościelnego, bo ani ona, ani Doug nie uważali się za specjalnie religijnych, oraz że uroczystość nie odbędzie się w Salcombe, bo to za daleko dla szkockich krewnych Douga.

- Jesteś z Londynu? Skąd dokładnie?

- Z Hackney. - Amy uśmiechnęła się z dumą. Jako dziewczyna marząca o wyrwaniu się ze wsi zawsze z tym samym dreszczem ekscytacji mówiła o dzielnicy, w której mieszkała, gdzie jedną z ulic nazywano „morderczą milą” i gdzie łatwiej było o zakup narkotyków niż świeżych warzyw.

Lisa zmarszczyła brwi.

- O kurczę, biedna jesteś. Ja mieszkam w Walthamstow. Nie chcesz się wynieść?

- Nie, właściwie nie. - Amy przypomniała sobie, że Danny mówił ciągle o przeprowadzce do Surrey lub Kent. - To znaczy czasami mam dosyć dresiarzy; szwendają się na końcu ulicy, łażą pod moimi drzwiami, ale z drugiej strony lubię ten nieustanny gwar. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby mi się to kiedyś znudzić.

Lisa przewróciła oczami.

- Znudzisz się, gdy tylko pojawi się dziecko. I te cholerne ćpuny przemieszczające się pojazdami typu buggy. Wyniosłam się z miasta przy pierwszej nadarzącej się okazji. Nie przeszkodziło mi nawet to, że ojciec Emily spieprzył, zostawiając mnie z małym dzieckiem i całą listą długów. Przez pięć lat musiałam mieszkać z matką, dopóki ich nie spłaciłam. Pracowałam w dziale bielizny w Debenhams, w Croydon. Nie była to najgorsza praca, szczególnie na krótko, ale jednak.

- Współczuję. - Amy słyszała codziennie podobne historie na oddziale, ale zawsze ją poruszały.

Lisa się rozpogodziła.

- No tak, teraz jest w porządku, bo znalazłam Simona. Nie muszę pracować, Emily może mieć wszystko, o czym zawsze marzyła. On jest dziany, rozumiesz. Wielgachny dom, przestronny ogród, dostatecznie dużo miejsca na basen i saunę fińską, gdybyśmy tylko chcieli. - Uśmiechnęła się. - Macie ładny pokój? Nasz jest cudny, choć Simon był wkurzony, że nie dostaliśmy apartamentu. Powiedzieli mu, że wszystkie były wcześniej zarezerwowane, nawet te mniejsze. Może wy mieszkacie w jednym z nich?

- Tak się składa, że owszem. - Amy była zmieszana.

- Ty szczęściaro! - powiedziała Lisa, gdy mijały księdza wrzeszczącego do telefonu. - Jeden z tych dużych?

- Apartament Popolo.

- Wow! Jeden z trzech najlepszych. - Zniżyła głos.

- Wiesz, kto mieszka w pozostałych?

- Tak, wiem, Hal Blackstock i Justina Maguire.

- Uśmiechnęła się na myśl o incydencie z krostą. Oczywiście za nic w świecie nie puści o tym pary z ust, ale nic nie przeszkadzało jej opowiedzieć inną historię. - Właściwie to Hal Blackstock chciał zamienić się apartamentami ze mną... znaczy z nami. Jego jest z widokiem na ogród, a wolał ten z widokiem na miasto. Ale się nie zgodziłam.

- Nie wierzę! - pisnęła Lisa. - To nawet zabawne. Koniecznie musisz opowiedzieć o tym Christine. Ona pewnie nawet zapłaci ci za taką informację. - Wyciągnęła komórkę z torebki. - Zadzwoń do niej.

- Kto to jest Christine?

- Christine Miller? - Lisa spojrzała na Amy, licząc, że ta załapie, ale po chwili się poddała. - Dziennikarka od wywiadów i felietonistka z „Daily Post”. Właśnie dla niej pracuje Simon. Jest fotografem w „Post”. Pracuje najdłużej ze wszystkich, już trzydzieści lat. Dlatego przyjechali do Rzymu, żeby zrobić wywiad z Halem Blackstockiem. Właściwie to zrobili go wczoraj. Simon twierdzi, że Hal jest głabem, chociaż on mówi tak o wszystkich. Natomiast Christine powiedziała, że trudno było go podejść. Dzisiaj próbują zrobić zdjęcie anorektycznie wyglądającej Justiny.

- Aha, rozumiem.

- Serio, powinnaś opowiedzieć Christine o nieudanej próbie zamiany pokojów. Rozbawiłaby ją ta historia.

- Wolałabym nie, jeśli nie masz nic przeciwko. Ja... nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tutaj jestem.

-Tak?

- Tak. Mój... mój eks jest strasznym zazdrośnikiem i nie może pogodzić się z faktem, że wyszłam za mąż, więc...

- W porządku! - Lisa należała do kobiet, które uwielbiały intrygi. - Wiem, wiem. Też byłam z takim jednym, przeżyłam prawdziwy koszmar. Zakradł się do mojego ogródka i zwinął moje majtki, które wisiały na sznurze. Dobra, zapomnij o tym, co mówiłam. - Skinęła głową w prawo, w stronę sklepu Prądy. - Mogłybyśmy tam wejść, ale konsjerż mówił, że ten na rogu jest lepszy.

Przeszły przez Piazza di Spagna wypełniony turystami, gdzie powozy konne oczekiwały chętnych na przejażdżkę. Po lewej, na Schodach Hiszpańskich siedziała niemiecka młodzież, śpiewali przy akompaniamencie gitar. Zmęczone Szwedki stały oparte o plecaki, ignorując zaczepki nachalnych Włochów, dziesiątki artystów malowało wątpliwej jakości akwarelki. Lisa skręciła w prawo, w Via Condotti, okupowaną przez Rosjan i Amerykanów pocących się obficie w porannym skwarze.

Amy myślała, iż dobrze się złożyło, że nie powiedziała Lisie o zdarzeniu w saunie. Na szczęście zainteresowanie Lisy z osoby Hala przeniosło się na sprawy pierwszej wagi w tym momencie, czyli wystawę sklepu Prądy.

- Wow! Prawda, że te buty są cudowne?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Lisa otworzyła drzwi, a Amy podążyła za nią. Uderzyła ją mieszanka wody kolońskiej i charakterystycznego zapachu klimatyzowanego pomieszczenia. Dywan był gruby, puszysty, niczym

w pokoju kąpielowym z lat siedemdziesiątych, a sprzedawcy niezwykle uprzejmi.

- No chodź. - Lisa weszła na schody.

Pierwsze piętro mieściło niewiarygodnie dużo stoisk: z butami, z torbami, ze skąpą bielizną, w którym buszowała grupka głośnych Chinek, i tylko kilka z ubraniami. Amy prawie bezwiednie podryfowała w stronę szyfonowego topu i dotknęła go czule jak małego kotka.

- Świetnie byś w tym wyglądała - stwierdziła Lisa. Amy uśmiechnęła się i wzięła ciuch, marudząc niczym

nastolatka: - Jestem za gruba. Spójrz na moje uda.

- Coś ty, naprawdę genialnie byś wyglądała - nalegała Lisa. - Przymierz. A, nie! Chyba nie ma sensu, i tak utyjesz. Od teraz same sukienki z gumą w talii i ogromne majty.

- Tak naprawdę to nieporozumienie - zwierzyła się Amy. - Nie jestem w ciąży. Po prostu tamtego ranka wyglądałam grubiej niż zwykle.

Lisa się roześmiała.

- O kurde! Przepraszam, musisz być zawstydzona. To nie tak, że wyglądałaś na osobę w zaawansowanej ciąży, ale mógł to być dopiero początek. - Uśmiechnęła się. - W porządku, w takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś zafundowała sobie nowe, włoskie ciuszki.

- Nic poza tym, że nie stać mnie na nie - odparła Amy, jednak Lisa brnęła dalej:

- Jaki masz rozmiar? Dwanaście?

- Dziesięć - sprostowała w swojej obronie. Podjęła wielki wysiłek, by zrzucić parę kilogramów przed ślubem.

- No nie wiem... - mruknęła Lisa z niedowierzaniem. - Jednak angielska rozmiarówka jest większa niż europejska.

Może spróbuj czterdzieści dwa. Już ci mówiłam, pracowałam w Debenhams - ciągnęła, przeszukując kosze z ciuchami - więc trochę się na tym znam. - Wyciągnęła parę czarnych dżinsów, wybrała kilka topów i wysłała Amy do przymierzalni. - Zobaczymy, czy będą ci się podobać.

Amy zasunęła kotarę, ściągnęła sukienkę i stojąc w staniku i majtkach od Marksa & Spencera, przyglądała się sobie. Potem bez przekonania włożyła szyfonowy top. Wyglądał trochę „babciowato”. Na widok swojego odbicia w lustrze jednak zastygła. To było zdumiewające. Wyglądała...

- Pięknie - powiedziała Lisa jednym tchem, wsuwając głowę za zasłonę.

- No tak, ale to kosztuje trzy tysiące euro. - Amy z ponurą miną patrzyła na metkę. Wydała tyle pieniędzy na wysadzone perłami nakrycie głowy i zaproszenia od Smythsona, że nic tego nie usprawiedliwiało. - Czy w Rzymie nie ma innych sklepów, na przykład River Island?

- Nie gadaj, tylko przymierz te spodnie.

Nie potrzebowała dalszej zachęty. Niespodziewanie jej wielkie pupsko jakby zredukowało się do rozmiaru sześć. Gdy miała już włożyć swoje ciuchy z powrotem, Lisa pojawiła się z sukienką. Nie jakąś tam sukienką, ale blad różowym jedwabiem na cieniutkich ramiączkach, z pofałdowanym dołem przez udrapowanie w talii. Sukienką idealną. Taką, jaką pragniesz znaleźć, przeszukując Primark, ale nigdy jej nie znajdujesz, bo ona jest u Prądy.

Jeszcze zanim dopięła zamek, wiedziała, że wygląda zachwycająco. Nigdy siebie takiej nie widziała. Nie puszczająca nawet, że ma tak wąską talię, a dekolt naprawdę



ponętny. Wyglądała zjawiskowo i patrzyła na siebie z uroczoną. To nie była ta Amy, która codziennie gapiała się na nią z lustra. Może gdybym wydawała pieniądze rozsądniej, pomyślała, i zainwestowała trochę w takie ciuchy - tak właśnie - od Prądy, on nadal byłby ze mną. Czy na tym polegał mój błąd? Zdawała sobie sprawę, że to bzdura: Doug lubił dziewczyny noszące obcisłe dżinsy i koszulki w stylu vintage, a nie lalunie w ciuchach z metkami znanych kreatorów mody.

Kiedy wyszła z przymierzalni, zarówno Lisa, jak i sprzedawczyni nie kryły podziwu.

- Przepięknie. - Lisa była pod wrażeniem.

Mimo bladych policzków i potarganych włosów Amy chyba jeszcze nigdy nie wyglądała ładniej. Tak właśnie miała nadzieję olśnić wszystkich w dniu ślubu.

- Musisz to mieć.

- Nie mogę. - Amy nie miała odwagi spojrzeć na cenę. - Kiedy to włożę?

- Cholera jasna, przecież to wasz miesiąc miodowy! Nie wybieracie się na romantyczne kolacje do ekskluzywnych restauracji?

Ironia rozbawiła Amy. Lisa nie miała pojęcia, że dla Amy najważniejszym wydarzeniem tego roku będzie bożonarodzeniowy obiad dla chirurgów w Pizza Express. Ale wtedy nagle coś sobie przypomniała.

- Właściwie to... zostałam zaproszona na premierę „The Apple Cart” i popremierowe przyjęcie.

- Naprawdę? Cholerna szczęściaro, jak ci się to udało?

- Hal dowiedział się, że jestem... to znaczy jesteśmy w podróży poślubnej i wysłał nam zaproszenie.

- Niemożliwe, na serio? Cholera jasna. Christine wychodziła ze skóry, żeby dostać zaproszenia, ale prasa nie jest tam mile widziana. Powinnaś jej o tym powiedzieć. Byłaby z tego świetna historia.

- O, nie, nie... Raczej nie.

- Może więc opowiedziałabyś Christine parę szczegółów o przyjęciu, bez nazwisk, niczego takiego. Ona zapłaci.

- Nie jestem nawet pewna, czy tam pójde - skwitowała Amy. Lisa spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Dlaczego? Bo twój mąż nadal nie będzie się czuł dobrze? Olej go, powinnaś pójść mimo wszystko. To będzie genialna impreza.

Amy pomyślała chwilę. Nie planowała pójścia na przyjęcie, ale właściwie czemu nie? Ostatecznie Gaby dotrze jutro wieczorem i na pewno przykłaśnie pomysłowi. A jeśli ta flądra, Vanessa, będzie ją wypytywać, gdzie jest mąż? Przez moment zastanawiała się, jak przebiegnie USG Gaby i czy dowie się, jakiej płci jest dziecko. Wtedy głos Lisy sprowadził ją na ziemię.

- Jeśli martwisz się o kasę, ja zapłacę.

- Nie możesz tego zrobić! Lisa wzruszyła ramionami.

- Nie widzę powodu, by tego nie robić. Mam kartę American Express Simona. Planowałam kupić mamie kurtkę skórzaną, siostrze sukienkę i oczywiście masę rzeczy dla Emily.

- Okej, ale nie możesz kupować rzeczy dla mnie. To byłoby nie fair.

- Nie ja kupuję, tylko Simon. On nie dba o to, dopóki w okolicy jest jakiś bar, gdzie może się oddawać swoim przyjemnościom.

- To jeszcze gorzej. Dzięki, ale nie. - Amy pokręciła głową. Nie mogła oderwać wzroku od swojego odbicia w lustrze. Musi ją mieć. Suknia, która sprawiała, że wyglądała tak cudownie, była inwestycją w siebie. I jeśli - nie, raczej kiedy - Doug zobaczy ją w tej sukience, rozplynie się na jej widok. Poza tym dzięki hipochondrykowi Halowi Blackstockowi mieszka w hotelu za darmo.

- Idziesz na premierę filmu - powiedziała Lisa. -1 wybac, że to mówię, nie zrozum mnie źle, ale będziesz potrzebowała czegoś odpowiedniejszego niż to, co masz dzisiaj na sobie.

Miała rację.

- Dobra, biorę. Lisa klasnęła w ręce.

- Super!

- Czy mogę poprosić o pani kartę? - odezwał się przymilnie sprzedawca.

Zniknął na dole, zostawiając Amy; siedziała na krześle i oddychała ciężko. Parę minut później wrócił z kartą wetkniętą w skórzane etui jak w jakiejś eleganckiej restauracji. Amy nawet nie spojrzała na kwotę. I tak była już splukana, więc co znaczyła kolejna suma w ogólnym rozrachunku. Wystukała swój PIN.

- Śluszna decyzja - pochwaliła Lisa. Amy uśmiechnęła się szeroko.

- Prawda? Tylko już żadnych więcej zakupów, proszę. Bo zbankrutuję.

- Jasne. Żadnych więcej zakupów dla ciebie. Ja dopiero zaczynam. Gucci, Dolce i Gabbana, Versace, Miss Sixty, Diesel - wiedziałaś, że Diesel to włoska firma? Ferragamo, Fendi. Cholera, dużo tego. - Spojrzała na zegarek. - Ale najpierw krótka przerwa.

Po przejrzeniu przewodnika Amy zasugerowała Caffè Greco, tuż obok.

- To ta kawiarnia, w której przesiadywali Stendhal, Goethe i Keats.

- Czadersko. A w którym klubie grali, w Lazio Rzym? Kawiarnia była po brzegi wypełniona turystami, więc po zajrzeniu do środka zrezygnowały.

- Okej, a może...? - Amy zmarszczyła czoło, przerzucając strony. - Co sądzisz o Bar delia Pace? Idealny punkt obserwacyjny celebrytów, tak piszą.

- Serio? - Lisa oblizwała wargi w oczekiwaniu. - W takim razie to jest właśnie to miejsce.

Amy cały czas zerkała na mapę. Szły bocznymi uliczkami, przez malutki plac, nad którym górował potężny Panteon, następnie długim prostokątnym Piazza Navona z fontannami, obok kawiarni pełnych turystów, karykaturzystów na taborecikach i Afrykańczyków sprzedających błyskotki, aż wreszcie dotarły na miejsce. Bar delia Pace był tuż przed nimi, przy malowniczym placu, gdzie dominował kościół. Przy stolikach rozstawionych na zewnątrz rozmawiali elegancko ubrani goście. Widząc, że jedna

para zbiera się do wyjścia, Lisa pośpieszyła w stronę ich stolika. Usiadły, a zakupy od Prądy Amy ustawiła przy nogach. To śmieszne, ale nie pamiętała już, kiedy czuła się tak dobrze jak teraz, patrząc na nie.

- Dzięki, że nakłoniłaś mnie do kupna tej sukienki. Potrzebowałam czegoś na poprawę humoru.

Amy chciała, by Lisa zapytała „dlaczego” i pociągnęła ją za język, dając jej pretekst do opowiedzenia tej strasznej historii. Lisa jednak błędziła myślami już gdzieś indziej.

- Chodziłaś do szkoły z internatem? Amy była zdziwiona.

- Nie, chociaż mój chł... to znaczy mój mąż chodził. Dlaczego pytasz?

- Był zadowolony?

- A skąd, nie znosił tego miejsca. Mówił, że było strasznie przygnębiające tkwić tam całymi dniami, z obrzydliwym żarciem i przymusową gimnastyką przed śniadaniem. - Serce Amy ścisnęło się na myśl o tym, jak Doug opisywał swoje szkolne dni. Pomimo jego gwałtownego charakteru opowiadał zabawnie, a Amy śmiała się do łez.

- Tak właśnie myślałam. - Lisa westchnęła. - Widzisz, Simon twierdzi, że Emily powinna pójść do szkoły z internatem. Uważa, że to najlepsze środowisko dla dzieci. Chce, by zaczęła od następnego semestru.

- Ale ona ma dziewięć lat!

- Mówi, że mnóstwo dzieciaków jest wysyłanych do szkół w tym wieku.

Amy była przerażona.

- Nie powinnaś się na to zgodzić! Twarz Lisy przybrała zatroskany wyraz.

- Może to będzie dla niej najlepsze. Otrzyma świetne wykształcenie. I to jedna z przyczyn, dla których wychodzę za Simona: by dać jej możliwości, których ja nigdy nie miałam. O, *ciao* - powiedziała, uśmiechając się do kelnera, który zachwycony odwzajemnił uśmiech. - *Dos Proseccos, por favor. Gracias.* - Zwróciła się do Amy. - Nawet nie wiesz, jaką kasę można zarobić na fotografowaniu. Pracuje od wielu lat dla „Post” i wie, jak unikać wydatków. Mówi, że sam zarobił blisko milion, wystawiając rachunki za posiłki, których nigdy nie zamówił, i taksówki, z których nie korzystał. Dopóki nie poznał mnie, nie miał nikogo, na kogo mógłby wydawać pieniądze. - Uśmiechnęła się zadowolona. - A czym zajmuje się twój mąż?

- Gra na gitarze w zespole rockowym - odpowiedziała niechętnie Amy, odliczając, kiedy padną kolejne nieuniknione pytania. Pięć, cztery...

- Naprawdę? Znam ich? - Lisa patrzyła na Amy z nowym zainteresowaniem. To był ten rodzaj spojrzenia, do którego Amy bardzo się przyzwyczaiła w ciągu ostatnich lat.

- Nie. Nazywają się Ambrosial i od lat bezskutecznie prowadzą rozmowy w sprawie wydania płyty.

- Więc twój mąż jest gwiazdą rocka? U Amy pojawiło się wyblakłe *déjà vu*.

- Tak. A ja jestem lekarzem.

- Wow, wspaniały zawód.

- Dziękuję.

- Powinnaś opowiedzieć to Christine. Ona może nadać sprawie rozgłosu. - Postawiono przed nimi dwa kieliszki z musującym trunkiem. - O, dziękuję. Na zdrowie.

Stuknęły się kieliszkami i Amy upiła łyk prosecco. Bąbelki łaskotały ją w nosie.

- Przystojny? Mam nadzieję, że go poznam - trajkotała Lisa.

- Jest w porządku, ale żadne bóstwo. - Czas najwyższy, by zmienić temat. - Jak poznałaś Simona?

Lisa się uśmiechnęła.

- Przez internet, jeśli już chcesz wiedzieć. Był samotnym wdowcem, a ja samotną wdową. Przynajmniej tak mu powiedziałam. Zresztą, wzięwszy pod uwagę nasze relacje z ojcem Emily, to tak jakby nie żył. - Widząc zdumioną minę Amy, roześmiała się. - Nie, nie popełnię bigamii. Nie byliśmy małżeństwem. Na pierwszej randce, kiedy Simon wziął mnie do miasta, do hotelu Ritz, pomyślałam: mogłabym do tego przywyknąć. Chociaż jego też lubię - dodała, zanim Amy mogła coś wtrącić. - On jest trochę... to znaczy dużo starszy ode mnie, ale jest miły... No i ten jego piękny, olbrzymi dom...

- Tak, wspominałaś już o tym.

- Ma pięćdziesiąt pięć lat. Już był żonaty, ale im nie wyszło. Twierdzi, że miał trudności z poznaniem kogoś, bo ciągle podróżuje; jechał za księżną Dianą do Afryki i śledził Beckhamów podczas ich zimowych wypadów na narty. Dla mnie to cudowne, ale dla niego męczące, doskwierała mu samotność. Codziennie inny hotel. Oszalał z radości, gdy dowiedział się, że pojedę z nim do Rzymu. Mówi, że to ogromna różnica, jeśli jest ktoś, z kim można pić alkohol z minibarku. Chce, by Emily poszła do szkoły z internatem, żebym mogła częściej z nim podróżować. Dla mnie to brzmi wspaniale, nie rozumiem tylko, czemu



Emily nie mogłaby przynajmniej raz na jakiś czas pojechać z nami. - Wypiła kolejny łyk i kontynuowała: - Nie ma dobrego porozumienia z Emily, ale się przyzwyczai. Jak mówiłam, absolutnie nie zgadza się, żeby pojechała z nami w podróż poślubną, a moim zdaniem to świetna okazja, żeby się bliżej poznali. Wiesz, on nie ma dzieci, nigdy nie chciał mieć. Dlatego czasem Emily go drażni, wydaje mu się zbyt hałaśliwa, ale to się zmieni, prawda?

- Na pewno - odparła Amy w sposób, w jaki rozmawiała z pacjentami, gdy zdawała sobie sprawę, że argumentacja na nic się nie zda.

- Mam nadzieję. - Lisa spojrzała na kartę z menu. - Co zamawiasz? Ja wezmę sałatkę. - Poklepała się po brzuchu.

- Przed ślubem muszę dbać o figurę.

- Ja wezmę kanapkę - powiedziała Amy. W tym momencie podniosło się dwóch młodzieńców w okularach przeciwsłonecznych, chinosach i koszulach w paski z postawionymi kołnierzykami.

- *Buon giorno, signorine* - zagadnął ten przystojniejszy. Lisa spojrzała na nich ostrożnie.

- Hejka.

- Jesteście Angielkami? - Mężczyzna się uśmiechnął.

- Nie chcemy przeszkadzać, ale się zastanawialiśmy, czy możemy się do was przysiąść.

Cały niewielki taras był zajęty. Lisa przytaknęła uprzejmie.

- Czemu nie.

Usiedli i się przedstawili. Przystojniejszy nazywał się Massimo, mniej przystojny Luigi. Dwudziestopięcioletni studenci szkoły ekonomicznej w Rzymie za kilka dni wracali

na wakacje do rodzinnych posiadłości, na Sycylię i Sycylię. Świetnie mówili po angielsku, co było rezultatem rocznego pobytu w szkole językowej w Brighton. Zamówili cztery prosecco i wznieśli toasty: - *Cin, cin* - co, jak wyjaśnił Luigi, jest włoskim odpowiednikiem „na zdrowie”.

- A wy, drogie panie - zapytał Massimo - co robicie w Rzymie?

Amy już chciała wybrnąć typowym dla takich sytuacji kłamstwem, gdy Lisa kopnęła ją mocno pod stołem.

- Ał... - jęknęła, ale zagłuszyła ją odpowiedź Lisy: - Ach, wyskoczyłyśmy na kilka dni relaksu. Taki babski wypad, wiece, zakupy, SRA.

- Podoba się wam Rzym? - Massimo nachylił się w ich stronę.

- Och, tak, jest zachwycający, prawda, Amy? Przynajmniej to, co zobaczyłyśmy do tej pory, ale głównie sprowadzało się do sklepów. - Zachichotała, a oczarowani mężczyźni zawtórowali jej.

Coś w niej przypominało Pinny, z którą Amy dawno zerwała kontakt. Serce ją zakłuło, gdy pomyślała, że Pinny mogła właśnie pocieszać Douga.

- A Forum? Koloseum? San Pietro? Co z tego widziałyście? - Luigi wydawał się poważniejszy.

- Co? Oj, nie. Jeszcze nie. Na litość boską, jest piekielnie gorąco, prawda? A sklepy są klimatyzowane.

Mężczyźni roześmiali się głośno i zwrócili się do siebie po włosku. Massimo odchrząknął.

- Macie jakieś plany, powiedzmy - na dzisiejszy wieczór, drogie panie? Możemy pokazać wam niektóre z tych pięknych miejsc naszego miasta.

Amy otworzyła buzię, by odpowiedzieć, że jest wolna jak ptak, ale Lisa znów ją kopnęła.

- Niestety, obawiam się, że nie, chłopcy. Mamy coś do zrobienia w hotelu. Za to jutro jesteśmy wolne, prawda, Amy?

- Hm, sądzę, że tak...

- Do jutra zatem. - Massimo się uśmiechnął. - Będziecie miały prywatne zwiedzanie. Macie *telefonino*? Moglibyśmy zadzwonić.

Lisa dała mu numer komórki. Mężczyźni nachylili się i pocałowali obie panie w policzki. Pachnieli wyprasowanymi tkaninami i perfumami Eau Sauvage.

- *A domani* - rzucili na odchodne.

- Przepraszam cię za to. - Lisa wpatrywała się w pośladki oddalającego się Massima. - Ale stwierdziłam, że niekoniecznie musimy ich informować, że jesteśmy mężatkami. - Uśmiechnęła się. - Oczywiście jeśli twój mąż się jutro lepiej, nie musisz się z nimi spotykać. Ale ja owszem. Myślę, że spacer z dwoma Romeami będzie bardziej ekscytujący niż zakupy w outlecie. - Rozejrzała się, szukając kelnera, i ruchem ręki dała znać, że chce zapłacić.

- Nie, nie, signorina - powiedział kelner. - Tamci dwaj dżentelmeni już zapłacili.

- Coraz bardziej ich lubię. - Lisa zaniósła się rubasznym śmiechem.

Hal i Callum dobrze się bawili podczas niespiesznie spożywanego lunchu, wymieniając się plotkami z branży. Właściwie był to najbardziej udany dzień Hala od wieków. Około czwartej Callum spojrzął na zegarek i oznajmił, że musi iść, bo w Los Angeles niedługo będą się budzić, a on powinien wykonać parę telefonów.

- Możemy zjeść razem kolację? - zapytał Hal z nadzieją. Callum pokręcił głową.

- Nie wiem, Hal. Będę wisiał na telefonie do późna. Może przeczytałbyś scenariusz.

- Może - odpowiedział niechętnie.

- Tylko parę stron. Zrób to dla wujka Calluma.

- Zobaczymy. - Zadzwoił jego telefon. - To Flora. Lepiej odbiorę.

- Witaj, piękna.

- Piłeś, Hal?

Jego dobry nastrój prysł jak bańka mydlana.

- Nie. To znaczy tylko szklaneczkę. Jem lunch z Callumem.

- O, to pozdrów go ode mnie. - Wydała się Halowi roz-kojarzona. - Wiesz co, jest pewien problem. Dziewczynki mają ospę.

- Oस्पę?!

- Tak. Obawiam się, że nie będę mogła przylecieć. Pewnie dołączę do ciebie najwcześniej w weekend. Oczywiście jeśli dziewczynki poczują się lepiej. Są naprawdę ciężko chore. Cosima wymiotuje, a Milly ma ohydne krosty, koszmar.

- Biedactwa. Ale niania jest z nimi, prawda? Musisz zostać?

- Hal! Moje córki są ciężko chore. Jaką byłabym matką, gdybym je zostawiła w takim stanie i przyjechała do ciebie?

- Racja - przyznał Hal z rezygnacją w głosie. - Ale w weekend przyjedziesz?

- Mam nadzieję. Wszystko zależy jednak od ich samopoczucia. Byłoby szkoda, ale będą kolejne wakacje, prawda? Przecież rozmawiam z Wakacyjnym Halem.

Wzdrygnął się; po raz drugi w trakcie jednego lunchu ktoś robił aluzję, że urlopy to jego pasja.

- No tak. Ale szczególnie właśnie na te czekałem.

- Wiem, ale co mogę poradzić? Słuchaj, muszę kończyć. Rozłączył się i poczuł pustkę. Tyle miał z cholernego

wyjazdu do Rzymu. Była jeszcze szansa, że Flora przyleci i zdążą spędzić kilka dni na Capri, ale zdaje się, że nie ma co na to liczyć. Może ospa była tylko pretekstem? Może już jej nie interesował? Nieprawdopodobne, przecież to on, Hal Blackstock, kończył każdy związek. Czuł na sobie wzrok Calluma.

- Sorry, stary. Właśnie zostałem wystawiony do wiatru przez moją dziewczynę. Jej dzieci są chore.

- Jezu! - Callum wyglądał na zatroskanego. - Co im jest?

- Ospa.

- Współczuję. Pozdrów je ode mnie. Chorowałem na ospę jako dziecko, pamiętam, że krosty strasznie swędzą.

Hal był rozdrażniony. Co tam dzieci. Z pewnością to on jest osobą, którą powinno się w tej sytuacji pocieszać. Nie będzie jej na dzisiejszej premierze, co oczywiście znaczyło, że musi udać się tam zupełnie sam. Świat zwariował: on jest sam, Marina i Fabrizio tworzą szczęśliwą parę.

- Powinieneś się umówić z Justyną, słyszałem, że idzie sama.

- A nie z tym kretyńcem z boysbandu?

- Nie, podobno zerwali, więc możecie sobie nawzajem wyświadczyć przysługę.

- Zobaczymy. - Hal prędzej towarzyszyłby członkowi partii nazistowskiej niż Justinie, ale nie chciał o tym mówić.

- Stary, muszę się zbierać - powiedział Callum. - Zadzwoń rano, daj znać, co sądzisz o scenariuszu. - Wziął swoją kartę kredytową od kelnerki i zostawił parę euro napiwku na stoliku. - Rozumiem, że wracasz skuterem?

- Zgadza się.

- Do zobaczenia.

- *Ciao.*

Przez moment Hal siedział sam. Rozumiał, że Flora chce być z dziewczynkami, ale nie potrafił pozbyć się uczucia odrzucenia. Marina kocha kogoś innego. Flora przedkłada dzieci nad niego. Callum woli spędzić dzień, wrzeszcząc do słuchawki, niż wyjść z nim. Nie był niczym numerem jeden.

- Przestań, weź się w garść - powiedział na głos sam do siebie.

- *Che?* - Signora Emilia wyjrzała z kuchni.

- *Menie.* *Grazie.*

- *Pręgo.* - Zniknęła za drzwiami.

Dalsza część popołudnia jawiła mu się pusta niczym preria. Miał *vespę*, mógł pojechać, gdzie tylko chciał. Przerzucał w pamięci obrazy rzymskich widoków. Już je widział, po co miałby znów oglądać? Wyszedł na zewnątrz. Właśnie wsiadał na skuter, gdy nagle przypomniał sobie, jak z Mariną pędzili skuterem po nadbrzeżu w Cannes. Żałosny dupek.

Nie znosił tego wspomnienia, mimo wszystko jednak powinien zadzwonić do niej, kiedy tylko dotrze do hotelu. Wciąż nie mógł uwierzyć, że tak szybko pozbierała się po zakończeniu dziesięcioletniego związku i znowu się zakochała.

Gdy skuter dławił się, wjeżdżając w górę Via del Corso, Hal wrócił myślami do tej nocy, gdy wszystko runęło. Byli w jego domu w Chelsea - co jak na nich niezwykle, bo rzadko przebywali jednocześnie w tym samym miejscu. Wrócili po imprezie z okazji tygodnia mody, na której Marina trochę się wstawiła i narzucała się przez cały czas Andre Agassiemu.

- To było żenujące - naskoczył na nią w samochodzie w drodze powrotnej. - Zdajesz sobie sprawę, że jest szczęśliwym mężem i ojcem dwójki dzieci?

- I co z tego? Innych to jakoś nie powstrzymuje! - wierzgając nogami w szpilkach, wbijała obcas w fotel kierowcy. - Poza tym - dodała - czym ty się przejmujesz, przecież nie jestem twoją żoną. Mogę flirtować, z jakim chcę.

- Z kim chcę - poprawił ją ze złościwością. Wytykanie jej kiepskiego wykształcenia sprawiało mu przyjemność. Zakończyła edukację w wieku lat szesnastu, podczas gdy on skończył studia w Cambridge. Myśląc o tym teraz, zdał sobie sprawę, jak często ją ostatnio poniżał. W głębi duszy wiedział, co nim kierowało. Marina stawała się coraz sławniejsza, z każdą prezentacją na wybiegu przyciągała coraz większą publiczność, podczas gdy on nie zdołał zrobić nic prócz kiepskiego filmu.

Nawet myśl o tym go zawstydziała: był zazdrosny o Marinę - o jej rosnącą popularność, o jej rosnące zarobki i jej lekceważącą postawę - nie dbała, gdy impreza, której była prezenterką, okazała się niewypałem. Dla Hala każdy komentarz, każda zła recenzja była katastrofą, dotykała go do żywego. Zabawne,

O Florę nie był zazdrosny, mimo że odnosiła większe sukcesy i to w tej samej branży. Chyba dlatego, że Flora urodziła się już na szczycie, więc współzawodniczenie z nią nie miało sensu. Marina zaczynała od zera, tak naprawdę przez lata to on miał nad nią przewagę. Nie zaszłaby nigdzie, gdyby nie była jego dziewczyną, uwieszoną w kusych sukienkach jego ramienia podczas premier filmowych. Świat mody, który dawniej odrzucał ją za impertynencja sposób bycia, niespodziewanie zaczął o nią zabiegać.

Przez moment Hal rozmyślał o jej życiorysie, ale po chwili wrócił do sytuacji, w której on i Marina wracali do domu. Wzburzona poszła prosto do salonu i wyjęła whisky z komody w stylu art deco.

- Myślę, że na dzisiaj już wystarczy - powiedział Hal.

- Ej, nie bądź takim nadętym dupkiem! Już ci mówiłam: nie masz prawa mnie pouczać, nie jesteś moim mężem.



- Czemu nagle tak cię zaczęło obchodzić małżeństwo? Przecież nie zamierzamy się pobrać, to nie w naszym stylu, prawda?

- Jasne. A co jest w naszym stylu? - Jej twarz wykrzywił grymas złości. Dziwne, ale Hal od miesiący nie pragnął jej tak mocno jak teraz. - Przechadzanie się po czerwonym dywanie. Bycie modną parą. Dawanie publiczności dwojga w cenie jednego?

- Ej, ty! To twoja bajka, nie moja. Ja nigdy tego nie chciałem.

- Ty tak twierdzisz. Świetnie się jednak w tym wszystkim ustawiłeś, prawda? - Zapaliła papierosa perłową zapalniczką. - Podczas gdy ja muszę znosić ciągle upokarzające komentarze: „Dlaczego Marina jeszcze nie wyszła za mąż? Czemu Hal się nie oświadczy?”.

- Nigdy nie dałaś mi odczuć, że ci zależy - zaprotestował, myśląc o udzielonych przez nią wywiadach, w których twierdziła, że małżeństwo nie jest seksowne i woli być czyjąś dziewczyną niż żoną.

- Oczywiście, że nie, to byłoby jeszcze bardziej upokarzające. Oczywiście, chcę wyjść za mąż, Hal. Mam prawie trzydzieści pięć lat. Chcę mieć dziecko, zanim będzie za późno.

- Dziecko? - To dopiero była nowość dla Hala. Marina miała taki instynkt macierzyński jak kukułka. Przebywając z dziećmi znajomych, przybierała minę jak ktoś wstrzymujący oddech w windzie, gdy współpasażer puścił bąka.

- Tak, dziecko! Jestem kobietą. Kobiety chcą mieć dzieci, po to zostały stworzone.

Wpatrywał się w nią i nagle to zobaczył. On, Marina i jego pulchna miniaturka w niebieskich śpioszkach, bobasek wołający „tata”. Tak, dziecko mogłoby być fajne. Ale... Nie, nie miał pewności. Jeśli mieliby dziecko, byłiby związani ze sobą na zawsze. Musieliby się pobrać, chociażby po to, by uszczęśliwić swoich rodziców. Nie mógłby już poślubić nikogo innego... Świat jest wielki i chodzi po nim mnóstwo kobiet, Hal nie zniósłby myśli, że nie jest już dla nich oficjalnie dostępny.

I chociaż miał z nią niezły ubaw, Marina nie była tą kobietą, którą Hal wymarzył sobie na żonę. Rodzice jego wybranki mieszkaliby raczej na wiejskiej plebanii, a nie w domu w Swindon, a ona nie zakończyłaby edukacji w miejscowej szkole średniej, w wieku lat szesnastu, tylko skończyłaby szkołę z internatem w Oxbridge, jak on. Czytałaby książki, a nie plotkarskie magazyny, mówiłaby językiem wyższych sfer, a nie mamrotała po wiejsku jak Marina, co brzmiało prostacko (choć im dłużej przebywała w Stanach, tym poprawniej się wysławiała, wiedziała bowiem, że Jankesi uwielbiają inteligencką wymowę).

Sprowadziła go na ziemię.

- Henry Blackstocku, co masz mi zatem do powiedzenia w związku z powyższym?

- Hm, zobaczymy - powiedział.

- „Zobaczymy”. Do cholery, powtarzasz to od dziesięciu pieprzonych lat. Ile ktoś potrzebuje czasu, by się zdecydować?

Zawsze wyglądała pociągająco, gdy się wkurzyła: oczy błyszczały jasnyniebieskim odcieniem, a policzki były różowe z emocji. Podszedł do niej i pogładził po ramionach.

- Pozwól mi to przemyśleć. Porozmawiamy rano. - Położył ręce na jej pośladkach.

- Co ty robisz? Zabieraj te łapska! Brzydzę się tobą. Właśnie zrywamy, a ty myślisz tylko o szybkim numerku.

- Nie zrywamy ze sobą. Powiedziałem przecież, że to przemyśle.

Zrzuciła z siebie jego rękę.

- Przestań. I posłuchaj: nie pójdziemy do łóżka, dopóki na moim palcu nie pojawi się pierścionek zaręczynowy. Dotarło? A teraz idę spać. Do drugiego pokoju. Dobranoc, Hal!

- Marina, zaczekaj! - zawołał, była już jednak w połowie schodów i kiedy dobijał się do drzwi pokoju gościnnego, usłyszał, że ma się odpieprzyć. Następnego ranka wyszła, zanim wstał, a wieczorem, kiedy wróciła po dniu spędzonym z kumplami homoseksualistami, powiedziała spokojnie, że stawia mu ultimatum: w ciągu miesiąca musi się jej oświadczyć albo ona odejdzie. Nie wziął tego poważnie. Marina uwielbiała go i musiała wiedzieć, że on też ją ubóstwia i naprawdę nie chce być z nikim innym. On tylko nie znosił presji.

Miesiąc minął, zanim się obejrzał - większość tego czasu Marina spędziła w Stanach, kręcąc swój program, i odniosła sukces. On był na nartach, potem podkładał głos do kreskówki „My Sister's Cat”; mimo pozytywnych recenzji film okazał się klapą - czwartą z kolei, o czym skrętnie przypominano mu na blogach, które znajdował, szukając w internecie informacji na swój temat.

Zanim się zorientował, nadszedł sądny dzień. Marina wróciła. Zadzwoiła ze swojego mieszkania w Little Venice

i poinformowała Hala słodkim głosem, że zaprasza go do siebie na kolację.

Przyjechał do niej z nerwowym bólem brzucha. Wyglądała pięknie, ubrana w stylu z lat pięćdziesiątych: miała szeroką spódnicę oraz mocno wycięty top, odsłaniający biust, jej największy atut. Przygotowała ulubiony stek Hala ze smażonymi ziemniakami. Następnie podała tiramisu. Jadła ze smakiem, co go wzruszyło - wiedział, że przez ostatni miesiąc żywiła się kapuśniakiem, więc teraz rekompensowała sobie niedostatki. A ona wiedziała, że lubi dziewczyny, które mają zdrowy apetyt - to była jedna z rzeczy, jaka ich łączyła przez lata spędzone w Los Angeles: zawsze kpili z menu odchudzających się kobiet, które skubały marchewkowe batony i jadły sushi.

- Więc? - spytała, trzymając szklaneczkę brandy, kiedy po obiedzie usiedli na kanapie.

-Więc...?

- Wiesz, dlaczego cię zaprosiłam.

- Wiem?

Teraz, z perspektywy czasu, wiedział, że był to najbardziej irytujący sposób, w jaki mógł się zachować, ale Marina nie zareagowała.

- Sądzę, że wiesz. Dzisiaj mija termin. Podjąłeś decyzję? Nie odpowiedział.

- Hal! - Zabrzmiało ostrzej. - Zdecydowałeś się?

- Wiesz, że nie lubię, gdy próbuje się stawiać mnie pod ścianą.

- Z trudem zachowywał spokój.

- A ty wiesz, że ja nie pozwolę, żebyś po dziesięciu latach dalej traktował mnie jak kretynekę - powiedziała łagodnie. - Sądziś, że tylko ty masz prawo o nas decydować?

- Suzanne tak cię nakręciła? - zapytał. Była starszą siostrą Mariny. Zawsze słusznie podejrzewała, że Hal, bywając w takich hotelach jak Copacabana w Rio, uważał jej trzypokojowy dom w modnej dzielnicy w Penge za miejsce na niewystarczająco odpowiednim poziomie.

- Nikt mnie nie nakręcił. To moja decyzja. Co masz do powiedzenia?

- Marina. - Ujął jej długą szczupłą dłoń. Jaskraworóżowe paznokcie były jego zdaniem zbyt krzykliwe. - Musisz dać mi więcej czasu.

Wstała.

- Wybacz, Hal, ale musisz już iść. Miałeś mnóstwo czasu. Nie sądzę, żebyś potrzebował go jeszcze więcej.

- Dziewczyno!

- Idź już, proszę. - Nachyliła się i pocałowała go w policzek. - Kocham cię, Hal, ale z nami koniec. Muszę skupić się na swoim życiu. Mam zadzwonić po Marco, żeby odwiózł cię do domu?

-Co?

- Zawiozłabym cię, ale chyba za dużo wypiałam. Marco może cię zawieźć. - Marco i Antonella byli parą, która mieszkała u Mariny.

- Marina... - Ton jego głosu złagodniał. -Co?

- To idiotyczne. Nie możesz tego tak po prostu skończyć.

- To nie jest „tak po prostu”. Minione dziesięć lat nas do tego doprowadziło i ostatni miesiąc, który był dla ciebie ostrzeżeniem. Teraz już koniec. - Podniosła telefon i wykręciła numer do pokoju gosposi. - Witaj, Antonella. Przekaż, proszę, Marco, żeby zawiózł pana Blackstocka

do domu. Dziękuję. Tak, natychmiast. - Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do niego. - Marco będzie czekał na ciebie za pięć minut.

- Marina, porozmawiajmy.

- Nie, Hal. Przecież rozmawialiśmy. Wiem już to, co chciałam wiedzieć. Wszystkiego najlepszego, Hal. Do widzenia.

Wracając do domu, gotował się z oburzenia. Marina się wkurzyła. To kolejna z jej showbiznesowych sztuczek. Oczywiście to nie koniec. Zadzwoń do niego, gdy tylko Hal dojedzie do domu, i śmiejąc się, powie, że dała mu nauczkę. Lepiej, żeby uważała, bo może przeholować i on jej nie wybaczy. Do tej pory nie był pewny, czy chce się żenić, teraz nie miał na to najmniejszej ochoty. Nikt nie będzie sobie pogrywał z Halem Blackstockiem!

Telefon jednak nie zadzwonił, ani kiedy wrócił do domu, ani następnego ranka. Po paru dniach, gdy zaczął się martwić, że mogła przedawkować leki z powodu złamanego serca, zadzwonił. Odebrała po piątym sygnale.

- Hej, Hal. - Brzmiała radośnie. W tle było słychać wrzawę i śmiech.

- Hej. Hmm.... Gdzie jesteś?

- Na południu Francji, z Mitchem. Siedzimy na tarasie, jemy langusty. Jest bosko.

- Aha, znaczy, że wszystko w porządku?

- Oczywiście! Czemu miałyby być inaczej? A u ciebie?

- Ach, u mnie dobrze.

- Hal, wiesz, to niekulturalne rozmawiać przez telefon, będąc w towarzystwie. Pogadamy później. Miło było cię usłyszeć. Pa.

Nie oddzwoniła. Rok później zaczęła sypiać z tym cwelem de Michelisem. Nigdy więcej nie kontaktowała się z Halem. Raz czy dwa wpadł na nią na przyjęciu i wymienili uprzejmości jak dalecy znajomi. Zastanawiał się, czy nie wysłać do niej esemesa albo e-maila i poprosić

o spotkanie, jednak strach, że da po sobie poznać, iż wciąż jest nią zainteresowany, paraliżował go. A jeśli Marina się nie zgodzi? Będzie jeszcze bardziej upokorzony. To, co go spotkało, było wystarczająco nieprzyjemne. Cały świat przypominał mu, że kiedyś Hal i Marina wydawali się razem szczęśliwi, a potem ona już wisiła na ramieniu potentata finansowego Formuły 1.

„Przyjaciele” informowali gazety, że Marina knuła od miesięcy za jego plecami i rzuciła go rok temu, ale trzymali to w sekrecie ze względu na jego karierę. Hal śmiało przyjął postawę lekceważącą, wzruszał ramionami

1 jedynym jego komentarzem było: „Wiesz, jak te sprawy wyglądają”. Nawet gdy pytała go mama lub Jeremy, odpowiadał niejasno, że się skończyło, i zmieniał temat. Następnie po paru tygodniach poznała Fabrizia. Vanessa ostrzegła go o wywiadzie, który pojawi się w „Hello!”:

#### **MARINA DAWSON OPOWIADA O ROZSTANIU Z HALEM I NOWYM ŻYCIU u BOKU FABRIZIA W PODRÓŻY DO ARGENTYNY**

Serce waliło mu, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Na zdjęciach opalona Marina obserwowała przez lornetkę grę w polo, jeździła konno po pampie. W wywiadzie mówiła: „To, co łączyło mnie z Halem, było wyjątkowe, ale zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy dla siebie bardziej jak brat i siostra niż jak para. Ten krok był trudny, ale konieczny. Życzymy sobie nawzajem wszystkiego najlepszego”.

- I to by było na tyle - powiedział do siebie, odkładając magazyn. - *Finito*. - Nie znosił tego, że Marina zawsze musiała wszystko wypaplać prasie, w dodatku bez uzgodnienia z nim. Lepiej mu bez niej, wcześniej powinien sobie to uświadomić. Kolejne miesiące były nieustającą balangą, spał z tuzinami wspaniałych kobiet, niektóre adorował od lat. I gdy już zaczęto patrzeć na niego jak na playboya, poznał Florę.

**I ŻYLI DŁUGO i SZCZĘŚLIWIE** - taki nagłówek pojawił się w jednej z gazet wraz ze zdjęciami Hala i Flory oraz Mariny i Fabrizia. Hal wnikliwie analizował to zdjęcie. Ha! Marina i Fabrizio ubrani w białe dżinsy i dobrane do nich pastelowe koszulki polo wyglądali niczym para uśmiechniętych marchewek. Przyglądał się swojemu zdjęciu z Florą, na którym opuszczają restaurację The Ivy. Wypadli lepiej. Flora miała na sobie szary wełniany płaszcz, blond włosy spięte w koczek. Próbowwała zasłonić się ręką przed paparazzimi, on szedł z wzrokiem wbitym w ziemię.

Pograżony we wspomnieniach dojechał do tylnej bramy wjazdowej hotelu. Portier natychmiast mu otworzył. Wjechał do garażu, a tam inny portier pomógł mu zdjąć kask i wskazał tylny korytarz prowadzący do windy.

- Panie Blackstock - rozległ się głos Ducellego. - Udała się przejazdka?

- Bardzo. - Hal przez ramię spostrzegł lekarkę, która badała go poprzedniej nocy, wchodziła do lobby hotelowego z jakąś okropną lalunią. Przez moment go to zaintrygowało, jednak kiedy wszedł do windy, myślami był już gdzie indziej. W apartamencie wyjął swój telefon i wybrał numer, którego usunięcie z kontaktów rozważał od miesięcy. Co



jej powie? Cholera, może powinien jednak się rozłączyć. Ale...

- Cześć, tutaj Marina. Zostaw wiadomość. Dzięki.

- Marina? Yyyy... Tu Hal. Kopę lat, nie? No. Yyy... Moje gratulacje. Wszystkiego najlepszego. Yyy... No... To tyle. Yyy... No to cześć.

Aż zaschło mu w ustach. Wcisnął czerwoną słuchawkę i chodził z telefonem po pokoju. Żyła pulsowała w skroni. O, nie. Nadciągała migrena. Zamierzał wyłączyć wszystkie telefony i pójść do łóżka. Może weźmie scenariusz Bazottiego. Nie był jednak pewien, czy chce go czytać. Załóżmy, że rola okazałaby się świetna, poszedłby na przesłuchanie i jej nie dostał? Albo dostałby ją, ale spieprzyłby, a ludzie wyśmialiby go, że w ogóle przeszło mu przez myśl, iż zmieni swoją ścieżkę zawodową na lepsze?

Zdecydował, że nie zaszkodzi rzucić okiem na scenariusz. Przeczował, że tej nocy będzie musiał zająć czymś myśli.

W planach miały jeszcze zakupy, ale kiedy wychodziły z baru, zadzwonił telefon Lisy. Simon cały dzień próbował zdobyć zdjęcie Justiny Maguire, na którym wygląda na wychudzoną, a teraz żądał, by jego narzeczona wróciła do hotelu.

- Cholera, pewnie będzie miał ochotę na seks. - Lisa włożyła swoją motorolę do torebki Fendi. - Kurczę. No i co można zrobić... To teraz moja praca. W każdym razie lepsza niż sortowanie biustonoszy według rozmiarów i odwieszanie majtek na wieszak.

- Pewnie tak - odparła Amy, chichocząc. Prosecco uderzyło jej do głowy. Czuła się tak cudownie beztroska. Cóż, niezupełnie - wciąż przeżywała rozstanie z Dougiem, oczywiście, ale dawno już nie siedziała z przyjaciółką w słońcu i nie chichotała, a jeszcze dawniej nie flirtowała, jakkolwiek nieudolnie, z dwoma obcymi mężczyznami.

Ruszyły z powrotem brukowanymi uliczkami i przejściami pod łukami. Zatrzymały się na chwilę, by popatrzeć na mima i obejrzeć stoisko z biżuterią obsługiwane przez siwego hipisa. Zerkając na dół na pokrywę studzienki, Amy

zobaczyła skrót SPQR. Czy to przypadkiem nie rzymscy centurioni mieli taki na swoich tarczach w „Asteriksie”? Senat i Lud Rzymu - przypomniało jej się z czasów szkolnych. Amy po raz pierwszy zaczęła dostrzegać istotę miasta, czuć, jak działa na nią jego urok.

- Szkoda, że nie możemy dzisiaj wieczorem wyrwać się gdzieś z chłopakami - powiedziała w zadumie Lisa, gdy dotarły do hotelu. - Ale pewnie i tak nic by z tego nie wyszło. Simon nie byłby zachwycony, gdybym zniknęła na noc, i sędzę, że twój biedny chory rockman również.

- No tak.

- Masz ochotę na drinka ze mną i Simonem? - zapytała Lisa, gdy weszły do lobby. - Czy jednak tęsknisz za powrotem na górę, do inwalidy?

Amy miała ochotę przedłużyć jakikolwiek kontakt z drugą osobą. Bardzo też ciekawił ją Simon.

- Nie, nie. Doug prawdopodobnie śpi. Chętnie się czegoś napiję.

Kątem oka dostrzegła idącego do windy Hala Blackstocka. Jej twarz oblał rumieniec. Odwróciła się pośpiesznie.

Simon czekał na niższym tarasie pod parasolem, w towarzystwie dużego kufla piwa i miseczek egzotycznie wyglądających kasków.

- Wszystko w porządku? - zaszcebiotała Lisa i dała mu buziaka w policzek. - Simon, to jest Amy. Byłyśmy razem na zakupach. Amy, to Simon.

- Hejka. - Podał jej rękę markotnie.

- I jak ci minął dzień?

- Paskudnie. Musieliśmy przekupić jakiegoś gościa, by pozwolił nam wejść na swój taras na dachu, byśmy mogli zrobić zdjęcia Justiny na jej tarasie. A on był wielki jak Titanic. Koszmar.

- Ale masz to, co chciałeś?

- Mam. Jej zdjęcie w bikini.

- Jest wychudzona?

- Wygląda jak ofiara głodu.

Lisa uśmiechnęła się do ładnej kelnerki.

- Och, *ciao!* Poproszę martini. Ty też weź, Amy. Tutejsza specjalność.

- Dobrze. - Amy przystała, mimo że nie lubiła martini. Ale przyniesione wyglądało imponująco, z dodatkową szklaneczką lodu i łyżeczką z porcją kawioru.

- A jaki był Hal Blackstock? - zapytała, ośmielona po alkoholu.

- To fagas.

- Ach, nie - wykrzyknęła Lisa. - Mówisz tak o każdym: o Justinie Timberlake'u, Billu Clintonie...

- No dobra, to megafagas.

- ...Madonnie, królowej Jordanii. Czy kiedykolwiek fotografowałeś kogoś, kogo lubisz?

Simon się zastanawiał.

- Tiger Woods był w porządku. Dał mi zestaw swoich piłek do golfa.

- Wydaje mi się, że zbyt długo już tak pracujesz - stwierdziła Lisa. - Podróżowanie za granicę, wyjazd z księciem Karolem do Indii czy lot do Hollywood do Toma Cruise'a i już zachowujesz się, jakbyś pracował w kopalni.

- Celebryci to zwyczajni ludzie - odparł. - Bardziej pokręcani, próżni i neurotyczni niż ty i ja. Dlaczego mam się ekscytować tym, że z którymś się spotykam? Ty ich nic nie obchodzisz. Nie zostaniecie najlepszymi kumplami i nie będziecie grać razem w golfa. A podróż to podróż. Samolot to samolot. Pokój hotelowy to pokój hotelowy. Kiedyś wszystko było w porządku, lataliśmy klasą biznesową, ale zarząd zrobił się skąpy, teraz mamy szczęście, jeśli w ogóle się załapiemy.

- Oj, nie jest tak źle. - Lisa uniosła kieliszek w stronę Amy, gdy pojawiły się drinki. - Simon zawsze jęczy, tęskniąc za starymi dobrymi czasami, zanim zarząd zrobił się taki nieprzychylny. Chociaż uważam, że darmowy pobyt w hotelu takim jak ten i nazywanie tego pracą jest kuriozalne.

- Jesteśmy tutaj tylko dlatego, że Hal i Justina się w nim zatrzymali, a Christine wyłudziła jakąś zniżkę. A dawne czasy były lepsze. Całą pensję wpłacało się do banku, żyło się nie na swój koszt. Rachunki za to, rachunki za tamto. Jadło się kanapkę na lunch, a potem wystawiało fałszywy rachunek za Ritza. Teraz już nikt się tak nie bawi. Komuś takiemu jak ja, kto siedzi w tym biznesie od trzydziestu lat, każą się czaić na hotelowych schodach i w restauracjach, by zdobyć zdjęcie Justiny Maguire, wychudzonej lub z dziurą w rajstopach. Tak jakbym był jakimś przeklętym paparazzim.

- Simon nienawidzi paparazzich, bo zarabiają więcej niż on. I co jest nie tak ze zdjęciem Justiny? Jest zbyt chuda. Na pewno ma zaburzenia łaknienia. Daje zły przykład dziewczynkom takim jak Emily. Jak myślisz, Amy? Amy jest lekarzem.

- Ja... - zaczęła Amy, gdy Simon się odezwał:

- Są albo za grube, albo za chude. Obojętnie, nie mogę uwierzyć, że muszę zarabiać na życie, robiąc zbliżenia kobiecych tyłków.

- Większość facetów nie miałaby z tym problemu. -Lisa zarechotała, trąc go łokciem. Amy podziwiała jej wytrwałość.

- Opowiedz nam coś o Halu. Dlaczego uważasz, że jest beznadziejny?

- O, po prostu. Chodzi o ruchy. Wyglądał na znudzonego. Jakby uważał, że jestem gorszy od niego. Muszę przyznać, że jego była, Marina, ona miała klasę. Zawsze pamiętała, jak się nazywasz. Pozowała dokładnie tak, jak się ją prosiło. Nigdy nie wyglądała na znużoną.

Przez chwilę Simon się zamyślił, co być może wskazywało na zadurzenie się w Marinie Dawson. Amy przypatrywała mu się z ciekawością. Wyglądał żałośnie z tymi oczami bez wyrazu i bulwiastym nosem, co było zapewne rezultatem częstego picia. Czy basen jest wystarczającą rekompensatą za poślubienie kogoś takiego jak on?

Była zajęta myślami, gdy zadzwonił jej telefon. Jak zwykle w pierwszym odruchu pomyślała, że to Doug, ale to była Gaby.

W samą porę, stwierdziła, i nacisnęła zielony klawisz.

- Myślałam, że o mnie zapomniałaś.

- Och, nie, skądże. Po prostu... coś mnie zatrzymało. - Głos Gaby brzmiał dziwnie, jakby była roztrzęsiona. To do niej niepodobne. Amy miała złe przeczucia.

- Chwileczkę, Gaby. Przepraszam - zwróciła się do Simona i Lisy. - Muszę porozmawiać na osobności.

- Nie przejmuj się. - Lisa wzięła długopis i nabazgrolila coś na serwetce. - Masz tutaj mój numer, zadzwoń, jeśli będziesz chciała znów się gdzieś pokręcić.

- Super, dzięki. - Amy schowała serwetkę do torebki. - Do zobaczenia. - Wstała i poszła schodami do ogrodu.

- Jak się masz? Jak poszło? - zapytała przyjaciółkę.

- Cóż, to będzie dziewczynka - odpowiedziała Gaby.

- Dziewczynka! Cudownie, wspaniale. - Naprawdę była zachwycona, ale też poczuła ból w sercu na myśl o tym, co z pewnością utraciła.

- Tak, to wspaniała wiadomość. Jesteśmy przeszczęśliwi. Ale Amy... mam problem. Coś jest nie tak z szyjką macicy i dziecko może się zbyt wcześnie urodzić. Dzisiaj po południu założyli mi szew, żeby podtrzymać ciążę. A teraz muszę leżeć i odpoczywać.

- Masz niewydolność szyjki macicy? - Amy przeszła na tryb zawodowy.

- Tak, właśnie to. Amy, tak się boję.

- Niepotrzebnie - uspokajała Amy, mimo iż sama była przerażona. - Musisz jak najwięcej wypoczywać, będzie dobrze. Tylko nie ruszaj nawet palcem. Powiedz PJ-owi i Favioli, by wszystkim się zajęli. I pamiętaj, że obecnie możemy pomóc wcześniakom na wiele sposobów.

- Wiem, powiedzieli mi. Ale to takie straszne. Nie mogę zająć się Archie'em. I do tego jeszcze ty. Dasz sobie radę tam, sama?

- Nic mi nie będzie - odparła Amy, myśląc już o czymś innym.

- Mam wrócić? Mogłabym się tobą zająć.

- Och nie, nie. Mama przyjedzie do Londynu następnym pociągiem, a PJ jest niesamowity. Słuchaj, muszę już

kończyć. Nic nie mam do roboty, poza siedzeniem na moim już grubym tyłku, więc dzwoń, kiedy tylko będziesz miała ochotę.

- I ty też dzwoń do mnie. O każdej porze. - Amy rozłączyła się, zszokowana i oszołomiona.



Amy poszła prosto do swojego apartamentu. Położyła się na leżance na tarasie, myśląc o Gaby. To była jedna z tych chwil, kiedy czuła, że jej wiedza medyczna jest przekleństwem, a nie błogosławieństwem. Niewydolność szyjki macicy to bardzo poważny stan, chociaż były szanse, że uda się powstrzymać poród przez kilka tygodni. Współczuła Gaby, to przynębiające być przywiązaną do łóżka, gdy ma się małe dziecko i jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. A zresztą nawet szwy i leżenie w łóżku nie w każdym wypadku są skuteczne. Co prawda obecnie udaje się uratować dużo wcześniaków, jednak nadal sporo umiera lub rodzi się z uszkodzeniem mózgu. Współczesna medycyna na tyle poprawiła świat, że ludzie byli skłonni zakładać nieśmiertelność swoją i swoich dzieci, ale Amy wiedziała, że wszystko, co jest związane z ciążą i porodem, wciąż skrywa pułapki.

Wróciła myślami do czasów, kiedy i ona, i Gaby miały inne problemy życiowe. Pamiętała pewien czerwcowy wieczór sprzed dwóch lat. Był piątek, jechały audi quattro Gaby autostradą M4 w kierunku Somerset. Śpiewały wraz z ich małym sekretem: płytą *Headlines i Deadlines*

*Hity A-HA*, wcinając wspólnie gigantyczną paczkę skittlesów.

- Boże, to było niezłe - wydyszała Amy po tak sfalszowanej końcówce *Take on me*, że Morten powinien chyba lepiej zostać przedsiębiorcą pogrzebowym. - Minęły wieki, odkąd mogłam sobie tak pofolgować.

- Zatem teraz jest twoja ostatnia szansa. - Gaby się uśmiechnęła. - Przez następne kilka dni nici z sera.

Jechały do Glastonbury, gdzie Doug i jego zespół byli już od paru dni. Nie występowali, jako że organizatorzy ich pominęli, ale wałęsali się, ucinali sobie drzemki i bawili się. Od tygodnia codziennie padał deszcz. Wciąż myślała o tym, jak Doug się spakował. Wrzucił do plecaka cztery koszulki, cztery pary bokserek, cztery pary skarpet i dwie pary dżinsów. Zasugerowała, by zabrał kurtkę z kapturem i kalosze, ale skrzywił się i powiedział, że kurtki z kapturem i kalosze nie są *cool*. Oglądając zdjęcia w wiadomościach, pomyślała jednak, że Doug może nie czuć się komfortowo, chodząc przez cały weekend w adidasach. Zadzwoiła do niego tego ranka, zanim wyszła do pracy, i zaproponowała, że kupi mu jakieś buty i strój przeciwdeszczowy. Ale Doug odmówił.

- Nie będę nosił ortalionu. Wyglądałbym, jakbym spędzał weekend na kempingu.

- Ale ty spędzasz weekend na kempingu.

- Wcale nie. To nie jest jakaś wycieczka szkolna nad jezioro. To najbardziej wyjątkowe wydarzenie roku i muszę wyglądać stosownie do sytuacji.

- Doug mówi, że Glastonbury jest lepsze, kiedy pada - powiedziała do Gaby. - Podobno wtedy można dostrzec jego prawdziwego ducha.

- Hm, miejmy nadzieję. - Gaby zagryzła wargę, gdy piorun uderzył nad Swindon. - PJ i tak uważa, że jestem nienormalna, ponieważ biorę w tym udział. Ale jedną noc spróbuję. Jeżeli okaże się, że jest żałośnie, jak podejrzewam, jutro jadę do Bath. Tam są wspaniałe hotele. Słyszałam, że jest też zadaszony kemping, można dostać prawdziwą kołdrę z kaczego pierza i ciepłe śniadanie. Ale kosztuje sześć tysięcy za noc, więc może nie będę tam spać. - Uśmiechnęła się na swój sposób, jak wiejska dziewczyna. - Chociaż pewnie i tak trzeba to zrobić? To znaczy każdy musi przynajmniej raz przeżyć Glastonbury. To jak skok na bungee czy zwiedzanie Tadż Mahal. Jedna z rzeczy, które trzeba zrobić przed śmiercią.

- Pewnie tak - odparła Amy, która nie zrobiła żadnej z nich. Postanowiła zmienić temat. - A jak przygotowania do ślubu?

Gaby i PJ zaręczyli się kilka miesięcy wcześniej, od tego czasu Gaby zdążyła już wybrać miejsce ślubu, sukienkę i zorganizować upominki nawet dla woźnych. Nadal pozostał jej rok na przygotowania i Amy nie miała pojęcia, czym ona zapełni resztę czasu.

- Nie pytaj! - krzyknęła Gaby, jak widać z siebie zadowolona. - Na liście gości mamy czterysta pięćdziesiąt osób i nie wiem, kogo wykreślić. A będziemy musieli.

Amy uśmiechała się współczująco, kiedy zadzwonił jej telefon. To był Doug.

- Hej, co słychać?

- Jest świetnie - odparł niezbyt przekonująco. W tle Amy słyszała grzmoty i ulewny deszcz. - Poza tym, że musieliśmy wspiąć się na najwyższe wzgórze, żeby zadzwonić, bo

to jedyne miejsce w całym Glastonbury, gdzie jest zasięg. Więc musisz bardzo uważnie słuchać moich instrukcji, bo kiedy już tutaj dotrzecie, nie będziesz mogła się do mnie dodzwonić...

- Nie jest zbyt błotnisto?

- Trochę tak. Ale jest w porządku. Mamy niezły ubaw.

- Mogłabym zatrzymać się w Bristolu i kupić ci coś przeciwdeszczowego.

- Amy, wiesz, co myślę o ubraniach przeciwdeszczowych. Daj spokój. Jeżeli chcesz wyglądać jak nauczyciel, to sobie tak wyglądaj. Nie, dzwonię, by ci powiedzieć, że zalało pole, na którym byliśmy, i przenieśliśmy się trochę wyżej.

Dokładnie zanotowała ich nowe miejsce i zapewniła go, że dotrą tam z Gaby około dziesiątej wieczorem.

- A jak się mają sprawy z Dougiem? - zagadnęła Gaby, gdy mijały Bristol. - Znosi się na wiesz co?

- Na co? - spytała ironicznie Amy, chociaż dobrze wiedziała, w czym rzecz.

- No wiesz. Myślisz, że zaangażował się na poważnie? Amy westchnęła.

- Na miłość boską, Gaby. Ani ja, ani Doug nie przywiązujemy wagi do takich rzeczy.

To tylko częściowo było prawdą. Na pewno nie przywiązywała aż takiej wagi do drухen i bukietów, jak Gaby. Ale również jakiś czas temu drobiazgowo opracowała plan, który jest najlepszym sposobem na zdobycie serca Douga: najlepiej nie wspominać o niczym tak poważnym jak małżeństwo czy, Boże uchronaj, dzieci. Dla niego wystarczająco trudne i wymagające poświęcenia było

spędzenie weekendu w domu jej rodziców, ponieważ zawsze na pierwszym miejscu stawiał zespół. Ale Amy się nie martwiła. Żył z nią, zatem już bardziej chyba nie mógł się poświęcić? Gaby zagryzła wargę.

- Rozmawialiście o dzieciach? - Wiedziała, że Amy ich pragnie, choć nawet ona nie miała pojęcia, jak bardzo.

- Nie. Boję się, że to go wystraszy.

- Dlaczego miałyby go wystraszyć? Ile on ma lat? Trzydzieści dwa? Mówiłaś, że w twojej przychodni są dziadkowie, którzy są od niego młodsi. I byłby zachwycony, gdybyś miała z nim dziecko. Nie ma stałej pracy. Mógłby zostać w domu i opiekować się dzieckiem i domem.

- Oj, wydaje mi się, że to by mu się nie spodobało.

- Cóż, spotkanie się z samcem gamma z pewnością ma jakieś zalety. To znaczy, świetnie, że PJ tak dużo zarabia, ale cholernie mało go widuję. Zawsze wraca późno, a potem przez całą noc wpatruje się w swoją komórkę.

- Doug nie jest samcem gamma. Jest bardzo ambitny. Tylko że... biznes, w którym siedzi, jest podstępny. - Amy chciałyby nie musieć zawsze tłumaczyć się za Douga.

- A w zespole coś się dzieje?

- Niespecjalnie. Co jakiś czas występują tu czy tam, ale nic wielkiego. I nie zanoszą się na jakiś kontrakt nagraniowy.

Gaby zjechała na zewnętrzny pas.

- Widziałam Danny'ego któregoś dnia - powiedziała jak gdyby nigdy nic. - Na Oxford Street.

Amy poczuła, jakby coś stanęło jej w gardle.

- Ach tak? I co u niego?

- Chcesz wiedzieć? -Tak.

- Zareczył się.

- Cóż, to dobrze. - Jakoś jej się udało, by głos zabrzmiał naturalnie. - Zawsze tego chciał.

Zapadła cisza. Amy analizowała to, co tak naprawdę myślała. Odczuwała ulgę, że Doug nie jest już tematem rozmowy, oburzenie, że Danny tak szybko o niej zapomniał, ale też frustrację; jakby wypadła z pędzącego pociągu życia. W wieku osiemdziesięciu lat nadal będzie jeździć do Glastonbury, martwiąc się, czy Doug nie marznie.

Było tuż po ósmej, kiedy zatrzymały się w Glastonbury na parkingu wielkości Bangladeszu. Szybko przestało padać i nadal było widno, ale niebo miało kolor wydychanej trawki. Miarowe apokaliptyczne dudnienie wypełniało powietrze. Wypakowały z bagażnika namiot Gaby, włożyły kalosze i ruszyły w stronę wysokiego ogrodzenia.

- Wygląda jak to z „Wielkiej Ucieczki” - powiedziała Gaby.

- Ma za zadanie zapobiegać przedostawaniu się osób bez biletu.

- Albo powstrzymać nas przed ucieczką.

Amy zaśmiała się, ale poczuła się nieswojo. Nie poprawiał też samopoczucia widok coraz większej liczby osób, które mijały je, zmierzając w przeciwnym kierunku. Przywodzili na myśl średniowiecznych chłopów powstańców; od stóp do głów usmarowani błotem, z zaschniętym brudem we włosach, wyglądali jak błyszczące wydry. Spoglądali dziko, jakby widzieli coś zbyt przerażającego, by móc się tym z kimś podzielić. Niektórzy płakali.

- Kurczę. - Amy westchnęła, kiedy znów zaczęło padać. Po pokazaniu biletów bardzo zmęczonemu facetowi przeszły przez bramę. Zobaczyły ruinę. Kolorowe namioty zjeżdżały po błocie ze wzgórza. Trzęsący się ludzie brodzili po kolana w brązowawej wodzie, w której pełno było pustych butelek po cydrze i zgniecionych paczek po papierosach.

- To wygląda jak żywy obraz Hieronima Boscha - wykrztusiła Gaby.

Z naciągniętymi kapturami zaczęły ześlizgiwać się na dół, desperacko łapiąc się płotów, namiotów i innych ludzi, by uchronić się przed połknięciem przez bulgoczące sadzawki obornika.

- Doug powiedział, że będą w namiocie Real-Ale. - Amy przekrzykiwała łkanie nastolatki, którą okradziono. -I że o jedenastej idą obejrzyć Babyshambles.

Wyraz twarzy Gaby był identyczny jak żołnierza pierwszej wojny światowej, któremu rozkazano wyjść z okopów.

- Może jednak powinniśmy policzyć straty i wrócić do samochodu?

To było kuszące.

- Nie mogę - zdecydowała jednak Amy. - Nie mogę po prostu olać Douga. I na pewno do niego nie zadzwonię, pomyślałby, że jestem żałosna.

Gaby przytaknęła ze zrozumieniem.

- PJ się posika, kiedy mu o tym opowiem. Dobrze, zostajemy na jedną noc. Zrobię to, by móc potem uraczyć wnuki fantastyczną opowieścią.

Przez godzinę brodziły w grzęzawisku, żeby dostać się do namiotu Real-Ale, pełnego mizernych i brudnych

osób, pijących ile wlezie, by zapomnieć o bólu. Doug, Baz i Pinny stali w rogu i stukali się kuflami.

- A gdzie Gregor? - zapytała Amy, gdy ich ostrożnie obejmowała.

- W namiocie medycznym - powiedziała Pinny. - Ma coś ze stopą.

Amy dokładnie obejrzała ich troje. Pinny miała na sobie kalosze w różowe gwiazdki, blond włosy oblepiały twarz, a tusz do rzęs spływał po policzkach, jednakże z wściekłością można było stwierdzić, że efekt końcowy robił z niej raczej zabiedzoną słodycz. Doug i Baz wyglądali jak ocaleni z jakiegoś kataklizmu. Twarze mieli blade, stopy pokrywało błoto, które ciągnęło się wzdłuż goleni i sięgało powyżej kolan.

- To straszne - zawołała. - Stopy masz pewnie lodowate. Boże, Doug, widziałam gdzieś z tyłu stoisko z kaloszami. Może kupię ci parę? Pozwól, proszę!

Pinny parsknęła. Mina Douga wyrażała zawziętość i determinację.

- Ames, skończ już z tymi kaloszami. Gadasz jak moja mama. Baz, który przeglądał program, wykrzyknął:

- O kurczę, nie wierzę. Jutro grają te kutasy z Unsuitable. Dlaczego oni się załapali, a my nie?

- Cholernie nie fair - zawył Doug i zapomniano o głupim pytaniu Amy.

To była najbardziej niekomfortowa noc w życiu Amy. Nie dało się nigdzie usiąść, gdyż każdą płaską powierzchnię pokrywały warstwy brudu, a próba przejścia przez śliskie pole była zbyt wyczerpująca. Występ Babyshambles obejrzeli



na gigantycznych ekranach, stojąc półtora kilometra dalej. Potem poszli do namiotów. Nadal stały. Ponieważ Doug rozbił namiot zaledwie parę metrów od śmierdzących przenośnych toalet, Amy nie mogła zasnąć, bała się, że mogą zostać zalani przez cuchnące ścieki. Poza tym trudno było nie słyszeć lejącego deszczu, zgrzytu poruszanych linek namiotu i pijackich krzyków w rodzaju: „Co za matoł rozbił tu swój namiot?”. Trzy razy ktoś otwierał ich namiot, ukazywała się twarz z okrzykiem: „...ając tego duuużo. Och, sorry, stary, nie ten namiot” i ponownie znikwała. Rano, by dostać się do toalety, Amy musiała stać w kabinie po kolana w błocie, a potem piętnaście minut czekać w kolejce, by umyć ręce pod hydrantem.

- Daj sobie spokój. - Doug stanął obok niej.

- Muszę umyć ręce. W przeciwnym razie można złapać zakażenie E. coli. Wcale nie żartuję. Ludzie umierają od tego.

- Taa, taa. - Wyglądał okropnie.

- Jesteś pewien, że chcesz zostać na jeszcze jedną noc? Zapadła chwila ciszy.

- Cóż... - zaczął, ale zanim dokończył, usłyszeli głośnie „Heej”, gdy unurzana w błocie, ale też na swój sposób bardziej uwodzicielska Pinny podeszła, ześlizgując się ku nim, otulona kurtką z kapturem i z butelką wódki w rękach.

- Czyż to nie jest zajebiste? - wydyszała. - Uwielbiam to! Doug nagle odżył.

- Oczywiście, że zostaniemy - ogłosił. - Świetnie się bawię! Poza tym bilet kosztował sto pięćdziesiąt funtów. Te pieniądze muszą mi się jakoś zwrócić.

Dołączyła do nich Gaby, kuląc się w mżawce.

- Okej, zaliczyłam jedną noc. Oficjalnie się wypisuję. Wracam do Londynu, gdzie mają podłogi i żadnych krowich placków, i tam mogę oglądać tę porażkę w BBC2. Jeżeli ktoś chce się przyłączyć, zapraszam. - Zerknęła na przyjaciółkę. Amy spojrzała na Douga w momencie, gdy Pinny się poślizgnęła, zapiszczała i chwyciła go, by się przytrzymać.

- Zrób, jak uważasz. - Wzruszył ramionami. - Jeżeli nie rozumiesz, o co chodzi na Glastonbury, niewiele mogę zrobić, by było inaczej.

- Dobrze - zdecydowała Amy. - Zostanę.

Amy obudziła się przygnębiona. Poprzedni wieczór spędziła samotnie, odcięta od świata na opuszczonej wyspie swojego łóżka. Jedząc pizzę kupioną w barze za rogiem, oglądała kiepski thriller z Harrisonem Fordem, dostarczony na jej prośbę przez obsługę, i starała się nie martwić o Gaby.

Powinna jednak być przy niej. Musi wrócić do domu. Pomyślała o zarezerwowanym na piątek apartamencie na Capri. Lepiej o tym zapomnieć. Miała już dosyć podróży poślubnej w pojedynkę. Zadzwoń do British Airways i powie, żeby znaleźli dla niej miejsce w pierwszym samolocie do Londynu.

Czekała dwadzieścia pięć minut i kiedy wreszcie usłyszała operatora, okazało się, że wiadomości nie są dobre.

- Przykro mi, pani Fraser. Wszystkie miejsca w samolotach wylatujących z Rzymu dzisiaj i jutro są zarezerwowane. Mamy wakacje. Najwcześniejszy lot mogę pani zarezerwować na sobotę rano.

- Ale na pewno możecie coś zrobić - wyjęczała Amy, a jej głos przypominał bulgotanie wody w staroświeckim czajniku, gdy zaczynała wrzeć.

- Może pani przyjechać na lotnisko i umieścimy panią na liście oczekujących na odwołania, ale dużo osób tak robi. Nie ma żadnej gwarancji. Może też pani poszukać u operatorów innych linii lotniczych, ale z tego, co widzę w komputerze, też nie mają wolnych miejsc.

Amy rozłączyła się, smutna i pokonana. Po chwili zadzwonił telefon na nocnym stoliku.

- Halo? - odebrała zdeterminowana, by na nic się nie nastawiać.

- Amy? Tu Lisa.

- Lisa! Jak się masz? - Zabrzmiało szorstko.

- W porządku. A jak tam mężulek?

Przez chwilę Amy nie miała pojęcia, o kim ona mówi. Potem sobie przypomniała.

- Och, niestety, wciąż niezbyt dobrze.

- Biedaczek - Lisa zachichotała konspiracyjnie. - Słuchaj. Pewnie się nie zgodzisz. Simon przez cały dzień będzie zajęty z Christine, prowadzą dogłębne dochodzenie w sprawie utraty wagi przez Justinę Maguire. Tak jakby nie była anorektyczką! A chłopcy z wczoraj zaprosili nas na plażę. Wiem, że nieprzyzwoicie jest zostawiać chorego męża w kłopotach, ale jeżeli masz ochotę na piaszczyste wydmy i słone powietrze czy cokolwiek innego, o czym mówi piosenka, to przyjadą po nas o jedenastej.

Amy szybko rozważyła propozycję. Mogła pałętać się po upalnym Rzymie przez całe popołudnie lub pojechać nad morze i wreszcie popływać.

- Nie, w porządku. Pojadę.

- Jesteś pewna? - Lisa była zaskoczona. - Nie porozmawiasz najpierw z mężusiem?

- Nie, teraz śpi. Zostawię mu liścik. Nie będzie miał nic przeciwko temu. Wie, że może mi zaufać.

- Chciałabym móc to powiedzieć o moim - parsknęła Lisa. - Dobrze, lalka. Spotkamy się na dole, w lobby, o jedenastej.

Dwadzieścia minut później Amy i Lisa siedziały na beżowej sofie, ściskając torby plażowe. Amy była ubrana w fioletową sukienkę, która miała w sobie coś z seksownego sekretarskiego szyku. Dlaczego zawsze dawała się nabrać na takie stereotypy? Wcale nie wyglądała jakby miała zdjąć okulary i rozpuścić kok jak jakaś Wonder Woman. Wyglądała jak asystentka prezesa małej fabryki widgetów niedaleko Devizes. Tak samo z szykiem w stylu boho: celem była metamorfoza w Kate Moss, ale w długiej spódnicy i kamizelce wyglądała, jakby brakowało jej tylko psa na smyczy i stosu „Big Issues”. Lisa była w pociętych dżinsach podkreślających jej idealne pośladki i w bawełnianej koszulce na ramiączkach. Wyglądała jak gwiazdeczka z lat pięćdziesiątych.

- Nad morze, nad morze, nad cuuudoowne morze - nuciała pod nosem. - Och, nie mogę się doczekać.

Mimo wszystko wydawała się jednak dziwnie przygaszona.

- Dobrze się czujesz? - spytała Amy.

- Ja? Och, tak, czuję się dobrze. Tylko... wiesz, tęsknię za Emily. - Westchnęła. - Trochę... rozmawiałam... z Simonem ostatniej nocy. O Sabrinie, naszym psie. Kochanej staruszce. Simon jej nie chce. Mówi, że będzie musiała iść do mojej siostry. A ona nie chce psa, ma troje dzieci i maleńki dom. Ale Emily kocha tego psa i...

- Co to za pies?

- Springer spaniel. Nie skrzywdziłby muchy. To znaczy czasem nasiusia na podłogę, ale to nie jej wina, jest po prostu stara. Simon nienawidzi zwierząt. Mówił to już na początku, ale myślałam, że go przekonam. - Westchnęła. - Emily pytała mnie o to dzisiaj rano i powiedziałam jej, że wszystko będzie dobrze, ale nie będzie.

- Może powinnaś jeszcze porozmawiać z siostrą.

- Wścieknie się. I tak już nie jest zadowolona, że musi się zajmować Emily przez te kilka dni. Kocha ją, ale jest zajęta pracą i dziećmi.

- A twoja mama?

- Mieszka w kawalerce. Na siedemnastym piętrze. Nie jest miłośniczką zwierząt.

Zerknęła na swoje ręce i Amy zauważyła, że zdjęła pierścionek zaręczynowy. Potem spojrzała w górę i uśmiechnęła się, widząc Massima, który kroczył przez lobby. - Hej, hej, tutaj - krzyknęła, a on podszedł i z zapalem pocałował ją w oba policzki. - Lisa, *ciao, come stai*. - Potem wyraz jego twarzy się zmienił, gdy zauważył Amy. - Skąd się tu wzięłaś? Lisa mówiła, że raczej z nami nie pojedziesz.

- Cóż, pojedę. - Amy się uśmiechnęła.

- Luigi zrezygnował w ostatniej chwili. Szkoda. No ale nieważne.

Na podjeździe przed głównym wejściem stał kabriolet bmw Massima. Było oczywiste, że Amy będzie musiała wcisnąć się na coś, co udawało tylne siedzenie. Massimo usiadł za kółkiem. W drodze na wybrzeże on i Lisa głośno flirtowali, podczas gdy Amy gorzko żałowała swojej

decyzji, by pojechać z nimi. Ta sytuacja przypominała jej trochę podobną sprzed siedmiu lat, kiedy wraz z Pinny pojechały na weekend do Paryża.

Dopiero na lotnisku przy odprawie dołączył do nich facet o ciężkim spojrzeniu, imieniem Harry, który, jak się okazało, pracował kiedyś w barze razem z Pinny. Wpadła na niego kilka dni wcześniej i poprosiła, by jej towarzyszył, nie wspominając, iż przyjaciółka też jedzie. Amy wściekła się, że nie zapytała jej o zdanie, a Harry - który jak widać uważał, że został zaproszony na niegrzeczny weekend

- nie krył irytacji. Amy wtedy była jeszcze studentką, a Pinny miała jakąś marną pracę, więc cała trójka musiała dzielić ze sobą mały pokój w obskurnej okolicy bulwaru Saint Michel. Pierwszej nocy Amy nie spała z powodu głośnego chrapania. Gotując się ze złości, leżała godzinami, żałując, że nie ma jak szturchnąć Harry'ego i kazać mu się zamknąć. Następnego ranka, kiedy siedzieli w kafejce, Amy przyznała, że jest zmęczona.

- Ja też - powiedział Harry. - Twoje chrapanie przez całą noc nie pozwalało mi spać.

- Moje chrapanie? O co ci chodzi? To ty chrapałeś.

- Oboje spojrzeli na Pinny, która niewinnie skubała croissanta.

- Pinny na pewno nie chrapie - odparł Harry. - Jest zbyt piękna.

To był okropny weekend. Za każdym razem kiedy Amy wychodziła z cuchnącej łazienki, widziała Harry'ego, jak klęczy przed Pinny, błagając, by się z nim wymknęła, podczas gdy Pinny kompletnie nie rozumiała, dlaczego nikt nie mógł się z nikim dogadać. Tak było wtedy i tak

jest teraz. W samochodzie pędzącym po autostradzie przypomniała sobie, jak jechała z lotniska i starała się być pozytywnie nastawioną.

- To gdzie jedziemy? - spytała rezolutnie.

- Lido di Ostia - krzyknął z przodu Massimo. - Rzymska plaża. Być może nie najpiękniejsza, ale można się tam dobrze bawić.

Ostia to bardzo zabudowane miasteczko, które z tego, co pamiętała Amy, -znajduje się dokładnie naprzeciwko lotniska. Gdy Massimo jechał przez wąskie uliczki i mijał duży kompleks Cineland oraz kręgielnię, klnąc na brak miejsc parkingowych, samoloty przelatywały na ich głowami tak nisko, że mogła dostrzec podwozie i nazwę linii lotniczych. Dlaczego ona nie leciała teraz jednym z nich?

Wreszcie, po zaparkowaniu w miejscu przeznaczonym chyba dla żółwia, wysiedli i poszli w stronę morza. Amy zobaczyła, jak skrzy się na horyzoncie. Pomimo cuchnącego zapachu powietrza, które alarmująco przypominało Glastonbury, jej serce podskakiwało z radości. Nareszcie popływa. Ale plaża, kiedy już do niej dotarli, zupełnie nie przypominała tej z jej wyobrażeń. Zamiast przypadkowo rozłożonych ręczników były tam rzędy schludnych, jednakowo kolorowych parasoli i opalonych ciał wygrzewających się w słońcu, których właściciele z pewnością nigdy nie słyszeli zalecenia „co najmniej faktor 15”.

- Ślicznie! - Amy usiłowała przekrzyczeć ryk nadlatującego 747. - Popływamy?

Massimo spojrział na nią i się zaśmiał.

- Nikt nie przyjeżdża do Ostii, by pływać.

- Ale tutaj jest plaża, prawda? - Amy była zmieszana.



- Tak, lecz morze jest bardzo, bardzo *inquinato*. Jak wy mówicie? Zanieczyszczone. Masa szczurów. Tylko szaleńcy pływają. - Dopiero teraz Amy zobaczyła, że w szarawej wodzie nie ma nikogo. - Pływa się w prywatnych basenach. Ciągną się wzdłuż plaży. Ale by z nich korzystać, trzeba mieć kartę członkowską, a my nie mamy.

Nie mogła w to uwierzyć.

- Więc co my tutaj robimy?

Teraz Massimo wyglądał, jakby rozlała na jego jedwabną koszulę ocet balsamiczny.

- Zjemy tutaj lunch - wyjaśnił cierpliwie. - A potem się poopalamy.

Lisa złapała ją za ramię.

- Hej, kochanie. Przepraszam. Ja też myślałam, że się wykapiemy. Ale lunch nad morzem to też nie jest zły pomysł, prawda?

Restauracja mieściła się w ceglany budynku, który wyrastał wprost z brudnej wody. Ich stolik znajdował się na środku sali z widokiem na wyblakłe zdjęcie jakiejś góry. Zamówili sałatkę i steki. Czekali długo: zdążyli przez ten czas wypić kilka karafek ciężkiego czerwonego wina. Lisa śmiała się i żartowała, ale Amy stawała się coraz bardziej markotna. Dzień stracony. Powinna była wrócić do Watykanu albo do Forum, zamiast tego siedziała tutaj z mężczyzną, który wcale nie pragnął jej towarzystwa, i kobietą, której postępowanie wywoływało niesmak. Ze wszystkich beznadziejnych punktów podróży poślubnej Amy ten był najgorszy.

- Amy, jak długo znacie się z Lisą? - spytał Massimo, kiedy wreszcie dostali jedzenie.

- Och, dwa dni - odpowiedziała bez zastanowienia.

- Dwa dni? - Nie krył zdumienia. - Myślałem, że jesteście starymi przyjaciółkami.

- Niedawno się poznałyśmy. Mieszkamy w tym samym hotelu.

Patrzył na nią z jeszcze większym zdziwieniem.

- Więc przyjechałaś do Rzymu sama?

- Okej, lepiej się przyznajmy - odezwała się Lisa. Jej nos zaróżowił się pod wpływem alkoholu. - Jestem tutaj sama, ale ona jest w podróży poślubnej.

Massimo po raz pierwszy spojrział na Amy z zainteresowaniem.

- W podróży poślubnej? Ale gdzie jest twój mąż?

- Choruje. - Amy zastanawiała się, co ona, u diabła, robi. - Więc kazał mi wychodzić i się bawić.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

- A gdzie twoja obrączka? - zapytał po chwili. Amy już wcześniej przygotowała sobie odpowiedź

na to pytanie, a nawet była zaskoczona, że jeszcze nikt jej o to nie pytał.

- W hotelowym sejfie. Nie chciałam jej nosić na ulicy. Wyglądał na urażonego.

- Hej, to Rzym, nie Bagdad, wiesz? My Włosi nie jesteśmy złodziejami ani włamywaczami. Nasz standard życia jest wyższy niż wasz, Anglików. Gdy byłem pierwszy raz w Anglii, w łazience nie było bidetu. Jak wy możecie żyć bez bidetów? To obrzydliwe.

- Bidet? - odburknęła Lisa. - To to, w czym pierzecie skarpetki, tak? - Wstała, chwiejąc się trochę. - Idę zrobić siku. Idziesz ze mną, Amy?

- Przepraszam - wysyczała, gdy myły ręce w obleśnych umywalkach. - Nie powinnam była wygadać się o tobie. Po prostu mnie poniosło. Ale proszę, oddaj mi przysługę. Nic nie mów o mojej sytuacji. Massimo naprawdę bardzo mi się podoba i nie chcę, by coś stanęło nam na drodze.

- Może powinnam się po prostu wynieść. - Amy osuszała dłonie papierowym ręcznikiem.

- Nie! Zostań! - odparła Lisa, choć bez przekonania. - Jesteś wkurzona, Amy? Proszę, nie denerwuj się. On jest boski, a Simon nie i... myślę, że zasługuję na małą przyjemność, zanim za niego wyjdę.

- Nie musisz za niego wychodzić - zauważyła Amy. Nie była zła na Lisę ani jej nie oceniała. Czowała się dziwnie niezwiązana z tym tematem, tak jakby ktoś inny prowadził tę rozmowę.

- Muszę. Naprawdę muszę. Nikt inny nie spłaci moich długów. A mam dziesięć tysięcy na kartach kredytowych, Amy. Kto się mną zajmie? Ale nie żałuj mi jednego dnia zabawy.

- Nie żałuję ci - powiedziała Amy. - Baw się. - I wróciły do stolika.

Dochodziła piąta, kiedy Hal zasnął. Scenariusz Bazottiego zrobił na nim wrażenie, nie mógł odrwać się od czytania. A rola! Zupełnie inna niż te, z którymi miał wcześniej do czynienia, mięsista, emocjonalna, prowokacyjna i w żadnym razie nie skłaniająca do śmiechu.

Gdy zamknął skrypt, leżał w łóżku podekscytowany myślami o potencjalnych recenzjach. „Hal Blackstock - rewelacja”, „Pięknie zagrane. Odkrył nowy poziom emocji”.

Widział siebie na scenie, ściskającego złotą statuetkę, chociaż osoba, którą dostrzegł na widowni i która dziko biła mu brawo, nie miała twarzy Flory, ale ku jego irytacji twarzy Mariny. Już łąpał za telefon, by zadzwonić do Calluma - nie byłby to pierwszy raz, kiedy budzi go o niehumanitarnej porze - ale zdołał się powstrzymać. Kiedy tylko skontaktuje się z nim, Callum zadzwoni do Los Angeles i piłka będzie w grze. To miał być punkt zwrotny w życiu Hala, moment, do którego będą wracać filmoznawcy i zachwycać się tym, jak powstała legenda aktorstwa.

Kiedy jednak obudził się około południa (zadzwonił do recepcji, gdy tylko promienie słońca ukazały się nad ogrodem, i zostawił wyraźne instrukcje, by nikt mu nie

przeszkadzał), jego nastrój się zmienił. Może scenariusz wcale nie jest tak dobry, jak myślał. Być może nawet beznadziejny i zbyt oczywisty. Okej, Bazotti jest na topie, ale to, że jego ostatni film był gorszy niż poprzedni, może świadczyć, że twórca znalazł się na zakręcie. Musi przeczytać scenariusz jeszcze raz, zanim podejmie decyzję. Przede wszystkim jednak Hala dręczyła myśl, że on się do tej roli nie nadaje. Albo poleci do Hollywood na casting (od lat nie brał udziału w castingach) i zostanie odrzucony na korzyść cholernego Jude'a Lawa, albo dostanie rolę, po czym zawiedzie wszystkich. „To mogło być dzieło sztuki, gdyby nie żaloszny udział Hala Blackstocka, bolesne nieporozumienie przy kompletowaniu zespołu...”.

Aż poczuł mdłości. Wyobraził sobie, jak Marina czyta recenzje i się śmieje. A propos, dlaczego nie zadzwoniła? Zdobył się dla niej na grzeczność, więc mogłaby być na tyle uprzejma, żeby oddzwonić.

Podniósł słuchawkę.

- Nessie, to ja. Proszę śniadanie. I angielskie gazety.

- Oczywiście, Hal. - Zamilkła na chwilę. - Jesteś w każdej z nich, wiesz? Twój wywiad dla Christine Miller już zamieścił „Post”. Musiała uwijać się jak pszczoła, by to poszło tak szybko. Podejrzewam, że wieści o Marinie nadały temu inny wymiar.

- Och, nie dlatego chcę dostać gazety - skłamał Hal. - Chodzi o wyniki krykieta.

Pół godziny później siedział na tarasie, sącząc sok z granatów, i z marsową miną przeglądał prasę. Nessie nie żartowała. Pisały o nim „Sun”, „Mirror”, „Express”, „Mail” i „Telegraph” w kolumnie plotkarskiej. W „Daily

Post" rozpoznał siebie na pierwszej stronie i dwóch środkowych. Tak jak się obawiał. *Kto jest najszcześniejszą dziewczyną na świecie?* pytał nagłówek nad zdjęciem Flory na łódce i drugim, na którym widniała Marina i ten bęcwał Fabrizio patrzący z czerwonego dywanu w obiektyw podczas jakiejś okropnej premiery. *A kto wybrał się na przejażdżkę?* wołał drugi, mniejszy nagłówek nad zdjęciem Hala na vespie, które jakiś paparazzi musiał pstryknąć wczoraj.

Wywiad był w środku gazety, wraz ze zdjęciem, na którym Hal wyglądał na zmęczonego, zmizerowanego choleryka. Wiedział, że ten palant z „Daily Post” miał za zadanie sprawić, by wyglądał najgorzej, jak to tylko możliwe. Wywiad był długi, dłuższy niż artykuł o obecnym kryzysie na Bliskim Wschodzie, uderzający tytułem:

**JAK HAL POZWOLIŁ ODEJŚĆ KOLEJNEJ DZIEWCZYNIE**

i wzmocniony komentarzem:

*Utrata jednej pięknej dziewczyny może być pechem, ale strata dwóch to już zupełna bez troska.*

*To nie był dobry dzień dla Hala Blackstocka. Jego była dziewczyna Marina Dawson i włoski przedsiębiorca Fabrizio de Michelis właśnie ogłosili zaręczyny. Na pewno jest mu ciężko, jednak kiedy spotkaliśmy się wczoraj w Rzymie, Blackstock zapewniał mnie, że wcale go to nie dotknęło.*

*- Bardzo się cieszę ze szczęścia Mariny- powiedział mi przez zaciśnięte zęby. - Życzę jej i Fabriziowi wszystkiego,*

*co najlepsze. Nie znam go dobrze, spotkaliśmy się kilka razy, ale słyszałem, że to świetny facet.*

Było tam trochę gadania o tym, że Hal i Marina po dziesięciu latach bycia w związku zerwali osiemnaście miesięcy temu, nie zabrakło plotek o niewierności obojga.

*- Nasza separacja miała swoje powody - mówi Hal. - Związek się zakończył.*

*Cóż, taka jest jego wersja...*

Potem artykuł przeszedł do długiej i szczegółowej analizy wad Hala: był próżnym snobem, gasnącą gwiazdą, jak twierdzą „przyjaciele”, odpychał Marinę, będąc z natury kobieciarzem, nie chciał się angażować. Teraz wszystko osiągnęło punkt krytyczny z Florą. Jego komentarze o „The Apple Cart”, jak uwielbia pracować z Benem i jaka to frajda, zostały zignorowane, pozostało tylko parę uszczypliwych uwag odnośnie do jego żalosnej lokaty w amerykańskich rankingach popularności.

*Zżyciem uczuciowym w strzepach i karierą mającą się ku końcowi Blackstock znalazł się w kleszczach kryzysu wieku średniego. To, czy gasnąca gwiazda zdoła odwrócić swój los, będzie dla niego największym testem.*

- Pieprzenie - powiedział głośno Hal, jak zawsze gdy czytał o sobie coś, co nie było pięciogwiazdkową recenzją. Chociaż problem w tym, że to nie pieprzenie. Christine Miller zdawała się mieć wgląd w jego umysł. Choć „gasnąca

gwiazda" to nie fair. Bądź co bądź Andréas Bazotti go chciał. Każe Nessie zadzwonić do kilku dzienników show-biznesu, by je o tym powiadomić. Zmienił jednak zdanie - do tego bowiem uciekały się często tak zwane gwiazdy, z czego zawsze się śmiali z Mariną.

Dlaczego nie oddzwoniła do niego?

Przestań o niej myśleć! Zajmij się Florą, teraz ona jest najważniejsza. Czy też czuła się już zmęczona kobieciarzem, który nie chciał się angażować? Wiedział, że jeżeli się nie oświadczy, kiedy wreszcie dojdzie do spotkania, najpewniej znów zostanie sam i ta suka dziennikarka dostanie podwyżkę za swoją przepowiednię. Ale nie mógł ożenić się tylko po to, by wkurzyć Christine Miller.

Podskoczył na dźwięk telefonu. Marina, nareszcie? Nie, to Nessie.

- Hal, fryzjer i makijażysta będą u ciebie za godzinę i potem zabierzemy cię na Schody Hiszpańskie. O szóstej czterdzieści pięć będzie tam mała sesja dla ciebie i Justiny, a premiera zaczyna się o siódmej trzydzieści. W porządku?

- Dobrze - odparł ponuro. Aż sam się zdziwił, że nagle pomyślał o lekarce, dzięki której mógł już zapomnieć o pryszczu. Żałował, że z nią nie porozmawiał. Jej życie było czymś więcej niż przyjęciami i sesjami zdjęciowymi. Jaki w tym sens? Zawsze z nich kpił, ale teraz zaczynał rozumieć, dlaczego Guy i Madonna zajęli się tą całą kabałą. A może Tom miał rację, stawiając tylko na scjentologię?



Amy wcale nie myślała o Halu, lecz o tym, jak uciec od Lisy i Massima. Rozczarowani lunchem, bo steki były zbyt wysmażone, frytki rozmoczone, a sałatka ociekała octem, spacerowali wzdłuż morza. Wokół pełno było salonów gier i nastolatków na skuterach. Lisa i Massimo szli z przodu, dotykając się od czasu do czasu dłońmi, śmiali się piskliwie i dla żartu popychali jedno drugie.

- Lody - zawołał Massimo przez ramię. - Pójdziemy na lody.

Prowadził je w górę bocznej uliczki. Chodnik był wąski i Amy, w ocierających ją sandałkach, została w tyle. Nagle po lewej stronie zobaczyła stację kolejową. Spojrzała do przodu - Lisa i Massimo byli zajęci rozmową. W nagłym przypływie determinacji przebiegła przez ulicę i dalej, do marmurowego budynku z kasami.

- Rzym - powiedziała do znudzonego kasjera za szybą. - Chcę jechać do Rzymu. - Sprzedał jej bilet za jakąś drobną sumę i wskazał właściwy peron. Pociąg już tam stał i pięć minut później jechała z powrotem do miasta. Wyciągnęła z torebki numer telefonu Lisy i wysłała jej wiadomość, że ich zgubiła, wraca więc do hotelu, do męża. Oparła czoło

o szybę i patrzyła, ale trasa pociągu wiodła przez nieciekawe krajobrazowo okolice. Już tak wielu rzeczy żałowała. Zmarnowała dzisiejszy dzień. Dlaczego nie spróbowała bardziej się wysilić? Dobrze, była tą brzydką przyjaciółką, której nikt nie chciał, ale mogła spróbować być lepszą towarzyszką zabawy. Jest nudna, nic dziwnego, że nie cieszy się sympatią w towarzystwie. Doug miał rację, już nie umiała się bawić.

Skarciła siebie za to uzalanie się; jej najlepsza przyjaciółka była w dużo gorszej sytuacji. Zadzwoiła do niej. Gaby leżała w łóżku i wydawała się bardzo, bardzo zaniepokojona.

- Wszystko będzie dobrze, ale nie wstawaj z łóżka, jedynie do toalety. Spójrz na to jak na zabawę. Zdobądź ile się da magazynów i filmów na DVD. Nie będziesz miała już takiej szansy, kiedy urodzi się dzidzius.

Gaby zapytała, co Amy robi, więc streściła jej dzień i przyznała się, że została zaproszona na premierę tego wieczoru, ale chyba nie pójdzie.

- Musisz pójść, koniecznie. Co złego może się wydarzyć? Obejrzysz film za darmo? Zrób to dla mnie, Amy.

Ma rację, przyznała Amy. W Rzymie złapała autobus do hotelu, co nie okazało się tak trudne, jak się obawiała, i wróciwszy do swojego apartamentu, zrobiła makijaż tak, jak nauczyła ją kobieta na stoisku Bobbi Brown, by mogła go powtórzyć w dniu ślubu. Bała się, że będzie wyglądać jak członek zespołu drag queen na występie ku czci Abby, ale na szczęście pozostała sobą, była tylko ładniejsza. Włożyła nową sukienkę i znów się przejrzała. Czuła się jak Marilyn Monroe, która ma zaraz zaśpiewać

*Happy Birthday* prezydentowi Kennedy'emu. Przemknęło jej przez myśl, by zrobić sobie zdjęcie telefonem i wysłać je Dougowi, ale powstrzymała się, bo: a) nie wiedziała, jak się wysyła zdjęcia telefonem, i b) to by było szalone.

Włożyła szpilki od Emmy Hope i o wpół do ósmej wyruszyła wzdłuż Via del Babuino w stronę Piazza di Spagna - był zapchany przez pstrykających aparatami turystów wpatrzonych w Schody Hiszpańskie. Kiedy przeciskała się przez tłum, usłyszała wycie. Spojrzała w górę. Na szczycie schodów stał Hal Blackstock, w smokingu, machał i się uśmiechał. Ramieniem obejmował talię Justiny Maguire - była chudsza i wyższa niż Amy sobie wyobrażała, z piersiami niczym torpedy i ciałem jak sznur do bielizny. Amy się uśmiechnęła. Pomyśleć tylko, że towarzyszący jej mężczyzna histeryzował z powodu wyprysku skórniego i tylko ona i signor Ducelli o tym wiedzieli.

Gdy Justina i Hal zaczęli schodzić, strzeliły tysiące fleszy, tysiące designerskich komórek trzymanyh w górze miało uchwycić ten moment. Krzyk był ogłuszający. Amy przeciskała się przez tłum, aż znalazła się na końcu czerwonego dywanu. Pokazała zaproszenie strażnikowi, który skinął głową. Nogi się pod nią uginały, ale szła tak szybko, jak tylko mogła w stronę namiotu, przekonana, że każdy widz kwestionuje jej obecność. W namiocie kolejny ochroniarz prześwietlił jej zaproszenie fluorescencyjnym światłem i też skinął głową. Pierwszą osobą, którą zobaczyła wewnątrz, była Vanessa, nienaganna jak zawsze, w szarej, ciasno przylegającej koszuli.

- O, cześć. - Uśmiechnęła się drwiąco. - Więc zgodziłaś się przyjąć nasze zaproszenie?

- Tak - odpaliła Amy. - Hal mnie zaprosił.

- Z mężem nadal kiepsko?

- Niestety tak. Popęłnił błąd, pijąc wodę z kranu.

- Cóż, mam nadzieję, że przyjdiesz na przyjęcie. Będzie niezły bufet, powinien ci się spodobać. - Z protekcyjnym uśmiechem odwróciła się do stojącej obok asystentki i poszeptała jej coś do ucha. Obie zachichotały.

Amy nie wiedziała, jak się odgryźć, więc przeszła dalej do kina, gdzie już zajęło miejsca około dwustu gości - najlepiej ubranych osób, jakie kiedykolwiek widziała. Prawie zachłysnęła się koktajlem Fendi, Gucci, Angel oraz Dolce i Gabbany. Żadnej pękniętej nitki, żadnej naderwanej skórki. Wszystkie kobiety opalone na brąz wyglądały jak siodła z oczami. Amy nigdy wcześniej nie czuła tak dotkliwie braku biżuterii. Dzięki Bogu Lisa namówiła ją na kupno sukienki. Światła przygasały. Amy wślizgnęła się na fotel w czwartym rzędzie od końca.

- *Io sono sempre stato celibatorio...* - rozległ się soczysty męski głos zmontowany z obrazem budzącego się i wstrząśniętego Hala, który łapie budzik, wyskakuje z łóżka i dysząc, ubiera się w rekordowym tempie. - *Ma fino a quella mattina in aprile, non avevo mai conosciuto...*

Film był dubbingowany. Dlaczego nikt jej tego nie powiedział wcześniej? Musiała siedzieć przez półtorej godziny i słuchać Hala Blackstocka recytującego po włosku, jak jakiś palant na valium. Justina z kolei mruzczała jak telefonistka z sekstelefonu. Nie trzeba było mieć dyplomu z italianistyki, żeby zrozumieć, o co chodzi. Ktoś kradł jabłka z sadu i Hal oraz jego wspaniały pies wyruszyli, by znaleźć złodzieja.

W każdym razie publiczność wydawała się tak samo znudzona jak ona: facet po prawej niemalże nie oglądał drugiej połowy filmu, tylko czytał wiadomości na swojej komórce, podczas gdy kobieta z przodu nieprzerwanie bawiła się biżuterią. Przypomniało to Amy jej własną, nigdy nienoszoną obrączkę, pozostawioną w domowej szafie. Nie chodzi o pierścionek zaręczynowy, tego nigdy nie było. Wróciła myślami do nocy, kiedy zaproponowała Dougowi, by się z nią ożenił. To było w styczniu zeszłego roku. Jechała na występ Ambrosial, którzy po raz dziewięćset jedenasty grali w pubie w Notting Hill, kiedy zadzwonił jej telefon. Gaby.

- Mam dla ciebie nowinę - wydyszała.

- Tak? - Prawdopodobnie, pomyślała, krzesła do namiotu były jedynie w kolorze pomarańczowym, a nie żółtym, jak wymarzyła sobie Gaby, lub zdarzyła się inna podobna katastrofa.

- Jestem w ciąży!

Amy zatrzymała się na ulicy, wstrząśnięta mieszaniną zachwyty i zazdrości.

- Gaby! To wspaniale!

- Prawda? Trzeci miesiąc. Zdziwiająca, że ty, lekarz, tego nie zauważyłaś.

- Cóż, mówiłaś, że jesteś na przedślubnym detoksie i masz taką obsesję, że we wszystko mogłam uwierzyć.

- Zatem nie będę już panną młodą w rozmiarze zero. Będę jak Mamma Cass.

- Kiedy masz termin?

- W lipcu. Na ślubie będę w ósmym miesiącu. Niezbyt idealnie, ale co zrobić?

Mniej więcej po godzinie rozmowy Amy dotarła na występ akurat w momencie, gdy zespół wchodził na scenę. Ku jej zaskoczeniu byli magiczni. Pinny elektryzowała zachrypniętym zmysłowo głosem, wydobywając refreny. Zagrali cały zestaw nowych piosenek i publiczność oszalała. Na koniec facet z działu artystycznego wytwórni Virgin poprosił Douga o nagranie.

- Naprawdę? - spytał Nico, sprawdzając w małym lusterku garderoby, czy nie rozmazał mu się tusz.

- Naprawdę.

Wszyscy się cieszyli i zeszli do baru. Po godzinie byli już pijani. Amy, przygwożdżona wiadomościami od Gaby, czuła się fatalnie. Na scenę wszedł didżej i poszli tańczyć, i tańczyli, tańczyli, tańczyli. Zapomniała, jak to miło być pokrytą potem, gdy serce łomocze pod wpływem adrenaliny upojone rytmem, choć cała reszta była raczej upojona czym innym.

- To magiczna noc! - krzyknęła do Douga.

- Prawda? - Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować tak, jak już od miesięcy się nie całowali. Gdy napięcie wzrosło, Doug odsunął ją od siebie na długość ramion.

- Może wyjdziemy? - zapytał. Uśmiechnęła się.

- Czemu nie?

Znaleźli się w alejce na tyłach klubu. Amy plecami opierała się o ścianę, oplatając nogami talię Douga, który w pośpiechu nie rozpiął nawet porządnie spodni.

- Wow - powiedział po wszystkim.

- Wow. - Amy łomotało serce. To było to. Niedojrzała, sprośna namiętność pod wpływem chwili. O to właśnie chodziło w miłości.

- Jesteś wspaniała, Amy. - Czknął lekko.

- ...bierzmy się - usłyszała własne słowa. -Co?

Serce jej waliło jak dzwon. Ale oboje byli tak pijani, że gdyby odmówił, zawsze mogła powiedzieć, że żartowała.

- Pobierzmy się?

- Okej - odparł. - Dlaczego nie?

Nie rozmawiali już o tym, weszli do środka i dalej tańczyli. Nikomu nie powiedzieli o swojej decyzji. O piątej wzięli taksówkę i pojechali do domu. Doug spał już po pięciu minutach od przekroczenia progu. Ale Amy nie spała aż do chwili, gdy świt zaczął rozciągać się nad Londynem. Sen zmorzył ją na jakieś trzy godziny, zanim obudziły ją drgawki. W głowie jej szumiało. Dokładnie wiedziała, jakiego rodzaju ślubu pragnie: pokój wypełniony liliami i bordowymi różami, solista śpiewający *Ave Maria*. Ona w spodniach i marynarce od Bianki Jagger, a Doug w koszuli ze stójką. Gaby przeczyta fragment z *Kapitana Corellego* o tym, że miłość to tymczasowe szaleństwo. Po ceremonii podadzą tajski posiłek, potem będą tańce - może Ambrosiał wykona jakąś thrashmetalową wersję *The Way You Look Tonight* na pierwszy taniec jej i Douga. Patrzyła na niego, spał spokojnie. Tak dużo rzeczy trzeba było załatwić. Dlaczego on nie podzielał jej świadomości pilnych spraw?

Gdy spał, postanowiła zadzwonić do kilku osób i podzielić się wiadomością. Pierwsza na liście była Gaby.

- Ustaliliście datę? - spytała natychmiast.

- Nie, oczywiście, że nie. Zareczyliśmy się raptem nad ranem.

- Bo to nie może być drugiego czerwca.

- Gaby, oczywiście, że nie zorganizujemy tego drugiego czerwca. Ta data już od roku widnieje w moim kalendarzu jako dzień twojego ślubu. Nie mam zamiaru cię zdublować.

- Przepraszam. Przepraszam. Jestem zestresowana, tyle zmian w życiu. Zatem gratulacje. Już najwyższa pora. Pośpiesz się i zajdź w ciążę, proszę, przynajmniej będę miała kogoś, z kim przejdę przez to wszystko.

Rodzice Amy piszczeni z radości.

- Och, kochanie - powiedziała mama. - Całe życie czekaliśmy na tę chwilę. Teraz mogę umrzeć szczęśliwa.

- Mam nadzieję, że Douglas weźmie się do roboty i znajdzie porządną pracę - wtrącił tata.

Doug do nikogo nie zadzwonił.

- Po co ten pośpiech? - Ziewnął, gdy wreszcie drgnął koło południa i Amy podała mu telefon. - Powiem moim rodzicom, kiedy się zobaczymy. Tak samo zespołowi.

Przynajmniej nie zapomniał - jak obawiała się Amy. Ale też nie biegał, krzycząc z radości w jasnym blasku dnia.

- Fajnie. - Ziewnął. - Czemu nie? Pośmiejemy się.

- Gaby jest w ciąży - powiedziała.

- Tak? - Zamrugął. - Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Cóż, domyślam się, że ona i PJ chcieli dziecka.

- Chcieli? To tym bardziej głupio. Do widzenia śnie. Witajcie, śmierdzące pieluchy. Zegnaj, wolności. Wiesz, co Cyril Connolly nazwał wrogiem literatury? Wózek dziecięcy na korytarzu. - Wzdrygnął się teatralnie. - Fuj.

Amy wpatrywała się w niego. Odkładała odbycie tej rozmowy, cóż, po prostu nie pasowała do ich wizerunku



osób entuzjastycznych, gotowych na wszystko. Może powinni teraz odbyć tę rozmowę? Ale nie. Mieli kaca i dopiero co się zaręczyli. Jest jeszcze mnóstwo czasu, by z nim o tym pogadać.

W drodze do pracy w poniedziałkowy rano szła inną niż zwykle trasą, która niby przypadkiem prowadziła obok sklepu Emmy Hope przy Amwell Street. Gapiała się na wystawę, zainteresowana jedną, szczególną parą butów. Boskie: kremowa satyna na niewysokim obcasiku, klasyczne, ładne, idealne do tańca, no i okazja - za jedyne osiemdziesiąt funtów. Gdyby sklep był otwarty, kupiłaby tę parę, ale na szczęście było dopiero wpół do dziewiątej, więc zamiast butów kupiła w kawiarni caffè latte. Co też miało swoje dobre strony, stwierdziła, popychając drzwi oddziału chirurgii. W jaki sposób Gaby sprawiła, że chcesz kupić ślubne buty, skoro jesteś zaręczona od niecałych czterdziestu ośmiu godzin?

Nie mogła się powstrzymać przed tym, aby powiedzieć Andrei i Rosie z recepcji. Zapiszczały.

- Zrobiłaś to! - zawołała Andrea. - Wychodzisz za Jude'a.

- Jude'a? - Amy chciała wiedzieć, o czym mówi Andrea. Nigdy wcześniej nie myślała o Dougu w ten sposób, ale teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, można było dostrzec pewne podobieństwo.

- Jude Law! - potwierdziła Andrea. - Tak go nazywamy z Rosą, prawda?

Rosa wyglądała na lekko zakłopotaną. - Nie, And. Jude nie jest chłopakiem Amy, to chłopak Madhury. Chłopak Amy to Simon.

- Simon? - Tym razem Amy miała złe przeczucie.

- Simon Cowell. Cóż, musisz przyznać, że jest do niego trochę podobny. Nieważne - powiedziała pośpiesznie Andrea. - Simon jest bardzo przystojny. Ciacho, tak myślę.

- Nie przejmuj się - przerwała jej Rosa. - Gdzie pierścionek? Dalej, spraw, by nas z zazdrości zalała żółć.

- Tak właściwie - wyznała Amy - nie ma pierścionka. Jeszcze. To były spontaniczne oświadczenia.

- Zatem upewnij się, że ci jakiś kupi. I to szybko. Amy myślała o tym, otwierając drzwi na chirurgię.

Oczywiście potrzebowała pierścionka, ale Doug nie mógł sobie pozwolić na taki, jaki by chciała. Przecież nie będzie płaciła za swój pierścionek zaręczynowy?

Gdy Sophia Franklin mówiła o swojej drugiej nieudanej próbie in vitro, jej umysł skupiał się na planowaniu przygotowań. Nie rozumiała, dlaczego ludzie robili tyle szumu wokół ślubów. Potrzeba tylko dobrej listy, a Amy była geniuszem, jeżeli chodzi o listy. Okej, Doug się czasem wkurzał, kiedy znajdował w domu karteczki z napisem: „Umyć zęby” czy „Zrobić listę”, ale Amy to uspokajało, gdy wiedziała, że wszystkie jej problemy mogą się zmieścić na kawałku kartki. Gdyby Izraelici i Arabowie mieli odrobinę samoprzylepnych karteczek, ich kwestie sporne zostałyby natychmiast wyjaśnione. Data, miejsce i sukienka mogły być wybrane w ciągu piętnastu minut. Ona i Doug nie chcieli jakiegóż wielkiej ceremonii, takiej, jaką planowała Gaby. Amy czuła niechęć do tych bezosobowych liczb, tak dużych, że nie wiadomo było nawet, na czym się jest weselu...

- I co twoim zdaniem powinnam zrobić? - mówiła Sophia.

- Hm? (Pamiętaj, by na liście zapisać - „słuchać pacjentów”, nawet Sophii F.)

- Czy myślisz, że to dobry pomysł?

- Och tak, tak.

- Dobrze. Myślałam, że powiesz, iż ten cały detoks z sokiem z granatów jest lekkim przegięciem, ale jestem pewna, że zadziała.

Kiedy Sophia sobie poszła, powiedziała Andrei i Rosie, że musi wykonać bardzo pilny telefon w związku z pracą, zanim wpuszczą kolejnego pacjenta. Weszła w Google i w ciągu kilku sekund znalazła listę panny młodej. Zawierała sto siedemdziesiąt osiem punktów, łącznie z tak oczywistymi jak suknia i buty, ale zawierała też rzeczy, o których Amy nigdy nie słyszała: gęsie pióro, sześć-pensówka w bucie, konserwacja sukni i dywan na wejście do kościoła. Siły z niej opadły. O cholera. To było jak kucie do egzaminów. Jak miała sobie z tym poradzić?

Oddychaj, oddychaj. Jeżeli potrafiłaś zostać lekarzem, potrafisz urządzić cholerny ślub.

Zadzwoił jej telefon. Widząc, że to Pinny, uśmiechnęła się, przygotowana na gratulacje i piski.

- Halo? - powiedziała pogodnie.

- Hejka. Jak leci? Miałam chwilę w trakcie próby i pomyślałam, że zadzwonię. Piątkowa noc była super, prawda? Chociaż przy dziennym świetle wygląda, że ten kontrakt z Virgin to kolejny niewypał.

- Yhm.

- Zastanawiałam się, czy mogłabyś mi załatwić trochę valium? Pomaga mi dojść do siebie po długich nocach.

Amy zaatakowała.

- Wiesz, że nie mogę przepisywać leków przyjaciołom, zwłaszcza gdy ich nie potrzebują.

- Wiem, chciałam tylko spytać. Ale nadal mam nadzieję. To może powinniśmy wybrać się kiedyś razem na curry. Nadrobić zaległości bez obecności twojego chłopaka. Przez niego już w ogóle nie widuję cię samej.

- Czy on tam jest? - spytała Amy. Zaszło jej w ustach.

- Tak, gdzieś tu jest. A co? Chcesz z nim porozmawiać?

- Nie miał dla was żadnych wieści dzisiaj rano?

- Wieści? Jakich?

- Och, nic takiego. Słuchaj, wchodzi już mój następny pacjent. Muszę kończyć.

Trudno jej było skoncentrować się na panu Iabal i jego opisie bólu gardła. Następną wizytę miała odwołaną, więc wstała, włożyła płaszcz i poszła prosto do kiosku. Nie chciała myśleć o tym, dlaczego Doug nic nie powiedział kolegom z zespołu. Po prostu czekał na odpowiedni moment. A ona miała dużo do zrobienia i nie mogła pozwolić sobie na rozkojarzenie.

Podczas popremierowej imprezy na tarasie hotelowym Hal był co najmniej znudzony. Opuściwszy pokaz filmu, wrócił do swojego apartamentu, ale potem został wezwany na dół, by stać w rogu z kieliszkiem szampana i próbować nawiązać rozmowę z George'em Williamsonem, jednym z dyrektorów wykonawczych studia. Williamson jak zwykle rozводził się nad tym, ile zarobił w tym roku i ile zamierzał zarobić w przyszłym, podczas gdy jego żona, której zmieniona operacjami twarz wyglądała, jakby skopiowano ją tylko częściowo, przytakiwała, stojąc z tyłu.

- Jak ci się podoba Rzym, Hal? - spytała.

- Och, jest wspaniały, wspaniały. Piękne miasto. Tak, świetne. Kiedyś tutaj mieszkałem, wicie. Powrót do korzeni jest odkrywczy. - Dorwał kolejny kieliszek z koktajlem Bellini z najbliższej tacy, niesionej przez kelnerkę z uszami jak Scooby Doo. Nadawały jej słodki wygląd. Wzrok Hala przeniósł się na jej pupę z doczepionym małym ogonkiem, który kołysał się podczas przeciskania się przez tłum. Dawniej na pewno by się na nią zasadził. Chociaż tak właściwie taras prezentował cały zestaw talentów, być

może zająłby się tą miłą blondynką w srebrnej sukience stojącą w rogu albo tą czarną dziewczyną z niesamowitymi nogami. Zerknęła na niego przez ramię i... tak, z pewnością się do niego uśmiechała.

Ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy dał jej znak, że może podejść.

- Witam - powiedziała.

- Witam - odpowiedział z nikłą świadomością, że zabrzmiał trochę jak Leslie Phillips. - Jestem Hal Blackstock. - Oczywiście już to wiedziała, ale przypomnienie nie zaszkodzi, dodawało mu to skromności, którą panienki uwielbiały.

- Wiem, jestem twoją wielką fanką. Kocham ten film. Boże, jest taki zabawny! A ty jesteś fantastyczny.

Okej. Albo była kłamczuchą, albo była bardzo, bardzo głupia. Stawiał na to drugie.

- Cóż, o rany, dzięki. - Zatrzepotał rękami. - Jak masz na imię, kochanie?

- Jestem Kaylisha.

- Wow. Co za imię. I z pewnością jesteś modelką, Kaylisha?

- Tak, skąd wiesz? - Miała niesamowite cycki, chociaż na pewno nie były naturalne. Znając Marinę przed i po operacji wszczepienia implantów, stał się ekspertem w tej dziedzinie. Prawdę powiedziawszy, nawet lubił dotyk silikonu. Piersi Flory były naturalne i bardzo małe, choć zachwycano się, jak wspaniale leżą na niej ubrania. Wsłuchał się znów w to, co mówiła Kaylisha.

- Myślę o wycofaniu się. Interesuje mnie psychoterapia. Moja osobista podróż była pełna wzlotów i upadków.

- Naprawdę? - Rozejrzał się za kelnerem, by napęłnić kieliszek. Czy ta dziewczyna była warta ryzyka? Całkiem prawdopodobne, że spędzi z nim noc, a potem wszystko opowie prasie. A może nie?

- Tak - ciągnęła Kaylisha. - Widzisz, nauczyłam się dbać o moje wewnętrzne dziecko i to rzeczywiście wiele zmieniło. Teraz regularnie chodzę na warsztaty rozwijania swojego wnętrza. Właśnie skończyłam jeden we Francji. Poznałam tam faceta o imieniu Antoine, który jest breatharianinem.

- Breatharianinem?

- Tak. On nie je. Egzystuje tylko dzięki światłu.

- Nie je? - Hal wiedział, że takie pytanie było dość powszechne w przemyśle modowym, więc je uściślił. - Wcale?

- Ani kęsa. I nic nie pije.

- Nawet dietetycznej koli? Kaylisha wyglądała na zszokowaną.

- Och, nie. Karmi go jego duchowość.

- Czyli jest workiem kości?

- Jest szczupły - przyznała. - Ale nie do przesady. To znaczy nie bardziej niż Justina. On ma wspaniałą osobowość, Hal. Bardzo byś go polubił.

- Z pewnością. Życie bez jedzenia? Niezłe. Może powinien pojechać do Afryki i nauczyć tego wszystkich głodujących.

Kaylisha była pod wrażeniem.

- Wow. To rzeczywiście dobry pomysł. Jesteś mądrym facetem, Hal.

Rozejrzał się zdesperowany. Zawsze był jakiś kruczek. Dlaczego nigdy się tego nie nauczył?

- Powinieneś go poznać.

- Tak, bardzo bym chciał. - Cholera, gdzie się podziała Nessie? Do jej obowiązków należało ratowanie go w sytuacjach takich jak ta. I wtedy, omal nie krzyknął z radości, zobaczył panią doktor; stała samotnie pod jedną z pochodni oświetlających ogród. Wyglądała dziesięć razy lepiej niż ją zapamiętał; była w różowej sukience, która nadawała jej figurze wygląd dziewczyn malowanych na bombowcach B52.

- Hej! - Poczł wielką ulgę. - Pani doktor. Tutaj! Przepraszamy Kaylisę, zwrócił się do nadchodzącej kobiety:

- Cześć.

- Cześć - odparła.

- Przepraszam - powiedział. - Ale nie znam twojego imienia.

Uśmiechnęła się.

- Amy.

- Ładnie. Więc Amy, co myślisz o filmie?

- Zabawny - odpowiedziała szybko.

- Wcale nie - zaprotestował. - Diaboliczny. Powiedz. Potrafię znieść prawdę.

- Cóż, właściwie nic nie mogę o nim powiedzieć, ponieważ był po włosku i nie rozumiałam.

Hal odrzucił głowę i się zaśmiał.

- Naprawdę? Och, przykro mi, kochanie. Nie wiedziałem, że go zdubbingują. Cholera. Przepraszam. A teraz jesteś na beznadziejnej imprezie. Rzeczywiście musisz być cierpiętnicą.

- Myślałam, że będzie fajnie.



- Fajnie? - Rozejrzał się po tarasie pełnym niepospolitych ludzi; śmiali się częściej i głośniejszym niż w trakcie filmu. - Może tak wyglądać. Ale to praca. Wolałbym wrócić do pokoju i obejrzeć krykieta na kanale sportowym.

- Nie, nie wolałbyś.

- Wolałbym, przysięgam.

- Więc dlaczego tutaj jesteś?

- Miałem to w kontrakcie. Musiałem uczestniczyć w premierach w Stanach, Wielkiej Brytanii i w jednej europejskiej. Zazwyczaj studio nie zajmuje się Europą, ale film był tak totalną klapą, że teraz jest zdesperowane, by gdziekolwiek złapać trochę kasy, więc zorganizowali pokaz tutaj, mając nadzieję, że kupią sobie recenzentów imprezami na ich koszt. - Wyczuł, że wzrok każdej osoby jest skupiony na nim. - A poza tym, świeżo upieczona mężatko, gdzie jest twój mąż?

- Nadal chory. Niestety.

- Co? - Hal poczuł się znieważony w jej imieniu. - O co chodzi z tymi chorowitymi ludźmi? Co mu jest? Nadepnął sobie na palec?

Czuł się dumny, iż potrafił wyśmiewać się ze swojej hipochondrii, ale Amy zamiast roześmiać się, spojrzała na swój kieliszek zakłopotana.

- Cóż, miło było cię spotkać - powiedziała, chcąc przejść dalej. Hal nie chciał, by odeszła.

- Poczekaj chwilę. Chcę cię o coś spytać. - Tak?

- Czy ospa wietrzna jest groźna?

- Ospa wietrzna?

- Tak. Znam dzieci, które na nią chorują. - Dziwne, ale nie chciał wspominać o swojej dziewczynie.

- Och, biedne maleństwa. Ale nie martw się, to nie jest zbyt groźne. Coś jak okropne przeziębienie ze swędzącą wysypką rozrzuconą po całym ciele. Za kilka dni będą zdrowe jak ryby.

- Ach tak. Dobrze, dobrze. - Zastanawiał się, co zrobić, by jeszcze ją zatrzymać. - Twój mąż musi być nieźle nadziany, skoro mieszkacie w tym apartamencie. Czym się zajmuje?

- Och, nie on zapłacił za niego. Ja to zrobiłam. Uniósł brwi.

- Więc to ty jesteś nadziana? Nie wyglądasz na taką.

- No bardzo ci dziękuję! - Zaśmiała się.

- Nie, nie, to komplement. - I tak było. Nie chodziło o to, że nie jest ładna - w tej nowej różowej sukience stała się niespodziewanie piękna - ale brakowało jej wytwornego wykończenia, które mieli superbogacze, jak Flora. Marina też trochę taka była na początku, chociaż teraz zawsze wyglądała, jakby została profesjonalnie zawinięta w folię do żywności. - To w jaki sposób dostałaś ten apartament?

- nalegał.

- Wyczyściłam konto oszczędnościowe. W ramach specjalnej niespodzianki dla niego. Bo zawsze chciał mnie zabrać do Rzymu. Tyle że jak dotąd niewiele zobaczyłam

- dodała. Wyglądała tak smutno jak niechciany kociak w święta.

- Nie widziałaś Rzymu, najpiękniejszego miasta na ziemi. To okropne. Byłam tutaj kiedyś przewodnikiem, wiesz?

-Ty?

- Tak, mieszkałem w Rzymie przez rok. Dawno, dawno temu. Zanim jeszcze przytrafiło mi się to wszystko.

- Spojrzał na Amy i nagle wpadł na łobuzerski pomysł.

- A może zabiorę cię teraz na wycieczkę?

- Teraz?

- Nie będzie lepszego momentu.

- A co z przyjęciem? - spytała, rozglądając się.

- Przyjęcie samo o siebie zadba. Wezmę swoją vespę. Pojedziemy i odkryjemy...

Uśmiechnął się na myśl o skandalu, jaki wywoła, wychodząc tak nagle; złapał Amy za rękę i pociągnął przez hordy gapiących się gości w dół schodów do niższego tarasu.

- Hej, Hal - zawołał za nim ktoś z irlandzkim akcentem.

- Callum? - Odwrócił się.

- Gdzie się wybierasz? Przyjęcie dopiero się zaczęło.

- Moja przyjaciółka Amy i ja właśnie zamierzamy wybrać się na małą wycieczkę.

- W porządku - odparł Callum, choć wyraz jego twarzy mówił zupełnie coś innego. - Ale zanim pójdziesz, powiedz mi, przeczytałeś? Bo chcę, żebym im odpowiedział.

Z lekarką u boku Hal nagle poczuł się ośmielony. Wszelkie wątpliwości, które miał wcześniej, były - jak sobie właśnie zdał sprawę - absurdalne.

- Przeczytałem i bardzo mi się podoba. Przekaż, że chętnie się z nimi spotkam.

Callum uniósł dwa kciuki w zachwycie.

- Świetnie, Hal. Zaraz do nich zadzwonię. Porozmawiamy rano. A teraz bądź grzeczny.

- A czy kiedykolwiek nie byłem? - odkrzyknął Hal, ciągnąc Amy przez niższy taras do lobby.

W recepcji signor Ducelli rugał właśnie recepcjonistę za zaśniecie podczas wczorajszej zmiany. Ale na widok nadchodzącego Hala Blackstocka wił się w uśmiechach.

- Pan Blackstock. Jak się pan miewa? Co możemy dla pana zrobić?

- W porządku, signor Ducelli. Chciałem tylko prosić o przysługę.

- Dla pana wszystko - powiedział Ducelli, chociaż w środku aż go skręcało na widok Hala Blackstocka i kobiety z apartamentu Popolo, której mąż do tej pory się nie zameldował. - Wystarczy, że pan poprosi.

- Możecie wystawić dla mnie moją vespę?

- Nie ma problemu - odparł signor Ducelli, któremu jak widać ulżyło, że nie został poproszony o oddział wschodnioeuropejskich dziwek czy porcję najlepszej kolumbijskiej kokainy. - Tylko zamienię słowo z garażem. - Podniósł słuchawkę i pośpiesznie coś wybełkotał. - Będzie za pięć minut. Zakładam, że woli pan wyjechać tylnym wejściem? Z przodu czyhają paparazzi.

- Dobry pomysł - pochwalił Hal, lekko mrugając. Tej nocy zamierzał się zabawić, wkurzyć też parę osób, ale

nie chciał przedzierać się przez zaporę z paparazzich, którzy najpewniej ruszyliby w pogoń za nim, co mogłoby doprowadzić do sytuacji, w jakiej znalazła się kiedyś księżna Diana.

- Proszę za mną. - Signor Ducelli przeszedł przez lobby, następnie otworzył ukryte drzwi i nagle znaleźli się w długim korytarzu. Amy mogła dojrzeć rury i kosze z praniem, całą maszynię, która wprawiała w ruch hotel. Ducelli otworzył kolejne drzwi, prowadzące do ogromnego podziemnego garażu. Na środku stała vespa Hala. Portier wręczył im dwa kaski, Hal włożył swój i odwrócił się do Amy.

- Jesteś gotowa, skarbie - powiedział głosem Austina Powersa - na przejażdżkę swojego życia? - Wsiadł, pokręcił manetką i skuter zawył jak cierpiący z bólu lew.

Nie miała pewności. Wypił parę drinków, ale z drugiej strony to był Hal Blackstock, więc jak mogłaby odrzucić taką okazję? Usiadła za nim, skuter zatrzęsł się, podjeżdżając pod rampę, i wyjechali przez bramę na uliczkę, której nigdy wcześniej nie widziała. Amy była w lekkim szoku. To takie intymne, jej nagie kolana trącające uda Hala, policzek oparty o jego ciepłe plecy. Dobrze chociaż, że przywykła do jazdy na vespie Douga i nie musiała obejmować Hala w pasie. Elegancko skreślił w prawo, potem w lewo. Sukienka Amy zatrzepotała nad jej kolanami, gdy kręcili się po bocznych uliczkach z wysokimi budynkami po obu stronach. Akurat gdy złapała rytm, skuter zwolnił i się zatrzymał.

- Jesteś gotowa na pierwsze wspaniałe miejsce w Rzymie? - spytał Hal.

Gdy zsiadała ze skutera, usłyszała szum wody. Niosąc swój kask jak astronauta w sukience wieczorowej, poszła za Halem - wciąż był w kasku - wzdłuż ulicy; skręcili za róg na mały plac, na którym górowała ogromna marmurowa fontanna. Kolosalny Neptun stał pośrodku, powożąc rydwanem przez kamienne fale, podczas gdy dwaj wijący się muskularni mężczyźni próbowali go zatrzymać. Obok fontanny Amerykanie zmagali się ze swoimi kamerami, faceci z Bangladeszu podtykali im pod nosy róże, a dwaj mężczyźni przebrani za centurionów przekonywali ich, by zrobili sobie z nimi zdjęcie za pięć euro. Blond nastolatka w seksownych spodenkach wspięła się na krawędź, by zanurzyć stopy w wodzie, i natychmiast dostała reprimendę od zmęczonego policjanta.

- Fontanna di Trevi - obwieścił z dumą Hal, co najmniej jakby sam ją zaprojektował i zbudował.

- Jest piękna - powiedziała uprzejmie Amy, chociaż wyobrażała sobie, że jest trochę większa.

- Niezła, co? Ale właściwie przywiozłem cię tutaj, by pokazać coś innego. Chodź za mną.

Poprowadził ją inną uliczką, pełną barów i sklepów z pamiątkami, potem obrócił się i wskazał na małą, jasno oświetloną kafejkę, z której wychodzili ludzie. Napis nad wejściem głosił: *Gelateria di San Crispino*. Weszła za nim do długiego korytarza o marmurowej podłodze, gdzie tak samo długą, przeszkloną ladę wypełniały srebrne pokrywy.

- Najlepsze lody na świecie - oznajmił zadowolony z siebie Hal, udając, że nie widzi, jak niemiecka para trącając się łokciami, gapi na nich. Amy również starała się nie zwracać uwagi na ciekawskie spojrzenia.

- Co weźmiemy?

Wpatrywała się z lekkim dreszczykiem w kolekcję schludnych etykiet na pokrywach. Nie była dobra w podejmowaniu decyzji, zmarnowała dużo czasu, stojąc w dziale Finest w Tesco i zastanawiając się, na co Doug miałby ochotę. Mężczyzna z drugiej strony lady, czekając cierpliwie na zamówienie, westchnął.

- Zabajone są dobre - powiedział Hal. - To jak budyń z winem. Albo *lampone*, to malina, jeżeli wolisz owocowe. - Zachichotał jak chłopiec, który pozwolił sobie na jakieś obraźliwe słowa. - Albo weź oba.

- Okej. Hm, zaba... zaba... Te. I malinę.

- Jaka porcja? - Mężczyzna za ladą wskazał na zestaw papierowych kubeczków.

- Och, jakiś średni, tak myślę. A mogę dostać w wafelku?

- Niestety nie. Zakłóca czystość smaku lodów.

- Och, okej. - Rożek był najlepszym kawałkiem: słodki i chrupiący.

Hal wymamrotał coś do mężczyzny. Gdy przygotowywano ich porcje, klepnął się w czoło.

- O cholera. Ale numer. -Co?

- Będziesz musiała zapłacić.

- Nie masz pieniędzy?

- Przykro mi. Nigdy ich nie noszę. Prawie nigdy nie chodzę nigdzie sam, wiesz. I zawsze znajdzie się ktoś, kto ureguluje rachunek.

Zupełnie jak Doug, pomyślała Amy, gdy płaciła. Wyszli w ciepłe powietrze nocy i skierowali się w stronę fontanny.

Usiedli na niskim murku wokół niej. Amy nabrała porcję lodów na plastikową łyżeczkę i czuła, jak kremowa mikstura ześlizguje się jej do gardła niczym boski nektar.

- Są przepyszne.

- Mówiłem ci - odparł z zadowoleniem. Nabrał całą łyżkę i włożył sobie do ust przez otwór w kasku. - Uwielbiam to. To jak „Rzymskie wakacje”, tylko w drugą stronę.

- Masz na myśli film? Nie widziałam go.

- Nie widziałaś „Rzymskich wakacji”? Boże, jak to możliwe? To historia granego przez Gregory'ego Pecka Amerykanina mieszkającego w Rzymie, właściwie przy ulicy, którą jechaliśmy, zaraz obok hotelu. W filmie zabiera on Audrey Hepburn, opuszczoną księżniczkę, na nocną wycieczkę na vespie.

- Więc to ty jesteś księżniczką? Hal się zaśmiał.

- Tak, to pewnie ja. Zepsuty, drażliwy, samotny. Ale przez ten jeden dzień z Gregorym ona żyje pełnią życia.

- Zakochują się w sobie? - spytała Amy. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, jak niezręcznie to zabrzmiało.

- Oczywiście, że tak, ale miłość nie może się spełnić. Ona jest księżniczką, a on zwykłym facetem. - Wydawało się, że ta sama myśl przyszła mu do głowy, potem uśmiechnął się i zniżył głos. - Ale spędziła z nim najlepsze chwile w życiu.

Amy czuła, jak kurczy jej się żołądek. Hal Blackstock z nią flirtował. Co by na to powiedziała Gaby? Nie mówiąc już o Dougu? Oczywiście, że Hal jej się podobał, mimo iż był od niej trochę niższy. Dlaczego ma się nie zabawić?

- Moja mama uważa, że jesteś boski - bąknęła.



- Twoja mama? - Sądząc po minie, nie był ucieszony, ale jakoś to przełknął. - Cóż, bardzo miło z jej strony. Wiele mam mnie lubi. Myślę, że jestem taki, jak postacie, które gram w filmach. Chłopak z sąsiedztwa, a nie jakiś starzejący się popapraniec. - Zanim Amy zdołała wykrztusić taktowną odpowiedź, wskazał na fontannę. - Musisz wrzucić do niej monetę. W ten sposób kiedyś wrócisz do Rzymu. Ja też powinienem. Wcześniej zawsze wrzucałem.

- Okej.

- Yyy, nie mam gotówki, pamiętasz? - Hal uśmiechnął się uroczo.

- A tak. - Amy zastanawiała się, czy powinna to przeboleć i po prostu wytatuować sobie na czole „bankomat”. Otworzyła portmonetkę i podała Halowi kilka monet.

- Przepraszam, kochanie. Jak mówiłem, oddam ci.

- Och, nie przejmuj się - bąknęła. Zawsze tak mówiła Dougowi.

- Rzucamy? - Hal odwrócił się plecami do fontanny, jak wszyscy, którzy rzucali. Amy stała obok niego. - Raz. Dwa. Trzy.

- Rzucala po jednej monecie przez ramię. Hal rzucił wszystkie naraz.

- Gratulacje - powiedział stojący w pobliżu mężczyzna. Miał około trzydziestu lat, kowbojski kapelusz na głowie i spodnie z lamparciej skóry. - Wasz pobyt będzie niesamowity.

- Cóż, oboje tutaj wrócimy - powiedziała Amy.

- Nie tylko. Jeżeli wrzucisz dwie monety, zakochasz się w Rzymie. Jeżeli trzy, weźmiesz tutaj ślub.

- Ona raczej tego nie zrobi, jest już zamężna - oznajmił Hal.

- A ty, Hal?
- O, poznałeś mnie - zauważył z fałszywą skromnością.
- Prawdziwego fana nawet kask nie zmyli. - Wyciągnął rękę. - Vincenzo. Ale możesz do mnie mówić Vinny. To dla mnie zaszczyt, że odwiedzasz moje miasto. Jestem twoim największym fanem.
- Dzięki, kochany. - Hal zawsze się dogadywał z fanami. Plotki, które krążyły kiedyś o tym, że jest gejem lub biseksualny, nigdy nie robiły na nim wrażenia. Im więcej fanów, tym lepiej.
- Amy łamała sobie głowę.
- Czy my się kiedyś nie spotkaliśmy? - spytała.
- To samo pomyślałem. - Vinny klepnął się w udo.
- Już wiem. Jesteś tą kobietą, którą odbierałem z lotniska. W podróży poślubnej.
- O mój Boże. - Obejrzała go od stóp do głów, patrząc na krótko przyciętą koszulkę, biżuterię i staranny makijaż.
- Nie rozpoznałam cię bez stroju szofera.
- Vinny wzruszył ramionami.
- Miło mi to słyszeć. A gdzie jest twój mąż? Jeszcze nie dojechał?
- Jest chory - odparła pośpiesznie Amy, gdy Hal również rzucił jej niepewne spojrzenie. Ale chciał zapytać o coś Vinny'ego.
- Co ty robisz w Rzymie? Nie powinieneś być na plaży?
- Och, nie! Lato to najlepsza pora w Rzymie. Rodziny wyjeżdżają, pracownicy też. Tylko prawdziwi *Romani* zostają i miasto staje się naszym placem zabaw.
- Ach tak? - Hal się uśmiechnął. - Zatem czy możesz nam pokazać, gdzie są najlepsze huśtawki i zjeżdżalnie?

Wiedział, że źle postępuje. Zdawał sobie sprawę, że jutro lub pojutrze jego zdjęcia z Rzymu w towarzystwie tajemniczej kobiety i półtranswestyty znajdą się w każdym tabloidzie. Ale nie obchodziło go to. Niezadowolenie, które tygodniami w nim wzbierało, wzięło górę. Będąc na przyjęciu, w otoczeniu kelnerek z dziwnymi uszami, czuł się gorzej niż kiedykolwiek. Co robił ze swoim życiem? Jaki to ma sens - wkładanie na siebie nie swoich ciuchów, robienie makijażu, często też noszenie peruki i powtarzanie idiotycznych tekstów innych osób? Jednocześnie wiedział, że jakiegokolwiek zdjęcia rozzłoszczą Floreę. Z jakiegoś dziwnego powodu ta myśl go zachwycała. Marinie pewnie też się nie spodobają.

- A ty? - mówił Vinny. - Co ty robisz? Dlaczego nie jesteś otoczony ochroną?

- Mam wolny wieczór. To nasze własne „rzymskie wakacje”.

- Och, uwielbiam ten film. Wiesz, że jest oparty na przygodach księżniczki Małgorzaty? - Teatralnie klasnął w dłonie. - Moja idolka. Wiele poświęciła z poczucia obowiązku. I Audrey Hepburn. - Cmoknął swoje palce.

- Ona jest uosobieniem elegancji. Nazwałem mojego kota jej imieniem. - Oczy Vinny'ego rozszerzyły się pod wpływem nowego pomysłu. - Hej, a może chcielibyście, bym zabrał was na wycieczkę śladami „Rzymskich wakacji”? Pokazał wam, gdzie kręcili wszystkie sceny?

- Czemu nie? - Ha! temu przyklasnął, zaś Amy krzyknęła: - Byłoby fantastycznie!

- Macie swoją vespę. - Vincenzo wskazał ich kaski.

- A ja mam mój *motońno*. Więc jedźcie za mną.

Wsiedli na vespę i ruszyli za Vinnym wąskimi uliczkami, a potem przez szeroki plac zdominowany przez pomnik zwany „tortem weselnym” i dalej główną drogą, mijając kolumny i kamienie Forum, okrążyli ogromne Koloseum, po czym przyśpieszyli, jadąc wciąż główną drogą. Szczur czmychnął, przecinając im drogę, gdy zatrzymali się na światłach, para zakochanych wracała piechotą do domu przy świetle księżyca, jedynym dźwiękiem był odgłos warczących silników. Gdzieś w oddali zegar wybił półgodzinę. Amy nie miała pojęcia, która była godzina, nie miała pojęcia, co się z nią działo, gdy mknęła przez Rzym przytulona do pleców Hala Blackstocka.

Dojechali do miejsca pełnego restauracji i barów szybkiej obsługi, które pompowały muzykę transową w gorące uliczki. Vinny zatrzymał się naprzeciwko dużego magazynu z żelaznymi drzwiami zakazującymi wstępu, pilnowanymi przez krzepkiego ochroniarza.

- Audrey chodziła potańczyć do Zamku św. Anioła - powiedział, blokując skuter za pomocą grubego łańcucha. - Ale dzisiaj chodziłaby do tego klubu. Jesteśmy w Testaccio. - Uśmiechnął się do Amy. - Kiedyś było tutaj

centrum handlu mięsem. Pełne rzeźników. Ale dzisiaj to targ innego rodzaju mięsa.

Gdy Amy i Hal pakowali swoje kaski do kufra vespy, Vincenzo zamienił słowo z portierem; ten skinął głową i weszli do środka. Przechodząc przez ciężkie drzwi, uderzona falą dźwięku Amy poczuła, jak podłoga ugina się pod ciężarem tańczących. Przepychali się przez tłum wirujących ciał do narożnego kąca.

- *Stupendo!* - powiedział z uznaniem Hal, siadając. Pojawił się kelner w dzinsach i hawajskiej koszuli. - *Champagne, per favore. Una grande bottiglia. Grazie.*

- Podoba ci się? - W głosie Vinny'ego dało się wyczuć niepokój. - Wiesz, to nie jest Londyn ani Los Angeles. Rzym nadal jest prowincjonalnym miastem.

- Jest idealny - zapewnił go Hal akurat w momencie, gdy muzyka zmieniła się z Doctora Dre na Mc Solaar.

- *Bouge de la!* Mój ulubiony kawałek wszech czasów.

- Uśmiechnął się do Amy, jego zęby były niesamowicie białe w tym fluorescencyjnym świetle. - Chodź, Amy. Zatańczmy.

Złapał ją za rękę, pociągnął na parkiet i zaczął wirować wokół niej. Vinny do nich dołączył. Amy czuła się zażenowana, potem rytm zwyciężył i tańczyła swobodnie. Podłoga i ściany łomotały, wszystko na sali pulsowało do rytmu - kieliszki za barem, wywinięty kołnierzyk koszuli Hala, dół jej sukienki, kowbojski kapelusz Vinny'ego, gdy obracał się wokół przystojnego młodego chłopaka. Amy zmieniła się we flakon złotej energii, zupełnie tak samo jak kiedyś podczas występów Ambrosial. Ale gdy tylko o tym pomyślała, nogi jej drgnęły i zatrzymała się

na chwilę, zgubiła tempo i poczuła się jak robot, któremu wyczerpały się baterie.

- Możemy usiąść? - zapytała powoli, wskazując głową stolik. Hal niechętnie przytaknął. Szampan czekał na nich w wiaderku z trzema rowkami.

- Zdrowie! - krzyknął Hal.

- Zdrowie! - Stuknęli się kieliszkami. Amy niejasno zdawała sobie sprawę ze spojrzeń, które prześlizgiwały się po nich. Ludzie zauważali celebrytę i szybko odwracali wzrok.

Hal wypił drinka jednym haustem.

- Może powinieneś trochę zwolnić - zasugerowała Amy.

- Dlaczego?

- Dzisiaj jesteś kierowcą. A poza tym wszyscy patrzą.

- To niech patrzą - wrzasnął Hal. - Pieprzyć to! Nigdy nie chciałem być gwiazdą filmową. To nie jest zawód. Tak zawsze mówił mój ojciec. Zarobiłem dość pieniędzy, by nie musieć już nigdy pracować, więc dlaczego miałbym to robić? Dlaczego nie powinienem po prostu się bawić?

Amy wzruszyła ramionami.

- Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbyś tego robić. Pomyślałam tylko, że mógłbyś się nudzić.

- Jak można się nudzić, bawiąc się? Zabawa oznacza, że jesteś szczęśliwy i właśnie dlatego się nie nudzisz.

Mogła się mylić, ale czyżby wywęszyła kogoś, kto za bardzo protestuje?

- Boże, zabiłbym za papierosa - jęknął. - Rzuciłem palenie pięć lat temu.

- Byłoby głupotą zaczynać od nowa. - Wiedziała, że brzmi jak doktor-ważniak, ale wspomnienie zespołu

Ambrosia! sprawiło, że jej zmysły się wyostrzyły. - Poza tym palenie jest zakazane we Włoszech. - Pięć lat temu myśl o całkowitym zakazie palenia by ją przeraziła, ale odkąd skierowała ponad dwudziestu pacjentów do szpitala z powodu nieuleczalnego raka płuc, zmieniła zdanie w tej kwestii. Ona i Doug kłócili się, on twierdził, że ludzie powinni bawić się tak, jak chcą, a ona pytała, dlaczego dzieci mają być pozbawione matek z powodu głupiego nałogu.

Jak widać Hal był po stronie Douga.

- Zakaz palenia? We Włoszech? Na miłość boską, nie można już mieć żadnej frajdy. Tak jak u Flory wszystko jest wegetariańskie i „żadnego wina - co powiesz na sok z granatów?”. - Westchnął. - Marina uwielbiała gorzałę i pety, często się wygłupiała. Mnie to wkurzało. Ale z drugiej strony potrafiła być zabawna. Chodziliśmy razem potańczyć. I nie miało znaczenia, czy wszyscy nas zobaczą, ponieważ byliśmy „tą” parą. Nasze wspólne zdjęcie w klubie mogło być warte kontraktu filmowego - ona zawsze tak to widziała.

- Brakuje ci jej? - spytała Amy.

Nastąpiła długa pauza. Hal spojrział na swoje dłonie.

- Tęsknię za paroma rzeczami. Brakuje mi tego, że zawsze szukała śmiechu. Jej poczucia humoru. Była błyskotliwa. Ale nie brakuje mi jej ambicji, poczucia, że stanowiłem jedynie część planu, pokochała mnie, bo stałem się sławny i bywałem w wielu miejscach. Gdy tylko pomogłem jej w karierze, wszystko musiało być podporządkowane wizerunkowi, nie istniały już takie rzeczy, jak spokojny wieczór przed telewizorem. Wszystko toczyło się wokół

kolacji z Eltonem i weekendów z George'em Michaelem oraz wakacji z Guyem i Madonną. Flora nie jest taka. Potrafi zachować siebie samą dla siebie i ja to szanuję.

- Spojrzał Amy w oczy. - Tak, Flora jest wspaniałą kobietą. - Nappełnił swój kieliszek i bardziej się wyprostował.

- Cholera, Christine Miller zabiłaby, by brać udział w tej rozmowie. Ale ja mam już dosyć gadania o mnie. A co z tobą? Co z twoim biednym chorym mężem? Nie będzie się zastanawiał, gdzie się podziewasz?

- Nie, wysłałam mu esemesa. A poza tym - Amy czuła kolejną falę smutku - to nie jest tak, że on spędza wieczory w domu, pijąc zioła na bezsenność.

- Więc czym się zajmuje?

- Jest gitarzystą w zespole - powiedziała Amy z wahaniem.

- Ach tak? Słyszałem o nich?

- Nie. Nazywają się Ambrosial, przez kilka lat grali tu i tam bez jakichkolwiek szans na kontrakt nagraniowy.

- Twój mąż jest gwiazdą rocka. - Hal wydawał się być pod wrażeniem.

- Nie, on nie jest gwiazdą rocka. Chciałby nią być. A to jest różnica.

Na szczęście umysł Hala był już gdzie indziej. Znów nappełnił sobie kieliszek.

- Wiesz, nigdy się nie ożeniłem.

- Wiem. Czytałam o tobie. Jesteś klasycznym przykładem fobii przed zaangażowaniem się. - Amy nie mogła uwierzyć, że tak bezceremonialnie rozmawia z Halem Blackstockiem. Ale co miała do stracenia?

Roześmiał się.



- Tak mówią plotkarskie gazety. - Wzruszył ramionami. - Cóż, to chyba prawda. Wszyscy uważali, że to, iż nie poślubiłem Mariny, było strasznie dziwne. Przecież byliśmy ze sobą prawie jedenaście lat. Ale wiesz, prawie ją poślubiłem po dwóch latach. Żadne z nas nie było wtedy bardzo sławne i ona miała ochotę, więc kupiłem pierścionek i zabrałem go na nasze wakacje do Francji. Miałem zamiar poprosić ją o rękę któregoś dnia po kolacji, ale wtedy, podczas naszego pobytu tam, zaczęły przychodzić recenzje na temat „Evening Class”, mojego pierwszego dużego filmu, i zaczęły się telefony z Hollywood. Zaproszono nas na spotkania w każdym ze studiów filmowych, pokrywali wszelkie koszty: lot pierwszą klasą, dwa tygodnie w hotelu w Beverly Hills, więc poleciliśmy następnego ranka, opuszczając Francję, i już nigdy nie nadarzył się moment, w którym mógłbym się oświadczyć.

- Nigdy? Ale cały świat o tym mówił. - Amy i Gaby w czasie, który spędziły na omawianiu związku Hala i Mariny, mogłyby prawdopodobnie rozwiązać problem globalnego ocieplenia.

- Już nigdy potem nie mówiliśmy na ten temat. Ale wiesz, łatwo nam było unikać rzeczywistości. Zyskałem rozgłos, ale ona jeszcze większy. Chodziło o wakacje z Mickiem w Mustique lub Richardem w Necker, oboje przez większą część roku kręciliśmy, więc nie widywaliśmy się miesiącami. To była idealna wymówka, by nie musieć stawiać czoła rzeczywistości. Lata mijały i kiedy wreszcie się widzieliśmy, ostatnią rzeczą, o której chcieliśmy rozmawiać, był ślub i dzieci. To jakby przyznanie się do tego, iż jesteśmy... śmiertelni. Myśl, że mielibyśmy

żyć osobno, dziwiła, ale pomysł wspólnego zestarzenia się wydawał się chyba nawet bardziej absurdalny.

- Ale masz zamiar ożenić się z Florą, prawda? - Była pewna, że czytała o tym w ostatnim „Closer”, który zabrała z poczekalni w pracy, gdy nie mogła już znieść kolejnego wydania „Brides”.

Wzruszył ramionami.

- Zobaczymy.

Tą odpowiedzią przypomniał jej o Dougu, który też zawsze zwlekał, nigdy się nie angażował. Zdenerwowało ją to.

- Byłbyś szalony, gdybyś tego nie zrobił - powiedziała z przejęciem. - Ona jest wspaniała. I wydaje się być taka... z klasą.

- Ma klasę, prawda?

- Więc dlaczego nie miałbyś się z nią ożenić? Przez chwilę milczał.

- To jest ważna decyzja. Nie chcę nic namieszać. Wiesz, moi rodzice są ze sobą od czterdziestu lat. To spory kawał czasu.

- Wiem. - Pokiwała ze smutkiem głową. - Moi też.

- Tylko tak trudno wybrać odpowiedni moment - ciągnął Hal. - Jeżeli chcesz się ożenić, musisz wciąż czuć, że twoje serce mocniej bije przy tej osobie, zatem musisz wciąż być w fazie zakochania. To trudne, jeżeli wiesz, że ona zostawia w toalecie ścinki paznokci czy dłubie w nosie.

- Flora nie dłubie w nosie!

- Nie. Ale Marina dłubała. I czasami wkładała majtki wyciągnięte z kosza z rzeczami do prania. Do czasu, aż

miała sprzątaczkę - wydawał się błędzić gdzieś myślami. - A więc tak, jeżeli chodzi o małżeństwo z Florą - nie wiem. Ale z drugiej strony nie chcę, żebyśmy zerwali. To znaczy nie chcę desperacko być z kimś innym. A bycie singlem, kiedy masz czterdzieści trzy lata, to nie to samo, co bycie singlem w wieku dwudziestu pięciu lat. Wszyscy moi kumple są w związkach. Czuję się jak jakiś dziwoląg. Oni mają rodziny, ich życie się zmienia. A ja wciąż tkwię na etapie, w którym najważniejszą rzeczą w moim życiu jest to, na kogo wpadłem w Ivy w poprzednią sobotnią noc.

Amy czuła, jak nóż obraca się jej pod sercem. To było o niej. Samotna, pozostawiona na marginesie życia. I nie miała wpadać na znajomych w Ivy, raczej w Nando's przy High Street.

Vinny pochylał się nad nimi, błyszczący od potu.

- No jak, wystarczy wam już tańca? Możemy kontynuować naszą trasę? Jest jeszcze jedna rzecz, którą musicie zobaczyć. *Bocca Della Verita*.

- Co takiego? - spytała Amy. Hal się uśmiechnął.

- Usta prawdy. Chodź, zobaczysz.

- Chodźmy!

Świeże powietrze na zewnątrz działało jak chłodny kompres na rozpalone czoło. Hal lekko się zachwiał, podchodząc do swojego skutera.

- Jesteś pewien, że możesz prowadzić?

- Och, pani doktor! Proszę sobie odpuścić. Vinny rozglądał się niespokojnie.

- Nie, ona ma rację. Przepraszam, że to mówię, ale jesteś trochę wstawiony.

- Zatem co robimy?

- Ja mogę prowadzić - oświadczyła Amy. Mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Ty? - zdumiał się Vinny. - Potrafisz prowadzić vespę?

- Tak. Mój chło... mój mąż ma taką.

Amy wsiadła na skuter, a Hal usiadł za nią. Poruszyła się niespokojnie, gdy otoczył jej talię ramionami. Mogłaby się założyć, że Flora nie miała wałeczków. Co do Mariny, wszyscy wiedzieli, że funkcjonuje na dwóch miseczkach zupy z cukinii dziennie. Amy nawet kiedyś próbowała ją naśladować, ale wytrzymała dokładnie trzy godziny i siedem minut, po czym złamała się i zjadła cały bochen chleba. Ale zapomniała o tym, gdy tylko dotknęła gazu. Skuter szarpnął na bruku i pojechali za Vinnym w rzymską noc. Niebo było teraz perłowszare, promienie słońca zaczęły powoli ogrzewać żółte kamienie miasta. Mijali światła uliczne jedno po drugim. Wyprzedzili polewaczkę ciągnącą się powoli ulicami, która spłukiwała do czysta rynsztoki i chodniki. Wjechali na mały plac, nad którym górował średniowieczny kościół. Gdy Amy wyłączyła silnik, mogli usłyszeć ogłuszający śpiew ptaków. Zerknęła na zegarek: czwarta trzydzieści rano. Nie czuła wielkiego zmęczenia.

Zaparkowali przed kościołem, na skraju uliczki, która zazwyczaj była ruchliwą główną drogą. Wzdłuż zewnętrznych ścian ciągnął się portyk osłonięty metalowymi barierkami.

- Jesteśmy. - Vinny wskazał na ścianę z dużą, okrągłą marmurową płytą przedstawiającą twarz brodatego mężczyzny z szeroko otwartymi ustami.

- Włóż dłoń w jego usta i jeśli skłamiesz, ugryzie cię.

- Ale jest zamknięte - zauważył Hal.

- Mogę coś z tym zrobić. - Wyciągnął telefon z kieszeni, wybrał numer i zamienił z kimś energicznie parę słów. - Mój przyjaciel Gianni - powiedział, rozłączając się - jest tutaj stróżem. Otworzy dla nas.

- To bardzo miłe. - Hal nie wydawał się nadzwyczaj wdzięczny. Jak widać przywykł do takiego traktowania jego osoby.

Po paru minutach ziewający, ale podekscytowany Gianni wyłonił się z mieszkania za rogiem, w skórzanej kurtce zarzuconej na spodnie od piżamy i z pękiem kluczy w ręce. Po uściśnięciu dłoni i złożeniu przez Hala autografu („dla mojej matki, uwielbia cię”) otworzył bramę i weszli w portyk, gdzie na bocznej ścianie znajdowały się Usta prawdy.

Hal włożył w nie dłoń.

- Zadaj mi pytanie - zawołał.

- Okej - stwierdził Vinny i zapytał: - Czy jesteś gejem?

- Tak! Wcześniej czy później musiało się wydać. Tak, jestem.

-1 wtedy Hal wydał z siebie krzyk mrozący krew w żyłach. Wyciągnął rękę z Ust. Jego dłoń zniknęła. Amy pisnęła z przerażenia.

- O mój Boże! Co się stało?

Hal zaśmiał się i potrząsnął ramieniem. Jego dłoń wysunęła się z rękawa. Amy go uderzyła.

- Ty skubańcu.

- Nie wierzę, że nie znałaś tego numeru z filmu. - Zwrócił się do Vinny'ego: - Twoja kolej, kochany.

- Oj nie...

- No dalej!

- Okej. - Wsunął dłoń w Usta. Hal zdał sobie sprawę, iż akurat nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć.

- Podobam ci się? - spróbował nieporadnie.

- Ależ oczywiście. - Dłoń Vinny'ego pojawiła się nie-naruszona.

- Teraz Amy.

Wiedziała, że była to po prostu głupia pokrywa włazu, głupi stary przesąd, ale nagle poczuła się dziwnie zaniepokojona.

- O nie...

- Dalej! - naciskał Hal.

Z oporem podeszła do marmurowej tarczy i wsunęła dłoń w Usta.

- Więc co chcesz wiedzieć? - Próbowała się uśmiechnąć.

- Czy żałujesz, że wyszłaś za męża?

Wiedziała, że Hal się wygłupia, ale pytanie trafiło w czuły punkt, dokładnie tak jak pocisk termiczny. Zaczęła płakać.

- Ja... Och, och.

Wyjęła rękę z otwartych Ust i uniosła kask, by wytrzeć łzy. Hal był przerażony.

- Hej, hej, przepraszam! Co ja takiego powiedziałem? Płakała, wszystkie emocje z ostatnich kilku dni wreszcie puściły pod wpływem adrenaliny i szampana.

- Boże, czuję się okropnie. - Hal był zszokowany. - Hej, już w porządku. Nie jest tak źle. - Objął ją ramieniem. - Już dobrze. Już dobrze.

- Przepraszam - chlipnęła. - O Boże, tak mi głupio.

- Ej, niepotrzebnie. Jesteśmy w miejscu, które skłania do wzruszeń. To normalne, że płaczesz, gdy staniesz sobie na palec. Próbowała się uśmiechnąć, ale znów popłynęły łzy.

- Hej, uspokój się. - Jego głos był miękki, kojący. - Słuchaj, jesteś zmęczona, zbyt długo cię zatrzymałem i chyba zapytałem cię o coś, co nie powinno mnie obchodzić i...

- Nie mam męża - wydusiła Amy.

- Słucham?

- On odwołał ślub. Jestem w podróży poślubnej sama. Hal gapił się na nią przez moment, a potem się zaśmiał.

- Żartujesz?

Ale natychmiast zobaczył, że nie żartowała. Podeszedł do niej i dotknął swoim czołem jej czoła. Przez chwilę tak stali. Czuła pot na jego brwiach, jego rzęsy dotykające policzka. Mieszana bezładnych uczuć pobrzękiwała w niej, gdy, tylko na sekundę, jego usta dotknęły jej ust. Były ciepłe i miękkie, i mocne, i suche.

- Hm - Vinny przypomniał o swojej obecności. Czar prysł. Amy się cofnęła.

- Naprawdę musimy już wracać - wykrztusiła. - Ale...

- Mogę nie mieć męża, ale ty masz dziewczynę. Bez słowa wsiedli na vespę i skierowali się do hotelu.

To była ta pora dnia, kiedy w mieście nadal wyczuwa się świeżość i rzeźkość. Sklepikarze podnosili rolety, a właściciele kafejek zamiatali wycieraczki przed drzwiami. Niewiarygodnie zadbani starsi panowie w żeglarskich

butach i pastelowych swetrach wyszli z mieszkań na spacer ze swymi pieskami. Amy miała mętlik w głowie, próbowała analizować sytuację. Hal ją pocałował i ona nie chciała, żeby przestał.

Z piskiem hamulców podjechali pod wejście dla pracowników. Zegar kościelny wybił szóstą.

- A więc jesteśmy. - Zdejmując kask, Amy spojrzała przez ramię na Hala. - Przepraszam za to całe... przedstawienie. - Zwróciła się do Vinny'ego: - Ale dziękuję ci, Vinny, za wspaniałą noc.

- Hej, dzięki. Cała przyjemność po mojej stronie. - Ucałował ją mocno w oba policzki. - *Ciao*, Amy. Powodzenia. - Odwrócił się do Hala i podał mu rękę. Potem Hal poszedł za Amy schodami na górę, do hotelowego lobby.

- Dzień dobry, panie Blackstock - przywitał go recepcjonista.

- Dzień dobry - odpowiedział wyniośle Hal, rzucając przed nim kluczyki do vespy. Rozejrzał się za Amy, ale ona zdążyła już zniknąć w windzie.



Na kolejną rundę Hal obudził się około południa. Jego umysł wciąż pozostawał w stanie sprzed parunastu godzin, kiedy Hal padł na łóżko o świcie. Wtedy zdołał jedynie odwołać wszelkie połączenia i wywiesić kartkę „Nie przeszkadzać” na drzwiach. Teraz, odsuwając zasłony, mógł zobaczyć, że jest kolejny piękny dzień. Był tutaj sam w Rzymie i brakowało kogoś, z kim mógłby dzielić to doświadczenie.

Chociaż to nie całkiem prawda. Była Amy z ostatniej nocy. Myślał o tym, jak przyciągnął dziewczynę do piersi, wdychał jej słodycz i czuł rzęsy na swoim policzku. Co za niesamowita kobieta. Taka ciepła, taka prawdziwa. Okej, nigdy by się nie znalazła na okładce „Vogue'a”, ale Hal o tym nie myślał. Wracając do szczegółów ostatniej nocy, uświadomił sobie, że już zbyt długo prowadzi taki tryb życia. Myślał, ile lat stracił z tymi pustymi główkami, które martwiły się tylko o to, ile kilogramów dodaje im kamera lub - po raz pierwszy pozwolił sobie tak pomyśleć o Florze - jak bardzo pełni zalet wydawali się innym.

Amy była naprawdę pełna zalet. Zajmowała się chorymi, ratowała starych i młodych, bogatych i biednych, ale

nie potrzebowała, by ludzie pisali o niej teksty piosenek lub układali choreografię na jej temat. Nie tak jak Flora, za którą podążały chmary dziennikarzy, wzbudzająca sensację, kiedy tylko przytuliła kolejnego czarnego chłopca. Nie, Amy była bezpretensjonalna. Była prawdziwa. Mądra i seksowna. Właściwie idealna pod każdym względem. To było to. Nareszcie. Prawdziwa miłość. Stał pod prysznicem i śpiewając *Ali Things B'nght and Beautifil*, rozważał, co związek z kimś takim jak Amy mógł znaczyć dla niego. Mógł być szczery. Jej nie interesowały bzdury, pogaduszki, jałowe dyskusje, plotki, głupie przyjęcia jak to z ostatniej nocy, a w to wszystko obfitowała jego praca. Mogła z niego zrobić lepszego człowieka, bardziej otwartego. Razem byliby jak dynamit. Przypominałaby Halowi o tym, co tak naprawdę jest w życiu ważne.

I pomyśleć o tych wywiadach, których mógłby udzielić na ten temat. Marina nieźle by się wkurzyła. Wspaniale by się bawił, komentując, jak powierzchowne wiódł życie do tej pory i jak ważne było dla niego znalezienie partnerki spoza płytkiego światka bogaczy i sław. Kogoś z wartościami.

Pamiętając, jak Amy szlochała przy nim ostatniej nocy, Hal wiedział, że nigdy by jej nie skrzywdził. Zagryzł wargi i energicznie się namydlał. Zaraz zadzwoni do Nessie i poprosi ją, by zorganizowała wyjątkowy dzień dla Amy. Dzień, którego nigdy, przenigdy nie zapomni. Włożył szlafrok i włączył komórkę. Od razu zadzwoniła. Przez chwilę myślał, że to Amy - ale przypomniał sobie, że nie ma jego numeru telefonu.

- Hal? - warknął ktoś z irlandzkim akcentem.

- Hej, Callum. Jak się masz?

- Mam kaca. A co u ciebie? O co wczoraj chodziło, wcześniej ulotniłeś się z tą dziewczyną. To trochę mało dyskretne, nie sądzisz?

- Do niczego nie doszło - skłamał Hal.

- No pewnie, że nie. Ale biorąc pod uwagę, jak bardzo media są obecnie zainteresowane twoim życiem prywatnym, mógłbyś być ostrożniejszy. Chyba że chciałeś, by to dotarło do Flory?

- Nie. - Kolejna bujda, ale co tam. Oczywiście wtedy zrobił to, by rozzłościć zarówno Florę, jak i Marinę, ale dzisiaj rano nie miało to już znaczenia. Wydawało się prawie nonszalanckie.

- Cóż, po prostu bądź ostrożny.

- Cal, jesteś moim agentem, nie matką. Jeżeli to wszystko, co masz do powiedzenia, to daj mi spokój. - Już miał się rozłączyć, gdy Callum krzyknął:

- Nie! Poczekaj. Przepraszam, stary. Nie chcę prawić kazań. Dzwonię z fantastycznymi informacjami. Bazotti chce się z tobą zobaczyć. W poniedziałek w Los Angeles. Powinieneś polecieć, powiedzmy, w piątek wieczorem?

Serce Hala drgnęło.

- Och, jasne!

- Dobre wieści, co?

- Bardzo dobre. Dzięki, Cal.

- Każę Susan zadzwonić do Vanessy i przekazać szczegóły. To zakłóci twoje wakacje z Florą, ale ona zrozumie. Przypuszczam, iż będzie cholernie zazdrosna, że on chce ciebie, a nie ją.

- W porządku - powiedział Hal. - Nie wiem, czy ona i tak nie miała wyjechać. - A w duchu dodał: oraz nie jestem pewien, czy mnie to obchodzi teraz, gdy zakochałem się w kimś innym.

- Cóż, możesz mieć bardzo długie wakacje, jeśli dostaniesz się do Bazottiego. A wydaje mi się, że szanse są spore, Hal. Nawet bardzo duże. Teraz słuchaj, zapraszam cię na kolację, dzisiaj wieczorem. Dominique i Vlad są w mieście i pomyślałem, że zobaczę, kto jeszcze jest, i zarezerwuję jakieś fajne miejsce na małą uroczystość. Pisziesz się?

- Pewnie. - Hal się ucieszył. Rozłączył się, gwizdząc. Po ostatnich kilku latach w stanie półotępienia nabrał chęci do życia. Praca wracała na odpowiednie tory i znalazł przyszłą żonę. Do której miał zadzwonić za chwilę. Ale lepiej, jeśli najpierw rozmówi się z Florą. Mógł do niej sam zadzwonić, ale nie chciał. Zostawi to Nessie: mogłaby wysłać e-maila do Henrietty i napisać, że z powodu nieprzewidzianych zobowiązań zawodowych odwołuje wakacje, że zobaczy się z Florą, kiedy będzie mógł. Przy odrobinie szczęścia ona domyśli się, o co chodzi, i wycofa z gracją bez potrzeby nieprzyjemnej konfrontacji. Tak czy owak, skoro już wszystko ustalone, poprosi Nessie o zorganizowanie wyjątkowego dnia w Rzymie.

Jak zwykle Vanessa nie skomentowała planu.

- Zadzwonię do Henrietty i powiem jej, by odwołała lot Flory. Potem zorganizuję twoją podróż do Los Angeles. A następnie zajmę się twoim wyjątkowym dniem. Konsjerż mi pomoże. W ciągu godziny wszystko powinno być gotowe.

- Świetnie, Nessie. Dziękuję. Jesteś wielka.

Włożył swoją ulubioną, czekoladowo-brązową koszulkę dzinsy, po czym wyszedł z pokoju, poszedł korytarzem zadzwonił do drzwi apartamentu Popolo.

Gdy Amy się obudziła, jej pierwszą myślą było: całowałam Hala Blackstocka. Nie wierzę. Całowałam gwiazdę filmową. Całowałam chłopaka Flory i eks Mariny Dawson. Co powie Gaby? I Mama? Nie, Amy nigdy jej o tym nie powie. A Pinny? Madhura i Andrea, i Rosa? A Doug?

Pocałunek to przesada. Bardziej muśnięcie ustami. Uświadomiła sobie, że od lat z nikim nie całowała się tak namiętnie. Gdy całowali się tak z Dougiem, zawsze to było obcesowym wstępem do seksu. Dlaczego w każdym związku etap całowania się dla samego całowania mijał, dlaczego łóżko prędzej czy później stawało się miejscem raczej do spania niż namiętnego bzykania się? Wyobraziła sobie siebie jako Carrie Bradshaw w koszulce i majtkach piszącą na laptopie: *Czy kiedykolwiek uda się zatrzymać tę namiętność z wczesnego okresu?*

Znów nadciągnęła fala smutku, ale zaraz zadzwonił telefon przy łóżku.

- Halo?

- Cześć. Czy rozmawiam z Amy? - Głos jakiejś Brytyjki - Tak?

- Amy, cześć. Jak się masz? Mówi Christine Miller, pracuję dla „Daily Post”. Zdaje się, że ostatnio trochę kręciłaś się z Lisą, narzeczoną naszego Simona. Zdaje się też, że wczoraj poszłaś na premierę „The Apple Cart” oraz imprezę, i zastanawiałam się, czy wydarzyło się tam coś, o czym mogłabyś mi opowiedzieć?

Miała słodki głos: ciepły i muskający jak kąpiel z płynem Badedas. Amy zamrugła.

- Hm, niespecjalnie.

- Oj, daj spokój. Na pewno możesz mi o czymś powiedzieć. Jakie były przekąski i tego typu rzeczy. - Nastąpiła krótka przerwa, po czym dodała bardziej stanowczo:

- Oczywiście zapłacimy ci.

- Nie ma o czym mówić - odpowiedziała spanikowana Amy. - Przekąski były niezłe. Po prostu sushi i trochę oliwek z chilli. I szaszłyki z kurczaka z...

- Ach - przerwała Christine. - Interesujące. I nie widziałas przypadkiem, z kim wyszedł Hal Blackstock? To była jakaś tajemnicza dziewczyna. Zastanawiałam się, czy mogłabyś ją opisać. Oczywiście zapłacimy ci za tę informację.

- Och, przykro mi. Nie widziałam.

- Naprawdę? Nic nie widziałas? Serio, zapłacimy ci.

- Kompletnie nic. - Amy zastanawiała się, dlaczego gdy jest zestresowana, zawsze używa słów swojej babci.

- Tyle osób kręciło się wokół Hala Blackstocka, ledwo go dojrzałam.

- Podobno była wysoka, z ciemnymi włosami i w różowej sukience.

- Tak mi przykro, ale nie mogę pomóc.

- Okej - powiedziała Christine spokojnie. - Ale gdybyś coś sobie przypomniała, jestem w pokoju 525. Zostawię ci też mój numer telefonu.

Amy zapisała numer, czując, że robi się jej niedobrze. Razem z Halem całą noc brykali po Rzymie. Całowali się publicznie o piątej rano. Jak to możliwe, że nikt ich nie widział? Ale zanim zdążyła się zmartwić, rozległ się dzwonek u drzwi.

- Tak? - zawołała przekonana, że ta straszna Christine nie odpuści.

- Amy, to ja, Hal.

Otworzyła drzwi, zbyt późno przypominając sobie, że jest potargana i nieumalowana.

- Jak się masz? - Oczy Halowi błyszczały, głos dźwięczał. Zupełnie jakby się czegoś naćpał.

- Dobrze - odpowiedziała zaskoczona. - Właśnie się obudziłam.

- Ja też. Słuchaj, zastanawiałem się... czy chciałabyś spędzić ze mną dzień?

- Z tobą?

- Nie, z papieżem - odparł poirytowany. - Tak, ze mną. Pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się na piknik. I mógłbym też pokazać ci Rzym.

Hal Blackstock chce ze mną spędzić dzień.

- Okej. - Amy starała się panować nad głosem, by zbyt nie zdradzał jej podekscytowania. - Na którą mam być gotowa?

- Powiedzmy, za pół godziny? Zejdź na dół do garażu, jak zeszłej nocy. Weź bikini.

I tak po szaleńczej półgodzinie i zrobieniu się na bóstwo, w czerwonej sukience i miękkim czarnym kapeluszu, który



wydawał jej się dość szykowny, Amy siedziała na tylnym siedzeniu bentleya tuż obok Hala. Czekał na nią z szerokim uśmiechem na twarzy. Gdy wsiadła, pochylił się ku niej i delikatnie pocałował w oba policzki.

- Witaj, piękna - szepnął jej do ucha i wręczył czerwoną różę.

- Dziękuję. - Zastanawiała się, gdzie ją odłożyć. Ręce jej trochę drżały. Ten przystojny, czarujący i - no dobra

- sławny facet właśnie dał jej różę i nazwał piękną. Przełknęła ślinę i spytała:

- Gdzie jedziemy? Uśmiechnął się.

- Do mojego ulubionego miejsca w Rzymie. Nie mogliśmy go zobaczyć zeszłej nocy, bo było zamknięte. I tak właściwie - dodał, rzucając okiem na swojego roleksa

- teraz też jest oficjalnie zamknięte. Na obiad. Ale zorganizowałem dla nas specjalną wycieczkę, więc będziemy tam całkiem sami, żadnych ludzi.

Właśnie podjeżdżali pod kościół u stóp szerokiej alei. Ładny, niczym niewyróżniający się kościół według rzymskich standardów.

- Co to jest? - zainteresowała się Amy, wysiadając. Hal uśmiechnął się i gestem zaprosił do wspinaczki

po schodach, które prowadziły do wejścia.

- Zobaczysz.

Na progu czekał na nich zakonnik z ogoloną głową, w długiej do ziemi, brązowej szacie.

- Zupełnie jak w „Kodzie Da Vinci” - szepnął Hal.

- Pan Blackstock - zawołał zakonnik, unosząc do góry ręce

- to zaszczyt. Witamy w kościele Santa Maria della Concezione.

Cieszymy się, że pan nas odwiedził. - Nieco bardziej szorstko skinął głową w stronę Amy. - I pani również, signora.

Bycie z Halem jest takie samo, jak bycie z Dougiem, pomyślała Amy. Zawsze będzie na drugim miejscu. Po zastanowieniu ludzie ją tolerują, ponieważ muszą. Nie myśląc jednak o tym dłużej, weszła za zakonnikiem i Halem w długi, ciemny korytarz.

- Wow.

Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. W ponurych salach wzdłuż kościoła była masa kości ułożonych we wzory, krzyże, kwiaty, łuki, trójkąty, koła. Znajdował się tam klosz i duży zegar. Ołtarz był zrobiony z żeber klatki piersiowej, relikwiarz zbudowano z czaszek i kości nóg, a sufit udekorowano kośćmi przedramienia.

- Nie wierzę. - Zachichotała, patrząc w górę. - Nawet żyrandol jest zrobiony z kości śródręcza i paliczków.

- Możesz powtórzyć?

- Z kości dłoni i stóp. Co to za miejsce?

- To krypta kapucynów. Wszystkie kości pochodzą z ciał zmarłych zakonników. Jest ich ponad cztery tysiące. Chodziło o to, by zwrócić uwagę odwiedzających na ich własną śmiertelność. - Idąc dalej korytarzem, dotarli do ostatniego pomieszczenia, gdzie Hal wskazał na znak. - Byliśmy tacy jak wy. Wy będziecie tacy jak my - przeczytał swoim najlepszym barytonem z serii Hammer House of Horror. - W kilku językach. Tak, by każdy zrozumiał wiadomość.

Amy się uśmiechnęła.

- Niesamowite. - Skinęła głową w stronę dziecięcego szkieletu - przymocowany do sufitu trzymał kosę. - Ciekawe, czy IKEA robi takie?

- To cię nie przeraża?

- Jestem lekarzem, zapomniałeś? Przywykłam do tego. Mają sklepik z pamiątkami? Wyobraź sobie te prezenty. Obrączki do serwetek z kręgow. Drapaczka do pleców z prawdziwej dłoni i ramienia. Spodobałoby się to chirurgom.

Hal się uśmiechnął.

- To najlepsze miejsce w Rzymie. O wiele lepsze od głupiej Piety czy tych wszystkich obrazów ze skwaszonymi Madonnami.

Amy była zauroczona i pod wrażeniem. To rzeczywiście niezwykle oryginalny pomysł i Hal pomyślał o tym specjalnie dla niej. Znaczący, że musi mu się podobać. Ale nie mógłby...

- Robię się głodny - powiedział parę minut później. - Już prawie druga. Lepiej chodźmy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wsiedli z powrotem do samochodu, który tym razem wywiózł ich z Rzymu.

- Jedziemy nad morze? - Amy pomyślała o wczorajszej przygodzie.

-Nie.

- Więc po co kazałeś mi wziąć bikini?

- Zobaczysz.

Jechali wzdłuż autostrady (choć tym razem Amy ulżyło, gdy zobaczyła, że prowadziła dalej od lotniska) i po około czterdziestu minutach skręcili w coś, co okazało się wiejską drogą, a następnie zakurzonym traktem, otoczonym coraz gęstszym lasem. Trasę wyznaczały grube szpalery jeżyn. Jeleń przeciął im drogę.

- To trochę jak w „Blair Witch” - zauważyła. Hal się zaśmiał.

- Nie przejmuj się. Nawiedzona część dnia jest już za nami, obiecuję.

Zatrzymali się przy małym prześwicie. Poważny kierowca wyciągnął z bagażnika auta duży koc piknikowy i wiklinowy kosz. Zamienił parę słów z Halem, wsiadł do samochodu i zaczął cofać coraz dalej.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Amy. Uśmiechnął się.

- Zaraz zobaczysz. Ale najpierw musimy coś zjeść. Umieram z głodu.

Rozłożył koc i urządzili sobie piknik. Słoną focaccię maczali w miseczkach z oliwą. Jedli małe chrupkie biszkopty z ciasta, kopru włoskiego i chilli, tosty ze słodkimi pomidorami obłożone srebrnym anchois, dojrzałe soczyste figi, plastry szynki parmeńskiej, gładką mozzarellę i cuchnące plasterki gorgonzoli. Mieli całe kiście słodkich ciemnych winogron i kawałki świeżego melona, do tego butelkę prosecco. Zajadali ze smakiem, za nimi ptaki śpiewały wśród drzew. Gorące słońce rumieniło jej nagie uda i Amy cieszyła się, że głowę chroni kapelusz. W przeciwnym razie upał, zmęczenie i alkohol sprawiłyby, że byłaby dość mocno wstawiona.

- Wszystko jest przepyszne. - Westchnęła niezdolna do powstrzymania się przed włożeniem do ust kolejnej figi.

Twarz Hala rozjaśnił uśmiech.

- Wiesz, że sok z figi cieknie ci po brodzie?

- Naprawdę? - Wytarła go przestraszona.

- To słodkie. Po Florze miło jest patrzeć na kobietę, która cieszy się jedzeniem.

Czy to sarkazm? Amy nie była pewna. Odłożyła plaster szynki parmeńskiej, który chciała zjeść.

- Gdzie jest Flora?

- Na Jamajce - wzruszył ramionami - ze swoimi chorymi dziećmi.

- Och, to te chorujące na ospę wietrzną?

- Tak. Nie mówiłem?

- Nie. Mówiłeś tylko o jakichś dzieciach, które znasz. Jak się mają?

Ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Chciała zadać tyle pytań: co się dzieje między tobą a Florą? Co ty tutaj ze mną robisz? Chcesz mnie uwieść? Bo tak to wygląda. Ale wiedziała, że zbytnie zgłębianie sprawy popsułoby moment, a cokolwiek by się wydarzyło, chciała na zawsze zatrzymać wspomnienie siebie i Hala siedzących w cieniu na polance, gdzie jedynym dźwiękiem był śpiew ptaków.

- Nie powiedziałaś, dlaczego mnie tutaj przywiozłeś - zagadnęła pogodnie. - Chyba że po to, by mnie zamordować i umieścić mój szkielet w tym kościele.

Hal wstał.

- Już ci pokazuję.

Szła za nim wąską ścieżką w dół, aż usłyszała szum wody. Za zakrętem zobaczyła delikatnie bulgoczący strumień, który spływał po wzgórzu. Nie rozumiała, o co chodzi.

- Bardzo ładny.

- Dotknij wody.

Uklękła, zanurzyła palce w wodzie i krzyknęła zszokowana:  
- Gorąca!

Uśmiechnął się wyrozumiale.

- To naturalne gorące źródło. Jest ich mnóstwo na wzgórzach wokół Rzymu.

- Wejdziemy?

- No pewnie. A myślisz, że po co kazałem ci wziąć kostium? Biegnij się przebrać - zatrzepotał rzesami i zniżył głos - chyba że wolisz to zrobić w stroju Ewy.

Żołądek Amy fiknął koziołka.

- Pójdę się przebrać - wyjąkała.

Na polance, otoczona resztkami pikniku, włożyła bikini. Nieważne, że jestem dziewiętnaście razy grubsza od Mariny Dawson, powtarzała sobie. Tym kobietom się płaci, by wyglądały idealnie. Żadna prawdziwa kobieta nie przeżyłaby na diecie rodzynekowej. To było to, co zawsze mówiła swoim nastoletnim pacjentkom, gdy zrozpaczone matki zaciągały je do lekarza, ponieważ odmawiały jedzenia. Jak zwykle Amy łatwiej było wygłaszać kazania, niż się do nich stosować. Klepnęła się z rozpaczą w uda. Powinna była nałożyć trochę samoopalacza, by wydawały się szczuplejsze. I, cholera, na linii bikini zaczęły odrastać włoski. Dlaczego nie usuwała ich codziennie?

Zjawiała się przy strumieniu z ręcznikiem owiniętym wokół talii. Hal już siedział w wodzie, zanurzony do pasa. Nie miała pojęcia, czy jest nagi, czy nie.

- Chodź, woda jest cudowna - zawołał.

Amy weszła. Woda miała temperaturę ciepłej kąpieli, gdyby nie cień, byłaby zbyt gorąca. Usiadła na skale,

w pewnej odległości od Hala, gdzie jej dodatkowa oponka była dobrze ukryta.

- Jest bosko.

- Gdy mieszkałem w Rzymie, zazwyczaj przyjeżdżałem tutaj w weekendy, zabierając ze sobą kilka butelek wina. Doświadczałem przyjemności SPA, zanim wymyślono pojęcie „czas dla mnie”. Flora za coś takiego płaci sześć tysięcy dolarów za noc.

Amy zakołysała się niespokojnie. Wiedziała, że jej twarz z pewnością jest ciemnoczerwona, a tusz rozmazany. Ale Hal mówił dalej, nie zwracając na nic uwagi.

- Tak wspaniale jest wyrwać się z miasta, uciec od tłumów fanów, ludzi, którzy czegoś od ciebie chcą. Nareszcie czuję się, jakbym był na wakacjach.

- Ale ty zawsze jesteś na wakacjach, prawda? - Przywołała w pamięci wszystko to, o czym czytała. Potem zobaczyła wyraz twarzy Hala i pożałowała tego.

- Nie tak często jak się ludziom wydaje - odparł cierpko. - Dużo ludzi myśli, że jestem na wakacjach, chociaż właściwie ma to związek z pracą. Poza tym od teraz już nie będzie za dużo wakacji. Za kilka dni lecę do Los Angeles - przerwał, by tym, co chce powiedzieć, wywołać jak największe wrażenie - jadę spotkać się z Andreasem Bazottim.

- Kim jest Andreas Bazotti? - Gdy tylko Amy otworzyła usta, już wiedziała, że to nie był dobry pomysł. Hal wyglądał na jeszcze bardziej rozdrażnionego niż wcześniej, choć szybko to ukrył.

- Uwielbiam to, że nic nie wiesz o moim świecie. - Roześmiał się. - Andreas Bazotti jest obecnie najbardziej

pożądanym reżyserem. Każdy chce z nim pracować. George przez rok codziennie robiłby lewatywy nosorożcom, byle tylko być z nim w tym samym pomieszczeniu.

Miała ochotę spytać o George'a, ale zdecydowała, że lepiej nie.

- Cóż, to chyba niesamowita szansa. - Pomyślała ze zdziwieniem, jak bardzo rozmowa z Halem przypomina rozmowy z Dougiem.

- Będzie. - Odwrócił się i uśmiechnął. - Wiesz, do dzisiaj czułem się zagubiony. Ale teraz wszystko znowu wydaje się jasne.

Odwzajemniła uśmiech.

- Cieszę się.

- Ale opowiedz mi coś o swoim narzeczonym. - Pochylił się ku niej. - Co się stało? Jak mógł zranić kogoś tak cudownego jak ty?

Amy się zarumieniła.

- Cóż... - Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, na brzegu zadzwonił telefon Hala.

- O Jezu. - Westchnął. - Czy jest jeszcze jakieś miejsce na tej planecie, gdzie nie ma zasięgu?

Wstał. Ku uldze Amy miał na sobie spodenki Vilebrequin. Nie była pewna, czy jest gotowa oglądać Hala takim, jak go pan Bóg stworzył.

- Może nie odbiorę? Kurczę, nie, lepiej odbiorę. To może być ważne.

- Halo? Jest już tak późno? Okej, okej, zaraz wracamy. Rozłączył się.

- Zawsze lojalna Vanessa przypomina mi, że wymaga się mojej obecności na kolacji w Rzymie dzisiaj wieczorem



i jeśli chcę się przed nią odrobinę zdrzemnąć, powinniśmy już wracać.

- Dobrze - powiedziała Amy, nagle przygnębiona. Hal stał na brzegu, ociekając wodą.

- Chciałabyś też pójść?

- Na kolację? - Pokręciła głową. - Nie, nie. Nie mogłabym. Dziękuję ci bardzo, ale...

- Mogłabyś - odparł stanowczo; pochylił się i podał jej rękę, by wyszła z wody. - Bardzo bym się ucieszył, gdybyś poszła - wyszeptał, chociaż tylko ptaki ich słyszały. - Proszę, zgódź się. - I przyciągając do siebie Amy, znów pocałował ją w usta. Serce zabiło jej mocniej, ale zanim mogła odwzajemnić pocałunek, usłyszeli odgłos silnika na polanie.

- Cholera. Przeklęty kierowca. To chyba jedyny punktualny Włoch od czasów Mussoliniego. - Hal rzucił Amy ręcznik. - Chodź, kochanie. Lepiej się ubierzmy.

Dwie godziny później Amy stała pod prysznicem w apartamencie Popolo, myjąc włosy, i rozmyślała nad swoim wyjątkowym dniem. Ona i Hal w bentleyu. Jadą zobaczyć kości zakonników. Piknik. Gorące źródła. I ten drugi pocałunek, ciepły i obiecujący. Zamknąwszy oczy, przywołała tę chwilę. To nie mogła być prawda, ale była. Podobała się Halowi Blackstockowi. Chciał być jej facetem.

Podczas ostatniego płukania przemknęła jej pewna myśl, chwila fantazjowania na temat ich przyszłego wspólnego życia. Premiery, przyjęcia, szykowne wakacje, cała ta zabawa, jakiej kiedyś doświadczała z Dougiem, ale która później zniknęła. Oczywiście nie miała zamiaru rzucać pracy lub robić czegoś równie głupiego, ale na koniec dnia wsiadałaby do bentleya wysłanego po nią przez Hala i wracałaby do jego penthouse'u w Chelsea. Oczywiście nie byłaby z Halem dla pieniędzy czy jego statusu, naprawdę go lubiła. Zresztą odrobina wodolejstwa nie zaszkodzi, prawda?

Wycierając włosy, porównała sytuację do tej, w jakiej znajdowała się rok temu. Ona i Doug byli zaręczeni od pięciu miesięcy, ale nie miała pierścionka zaręczynowego,

ponieważ - jak stwierdził - było go stać tylko na najtańszy z Argos. Mimo że wreszcie powiedział o nich zespołowi, próby skupienia jego uwagi na bieżących sprawach były tak samo łatwe jak zawracanie na trzy tankowcem w brodziku. Robiła parę podejść, zanim udało jej się nakłonić go do ustalenia daty ślubu na sierpień następnego roku.

- Sierpień? - spytała Gaby. Będąc w dziewiątym miesiącu ciąży, nadal promieniała po własnym wspaniałym ślubie (nawet Doug był pod wrażeniem, chociaż jego zdaniem zaprosiła zbyt dużo gości, a ryby i kurczaki to wybór nieprzemyślany; Amy zdumiało, że na swoje czytanie Gaby wybrała: „miłość jest chwilowym szaleństwem" z *Kapitana Corellego*). - Ale wszyscy będą na wakacjach.

- To jedyny czas, kiedy Doug może zagwarantować, że nie będzie w trasie.

Gaby wzruszyła ramionami, jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, jak zresztą często, kiedy mówiły o Dougu.

- Niech będzie.

Gaby gromadząca magazyny ślubne, które chowała pod łóżkiem jak pornosy, wprowadziła Amy w panikę. Plan o ślubie za kilka tysięcy wydawał się tak nieprawdopodobny, jak lek na łysienie dla mężczyzn, więc Amy codziennie zwiększała budżet. Miała dwa tysiące oszczędności, ale to nie wystarczało, jej rodzice zaoferowali trzy tysiące, co rzeczywiście było bardzo hojnym gestem, biorąc pod uwagę ich skromne dochody.

Zdecydowała się podjąć temat w pewien wietrzny weekend w końcu sierpnia, kiedy z Dougiem polecili do Inverness z dawno odwlekaną wizytą do jego rodziców. Do ich domu jechało się z lotniska dwie godziny

i Doug siedzący za kierownicą wynajętego samochodu nie będzie miał innego wyboru, jak wysłuchać tego, co ma do powiedzenia. I wysłuchał, ale jego mina coraz bardziej wskazywała na chęć ucieczki.

- Nie rozumiem, dlaczego to wszystko musi być takie ekstrawaganckie. Nie musimy serwować ludziom trzyda-niowego posiłku przy stole.

- Z pewnością nie - zgodziła się Amy - niemniej jednak musimy ich nakarmić. Przyjadą z daleka, ze Szkocji, i nie zadowolą się miską chipsów.

- W takim razie niech będzie bufet.

- Nie wydaje ci się, że bufety są do kitu? - Nagryzmoła notatkę o tym na bloczku z samoprzylepnymi karteczkami, który miała przed sobą. - Poza tym koniecznie musimy załatwić miejsce.

- Ale do ślubu jeszcze prawie rok. Starła się ukryć ton hysterii w głosie.

- Gaby mówi, że wszystko jest już rezerwowane. Ściągnął brwi.

- Gaby, Gaby, Gaby - powiedział znudzony. - Czasem zastanawiam się, czy się w nią nie zmieniasz. Tylko materializm. Nie chcę ślubu, jaki ona miała, ani też wysłać czterdziestostronicowej instrukcji z rocznym wyprzedzeniem, mówiącej, co masz włożyć i ile kosztuje hotel oraz gdzie kupić prezenty. Dlaczego musimy mieć ślub podobny do jej ślubu? Nie możemy po prostu wymknąć się do Vegas, a po powrocie urządzić małą imprezę?

Przez chwilę pomysł był kuszący. Poza ucieczką, ponieważ to by złamało serce jej ojca, który nie mógłby jej poprowadzić do ołtarza, ale reszta planu? Amy się

zastanawiała. Dlaczego aż tak się zapędziła w ustalaniu każdego szczegółu, by ślub był perfekcyjny? Jakże to naprawdę miało znaczenie, czy przyjęcie urzędzą w brudnym urzędzie miejskim z faszerowanymi babeczkami z Tesco (nie, Waitrose, nie mogła już bardziej zejść z kosztów) i kilkoma utworami zagranymi przez zespół? Prawda była taka, że kierowało nią pragnienie uczynienia jej ślubu z Dougiem jak najbardziej stylowym. To zupełnie tak jakby dzięki takiemu publicznemu oświadczeniu stał się nierozzerwalnie z nią związany, a ta luźna relacja, którą z nim zawsze odczuwała, wreszcie by się zacieśniła. Zadzwonił jej telefon. Spojrzała kto to.

- O wilku mowa. - Słyszała w tle płacz Archie'ego. - Hej, wszystko w porządku?

- Tak, wszystko jest okej - odparła lekko Gaby. - Wiesz co, czytam „Grazie” podczas karmienia i myślę, że właśnie widziałam twoje buty do ślubu.

W tym momencie większość ludzi miałaby już dosyć. Ale nie Gaby. -Aha.

- Dobrze się czujesz? Wydajesz się zestresowana. Cóż, mój chłopak właśnie mi powiedział, że zamieniam się w ciebie.

- Nie, po prostu jesteśmy w samochodzie. W Szkocji.

- O kurczę, no pewnie. Spotykacie się z teściami. - Zachichotała. - Zatem powodzenia. Kup „Grazie”, zerknij na stronę czterdziestą pierwszą i daj mi znać, co o tym myślisz.

Kiedy się rozłączała, Doug zjeżdżał z głównej drogi w długą prywatną, prowadzącą do domu jego rodziców. Amy

odwiedzała ich dopiero drugi raz, a pierwszy raz od czasu zaręczyn, więc była zdenerwowana. Z pewnością mieli większą klasę niż jej rodzina. Zauważyła, jak mama Douga wzdrygała się, gdy Amy mówiła „toaleta” oraz „pardon”.

Samochód zaszurał na żwirze, gdy Doug podjeżdżał i zaciągał ręczny hamulec. Powitał ich hałas ujadających psów.

- Dobra, dobra, chłopaki. - Doug się śmiał, wysiadając z samochodu, gdy otoczyły ich trzy psy wyglądające jak wilki. - Spokój. - Uśmiechnął się do przerażonej Amy. - Wsiadaj, laleczko. Po prostu się ciesz, nic ci nie zrobią.

Ostrożnie wysiadła. Natychmiast rzucił się na nią cuchnący kundel.

- Ała! - krzyknęła i usłyszała wołanie matki Douga:

- Trotter, leżeć! Leżeć mówię!

Amy dojrzała ją w oświetlonych drzwiach, niską i tęgą, w tweedowych spodniach i fartuchu ozdobionym obrazem edynburskiego zamku.

Wytarła ręce, zanim do nich wyszła.

- Mieliście dobrą podróż? - Poklepała Amy po ramieniu. Rodzina Douga uważała całowanie za podejrzany wielkowiejski zwyczaj.

- Witaj, kochanie, dobrze cię widzieć. Gratulacje z okazji zaręczyn.

Identycznym tonem Amy mówiła pacjentom, że mają poważną anginę.

- Dzięki - powiedziała Amy, a Doug zapytał:

- Piekłaś coś, mamó?

- Och, nic wielkiego. Tylko kilka ciast. Alan, Jessica i Poppy przyjechali godzinę temu.

Alan był ambitnym prawnikiem i bratem Douga, Jessica jego znerwicowaną żoną - pracowała w branży informatycznej i zawsze wyglądała na wykończoną - a Poppy ich słodką córeczką.

- Skoro już jesteście, możemy się napić herbaty.

- Czy jest czekoladowiec? - Doug wyciągał ich torby z bagażnika.

- Możliwe - odpowiedziała tajemniczo jego matka. Poszli za nią do kuchni wypełnionej koszykami dla psów

oraz nieodzowną kuchenką Aga w centralnym punkcie. Na stole było tyle koszyków z jedzeniem, że można nim było nakarmić uczestników zjazdu sumo.

- Ekstra. - Doug chwycił ciastko i wepchnął do ust.

- Douglas! Wszyscy pomyślą, że Amy cię nie karmi. Zachowuj się - dodała, rzucając Amy pełne wyrzutów spojrzenie.

- Wy, karierowiczki, jesteście często zbyt zajęte, by gotować.

- Amy jest królową mikrofalówki - odparł radośnie Doug, rzucając się na krzesło. - I nie ma w tym nic złego.

- Czy mogę jakoś pomóc, pani Fraser? - Amy zastanawiała się, czy większą frajdę sprawi jej uduszenie Douga, czy wypatroszenie go. Oczywiście jako lekarz była zdolna wykonać obydwie rzeczy.

- Nie, kochanie, jestem pewna, że ciężko pracowałaś w swojej trudnej pracy, więc powinnaś odpocząć. Wiesz, jesteś strasznie chuda. Mam nadzieję, że nie odchudzasz się na ślub.

- Rany boskie, nie - skłamała Amy, zachwycona tą informacją, ale jej radość została szybko stłumiona przez hałas małej Poppy, która wpadła do kuchni, krzycząc:

- Tata, tata, tata! - Za nią szli jej rodzice. Nastąpiła chwila powitań, po czym Alan rzucił się na stół, ładując do swoich niewielkich ust ogromny kawał ciasta.

- Boże, koszmarnie popołudnie - stwierdził. - Żeby mieć tutaj zasięg, trzeba przejechać dwadzieścia pięć kilometrów. Nie wiem, jak mama i tata dają sobie radę, nie mając bezprzewodowego połączenia szerokopasmowego.

Wyciągnął swojego BlackBerry i zaczął nerwowo wciskać klawisze i zachowywać się zupełnie tak jak rodzice z rozgorączkowanym dzieckiem w klinice. Był absolutnie nieatrakcyjny z tym swoim tłustym cielskiem i twarzą podobną do tyłka pawiana. Amy nagle zdała sobie sprawę, że ta twarz była częścią puli genów rodziny Fraserów. O mój Boże, załóżmy, że ona i Doug mają dziewczynkę, która wygląda nie tak, jak Amy sobie zawsze wyobrażała

- jak ona - ale raczej jak Alan? Dotarło do niej, że rodzina Douga nie jest już po prostu zbiorem dziwaków, których musiała okazjonalnie zabawiać, ale jej przyszłą rodziną, już na zawsze, na wieki wieków.

- Ciasto, ciasto - wołała mała Poppy. Doug obojętnie poklepał ją po główce, gdy skakała obok niego, zmarszczył nos, jakby wyczuł jakąś truciznę. Amy chciała wziąć ją na kolana i przytulić, ale się nie ośmieliła. Okazywanie uczuć wobec niemowląt i maluchów mogło naprowadzić Douga na jej sekret, narastającą obsesję. Poglaskała ją więc tylko po głowie, gdy przebiegła obok, wołając „Ciaaasto!”.

- Nie, kochanie, żadnego ciasta - powiedziała Jessica.

- Może pyszne jabłuszko?

- Nieee! Ciasto!



- Możecie ją trochę ściszyć? - Doug zmarszczył nos. I nie żartował.

- Och, ciiii - uspokajała małą pani Fraser, a Jessice wytknęła:

- Pozwólcie małej zjeść trochę ciasta. Smakuje dzieciom.

- Cóż, tak właściwie, badania pokazują, że... Och nie, kochanie, nie! - Poppy chwyciła ze stołu ogromny kawał i wpychała go sobie do ust z głośnym mlaskaniem.

- Widzisz, dzieci uwielbiają ciasta. Moi chłopcy też je lubili. Nie dawaliśmy się nabrać na te całe neurotyczne bujdy rodzicielskie, gdy dorastali, i jakoś mają się dobrze. - Wszyscy spojrzeli na wałeczki Alana, ale pani Fraser ciągnęła niezrażona:

- Cały ten Jamie Olivier i jego głupoty o humusie i pszenicy bulgur. Wszystko z umiarem, tak powinno się do tego podchodzić. Jak myślisz, Amy? Jesteś lekarzem.

- Hm, wydaje mi się... - Amy czuła na sobie spojrzenie Jessiki

- wydaje mi się, że odrobina ciasta jeszcze nikomu nie zaszkodziła. - Wyraziła swoje zdanie tchórzliwie, decydując, że ważniejsze było trzymanie strony teściowej.

- Tak myślałam! - Pani Fraser się uśmiechnęła. Alan posłał jej uśmiezek i wpakował do ust kolejny kawałek ciasta.

- Więc jak tam życie rockandrollowca? - zapytał Douga sarkastycznie. - Kiedy zobaczymy cię na szczycie listy przebojów Top of the Pops?

- Wiesz, Alan, ta lista już nie istnieje. - Doug ziewnął. To było najczęściej zadawane pytanie po „Napisalesz już coś, o czym mógłbym wiedzieć?”.

- A plany co do ślubu? - zwróciła się do Amy Jessica. Z ruchów jej ciała Amy wywnioskowała, że nigdy nie wybaczy jej zdrady.

- Cóż, myślimy nad tym - odpowiedziała lekko. - Chyba zawsze więcej mówi się o przygotowaniach niż tak naprawdę ich jest, prawda?

- To ciężka praca. - Jessica patrzyła znacząco na Alana. - Nie, kochanie, nie, nie, żadnego ciasta więcej. No dobrze, tylko odrobinę.

- Witam, witam - rozległ się donośny głos przy drzwiach. Pan Fraser w zielonych sztruksach i koszuli w kratę wrócił z codziennego spaceru po wzgórzach. Przeszedł na emeryturę i długie godziny relaksu bardzo go stresowały.

- Doug, mój chłopcze, dobrze cię widzieć. - Ścisnął dłoń syna. - Trochę długie te twoje włosy, czyż nie? Amy, ciebie również dobrze widzieć. Podróż była wygodna, mam nadzieję?

- Tak, dziękuję.

- Dobrze, dobrze. A zatem gin z tonikiem dla wszystkich.

- Dla mnie nie - zastrzegła Jessica.

- Co? Oj, daj spokój, Jessica, nie pilnuj aż tak wagi. Każdy potrzebuje ginu z tonikiem do zaczęcia wieczoru.

- Nie, naprawdę. Jestem na antybiotykach. - Amy zerknąwszy na nią, pomyślała, odrobinę jej zazdroszcząc, że Jessica pewnie znów jest w ciąży.

- Skoro bierze antybiotyki, to rzeczywiście nie powinna pić - powiedziała naprędce. Była poirytowana i sama zadawała sobie pytanie, właściwie dlaczego. Zupełnie jak na chirurgii - za każdym razem, gdy kierowała ciężarną do szpitala, mówiła dziwnie nienaturalnym głosem. A kiedy

zjawiła się przekłeta Sophia Franklin, ogłaszając radośnie, że czwarta próba zapłodnienia in vitro się udała, czuła do siebie tylko żal. Co z nią było nie tak?

- A zatem, Micku Jaggerze - pan Fraser stanął przy barku, gdzie trzymał gin - jak tam życie na scenie? Zostałeś już gwiazdą?

- Pracuję nad tym - odparł Doug.

- Zarabiasz coś?

- Niewiele.

- Więc jak opłacasz rachunki?

- Amy jest bardzo wyrozumiała. - Uśmiechnął się do niej. Z trudem odwzajemniła uśmiech.

- Hm. - Pan Fraser kroił cytrynę. - A kiedy ślub?

- W przyszłym roku o tej porze - powiedziała Amy, podczas gdy Jessica podniosła Poppy i stwierdziwszy, że czas na kąpiel, wyniosła z pokoju małą wołającą „ciasto-ciasto-ciasto”.

- I jak chcesz to sfinansować?

- Cóż, nie chcemy, by było bardzo rozrzutnie - powiedziała Amy.

- Zatem - postawił przed swoją przyszłą synową poczwórny gin - uraduje cię wiadomość, że ponieważ mieliśmy pewien wkład w ślub Alana, oczywiście chcemy mieć też jakiś wkład w wasz.

Serce Amy zalała ulga. Prawdę mówiąc, liczyła, że wyjazd przyniesie tego typu korzyści.

- Och, nie trzeba, panie Fraser, to naprawdę bardzo miłe.

- Mów do mnie Mungo. To całkiem w porządku, kochanie. Jeśli Alan dostał pięćset funtów, wy również powinniście.

- Pięćset funtów? - Kątem oka Amy widziała, jak Alan ledwie powstrzymuje się od śmiechu. - To bardzo hojna oferta... yyy... Mungo. Dziękuję.

- Tak, dzięki, tato - powiedział Doug.

- W porządku. Wiem, że współczesne śluby potrafią być kosztowne. Jestem pewien, że nasz ślub kosztował coś koło pięćsetki. Ale czasy się zmieniają. - Usiadł w swoim fotelu. - Teraz przejdźmy do ważniejszej kwestii. Jak wicie lub nie, daliśmy Alanowi i Jessice również dość znaczną sumę pieniędzy po ich ślubie, by pomóc im w kupnie domu.

Serce Amy zabiło mocniej.

- Chciałbym zrobić to samo dla was dwojga, ale z pewnym zastrzeżeniem. Muszę wiedzieć, że masz jakąś rozsądną pensję, Douglas. Nie wychowałem cię na obiboka i darmozjada. Nie pozwolę ci oskubywać twojej żony. Więc umowa jest taka: znajdź porządne zajęcie i wtedy możesz dostać pieniądze. Udowodnisz mi, że na nie zasługujesz.

Przez chwilę można było usłyszeć jedynie psy przeżuujące okruchy ciasta, które Poppy upuściła na podłogę.

- Tato, ja mam pracę - odparł Doug spokojnie.

- Porządna praca to nie jeżdżenie vanem po kraju z bandą hipisów palących ziele. Porządna praca to taka, jaką wykonuje Alan.

Alan skinął głową i wziął kolejnego rożka. Doug nabrał głęboko powietrza.

- Tato, Alan ma porządne zajęcie, ale ja też mam. Muzyka to poważny biznes. Zarabia się w nim miliardy funtów rocznie.

- Ale nie ty.

- Ja nie. Jeszcze nie. Ale zarobię jakieś pieniądze. Wreszcie. A poza tym pieniądze nie są ważne. To, co się liczy, to szczęście. A będąc prawnikiem, nie czułem się szczęśliwy.

- Więc zajmij się czymś innym. - Twarz pana Frasera lekko poczerwieniała, gdy starał się wymyślić dla niego pracę nie w charakterze prawnika. - Bądź, bądź... bankierem! Mój stary znajomy Ranulph pracuje dla Coutts. Na pewno mógłby ci coś znaleźć.

- Nie chcę być bankierem. Nie chcę być jak Alan, zawsze sprawdzający e-maile i na skraju ataku serca. Zawsze chciałem zajmować się muzyką, ale ty nie chciałeś mi na to pozwolić. Zmarnowałem cztery lata życia na ten głupi dyplom z prawa oraz czas poświęcony na aplikację. I teraz nie zamierzam go więcej marnować. A głupia próba przekupienia mnie łapówką na dom nie zmieni mojego postanowienia, prawda, Amy?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią. Musiała odpowiedzieć.

- Ale mówiłeś, że jeżeli muzyka nie wypali, to rzucisz to po roku, by...

- Jezu! - wrzasnął. Widok wściekłego Douga był tak szokujący, że wszyscy podskoczyli. - Nie wierzę. Myślałem, że moja własna narzeczona mnie wesprze!

To było wstrętne.

- Wspieram cię, tylko że...

- Wystarczy. Boże, Amy, myślałem, że rozumiesz. To moje marzenie.

- A co z biedną Amy? - przypomniał mu ojciec. - Ona musi płacić wszystkie rachunki. Urabia się po łokcie, jak przypuszczam.

- Ale Amy kocha swoją pracę. - Aż zakręciło się jej w głowie od tego niespodziewanego poparcia. - Ona nie ma nic przeciwko temu.

- A co będzie, kiedy pojawi się dziecko? Miejsce matki jest w domu, nieważne, co myślą tak zwane feministki jak Jessica.

- Nie krytykuj Jessiki - wtrącił się Alan. - Nie ma nic złego w naszym stylu życia.

- Cóż, jest. Serce się ściska, czyż nie, kiedy widzisz, jak mała cieszy się na widok kawałka domowego ciasta.

- Zapomnij o tym - zwrócił się Doug do ojca. - Dziękuję za uprzejmą propozycję, ale biorąc pod uwagę warunki zapisane małym druczkiem, jako były prawnik wiem, że nie mogę jej przyjąć. I Amy na pewno mnie w tym poprze.

- Ja... - Amy już miała wyobrażenie wspólnego życia w przyszłości - wczesne wstawanie i operowanie do późna, krzyki, harówka i opiekunka do dziecka, bo matka nie ma dla niego czasu. Obiecywała sobie długą przerwę w pracy, by poświęcić się rodzinie. Mama zawsze była dla niej w domu i ona też tak zamierzała.

- Prawda, Amy?

- Oczywiście - powiedziała cicho, patrząc w podłogę. - Oczywiście.

Właściwie Doug miał rację. Nie mógł porzucić swojego marzenia za cenę łapówki. Nie chciałyby, żeby stał się taki okropny jak Alan. Ale z drugiej strony pieniądze tak bardzo by się przydały. Bez nich nie mogli pozwolić sobie na dziecko. Chociaż mogli, mnóstwo osób bez pieniędzy ma dzieci, ale żyje się ciężko w małym mieszkanku, biedny

maluszek musiałby iść do żłobka. Wszystko to było przeciwne temu, w co Amy wierzyła.

Powinna porozmawiać z Dougiem, ale tak jak wtedy, gdy zrywała z Dannym, nie mogła zebrać myśli.

W Londynie, podczas wypadu z zespołem, musiała z zaciśniętymi zębami słuchać, jak Doug opowiadał swoją wersję wydarzeń.

- Wydaje mi się, że postąpiliście słusznie - stwierdziła Pinny, zupełnie jak ktoś w posiadaniu ogromnego funduszu powierniczego. - Jesteś artystą, a nie niewolnikiem. Co o tym myślisz, Amy?

-Cóż...

- Co „cóż”? Gdyby Doug był biznesmenem w garniturze, nie byłby już Dougiem. A ty byś go nie kochała. My byśmy go nie kochały.

To „my” przyprawiło Amy o dreszcz. Postanowiła, że będzie mniej spięta i bardziej wyrozumiała dla Douga, że będzie akceptować go takim, jaki jest, a nie takim, jakim chciała go widzieć. Ale następnego ranka, w drodze do pracy, przyłapała siebie na szukaniu nazwiska Danny'ego w swoich kontaktach. Przez jedną zwariowaną sekundę zastanawiała się, czy do niego nie zadzwonić. Właściwie nie był taki zły, prawda? W weekendy przynosił jej śniadanie do łóżka i uwielbiał dzieci. Dobra, nie było między nimi takiej zwierzęcej namiętności jak między nią a Dougiem. Ale czy można budować związek na namiętności? Pokręciła głową i uwolniła się od wariackich myśli. Doug był jej facetem i z pieniędzmi lub bez, poradzą sobie. Nawet jeżeli okoliczności nie były idealne, Amy jakoś je sobie dopasuje.

Amy właśnie nakładała ostatnią warstwę pomadki, gdy zadzwonił jej telefon. Spodziewała się, że to ktoś z recepcji z informacją, iż Bentley czeka na nią w garażu.

- Halo? -Amy?

- Lisa! - Amy skuliła się na myśl o swojej paskudnej ucieczce.

- Jak się masz?

- W porządku, dzięki. - Amy nastawiła się na wyrzuty, ale zamiast tego usłyszała: - Słuchaj, dzwonię, bo Simon jest wkurzony, że wczoraj mnie tak długo zatrzymałaś i powiedziałam, że osobiście możesz mu to wytłumaczyć.

Jej głos był teatralny, powolny i pełen ostrzeżeń. Amy od razu złapała, o co chodzi.

- Okej - powiedziała, ale Simon już się włączył.

- Halo?

- Cześć, Simon. Przepraszam, że tak długo wczoraj zatrzymałam Lisę. Pojechałyśmy na plażę i... trochę się upiłam, więc nie mogła mnie dobudzić i przegapiłyśmy ostatni pociąg do Rzymu. - Cholera! Amy nie miała pojęcia, co powiedziała mu Lisa. Ale słyszała na wpół ułagodzone chrząknięcie.



- I pewnie ta wyładowana bateria w jej telefonie też nie pomogła - dodał.

- Nie, to był koszmar. A mój telefon zgubiłam i nie wiedziałyśmy, jak się używa włoskich automatów, więc...

- W porządku, Amy. Przyjmuję przeprosiny. Trzymaj się. - I już go nie było. Amy odczekała parę minut na wypadek, gdyby Lisa oddzwoniła, ale nie zrobiła tego. Jak widać dzień w Ostii przeciągnął się również w noc w Ostii. Nie winiła Lisy, Massimo był atrakcyjniejszy od Simona. Ale dlaczego tak naprawdę ona była z Simonem? Z pewnością nie tylko dla dostępu do jacuzzi.

Zastanawiając się nad tym, zjechała windą na dół. Hal czekał na nią w bentleyu. Miał na sobie zieloną koszulę i wyprasowane spodnie. Gdy Amy wsiadła, obejrzał ją od góry do dołu.

- Hm, co włożyłaś? Amy spojrzała po sobie.

- Moją sukienkę od Prądy.

- Ale czy przypadkiem nie miałaś jej na sobie wczoraj w nocy? Serce Amy podskoczyło z przejęcia.

- Tak. Ale to jedyna elegancka sukienka, jaką mam.

- Kurczę. - Hal spojrzał na zegarek. - Czy mamy odrobinę czasu na małe zboczenie z drogi? Sklepy są jeszcze otwarte? Bo mogę ci kupić jeszcze jedną sukienkę.

- O nie, nie - zawołała prawie skuszona, ale bardziej przerażona. - Nie mogę ci pozwolić.

- W każdym razie właśnie zamykają, signor - poinformował go kierowca.

- W porządku, nieważne. I tak wyglądasz bardzo ładnie.

- Dzięki - powiedziała z trudem Amy. Przełknęła ślinę i spróbowała zmienić temat. - To z kim jemy kolację?

Hal usadowił się na siedzeniu.

- Z Callumem, który jest moim agentem. Stary kumpel. Pamiętasz, to on próbował nas zatrzymać, kiedy razem wychodziliśmy z przyjęcia. Dzięki Bogu, że mu się nie udało. Tak, to porządny facet. Chciałbym, żebyście się poznali. Możliwe, że będzie też jego dziewczyna Robyn. Często towarzyszy mu w takich zabawach, choć wczoraj jej nie było. Miałem spytać, czy przyjdzie, ale zapomniałem. Poza nimi to nie jestem pewien. Dominique, wydaje mi się, że o niej wspominał. Jest modelką, rozpoznasz ją. Na pewno wystylizowana aż do brwi. Ty będziesz stanowić odświeżający kontrast. - Gdy Amy przełykała niezamierzoną obrazę, dodał: -1 jej chłopak, Vlad.

- On też jest modelem? - spytała niespokojnie. To brzmiało okropnie. Jej wcześniejsze wyobrażenie o życiu z Halem zostało zmienione przez złowieszczy powiew przyszłości, gdzie wszyscy są wyżsi, chudsi, ładniejsi i bogatsi od niej.

Hal gwizdnął.

- Boże, nie. Chyba że mówisz o agencji brzydali. Nie, Vlad jest rosyjskim przemysłowcem, właścicielem całej Syberii. Słyszałem, że chce kupić klub piłkarski. Choć mógłbym spróbować go namówić, by złożył ofertę na miasteczko Didcot.

Amy tak naprawdę nie słuchała. „Chciałbym, żebyście się poznali”. Poważna kwestia, zupełnie jakby był jej facetem. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc wyglądała przez okno, podziwiając rzymski wieczór.

Hordy turystów pędziły wzdłuż Via Nazionale, zespół Hare Kriszna tańczył między nimi jak pomarańczowy smok. Restauracja, do której jechali, była w cytrynowej alejce, na wzgórzystych przedmieściach, gdzie - według kierowcy - znajdowały się domy wszystkich ministrów. Hal i Amy weszli na duży taras okryty winoroślą i zostali zaprowadzeni do stolika daleko w lewym rogu, gdzie z tłumu błyszczących gości dochodziły głośne rozmowy i śmiechy.

- Hal! - zawołała jedna z kobiet, wstając tak, by każdy mógł podziwiać jej szczupłe ciało i niesamowite blond włosy. - Hej, tutaj. Chłopaki, patrzcie, jest i Hal.

- Cholera. - Hal nie krył irytacji. - Ta przekłeta Justina. Zabiję Calluma. - Ale zanim zdążył coś dodać, już był otoczony. Podczas gdy podawał dłoń i całował powietrze, Amy stała potulnie jak dziecko pierwszego dnia w przedszkolu. Dopiero gdy zapadła cisza, Hal mógł powiedzieć:

- Słuchajcie, to jest Amy.

- Cześć, Amy - odezwali się chóralnie. Podniosła rękę na znak powitania.

- Amy, to jest Dominique, Justina, Vlad i, przepraszam, Trader?

- Trailer - warknął towarzysz Justiny, młody chłopak w bejsbolówce przysłaniającej jego pryszczatą twarz.

- Czy myślisz, że ma na nazwisko Bubel? - szepnął Hal do Amy, a ona zdławiła chichot.

- Hal, gdzie jest Flora? - spytała Dominique. Miała twarz, za pomocą której można było uczyć geometrii. Tak jak przewidział Hal, Amy bezbłędnie ją rozpoznała.

Hal szybko zamrugął.

- Flora? Utknęła na Jamajce. Dziewczynki mają ospę wietrzną.

- Ospę wietrzną! Mój Boże, biedne dzieci. Musimy im wysłać prezent z życzeniami powrotu do zdrowia. Kochana Flora. Pozdrów ją, gdy będziesz z nią rozmawiał. Jest niesamowitą kobietą.

- Cześć, Amy - usłyszała głos za sobą. Odwróciła się. Callum się uśmiechał. Poczowała ulgę na widok prawdziwie przyjaznej twarzy. - Napijmy się. Chcesz kruga?

- Nie, dzięki. - Już było jej niedobrze, nie musiała dodawać do tego alkoholu.

- Na pewno? Może wolisz cristala? Dom perignon? A może jakiegoś drinka? Tak czy siak, usiądź. - Poklepał krzesło obok siebie.

Amy usiadła, mile zaskoczona jego gościnnością.

- W porządku. Wystarczy szklanka wody, dziękuję. Gdy inni trajkotali, Amy przejrzała menu. Nie żeby

była specjalnie głodna, ale przynajmniej tym mogła się zająć. Po lewej Calluma zagadywała Justina, po prawej Vlad, wyglądający jak ziemniak, który miał bliskie spotkanie z shar pei, nawijał po rosyjsku do swojej platynowej komórki. Hal wybuchał śmiechem, rozmawiając z Dominique, i wydawało się, że zapomniał o istnieniu Amy, podczas gdy Trailer pomiędzy Vladem i Dominique stukał na swoim BlackBerry.

- A ty czym się zajmujesz, Annie? - spytała po pewnym czasie Dominique, zerkając znad zupy, w której podziwiała swoje odbicie.

- Amy. Jestem lekarzem.

- Naprawdę? Super. - Ale uwaga Dominique skupiała się na menu. - O, dobrze, że mają gazpacho! Zero kalorii. Chociaż tutaj mają tendencję do podlewania wszystkiego oliwą, jeśli się ich nie pilnuje. - Uśmiechnęła się protekcjonalnie do Amy. - Dopisało ci szczęście, że masz pracę, w której nie musisz uważać na swoją figurę. Tyle teraz gadania na temat rozmiaru zero. Tak jakby to była moja wina, że z natury jestem chuda.

- A czym się zajmujesz? - spytała Amy, choć znała odpowiedź.

Dominique była zaskoczona.

- O, przepraszam, nie mówiłam? Jestem modelką.

- Dom jest twarzą wkładek Jodanne - wtrącił opryskliwie Vlad, zanim wrócił do swoich interesów z bronią.

- O, to stąd cię znam - powiedziała Amy, zanim zdążyła się powstrzymać.

Dom wyglądała na rozzłoszczoną.

- Robię to tylko ze względu na pieniądze. I tak naprawdę trudno mnie rozpoznać w ujęciu, jakie zrobili.

- Dlatego właśnie rzuciłam modeling. - Justina westchnęła z drugiego końca stołu. - Nie znosiłam myśli, że moja twarz kojarzy się z marnymi produktami. Bycie aktorką jest bardziej satysfakcjonujące.

Wieczór był nędzny. Dominique zmonopolizowała Hala, Justina i Trailer rzadko się odzywali. Amy próbowała rozmawiać z Vladem, ale na każdą próbę nawiązania rozmowy odburkiwał, po czym z powrotem zajmował się telefonem. Callum ciepło się do niej uśmiechał, ale kiedy tylko chciał ją o coś zapytać, wtrącała się jakaś kobieta.

Udawaj, że cię tu nie ma, udawaj, że oglądasz to w telewizji - powtarzała sobie w głowie jak mantrę. Za miesiąc to będzie zabawna historia do podzielenia się z Gaby. Och, dzisiaj do niej nie dzwoniła! Amy zżerało poczucie winy. Wyrzucała sobie, że zapomniała o przyjaciółce tylko dlatego, że zadzwonił Hal Blackstock. Wymknie się zaraz i zadzwoni do niej. Ta myśl ją uspokajała. Rozejrzała się po tarasie wypełnionym grupkami wesołych gości, którzy głośno rozmawiali i stukali się kieliszkami. Tylko jeden starszy mężczyzna siedział sam, nieskazitelny, w rozpinanej koszulce i wyprasowanych flanelowych spodniach, a przed nim stał pusty talerz po makaronie. Długą łyżkę zanurzał w słoiku, po czym powoli ją oblizywał. Amy była wstrząśnięta, to wspólny dla wszystkich słoik z parmezanem.

- Jakieś wieści o Sukey? - spytała Justina Dominique. Ta ostatnia przez cały wieczór wyglądała na najszcześniejszą.

- Wyleciała z kampanii Eres.

- Nie dziwię się. Chociaż wydawałoby się, że cały ten koks pozwoli jej utrzymać odpowiednią linię.

- Zbyt wiele nocy w klubie Chinawhite.

- Miau - zamiauczał Callum do ucha Amy. Zachichotała, poczuła ulgę, że jednak nie jest niewidzialna. - Cholera, to jakiś koszmar, że Justina jest tutaj. Ona i Hal się nienawidzą. Ale kiedy tylko usłyszała, że jestem w mieście i dowiedziała się o moich planach, pod byle pretekstem postanowiła do nas dołączyć.

- Ach tak. - Nie wiedziała, jakich udziela się rad, gdy ktoś z pierwszej ligi gwiazd przychodzi na przyjęcie bez zaproszenia.

- Więc dobrze słyszałem, Amy, jesteś lekarką?

- Tak, lekarzem rodzinnym. - Callum nie był przystojny, ale miał miłą twarz, pogodną i przyjacielską.

- Kurczę, więc rzeczywiście masz poważną pracę? Nie sądzę, żeby ktokolwiek, kto dostaje miesięczną pensję, był kiedykolwiek wcześniej dopuszczony do Hala.

Amy uśmiechnęła się uprzejmie.

- Nie mówiąc już, że do jego życia. - Ton jego głosu był znaczący.

- Nie jestem częścią jego życia. Jesteśmy tylko znajomymi. Przypadkiem mieszkamy w tym samym hotelu i zaczęliśmy... rozmawiać, i...

- Tylko znajomi, tak? Cóż, po prostu dla swojego dobra staraj się to tak utrzymać. Facet nie jest przyzwyczajony do kobiet, które mu się opierają. Zmasakrowałabyś jego ego. Czy wy lekarze jesteście szkoleni, jak ułagodzić zszargane poczucie własnej wartości u gwiazdy?

- Oczywiście, że tak. - Uśmiechnęła się. Przyniesiono danie główne i Vlad popatrzył na swój talerz makaronu.

- Ser - ryknął. - Potrzebuję sera.

- Oczywiście, proszę pana. - Kelner skinął głową. Wrócił po wspólny dla wszystkich słoik. Amy patrzyła z przerażającą rozkoszą, jak Vlad nabrał oblizywaną przez starszego pana łyżką kupę parmezanu i posypał nim swoje linguine.

- Z czego się śmiejesz? - Zagadnął Callum ze szczerym zainteresowaniem.

- O, z niczego. Callum, Hal mówił, że możliwe, iż twoja dziewczyna będzie tutaj.

Callum pokręcił głową.

- Widzisz, jak bardzo Hal interesuje się moim życiem prywatnym. Robyn i ja rozstaliśmy się dwa miesiące temu. Gdyby Hal spytał o nią, powiedziałbym mu.

- Przykro mi - szepnęła Amy speszona.

- Niepotrzebnie. - Callum wzruszył ramionami. - To musiało się tak skończyć. Nastąpił naturalny koniec. Żadnych zranionych uczuć. To rzadkie zerwać w przyjacielski sposób. Doceniam to. Jeżeli zaś chodzi o Hala - cóż, to on ma talent. Nie ma powodu, dla którego powinien interesować się moim małym życiem. Żaden z moich klientów tego nie robi. - Mówił bez jakiegokolwiek goryczy.

- Jednak powinien był zapytać... - odparła z przejęciem, ale zanim Callum mógł odpowiedzieć, Dominique ciągnęła go za rękę, chcąc usłyszeć najnowsze plotki o Kate Moss.

Amy wstała z krzesła i poszła do łazienki. Myjąc ręce, popatrzyła w lustro. Chyba w jakimś tajemniczym procesie osmozy modelki wysysały jej cały makijaż. Twarz miała bladą i błyszczącą, rzęsy jak albinos, wszystkie świecące miejsca wyglądały jak latarnie w zimową noc. Zdała sobie sprawę, że szminka i szczotka znajdowały się w jej torebce pod stolikiem, w jadalni.

- Co ja tutaj robię? - spytała głośno swoje odbicie. - Nie należę do tego świata. Chcę do domu, do którego pasuję.

Umyła ręce i, opóźniając swój powrót do stolika, wyszła na tylny taras. Poniżej Rzym wyglądał fantastycznie: czerwone, niebieskie, zielone i białe światła migotały jakby gigantyczna dłoń rozsypała kamienie szlachetne po mieście. Księżyc wałęsał się po niebie nad Amy, gdy ona zastanawiała się, czy Doug też na niego teraz patrzy.



Mało prawdopodobne. Pewnie tuli się pod kołdrą do Pinny. Wyjęła telefon, by zadzwonić do Gaby.

- Amy? - odezwał się z tyłu Hal. Podskoczyła.

- Och, cześć. Wyszłam się trochę przewietrzyć.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, wszystko w porządku. Było mi po prostu gorąco. Podeszedł do niej i oplótł ramionami.

- Przepraszam, wiem, że byłaś znudzona. Dom jest nudna, a Justina to suka.

Zaśmiała się.

- Ty to powiedziałaś, nie ja.

- Ale proszę, nie zniechęcaj się. To nie tak, ci ludzie nie są moimi przyjaciółmi. Poza Callumem, on jest w porządku, prawda?

- Naprawdę uroczy. Ale mnie to nie powinno obchodzić. Jestem tutaj tylko dzisiejszego wieczoru.

- Tak właściwie - powiedział miękko - chciałbym, byś była w moim życiu trochę dłużej.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Objął ją, pochylił się i po raz trzeci w ciągu dwudziestu czterech godzin delikatnie pocałował w usta. Potem odsunął ją od siebie i, trzymając za ramiona, popatrzył jej w oczy.

- Jesteś kochana. Myślę, że się w tobie zakochuję. Przyjdiesz potem do mojego pokoju?

- Nie wiem - odparła, pokonując zmieszanie. - Zobaczę.

- Chciałbym, żebyś przyszła. Ale lepiej, jeśli wrócimy, zanim ta krowa Dominique przejdzie do wieści ze świata.

Gdy weszli na główny taras, wszyscy zamilkli. Amy rozejrzała się nerwowo, niepewna, czy jej spódnica nie

podwinęła się pod majtki. Ale po chwili zdała sobie sprawę, że nikt na nią nie patrzy. Przeciwnie, wszystkie oczy były zwrócone w daleki lewy narożnik, gdzie stała piękna ciemnowłosa kobieta w długiej pomarańczowej sukni.

Amy spojrzała na Hala. Wyglądał, jakby zobaczył ducha.

- Witaj, Hal - powiedziała Marina. - Niespodzianka.

Był świt. Hal siedział na tarasie otulony szlafrokiem, patrząc jak słońce wznosi się nad ogrodem. Już drugą noc z rzędu prawie nie spał, ale o ile poprzedniej nocy z przejęcia, o tyle dzisiaj z powodu szoku. Widok Mariny w restauracji był dla niego jak uderzenie obuchem. Ledwo mógł oddychać. Tylko dzięki temu, że jest aktorem, potrafił zebrać się w sobie na tyle, by podejść do niej, ucałować w policzki, poczuć znajomy zapach bursztynowego zapachu Prądy i wyjąkać coś w rodzaju „jak miło” i „co za niespodzianka”, podczas gdy ona przytaknęła z uśmiechem i powiedziała, że dopiero dotarli tu z Fabriziem na jego jachcie i zamierzają spędzić kilka dni w Rzymie, zanim ruszą na Wyspy Eolskie.

- Gratuluję „The Apple Cart” - dodała bez wyrazu.

- Obejrzeliśmy go z Fabbim w zeszłym miesiącu, gdy byliśmy w Stanach.

- Taa - zahuczał głos za nią, dziwaczna mieszanka akcentów z Cape Cod, Belgravi i szkoły Aiglon w Szwajcarii.

- To jest coś. Dobra robota, Hal.

I oto pokazał się Fabrizio, tak opalony, że wyglądał, jakby go ktoś wyrzeźbił z kawałka wypolerowanego

dębu. Podszedł, wyciągając owłosioną i zaobrączkowaną dłoń.

- Dzięki - wymamrotał Hal. - Hm, a tak, gratulacje, Fabrizio.

- Czy jest tutaj Flora? - Marina rozglądała się, a w jej głosie pobrzmiwały tony Wiltshire. Hal zauważył kamień wielkości gałki ocznej błyszczący na jej lewej dłoni. - O, cześć Dominique. Widziałam cię w reklamie Jodanne! Callum, kochanie, miło cię widzieć. Justina, Tray. Vlad.

- Spojrzenie wielkich niebieskich oczu - gdyby były jeszcze szerzej rozstawione, sprawiłyby, że wyglądałaby nienaturalnie - zatrzymała na Amy. - Witam. - Wyciągnęła dłoń, co było niełatwe, zważywszy na liczbę bransoletek.

- Jestem Marina.

-Amy.

- Córki Flory mają ospę wietrzną - wtrącił Hal, a Marina z ledwo dostrzegalnym zagadkowym uśmiechem (botoks zapobiegał zbytnej ekspresji) powiedziała: - Och, jaka szkoda. Cóż, nie każmy reszcie naszego stolika czekać. Miło było cię widzieć, Hal. Kopę lat.

I poszła sobie z szelestem jedwabiu i stukotem obcasów od Gucciego.

Hal starał się normalnie zachowywać przez resztę wieczoru, ale wiedział, że słabo mu szło. Nie rozumiał, dlaczego tyczkowata dziewczyna, która wygrała głupi konkurs na modelkę, nadal miała na niego taki wpływ.

Był jak zahipnotyzowany jej widokiem, że zupełnie zapomniał o Amy. Dopiero gdy Callum zadał jej bardzo bezpośrednie pytanie dotyczące współczesnej medycyny, a ona odpowiedziała miękkim, nieco drżącym głosem,

przypomniawszy sobie o jej istnieniu. Jezu. Pół godziny wcześniej mówił jej, że ją kocha, wierząc, że była jego ocaleniem, jego kluczem do lepszego życia.

Uśmiechnął się do niej przez stół, ale go nie widziała. W drodze powrotnej w samochodzie starał się być dla niej miły, mówiąc, jak pięknie wyglądała tego wieczoru, jak mu przykro, że tak nagle poczuł się zmęczony - słońce tego dnia było trochę za ostre i powaliło go, ale spędził cudowny wieczór z uroczą kobietą i czy ona nie ma nic przeciwko temu, by wejść do hotelu pierwsza, a on pójdzie za nią za chwilę?

Pocałował ją platonicznie w czoło i patrzył, jak sama idzie do hotelu. Czuł się niezręcznie. Ale nie na tyle, by wyskoczyć i pobiec za nią. Najpierw musiał się uporać z własnymi problemami.

Teraz, kiedy tutaj siedział, próbował przeanalizować to, co się działo w jego życiu. Miał przed oczami wizję nowego życia z Amy. Ona nie była częścią powierzchownego świata show-biznesu. Z nią mógłby mieszkać na wsi, śmiać się i pływać, jak wczoraj, pozwolić sobie na absolutną swobodę, z dala od przyjęć i sesji zdjęciowych, rozmów z Justyną i kolacji, na których wypada bywać.

Ale problemem, z czego niespodziewanie zdał sobie sprawę, było to, że kochał wyobrażenie Amy, a nie Amy jako osobę. Zupełnie tak jak w filmie, utkwiał w niej wzrok i wyszeptał „kocham cię” do aktorki w jego ramionach, miał na myśli to, co powiedział w danej chwili. Tak naprawdę nie mógł być zakochany w Amy, mimo że była urocza, ponieważ ledwo ją znał, tak samo jak ledwo znał gwiazdy, które trzymał w ramionach. I tak samo było z Florą: zakochał się

w wyobrażeniu tej utalentowanej, zaangażowanej aktorki, zanim zdążył z nią porozmawiać, i nigdy nawet się nie wysilił, by poznać ją naprawdę jako kobietę.

Był zakochany w Marinie, w ścinkach jej paznokci w łóżku i całej reszcie, ale ponieważ różniła się nieco od ideału Hala, pozwolił jej odejść. Popęłił straszny błąd. Musi ją odzyskać. Marina to jedyna kobieta dla niego. Zawsze tak było i zawsze będzie.

Zadzwoił telefon.

- Halo? -Hal?

- Marina! - Telepatia. Zawsze byli z sobą mocno związani. Potrafiła czytać w jego myślach i dzwoniła, by powiedzieć, że wszystko w porządku.

- Miło było zobaczyć cię minionego wieczoru. Fajnie. Czy miała na myśli dziwnie czy zabawnie?

- Tak - odparł.

- Zastanawiałam się, czy ci to proponować. Fabby ma do załatwienia parę spraw dzisiaj rano. Może moglibyśmy zjeść razem śniadanie. To znaczy jeżeli nie masz innych zobowiązań.

- Byłoby świetnie. - Przeciągnął ręką po włosach.

- Mam przyjść do ciebie? Tak jak kiedyś? Mogłabym zjeść śniadanie w twoim pokoju. Bardziej prywatnie niż w restauracji, jak sądzisz?

- Z pewnością. - Serce mu waliło jak młotem, ledwo słyszał własne słowa.

- Będę za pół godziny.

Zerwał się i pobiegł pod prysznic, a jego serce śpiewało „Alleluja”. Został ulaskawiony. Marina już szła. Miała

mu wyznać miłość, przyznać, że związała się tym idiotą Fabriziem, by zrobić mu na złość, i że teraz wszystko będzie w porządku. Spędzą cały dzień w łóżku i na koniec on się oświadczy. Będą żyć na wsi i mieć dużo dzieci, chciała je mieć.

Dziękuję ci, Boże, dziękuję.

Zamówił jej ulubione tosty i zupę jarzynową, duży dzbanek kawy, świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy i butelkę szampana. Potem ubrał się, klnąc, bo jego ulubiona zielona koszula była brudna po wczorajszym. Podeszedł do sejfu, wstukał datę swoich urodzin i wyjął pudełko z pierścionkiem, kładąc je na stoliku przy oknie. Potem usiadł i czekał.

Spóźniła się tylko pół godziny, nieźle jak na Marinę. Gdy otworzył drzwi, stała tam sama w ciemnych dżinsach i prześwitującej bluzce w kropki, przez którą można było dojrzeć biust.

- Witaj - powiedział zupełnie jak nastolatka na koncercie boysbandu.

- Cześć. - Weszła do salonu i poszła prosto na taras. - To najlepszy apartament w hotelu? Jestem pewna, że zatrzymywaliśmy się z Fabriziem w lepszym.

- Masz rację. Jest kilka lepszych. Ale w jednym jest Justina, a w pozostałych małżeństwa w podróży poślubnej.

- Kto chciałby jechać w podróż poślubną do Rzymu w sierpniu? Fabrizio i ja jedziemy na Malediwy. - Uśmiechnęła się triumfująco. - Nasza własna, prywatna wyspa. A dzisiaj wieczorem oczywiście wypływamy na Wyspy Eolskie. Ruszamy o dziesiątej.

- Zawsze chciałaś tam pojechać.

- Ale mówiłeś, że będziesz się nudził, uwięziony na kawałku plaży, gdzie nie ma nic do roboty poza patrzeniem na ryby. - Wciąż się uśmiechała, choć ton jej głosu zabrzmiał oskarżycielsko. Kobiety. One nigdy nie zapominają.

- Dzisiaj tak nie uważam. Jestem pewien, że byłoby niesamowicie. - Poszedł za nią na taras; popadał w lekką paranoję, że wszyscy w ogrodzie mogli ich zobaczyć, gdyby spojrzeli w górę. - Zamówiłem śniadanie.

- Och, to urocze Hal - rzuciła zdawkowo, wychylając się przez balustradę. - Ale chyba nie zostanę. Chciałam się tylko przywitać w sposób bardziej osobisty niż wczoraj wieczorem. Było trochę niezręcznie, prawda? Wszyscy na nas patrzyli. Nie miałam okazji powiedzieć tego, co od wieków chciałam ci powiedzieć.

Serce Hala się zatrzymało.

- To znaczy?

- Życzę ci wszystkiego dobrego z Florą. Jeśli będzie miała tyle szczęścia, by cię usidlić. Ponieważ długo byłam w tobie zadurzona, Hala Blackstocku. Nigdy nie myślałam, że mi przejdzie. Co noc wyłam przed snem, dosłownie wyłam. Jak zwierzę. Ale potem poznałam Fabbiego; jest taki miły, przy nim zaczęłam wracać do formy i wreszcie zdałam sobie sprawę, że on jest dla mnie dużo lepszy niż ty kiedykolwiek mógłbyś być. On jest dorosły, nie jest chłoptasiem. Wiedział, czego chce, i mógł mi dać to, czego chciałam.

- Ale... - Przykryła mu usta dłonią.

- To nie twoja wina, Hal. Jesteś uroczy. Zabawny, przystojny. Niezły aktor, ale chyba nie powinienesz być kręcić „The Apple Cart”. Po prostu nie wiesz jeszcze, czego chcesz



od życia. Albo może gazety nie mają racji i rzeczywiście pragniesz Flory. Jeśli tak jest, na pewno będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi. -Ja...

- Chociaż możliwe, że Flora to już historia. Dominique przysłała mi esemesa o twojej wczorajszej randce. Lekarka. Bardzo ambitnie, Hal. Jestem pod wrażeniem. Cóż, jeżeli jest tą jedyną, jeszcze raz - powodzenia.

Marina zawsze była kiepską aktorką. Patrząc na nią

- błyszczały jej oczy, zaciskała usta, wykręcała sobie palce pełne pierścionków - Hal był pewien, że mówi to wszystko, by go zranić, by zemścić się tak, jak na to zasługiwał. Teraz był zatem moment, by to zrobić, złapać pierścionek i wykrzyknąć: Marina, uwielbiam cię, zawsze uwielbiałem, byłem snobem i imbecylem i wszystko spałałem.

- Cóż, bardzo mnie to cieszy, Marina - powiedział zamiast tego. - Fabrizio wygląda na świetnego faceta i myślę, że jest dla ciebie stworzony. Mam nadzieję, że zaprosicie mnie na ślub.

- Mam nadzieję, że zaprosisz nas na swój. - Uśmiechnęła się, ale jej oczy były smutne.

- Jeszcze nic nie jest ustalone, ale dam ci znać. - Wskazał z kamiennym sercem na stół ze śniadaniem. - Na pewno nie zostaniesz?

- Nie, dziękuję. - Zrobiła przerwę, po czym dodała:

- Tak przy okazji, wiem, że wszyscy myśleli, że jestem smutną małą ofiarą pogrążoną w rozpacz za odchodzącym facetem. Ale ja również miałam innych. Andre, Robbie, Daniel. - Uśmiechnęła się drwiąco. - Chcę tylko, byś wiedział, że to nie było tak jednostronne, jak ci się wydawało.

- Nie wierzę ci.

- Cóż, już nigdy się nie dowiesz, prawda? - Pochyliła się i pocałowała go w policzek, a Hal poczuł ten upojny zapach Prądy. Chciał ją złapać, całować, popchnąć na łóżko, ale powiedział tylko:

- Ciesz się jachtem.

- Och, będziemy - rzuciła w drzwiach. - Może kiedyś ty i Flora, czy jak jej tam, przyłączycie się do nas.

- Byłoby nieźle - zarechotał, a drzwi się zamknęły i Marina Dawson odeszła z życia Hala.

Amy również miała niespokojną noc. O szóstej zupełnie rozbudzona wpatrywała się w sufit. Miniona noc pozbawiła ją wszelkich złudzeń. Przez kilka godzin wmawiała sobie, że między nią a Halem coś jest, że miał zamiar ją porwać, by została dziewczyną gwiazdy filmowej, ale kolacja wszystko zmieniła. Nigdy nie będzie częścią świata Hollywoodu i oszukiwała samą siebie, jeśli tak jej się wydawało. Nie była wystarczająco ładna ani szykowna, by ją zaakceptowano, a właściwie nie chciała być zaakceptowana.

W każdym razie to już nie o to chodziło. Hal jej nie kochał, nieważne, co mówił. Kochał Marinę. To oczywiste. Wstał i pocałował jej policzki, wyglądając na dość zrelaksowanego, ale gdy znów usiadł, sprawiał wrażenie, jakby wyssano z niego całe życie.

Gorąca łza popłynęła jej po policzku na wspomnienie upokorzenia. Nie chodziło o stratę Hala, lecz o to, że Amy znów była sama. Nigdy już nikogo nie pozna. Nie nadawała się do życia w związku. Znów myślami wróciła do czasu planowania ślubu. Zostało zaledwie sześć miesięcy, a ona wciąż nie znalazła odpowiedniego

miejsca. Doug nadal nie wybrał drużby (mówił, że nie chce zranić niczyich uczuć). Nie podjęli żadnej decyzji w sprawie menu. Częściowo było to spowodowane zupełnym brakiem zainteresowania ze strony Douga, który twierdził, że jemu do szczęścia wystarczy „pójście na żywioł”, a to dlatego, że tak często wyjeżdżał w trasę. Jego nieobecność budziła w Amy wątpliwości. Wciąż nie miała poczucia bezpieczeństwa; rozmyślała, co porabia, nieskrępowany i otoczony przez fanki. A z drugiej strony tak przyjemnie wrócić do mieszkania, które było w takim stanie, w jakim zostawiła je rano, móc wejść do łóżka w maseczce z naręczem magazynów ślubnych i oglądać w telewizji „Catwalk” z Mariną Dawson.

Nocami, kiedy Doug był na miejscu, często padał z nóg i chciał się po prostu gdzieś walnąć. Musiała go ciągnąć na siłę, by gdziekolwiek wyszli. Pamięta tę okropną lutową noc, kiedy poszli na imprezę do nowego domu Gaby i PJ-a, do którego ci dopiero co się wprowadzili.

- Musimy? - jęczał Doug, gdy siedzieli obok siebie w metrze, ściskając bukiet kwiatów i butelkę cavy. - PJ jest cholernie nudny. I Bóg wie, kogo jeszcze wynaleźli, by nas zanudzić.

- Będzie fajnie - mówiła Amy, chociaż wiedziała, co Doug ma na myśli. Przyjaciele PJ-a byli nudni do szpiku kości, z posadami w City i obsesją na punkcie sześciocyfrowych premii, co Amy wydawało się wyjątkowo nieprzyzwoite.

Pociąg z szarpnięciem wjechał na stację Waterloo, a wzrok Amy padł na wysokiego, miło wyglądającego

mężczyznę w niebieskim płaszczu. Towarzyszyła mu ładna dziewczyna w szarym palcie. Amy aż ścisnęło w żołądku; to był Danny. Pochylił się i pocałował dziewczynę w nos, a ona się zaśmiała. Amy pochyliła się nad egzemplarzem „London Lite”. Nie chciała, by ją widzieli, zmęczoną, uzależnioną od tego posepnego faceta obok niej, zachowującego się jak nastolatek. Danny wskazał reklamę na ścianie i dziewczyna znowu się roześmiała. Wyglądali tak miło i normalnie. Dlaczego odrzuciła takie życie dla świata, który coraz bardziej kojarzył jej się tylko z chudymi kończynami, obcisłymi ciuchami, Jackiem Danielsem i najwyższej jakości jamajską trawką?

Na szczęście, na co liczyła Amy, Danny i dziewczyna wysiedli na następnym przystanku, ale przez resztę drogi do Gaby była podenerwowana. Nastrój jej się nie poprawił, gdy drzwi przy Sylvester Road 49 nie otworzył PJ z Archie'em na rękę, ale stanęła w nich Pinny.

- Cześć. Co ty tu robisz? - Jak to często bywało w wypadku Amy, jej pytanie zabrzmiało bardziej nieuprzejmie, niż zamierzała.

- Wpadłam na Gaby na Oxford Street i mnie zaprosiła - wyjaśniła Pinny, jak zwykle olśniewająca w dresie wszech czasów, w którym wyglądała jak Lindsay Lohan podczas joggingu na plaży w Malibu. Amy wyglądałaby w nim jak Vicky Pollard wyskakująca do sklepu na rogu po paczkę rothmansów.

Doug miał minę, jakby właśnie wygrał na loterii.

- Nieźle, Pins. - Pocałował ją.

Zjawiała się Gaby w fartuszkach Cath Kidston.

- Hej, kochani. Gość niespodzianka. Chodźcie do salonu i napijcie się. Właśnie kończę przygotowywać *cassoulet*. Och, dzięki za piękne kwiaty. I cava. Świetnie.

- Archie jeszcze nie śpi? - spytała z nadzieją Amy, pragnąc pogłaskać jego miękką, aksamitną główkę.

Gaby była zszokowana.

- Oczywiście, że śpi, chodzi spać punktualnie o siódmej.

- Mogę pójść go zobaczyć?

- Nie chcę, żeby jego zwyczaje zostały naruszone.

- Będę cichutko jak myszka. Proszę!

Archie równo oddychał. Amy stała, zachwycając się jego perfekcyjnym, gładkim, pucułowatym niemowlęcym ciałkiem. Chcę mieć takie dziecko. Gapiła się przez parę minut, zanim zeszła do salonu, gdzie leciała Macy Gray. PJ siedział na wyszywanym marokańskim podnóżku, podczas gdy para - on w garniturze, ona w džinsach i kaszmirowym swetrze - na sofie. Pinny i Doug siedzieli odrobinę zbyt blisko siebie, zważywszy na wygodę każdego z nich.

- Amy! Napij się. Myślałem, że zabłądziłaś. I pozwól, że ci przedstawię: to Nickey, a to Paul.

Uścisnęli sobie ręce. Paul, jak odkryła, był wysokim urzędnikiem w banku kupieckim, Nickey pracowała w dziale PR. Mieszkali nieco dalej i mieli dwoje małych dzieci, „małe koszmarki”.

- Doug, rozumiem, że razem z Pinny gracie w tym samym zespole - powiedział Paul. - Kiedy zobaczymy cię na szczycie listy Top of the Pops?

Pinny i Doug spojrzeli po sobie i zachichotali. To Amy musiała wyjaśnić, że lista przestała istnieć kilka lat wcześniej.

- Nie do wiary. - Paul kręcił głową. - Uwielbiałem ją, kiedy byłem chłopcem. Czwartkowe wieczory, Jezu. Czasy się zmieniają.

- Więc jak sobie radzi zespół? - spytał PJ, machając pod nosem Douga miseczką z orzechami nerkowca.

- W porządku. Wiesz, występ tu, występ tam.

- Pulp potrzebowali dwunastu lat, by dostać się na szczyt. - Amy jak zawsze poczuwała się do obrony kaprysu swojego chłopaka.

- Pulp? A tak, Jarvis Cocker. Co on teraz robi? Gaby zaprosiła ich do jadalni.

- Tak właściwie to mam dla ciebie propozycję, Doug.

- Nałożyła mu porcję miazgi orzechowej Nigela Slatera.

- Ach, tak. Jaką?

- Dlaczego nie wystartujesz w „X Faktorze”? Nastąpiła chwila ciszy, po czym Doug i Pinny zaczęli się śmiać.

- „X Factor”? Wyobrażacie sobie? „Och, Sharon, jaki jest twój werdykt”?

- A dlaczego nie? - odparła Nickey. - To by była niezła trampolina. Wydaje mi się, że nagrodą jest kontrakt nagraniowy na milion funtów. - Przyjrzała się Dougowi.

- I wiesz co? Czy ktoś już ci mówił, że wyglądasz jak Simon Cowell?

- Simon Cowell? - Pinny o mało się nie roześmiała.

- Wiesz, ona ma rację, Doug. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam, ale rzeczywiście.

Doug wyglądał jak bawół cierpiący na zaparcia, jednak Gaby się upierała. - Ale dlaczego nie spróbujesz?

- Prędeż ogolę sobie brwi. Chcesz, bym stracił całą moją wiarygodność?

- Ale nie wszyscy, którzy wygrywają takie programy, to nieudacznicy - powiedziała Gaby. - Weź Willa Younga.

- Will Young? Nie jest nieudacznikiem? - Doug i Pinny parsknęli. Kiedyś Amy by przytaknęła, ale patrząc na niego, pomyślała: tak, Will Young jest zdobywcą wielu platynowych płyt, a ty co?

- Co to za farba? - zapytała.

- Farrow & Bali - odpowiedziała zachwycona Gaby. - Trochę oklepana, ale naprawdę mają ładne kolory.

- Jest pięknie, Gaby - chwaliła Nickey. - Świetnie się spisałaś i nie mogę uwierzyć, że wodę macie z Belmarsh. Nie mogłaś wybrać lepiej.

- A jak tam przygotowania do ślubu, Amy? - zainteresował się PJ. - Amy i Doug w sierpniu biorą ślub.

- Amy i Doug? - Nickey zmieszana patrzyła na nich i na Douga siedzącego z Pinny. - Ach, tak. Myślałam...

- Doug i Pinny są po prostu razem w zespole - powiedziała stanowczo Gaby.

- Nadal nie możemy znaleźć miejsca - wyjaśniła Amy, zadowolona z okazji do wyjawienia swoich obaw, na które Doug pozostawał obojętny. - Wczoraj wieczorem oglądałam kaplicę w Stoke Newington, o której słyszałam sporo dobrego, ale przed wejściem natknęłam się na ćpuna, a obok jest chińska knajpa z jedzeniem na wynos. Pasowałoby to do damskiego wieczoru w Soho, ale na pewno nie spodoba się staruszkom. Poza tym wydaje mi się, że musimy wykluczyć wszelkie sale kościelne. Czułabym się jak na występie Ambrosial.



- Ach tak. - PJ starał się wyglądać na zainteresowanego. Dougowi nie udało się ukryć ziewnięcia.

- Macie coraz mniej czasu, prawda? - dodał PJ. - To znaczy chyba jeszcze coś około sześciu miesięcy?

- Wiem. Szukałam w każdym hotelu, każdej restauracji, każdym barze w Londynie i na nic nas nie stać, chyba że pobierzemy się w środy rano.

- Środy rano?

- Jeżeli bierzesz ślub w tygodniu, stosują niższe stawki. Po raz pierwszy od wieków Doug wyglądał na zainteresowanego.

- Tak? Cóż, może powinniśmy tak zrobić.

- Doug! Ludzie przyjadą ze Szkocji, z Devon, nie możemy ich zmuszać do wzięcia dwóch dni wolnego, żebyśmy my mogli zaoszczędzić kilka stów.

- Zatem będziemy musieli zapłacić trochę więcej. Odliczymy to od czegoś innego, na przykład od jedzenia. Poza tym - ciągnął Doug - wino będzie dobre. - Dziwne, że dość zadowolony towarzyszył narzeczonej na degustacji wina.

- Wydaje mi się, że macie małe opóźnienie - zauważyła Gaby. - A co z listą prezentów? Musicie ją zgłosić.

- Prezenty? - Doug wydawał się nie mieć o nich pojęcia, i może nie miał. W czasie rzadkich okazji, kiedy szli na ślub któregoś z jego przyjaciół, to Amy zawsze znajdowała listę prezentów na [JohnLewis.com](http://JohnLewis.com) i to jej karta kredytowa opłacała matę łazienkową dla pary, którą ledwo знаła.

- Tak. Prezenty. Ludzie lubią dawać nowożeńcom jakiś drobiazg, zazwyczaj do domu, by pomóc im urządzić się w dalszym wspólnym życiu.

- Ale my nie potrzebujemy niczego do domu - powiedział. Co nie było prawdą. Amy miała dosyć garnków podarowanych jej przez rodziców, które znajdowały się na ich liście prezentów na długo przed wynalezieniem elektryczności.

- Ale organizujesz cudowne przedstawienie - odparła Gaby - wydając fortunę na wszystkich swoich przyjaciół. Najmniejszą rzeczą, jaką mogą zrobić, to podarować ci jakiś prezent.

- Jezu, ale ubaw. - Pinny chichotała, kiedy siedzieli w taksówce zmierzającej na północ. - Jaka cholerna arystokracja. „Ile płacisz za pralnię?”, „Myślisz, że Verbier's jest lepsze od Meribel?” - Nie obeszło się bez uwag pod adresem Gaby i Nickey.

Amy zgodziła się z nią do pewnego stopnia, ale była wkurzona.

- To po co przyszłaś?

- Gaby mnie zaprosiła. Odrzucenie zaproszenia byłoby niegrzeczne. I wiedziałam, że będziecie z Dougiem, więc się pośmiejemy. - Kręciła się na swoim miejscu. - Kurczę, mam nadzieję, że nie będziecie tacy po ślubie. Te wszystkie wartości nieruchomości i opłaty dla architektów...

- Oczywiście, że nie - zapewniła Amy.

- Chociaż nadal uważam, że powinnaś trochę przystopować ze ślubnymi planami, Amy - odezwał się z przedniego siedzenia Doug.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że się pobieracie - mówiła Pinny.

- To takie dziwne i dojrzałe.

Taksówka podjechała pod ich mieszkanie.

- Może wejdiesz na drinka, Pinny? - zaproponował Doug. Amy spojrzała na zegarek. Było po północy, a ona musiała być na chirurgii o siódmej trzydzieści.

- Chętnie. - Pinny zajrzała do portmonetki. - Cholera. Możecie pożyczyć dziesiątaka na mój wkład?

- Daj spokój. Amy zapłaci.

Tak więc Amy zapłaciła trzydziestofuntowy rachunek i weszli schodami do mieszkania, gdzie Pinny natychmiast ruszyła do stereo i nastawiła Nellee na poziomie wiertarki przemysłowej.

- Ciii. - Amy próbowała się uśmiechnąć. - Obudzicie Nirpala z dołu.

- Ach, ten drań Nirpal. - Doug był bardziej pijany niż myślała. - Zatańczmy.

- Wy sobie zatańczcie. Ja idę spać.

- Boże, Amy, zacznij wreszcie żyć. - Pinny wzruszyła ramionami.

- Nie jesteś już rozrywkowa - usłyszała od swojego chłopaka. Równie dobrze mógłby wbić jej nóż w serce.

- Jestem rozrywkowa - odpowiedziała z lekkością, której dawno nie odczuwała. - Ale muszę bardzo wczesnie wstać. Pinny, jeżeli chcesz przespać się na sofie, Doug znajdzie dla ciebie jakieś prześcieradła i ręczniki. I proszę, ściszcie trochę.

Oczywiście nie mogła spać. Czuła się, jakby młot walił prosto w jej czaszkę. Leżała, słuchając łomotu muzyki, chichotów, okazjonalnego rumoru, gdy jakiś mebel się przewrócił, potem walenia w drzwi, kiedy Nirpal, średnio usposobiony księgowy, przyszedł ze skargą.

Myślała o wieczorze, próbując zrozumieć, dlaczego czuła się taka rozdarta. Część niej rzeczywiście uważała świat Gaby i PJ-a za ułożony oraz odrobinę przerażający, ale z drugiej strony zastanawiała się, dlaczego wszyscy inni zadowalali się ładnym domem i ogrodem oraz pracą od dziewiątej do piątej, a tylko Doug miał coś przeciwko temu. Jej myśli krążyły jak na kole do ruletki, po czym zatrzymały się na krępych, poważnym, grającym w rugby Dannym. Gdyby się go trzymała, mogłaby już mieć to wszystko. I prawdopodobnie odchodziłaby od zmysłów z nudów. A może? Teraz ten przekłety zegar zaczął dzwonić jej w uszach, widziała, jak można poświęcić wszystko, by spełnić swoje biologiczne przeznaczenie.

Ale musiała przestać tak myśleć. Doug uważał, że nie jest już rozrywkowa. Traciła go, wiedziała o tym, wyslizgiwał jej się z rąk i nie mogła nic zrobić, by to powstrzymać. Musiałaby funkcjonować bez snu lub z powrotem stać się gotową na wszystko dziewczyną z iskrą w oku, która zawsze wygląda perfekcyjnie, gotuje pyszne posiłki i rzuca go na łóżko, gdy tylko on wejdzie do domu.

- Och, mam cię - wrzasnęła Pinny w pokoju obok.

I nieważne, co powie Doug, zorganizuje niesamowity ślub, nieskończenie fajny i w dobrym guście. A potem zaskoczy go idealnym miesiącem miodowym w jego wymarzonym miejscu. Wyda na to wszystkie swoje oszczędności, by pokazać mu, jaka jest wspaniała.

Przyszedł do łóżka po trzeciej.

- Pin pojechała do domu - wyszeptał jej piwnym oddechem do ucha. - Powiedziała, że nie ma ochoty, żebyś ją budziła, tłukąc się po mieszkaniu przed świtem.

- Przepraszam, że mogłabym jej przeszkadzać - odparła Amy i od razu poczuła się wstrętnie. Ale Doug jej nie słyszał.

- Nie powinienem mówić, że już nie jesteś rozrywkowa, wybacz. Pinny mi nagadała. Powiedziała, że ktoś musi mieć rozsądną pracę.

- Już w porządku. - Amy poczuła, jak Doug zdejmuje jej dół od piżamy. Mimo iż była zdruzgotana, poczuła przyływ triumfu. Pragnął jej mimo wszystko. Miała paranoję i oszalała. Po wszystkim tuliła się do jego piersi, słuchając, jak oddycha.

- Mogłabyś się trochę przesunąć? - mruknął. - Gnieciesz mnie.

Przesunęła się. A rano zadzwoniła do Gaby i poprosiła ją o zorganizowanie najwspanialszego miesiąca miodowego w Rzymie.

- Doug i Pinny są bardzo sobie bliscy, prawda? - zagadnęła Gaby, zapisując wymagania przyjaciółki.

- Oczywiście, że są. Pracują razem - rzuciła Amy. Być może lepiej by zrobiła, organizując wszystko przez jakieś internetowe biuro podróży, które nie zadawałoby tak nieprzyjemnych pytań.

Amy nie miała ochoty na śniadanie. Zamiast tego zjechała do centrum rekreacji, gdzie przebrała się w bikini. Od wczoraj było jeszcze wilgotne. Jak to możliwe, że niecałe dwadzieścia cztery godziny temu pluskała się w ciepłej wodzie z Halem, a teraz życie znów wydawało się ponure? Weszła do pustego basenu z hydromasażem. Bąbelki odbijały się od jej skóry, ale były sztuczną repliką wczorajszych prostych przyjemności. Gdy wróci na górę, zadzwoni do linii lotniczych, błagając o miejsce w następnym samolocie.

- Hejka! - Obejrzała się i zobaczyła Lisę; wyglądała olśniewająco w maleńkim czerwonym bikini. Tuż pod pępkiem miała wytatuowanego małego delfinka.

- Hej, co u ciebie? Mam nadzieję, że cię wczoraj nie wsypałam. Trochę mnie zaskoczyłaś, wiesz?

- Przepraszam. - Lisa wślizgnęła się do wody obok niej. - Simon miał mnie na oku. Wróciłam dopiero o pierwszej. To znaczy sądziłam, że jest zajęty premierą i nie zauważy, gdzie pójde. Ale on się wściekał, więc musiałam zrzucić winę na ciebie. Doceniam to, że go zgasiłaś. To znaczy... Cóż, to znaczy po prostu, że muszę ustąpić Simonowi w jeszcze kilku rzeczach.

- Ach tak?

- Tak. Zgodziliśmy się w sprawie szkoły z internatem. Podpisałam wszystkie papiery. Emily zaczyna za trzy tygodnie. Nie była zbyt zadowolona, gdy jej o tym powiedziałam.

- Nie dziwię się. Lisa westchnęła.

- Simon zaklina się, że to dla jej dobra. Mówi, że będzie miała możliwości, jakich ja nigdy nie miałam. Powiedziałam jej, że są tam konie i basen i że będę do niej przyjeżdżać co trzy tygodnie, że to będzie zupełnie tak jak w Hogwarcie, ale nadal się złości, Amy.

- Hm. - Amy nie wiedziała, co powiedzieć poza „nie powinnaś tego robić”, ale jej doświadczenie medyczne nauczyło ją, że ludzie nigdy nie chcą słyszeć takich słów.

- I do tego jeszcze pies. -Tak?

- Simon uparł się, bym dzisiaj rano powiedziała Emily, że trzeba uśpić psa.

- Uśpić!?

- Cóż, moja siostra jej nie weźmie. A psina jest już stara. Prawdopodobnie zostało jej sześć miesięcy, maksymalnie rok życia, więc szukanie dla niej nowego domu jest bezcelowe. Ale Emily płakała i płakała. Okropne przeżycie. Było mi przykro.

Ale nie tak przykro jak Emily. Amy zamierzała coś powiedzieć.

- Ty naprawdę kochasz Simona? - spróbowała.

- Co masz na myśli?

- Czy on rzeczywiście jest dla ciebie właściwym facetem? Odnoszę wrażenie, że to Emily jest miłością twojego życia, nie on. I tak powinno być. Więc może powinnaś wychodzić za mąż za kogoś, dla kogo Emily również będzie na pierwszym miejscu.

- Ale on będzie stawiał Emily na pierwszym miejscu. Zapłaci za jej dobrą szkołę i uniwersytet. Dostanie wszystko, o czym ja mogłam tylko dla niej marzyć. Amy, Simon nas ocalił. Oczywiście, że go kocham.

- A co z Massimem?

- Jest słodki. Ale to tylko romans. - Uniosła idealną brew. - Kochanie, robię po prostu to, co robią mężczyźni. Bawisz się odrobinę, ale wychodzisz za mąż za kogoś poważnego.

Amy spróbowała z innej strony.

- Ale Emily będzie szczęśliwsza z mamą, nie gdzieś daleko w jakiejś okropnej, napuszonej szkole.

Lisa zacisnęła usta.

- Z całym szacunkiem, Amy, nie wiesz, o czym mówisz. Emily nie będzie szczęśliwsza z mamą, która wciąż walczy o przeżycie, próbując opłacić rachunki, mamą, która nie może jej nawet zapewnić tygodniowych wakacji, podczas gdy inne dzieci wyjeżdżają do Hiszpanii i na Florydę.

- Ale to nie jest ważne.

- Wydaje mi się, że jest. - Lisa przypatrywała się swemu ogromnemu pierścionkowi. - Zawsze chciałam mieć ładne rzeczy, Amy.

- Ale przecież masz pracę. Możesz sobie pozwolić na wyjątkowe wakacje, prawda?

- Nie na taki rodzaj, na jaki zasługuję. Mam tyle długów, całe życie bym je spłacała. Ale po ślubie z Simonem



znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Koniec. *Finito*. Bo ja już dłużej tak nie mogę, Amy. Jestem okropnie zmęczona. Potrzebuję czegoś nowego.

- Czegoś nowego z kimś, kogo nie kochasz.

- Przecież już ci mówiłam, Kocham go. A poza tym miłość nie jest najważniejsza, Amy. Ważne jest poczucie bezpieczeństwa. - Wstała, jej wspaniałe ciało ociekało wodą. - Lepiej już pójdę. Jestem umówiona z fryzjerem. - Obejrzała się przez ramię. - Dla ciebie wszystko jest proste, Amy. Masz dobrą pracę. Nie popełniłaś błędów, które ja popełniłam. Nadal możesz wierzyć, że miłość jest najważniejsza.

Zastukała po mozaikowych płytkach swoimi złotymi japonkami, nie oglądając się na Amy. A ta leżała w wodzie i rozmyślała. Zastanawiała się, czy powinna tak surowo osądzać Lisę. Czy ona również nie pragnęła poczucia bezpieczeństwa? Czyżby nie chciała mieć pewności, że mogą z Dougiem spłacić hipotekę, kupić ładne meble, zrelaksować się trochę? Zamiast tego on zawsze był pasożytem. Pasożytem, który wysysa z niej wszystkie soki, by jego przedstawienie mogło trwać, poświęca cały czas i energię dla zespołu. Nawet nie dojrzała do szalonego pomysłu, żeby wysłać mu esemesa i tak na próbę sprawdzić, czy oddzwoni.

Kochała Douga, naprawdę. Ale nie miała pewności, czy miłość wystarczy. Może była zbyt skąpa. Może zbyt dużo od niego wymagała. Możliwe, że chciała gwiazd, podczas gdy księżyc by w zupełności wystarczył.

To już jednak nie chodziło tylko o pieniądze, status ani o duży dom. Chodziło o coś bardziej fundamentalnego.

Chodziło o dojrzewanie. O świadomość, że przyszłość złożona z występów, imprez do późna, skrętów, filmów na DVD i jedzenia na wynos będzie pozbawiona sensu. Szalała za Dougiem, wciąż próbowała przekonać samą siebie, że tak naprawdę to nie jest ważne, chociaż w gruncie rzeczy wiedziała, że jest.

- Przepraszam - powiedział miły damski głos za nią. - Czy ty jesteś Amy?

Amy znów się odwróciła. Uśmiechała się do niej ładna blondynka z fryzurą typu bob, ubrana w dżinsy i koszulkę w kwiaty.

-Tak?

- Amy, hejka. Fajnie jest wreszcie skojarzyć twarz z imieniem. Jestem Christine. Z „Daily Post”.

- A tak, cześć. - Amy była zmieszana.

- Wiesz, tak się zastanawiałam, czy mogłybyśmy porozmawiać sobie na temat twojego związku z Halem Blackstockiem?

- Słucham? Nie ma żadnego związku. - Przez jeden dzień zaprzeczała temu, ale prawda była nieunikniona.

- Tak? A mnie się wydaje, że jest. - Christine przysiadła, podsuwając jej maleńki dyktafon i egzemplarz gazety.

**RZYMSKIE WAKACJE HALA** krzyczał nagłówek. A poniżej znajdowało się niewyraźne zdjęcie Hala i Amy złączonych ustami w blasku wschodzącego słońca, przed Ustami prawdy.

- Zrobione przedwczoraj przez przechodnia - powiedziała Christine. - Jak dla mnie wygląda to na bardzo bliski związek, Amy. Więc może mogłabyś mi coś o nim opowiedzieć?

- Ja... - Amy miała mgliste przekonanie, że w tego typu sytuacjach powinno się odpowiedzieć „bez komentarza”, ale po prostu ją zatkało.

- Mam przeczytać, co piszą? - spytała uprzejmie Christine. - Potem możesz mi powiedzieć, które fragmenty są prawdą, a które fałszem?

- Ja... - Amy marzyła, by nie być totalnie mokra i bezbronna.

*Halo, halo, halo. Wczoraj wczesnym rankiem widziano gwiazdę filmową Hala Blackstocka, który całował w Rzymie zamężną kobietę. 43-letni chłopak innej gwiazdy, Flory de Belleville-Crecy, korzystał z tych objęć po nocy spędzonej w Świętym Mieście z młodą mężatką, Amy Gubbins, lat 36.*

- Mam trzydzieści cztery lata - sprzeciwiła się Amy.

- Ach tak - przytaknęła Christine.

*Ledwo co jego eksdziewczyna Marina Dawson ogłosiła zaręczyny z przedsiębiorcą Fabriziem de Michelisem, Blackstock wydaje się nie tracić czasu, zalecając się do pani Gubbins, gościa ekskluzywnego pięciogwiazdkowego hotelu de Russie, w którym ceny apartamentów wynoszą nawet cztery tysiące funtów za noc.*

- Mój nie kosztował aż tyle! - wykrzyknęła Amy. - To znaczy rzeczywiście był strasznie drogi, ale...

- Podajemy pełną cenę pokoju. - Christine się uśmiechnęła.

*Podczas gdy zdobywczyni Oskara Flora, od ponad roku dziewczyna Hala, zajmuje się pracą z więźniarkami na Jamajce, Hal dorabia się nowego pseudonimu: Wakacyjny Hal. On i pani Gubbins, pracownik socjalny z północnego Londynu, spędzili razem wieczór, jeździli po Rzymie na ves-pie, tańczyli w klubach nocnych, zanim zakończyli noc w objęciach przed Ustami prawdy, w słynnym rzymskim miejscu, rozstawionym przez film „Rzymskie wakacje” z Audrey Hepburn.*

- Vinny powiedział to wszystko! - krzyknęła Amy. - Sprzedał wam to zdjęcie. Łajdak.

Christine delikatnie się uśmiechała.

- Nigdy nie ujawniamy naszych źródeł.

*„Zdecydowanie była między nimi chemia”, powiedział nasz widz. „Po prostu nie mogli się od siebie oderwać”. Co dziwne, pani Gubbins jest z mężem od niecałych trzech dni w podróży poślubnej. Uważa się również, że jest w 14. tygodniu ciąży z pierwszym dzieckiem.*

*„Mąż Amy jest bardzo miłym młodzieńcem i wydawali się totalnie w sobie zadurzeni”, twierdzi inny gość hotelu, Marión Otterley, lat 64, z Marlborough, Wiltshire. „Ale ostatnie trzy dni spędził w swoim pokoju z powodu bólu głowy i myślę, że Amy po prostu nie mogła się oprzeć. Muszę przyznać, że jestem zszokowana jej zachowaniem. Była dumna i szczęśliwa, że będzie miała dziecko, i wydaje mi się dziwne, że tak zwyczajnie zaczęła szukać rozrywki”.*

- Marion nigdy nie spotkała mojego męża! Poza tym on wcale nie jest moim mężem.

- Ach tak? - Christine chętnie się przysunęła. - Więc nie jesteś w podróży poślubnej?

- Cóż, owszem jestem. Ale... - W takich sytuacjach powinno się coś powiedzieć. A tak: - Bez komentarza! - Wstała i zabrawszy z podłogi swój szlafrok, poszła w stronę szatni. Christine podążyła za nią.

- Hej, Amy, kochana. Już dobrze. Spokojnie. Po to tutaj jestem, byś mogła opowiedzieć swoją wersję wydarzeń i nie być źle zrozumiana. Wiesz co? Może pójdziemy gdzieś i zjemy spokojnie śniadanie, opowiesz mi, co i jak, i wtedy będziemy mogły upewnić się, że to, co wydrukujemy, jest całą prawdą.

- Nie, dzięki - odparła Amy, zawijając się w szlafrok. Christine ze smutkiem pokręciła głową.

- Tak szczerze, Amy - to dla twojego dobra. Nie możesz powstrzymać ludzi przed drukowaniem informacji o tobie, więc czy nie chciałabyś mieć chociaż nad tym odrobiny kontroli?

Amy doszła do wniosku, że Christine mówiła prawdę. Ten reportaż był pełen kłamstw i powinna je sprostować. Myślała o rodzicach; czytali przy śniadaniu ich egzemplarz „Daily Post” i odchodzili od zmysłów. Ale czy prawdziwa wersja wydarzeń poprawi im nastrój? Wszystko poplątała. Jak mogła myśleć naiwnie, że spędzenie czasu z kimś takim jak Hal Blackstock może pozostać niezauważone?

- Zatem spraw, by było to warte twojego czasu, Amy - powiedziała Christine. Miała niepospolitą urodę

i wydawała się miła. - Zapłacimy ci znaczną sumę za sprostowanie informacji.

Już miała się zgodzić, gdy inny damski głos zawołał:

- Amy!

Rozejrzały się obie. Vanessa. Wyglądała na bardziej rozgniewaną niż zwykle.

- Amy, przestań rozmawiać z tą... osobą. Musisz pójść ze mną.

- Dlaczego?

- Nie ma żadnego dlaczego, Amy. Masz ze mną pójść. Natychmiast.

Amy stała pomiędzy dwiema kobietami - ładną Christine o zaróżowionych policzkach i podłą Vanessą. Nie znosiła, gdy ktoś tak do niej mówił. A czy Vanessa proponowała jej pieniądze? Czy Amy była jej lub Halowi coś winna?

Spojrzała na nie.

- Chyba lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną, Amy - powiedziała miękko Christine.

Vanessa utkwiała w niej wzrok.

- Proszę - wydyszała z ogromnym wysiłkiem. To załatwiło sprawę.

- Przykro mi - zwróciła się Amy do Christine. Rzeczywiście było jej przykro. - Myślę, że muszę pójść z Vanessą.

Po wyjściu Mariny Hal bardzo długo siedział na tarasie, patrząc na ogród. Telefon w apartamencie dzwonił nieustannie. Już chciał odebrać, na wypadek gdyby to była Marina z przeprosinami, ale wiedział, że to kolejne szalone marzenie. Zostawił go więc, by dzwonił, potem wstał i odłączył wszystkie telefony w pokoju oraz wyłączył komórkę. Niech spadają. Hal potrzebował побыć sam, pomyśleć.

Ale potem zaczęło się pukanie. Najpierw je ignorował, ale nie ustępowało, po czym Nessie zawołała:

- Hal! Hal! Strasznie przepraszam, że ci przeszkadzam, ale muszę z tobą porozmawiać.

- Odejdź, Nessie - krzyknął. - Śpię.

- Hal, naprawdę przepraszam. Nie robiłabym tego, gdyby nie było pilne.

- Nic nie jest pilne. Później mi powiesz. Nie jestem w nastroju.

- Hal, naprawdę uważam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Wstał i podszedł do drzwi. Uchylił je i zobaczył

niezwykłe poruszoną Vanesę, która trzymała gazetę. Och, więcej bzdur w prasie, bez wątpienia. Cóż,

to raczej nie było pilne. Prasa codziennie drukowała o nim kłamstwa.

- Kochanie, powiedziałem, żebyś sobie poszła. -Ale Hal...

I wtedy rozległ się głos z głębi korytarza: -Hal?

Nad ramieniem Vanessy Hal dostrzegł smukłą blondynkę, którą świat uważał za jego dziewczynę.

- Flora! Co ty tutaj, do cholery, robisz?

- Urocze powitanie. - Flora roześmiała się raczej bez przekonania. Miała na sobie dzinsy podkreślające jej ledwie zaokrąglone pośladki i wyszywany kiczowaty top, który kosztował mniej więcej tyle, ile wynosił roczny PKB Gwatemali, i Hal wiedział o tym. Jej blond włosy sztywno zwisały z jednej strony twarzy, a niewidoczny makijaż był nieskazitelny. Objęła go.

- Przebyłam szmat drogi, żeby zrobić ci niespodziankę, i tak mnie witasz.

Umysł Hala pracował na najwyższych obrotach.

- Przepraszam, przepraszam, kochanie - wymruczał, dając jej szybkiego całusa w policzek. - Zaskoczyłaś mnie. Dlaczego nie mówiłaś, że przyjedziesz? Jak dziewczynki?

- Mają się już dobrze, dziękuję. To nie jest poważna choroba. A jeżeli chodzi o przyjazd, wybacz, ale pomyślałam, że tak będzie romantycznie. - Zwróciła się do swojej asystentki Henrietty, bladej i rozczochranej, oraz do bagażowego stojącego przy załadowanym wózku. - Zostawcie już nas samych. Chcemy nadrobić zaległości. Zadzwoń do ciebie później, Henrietta, kiedy będziemy chcieli zaplanować nasz dzień.



- Dobrze, Floro - odparła z lekką ulgą, mając w perspektywie sen po całonocnym locie.

- Kiedy będziemy rozmawiać następnym razem, chcę byś miała już zorganizowane sadzenie drzew w Brazylii. Powiedzmy dwadzieścia tysięcy akrów. Przyleciałyśmy tu prywatnie - wyjaśniła Halowi, podczas gdy twarz Henrietty się wydłużyła. - Jedyne sposoby, by dostać się z Jamajki do Rzymu z minimalną liczbą postojów. Ale wiesz, co myślę o wpływie samolotów na środowisko. - Minęła go i weszła do apartamentu. - Do zobaczenia później - zawołała, gdy zamykały się drzwi.

Zupełnie jak Marina ruszyła od razu na taras.

- Hm, ładny ogród - rzuciła przez ramię. - Ale jesteś trochę na widoku. Nie wydaje mi się, by to był najlepszy apartament w hotelu. Gdy byliśmy tutaj z Pierre'em...

- Tak, są lepsze apartamenty - potwierdził ze smutkiem Hal. - Nowożeńcy są w jednym, a drugi zajmuje Justina. Ale ten ma dwie litografie Picassa.

- Co to za pomysł, by jechać w podróż poślubną do Rzymu w sierpniu - oburzyła się Flora, a potem z dezaprobatą spojrzała na nietknięte śniadanie na tarasie. - Hm, potrzebuję prysznic. Powinnam była go wziąć w samolocie, ale przeglądałam notatki na temat wyjazdu na Madagaskar. A potem zjadłabym lunch. Nic wymyślnego, może sałatkę. Poproś, by przygotowali dla mnie, kiedy będę się szykować. Pamiętaj, żadnych pomidorów czy bakłażanów!

- Dobrze, Flora. - Odetchnął, że pozbędzie się jej na kilka minut.

Gdy była pod prysznicem, w Halu wzbierała panika. Przeklęta Flora czatująca na niego w ten sposób.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jej wysokie kości policzkowe, jej chudą twarz bez wyrazu, by przekonał się o czymś, o czym wiedział już od miesiący. Nie kocha jej. Nigdy nie kochał. I nigdy nie pokocha. Była świetną aktorką ze świetnymi znajomościami, która zbierała masę pieniędzy na cele charytatywne, ale to nie wystarczało. Jak mógł kiedykolwiek przekonywać siebie, że jest inaczej?

Stwierdził, że właściwie dobrze się stało. I tak prędzej czy później miał zamiar ją rzucić, więc tak samo może to nastąpić wcześniej. Nic nie poradzi, że trochę mu było jej żal, przeleciała taki kawał, by zostać porzucona. Biedna Flora, miała okropnego pecha do mężczyzn. Zastanawiał się, czy powodem jej rozstania z Pierre'em też było to, że nie mógł już wytrzymać z zarozumiałą, powalającą nudziarą. Pewnego dnia umówią się na drinka i porównają spostrzeżenia. Zadzzwonił do obsługi i poprosił o przyniesienie dwóch wegetariańskich sałatek i soku z perzu. Naprawdę było mu żal Flory. Ale nie aż tak, jak siebie w tym momencie - po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu będzie singlem. Oczywiście mnóstwo kandydatek na jego dziewczynę będzie wkrótce kręcić się w pobliżu, ale on nie miał już ochoty na kolejny przygodny związek. Następnym razem to musi być prawdziwa miłość, nie zaakceptuje żadnych zamienników.

W myśli przygotował sobie małe przemówienie: Flora, jesteś wspaniałą kobietą, ale... to nie ty, to ja... Potrzebuję teraz trochę czasu dla siebie... Zasługujesz na kogoś, kto może dać ci wszystko to, czego ja nie mogę.

-Hal!

Flora stała w szlafroku w drzwiach, z dziwnym uśmiechem na twarzy. Wyciągnęła ku niemu ręce. Jej kościste palce trzymały małe czarne pudełeczko.

- Hal, przepraszam. Nie myszkowałam, przysięgam. Szukałam tylko płynu do płukania ust w sypialni. I spójrz, co znalazłam! Przepraszam, przepraszam, wiem, że planowałeś niesamowite, romantyczne oświadczyzny, na przykład na tarasie przy słońcu zachodzącym nad ogrodem, ale udawanie, że o niczym nie wiem, jest jedną z ról, których nie potrafiłabym zagrać. - Śmiała się z rozkoszą. - Pierścionek jest cudowny, Hal. Chociaż odrobinę za luźny na mój palec.

Hal przełknął ślinę.

- Zachowałeś się nie w porządku, Floro. Nie powinnaś myszkować.

- Wiem, wiem. Już przeprosiłam. - Podbiegła do niego. Hal rozpoznał w jej oczach to samo spojrzenie, jakie miała w „Bracken”, gdzie grała słodką, niewinną córkę seryjnego zabójcy. Trzepocząc rzęsami, wręczyła mu pudełko.

- Więc? - zaszczebotała.

- Więc?

Flora stała się odrobinę mniej słodka i rozkoszna.

- Masz zamiar mnie poprosić? Tak jak trzeba?

- Tak, cóż. - Otarł pot z brwi, mimo iż klimatyzacja była ustawiona na najwyższe obroty. - Miałem zamiar zrobić to później.

- Ale bądźmy spontaniczni! Zróbmy to teraz!

- Dobrze - powiedział Hal ze znużeniem, ale akurat wtedy ktoś zapukał do drzwi.

- To pewnie lunch. - Wdzięczny losowi pośpieszył do drzwi, by otworzyć. W progu stał Callum.

- Cal! - zawołał. - Hej stary, dobrze cię widzieć. Wejdz, siadaj. Kurczę, nie zgadniesz, kto postanowił nas odwiedzić.

- Kto? - Cal zamrugał z niedowierzaniem na tę niespodziewaną dobroć. Hal zauważył, że tak jak Nessie trzymał w rękach egzemplarz „Daily Post”. Wszedł do środka. - Hal, przepraszam, że przeszkadzam ci w ten sposób, ale masz wyłączone oba telefony, a myślę, że naprawdę musimy się obaj temu przyjrzeć i opracować jakieś rozwiązanie, które naprawi poważne szkody. - Urwał, gdy tylko dotarł na taras. - Flora! Cholera! To znaczy cześć! Co ty tutaj robisz?

- Dlaczego wszyscy mnie o to pytają? Przyjechałam zobaczyć się z moim chłopakiem. Czy to zbrodnia?

- Ależ skąd, pewnie, że nie - odparł Callum, chociaż jego zazwyczaj gładka twarz wydawała się dziwnie pomarszczona. - Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, że zamienimy z Halem kilka słów na osobności? Nudne interesy. A potem będziecie mogli zrelaksować się we dwoje.

- Dlaczego nie mogę być przy twojej rozmowie z Halem? Nie ma między nami żadnych sekretów, wiesz, jeśli ma się być... - przytrzymała spojrzenie Hala - mężem i żoną.

- Słucham? - Callum zrobił wielkie oczy.

- Ty pierwszy powinieneś wiedzieć. Pobieramy się.

- Naprawdę?

- Cóż, Hal jeszcze mnie oficjalnie nie poprosił o rękę. Ale odkryłam jego zamiary i odrobinę przyspieszyłam bieg rzeczy, więc...

- Zatem gratuluję wam obojgu. - Callum podszedł i pocałował Florę, a następnie uścisnął rękę Hala.

- Fantastyczna wiadomość. Ale słuchaj, Flora, to, co musimy omówić z Halem, naprawdę nie jest romantyczne, więc może posiedzisz tu przez chwilę, nacieszysz się słońcem, a ja i Hal zamienimy parę słów w środku, po czym będzie cały twój.

- Po prostu powiedzcie mi, o co chodzi - zajęczała Flora. Hal uśmiechnął się mimowolnie. Była waleczna, po prostu nie mogła znieść wykluczenia z centrum uwagi. Spojrzał na Cala i skinął głową. Wiedział, że musi wymyślić coś związanego z filmem Bazottiego, że Callum denerwował się, ponieważ Flora będzie wściekła, gdy się dowie, że jutro ma lecieć do Los Angeles na przesłuchanie. Niech będzie błogosławiony. Skąd miał wiedzieć, że jutro on i Flora będą przeszłością? I całkiem pewnym głosem Callum powiedział:

- Więc, tak między nami, Hal stara się o rolę w nowym filmie Andreeasa Bazottiego. Musimy po prostu omówić kilka szczegółów.

- Nowy film Bazottiego. - Flora spojrzała na Hala z niecodziennym szacunkiem. - Proszę, proszę. Nie mogę się doczekać, kiedy dowiem się więcej na ten temat. - Potem ziewnęła. - Przepraszam. Dopada mnie zmęczenie - różnica czasu. Dobrze, chłopcy, ale pośpieszcie się. Chcę mojego Hala dla siebie. - Wskazała gazetę, którą Callum trzymał pod pachą. - Może zostawisz mi ją do przejrzania?

- Tę? - Spojrzał na gazetę tak, jakby była radioaktywnym plutonem. - Och, nie chcesz tego czytać, Floro. To jeden z naszych brytyjskich tabloidów. Pełen paskudnych kłamstw. Mogę poprosić, by przynieśli ci egzemplarz „New Yorkera” czy...

- Nie, lubię brytyjskie brukowce. Bawią mnie. W Stanach nie mamy niczego tak frywolnego. Daj mi to, Callum.

- Właściwie jest tam coś, co muszę pokazać Halowi. Twarz Flory pociemniała.

- Daj mi to, Callum - powtórzyła, jakby była gliną i przesłuchiwała uzbrojonego złodzieja. Kiedy nic nie odpowiedział, podeszła i wyrwała mu gazetę. Rozłożyła ją na stoliku i w ciszy studiowała stronę tytułową.

- Aha - powiedziała.

Hal spojrzał jej przez ramię, oszołomiony i trochę wystraszony.

- O cholera - jęknął.

Vanessa wpakowała Amy do garażu, a następnie do limuzyny z przyciemnionymi szybami. Gdy kierowca wjeżdżał w Via del Babuino, telefon Amy zaczął dzwonić.

- Nie odbieraj! - krzyknęła Vanessa.

- Ale to moja mama.

- Aha, dobrze. W porządku. Ale musisz jej powiedzieć, żeby z nikim nie rozmawiała.

- Cześć, mamó.

- Amy, kochanie. Co się dzieje? Jesteś dzisiaj w gazecie, wiesz? Masz romans z Halem Blackstockiem. I pobraliście się z Dougiem. I jesteś w ciąży.

- Nie pobraliśmy się. I nie jestem w ciąży. To nieporozumienie.

Głowa Vanessy odwróciła się tak nagle, że Amy przestraszyła się, iż może jej odpaść.

- I nie mam romansu z Halem Blackstockiem.

- Aha. - Mama wydała z siebie dźwięk jak powietrze wydobywające się z miecha. - Jesteś pewna?

- Czego?

- Cóż, tego z Halem Blackstockiem. - Mama porządkowała priorytety w dość jasny sposób.

- Zupełnie, mamó. Znam go, ale nic się nie dzieje.

- I nie jesteś w ciąży? - Bum. Kolejne marzenie prysnęło. Ale się opanowała. - Znasz Hala Blackstocka! Ojej, Amy. Musisz mu powiedzieć, że bardzo podobał mi się w tym filmie o amerykańskiej wojnie domowej. I jak myślisz, mogłabyś zdobyć jego autograf? Nie dla mnie, ale dla Pat, sąsiadki.

- Nie wiem, czy będę miała okazję.

- Cóż, zobacz, co możesz zrobić. Gdyby mógł napisać „Dla Pat, z wyrazami miłości, Hal”, byłoby ekstra. Poza tym cieszę się, że dobrze się bawisz, kochanie. To znaczy te zdjęcia trochę zakłopotaly mnie i tatę, ale... O! Ktoś czeka przy drzwiach. Chwileczkę, zerknę tylko przez zasłony. Dwaj mężczyźni. Ciekawe, kim są.

- Mamó, myślę, że to mogą być dziennikarze.

- Dziennikarze? Jak oni do nas dotarli? Vanessa przejęła telefon.

- Pani Gubbins? Mówi Vanessa Trimmingham, asystentka pana Blackstocka. Jeżeli teraz jacyś mężczyźni pukają do pani drzwi, nie wolno pani im otworzyć, jak również odbierać telefonu. Każdy będzie polował na wiadomości na temat związku pani córki z panem Blackstockiem. Proszę nic nie mówić. Jeżeli ktoś naruszy pani prywatność, niech pani mówi „bez komentarza”. Rozumie pani? Bez komentarza. - Nastąpiła krótka przerwa. - Nie traktuję pani protekcyjnie, pani Gubbins. Przepraszam, jeżeli tak to pani odebrała... Cóż, po prostu może nie będzie pani mogła pójść dzisiaj na basen. Sądzę, że musimy ustalić nasze priorytety. Ważniejsze jest zakończenie tej historii zaraz na początku... -  
Gadanie na drugim końcu



linii stało się głośniejsze. - Dobrze, oddam słuchawkę pani córce.

- Amy! - Mama była bardzo rozgniewana. - Ta kobieta mówi, że nie mogę wyjść z domu. Ale ja zawsze chodzę w piątki na basen z Pat. Powiedz jej.

- Mamo, dzisiaj to może nie być dobry pomysł. - Amy usłyszała dzwonek do drzwi. W tym samym czasie jej telefon zaczął uporczywie pikać, gdy kolejni rozmówcy próbowali się z nią połączyć.

- Och, kurczę. Więcej ludzi przed drzwiami. Co mam robić?

- Myślę, że Vanessa ma rację. - Amy słyszała, jak jej telefon wibruje, wypełniając się esemesami od ciekawskich przyjaciół. - Będziesz musiała zostać w domu.

Kiedy wreszcie udało jej się przekonać mamę, zaczęła przeglądać wiadomości. Zupełnie jak w przypadku ślubu - wszyscy chcieli wiedzieć, co się dzieje. Napisała jedną odpowiedź do Gaby, zapewniając ją, że nie jest tak, jak myśli, i ma nadzieję, że wkrótce będzie w domu i wtedy zda jej pełny raport. Serce jej zamarło, gdy dalej przewijając wiadomości, zobaczyła imię Pinny.

*Dobra dziewczynka. Nieźle zszokowałaś tego swojego beużytecznego faceta. Gratulacje, P.*

Amy patrzyła zmieszana. Była pewna, że Pinny zajęła się Dougiem zaraz po jej wyjeździe. Dziwne. Ale zamiast się nad tym zastanawiać, przeszła do wiadomości głosowych. Wszystkie zawierały te same podejrzenia. Tylko jedna się wyróżniała.

- Amy, tu Vincenzo. Z tamtej nocy. Skąd, u diabła, ma mój numer?

- Dali mi twój numer w hotelu, kiedy odbierałem cię z lotniska - mówił. - Amy, przepraszam. Tak mi przykro. To nie byłem ja, musisz mi uwierzyć. To Gianni. Jestem na niego wściekły. Proszę, jeśli masz przez to kłopoty, zadzwoń do mnie. Możesz przyjechać i zatrzymać się u mnie, jeśli chcesz, z dała od dziennikarzy.

Amy popatrzyła na Vanessę i z powrotem na telefon.

- Gdziekolwiek mnie zabieracie, nastąpiła zmiana planów.

- Co masz na myśli?

- Chcę pojechać do domu znajomego, a nie tam, gdzie chcecie mnie ukryć. - A gdy Vanessa już miała się sprzeciwić, podała ostateczny argument: - Jeśli nie, powiem mamie, by podała gazetom, że wydaje jej się, iż Hal i ja jesteśmy zaręczeni.

W hotelu stało się to, co musiało się stać. Co całkiem zrozumiałe, Flora była wściekła. Nawrzeszczała na Hala, rzuciła mu w twarz pierścioneł, powiedziała, że to koniec, i wypadła jak burza z pokoju, krzycząc na Henriettę, by się pakowała, bo wyjeżdżają, natychmiast.

Gdy trzasnęły drzwi, Hal i Callum spojrzeli na siebie. Jednocześnie zaczęli się śmiać. Śmiali się, trzymając za boki, a łzy płynęły im po twarzach.

- Przepraszam. - Callum jakoś się opanował. - Koniec twojego związku nie powinien być dla mnie zabawny. Ale jest. Strzel mnie, jeśli chcesz, strzel mnie teraz.

- W porządku. I tak by się wkrótce dowiedziała, jak sądzę. Szkoda tylko, że musiała po to przylecieć aż tutaj. - Hal chichotał.

- Masz rację. Nie ma w tym nic zabawnego. Jest bardzo zraniona.

- Dwa ostatnie słowa wypowiedział piskiem.

Znów zaczęli się śmiać.

- Nie wiedziałem, że tak kiepsko ją oceniałeś - powiedział Callum, kiedy wreszcie się uspokoił.

- Ja też nie. Do niedawna. Milczeli chwilę.

- Zeszliście się z Mariną? - zapytał Callum. Hal pokręcił głową, zacisnął wargi.

- Nie. Nie. Tego nie było w planach. Ona wychodzi za Fabrizia. Wiesz o tym.

- Ale wczoraj w nocy była taka chemia między wami... Hal przerwał mu.

- Marina i ja skończyliśmy ze sobą. Teraz pozwól mi dobrze przyjrzeć się tej gazecie. Myślę też, że lepiej będzie, jeśli zadzwonię do pani doktor i przeproszę za namieszanie w jej życiu.

- Właściwie - Callum odchrząknął - już się zajęliśmy panią doktor.

Hal patrzył osłupiały.

- Zajęliście się? To już nie jest faszystowskie państwo, wiesz? Callum się uśmiechnął.

- Nie jest aż tak źle. Ale hotel otoczyli dziennikarze i paparazzi, więc Vanessa wywiozła ją po prostu w sekretne miejsce, które dla nas znaleźli na wsi. Pomyślałem, że ona może tam zostać do czasu, aż szum opadnie, i wtedy wsadzimy ją w samolot do domu.

- Biedna dziewczyna. - Hal myślał o Amy. To nie była miłość, ale bardzo ją polubił. - Mogę się z nią zobaczyć? Sądzę, że jestem jej winien osobiste przeprosiny.

Kilka godzin później Hal i Amy siedzieli w małym mieszkaniu Vincenza, które dzielił z matką, na przedmieściach dzielnicy EUR, pokracznej kolekcji nowoczesnych wieżowców.

Vincenzo był zachwycony tym, że może ich powitać, podczas gdy jego matka, ubrana w gorset z materiału imitującego lamparcią skórę i w obcisłe skórzane spodnie - całkowite przeciwieństwo wyobrażeń Amy o ubranej na czarno włoskiej mamie - przygotowywała im kawę i dogadzała Halowi, częstując go ciasteczkami. Żadnego nie dała jednak Amy, ponieważ jako „donna” musiała uważać na figurę.

Hal zapytał, czy mógłby zamienić słowo z Amy na osobności. Vincenzo skierował ich na balkon z widokiem na jakiś groteskowy monolit.

- Jest paskudny - powiedziała Amy.

- Mussolini go zbudował. To znaczy nie osobiście, ale taki był jego neofaszystowski styl w architekturze. Nigdy się nie przyjął. - Hal zastanawiał się, jak długo będzie się chował za takimi błahymi tematami, ale nagle jego poczucie winy przeważało. - Przepraszam - wyrzucił z siebie. - Flirtowałem z tobą, dałem ci podstawy sądzić,

że coś nas łączy, podczas gdy tak naprawdę po prostu się bawiłem. W jakimś stopniu wiedziałem podświadomie, że nie ujdzie mi to na sucho. Paparazzi zawsze się czają.

- Lub jakiś cwany przyjaciel Vincenza.

- Lub jakiś cwany przyjaciel Vincenza.

- Przepraszam, przyjęte. Wybaczam ci. Ha! się uśmiechnął.

- Dziękuję. To wszystko jest nadmuchane. Nadaje się tylko jako papier do ryby z frytkami.

- Pewnie tak. Tyle tylko, że nie chciałam, by cały świat wiedział o moim wymyślonym mężu. To trochę upokarzające.

- Rozumiem. - Po chwili zapytał: - Tak naprawdę to nie jesteś w ciąży, co?

Pokręciła ze smutkiem głową.

- I teraz pewnie już nigdy nie będę.

- Przepraszam, Amy. Myślałem, że mówię to, co naprawdę czułem, ale byłem zagubiony. Nie chciałem cię mieszać do tej katastrofy, jaką jest moje życie osobiste.

- W porządku. Świetnie się z tobą bawiłam. Właśnie akurat tego ostatnio brakowało w moim życiu - zabawy.

Wyglądała tak ładnie, siedząc w słońcu. Ha! przez sekundę zastanawiał się, czy nie popełnił kolejnego straszego błędu.

- Dlaczego zerwałaś ze swoim chłopakiem? - spytał. - Tego mi nigdy nie powiedziałaś.

Uśmiechnęła się smutno.

- Pozwoliłam na zbyt dużo. Zbyt wiele razy poszłam na kompromis. Ale jedna rzecz przeważała szalę.

- Naprawdę? - Patrzył na nią z zainteresowaniem.

- Yhm. - Sądząc po jej minie, nie miała zamiaru rozwijać tematu.

- Jest mi ciężko - powiedziała. - Wszyscy mówią, że związki są trudne, że musisz przetrwać i trzymać się obranej ścieżki. Ale przypuśćmy, że zdajesz sobie sprawę, że to nigdy nie wypali. Kiedy powinieneś zrezygnować?

- Sam chciałbym wiedzieć. To błąd, który popełniłem z Florą, tolerując coś, co było jedynie odpowiednie dla łatwego życia. - Milczał chwilę. - Marina by tak nie postąpiła. Widziała, że nasz związek posuwa się naprzód, ale się nie rozwija. Chciała, byśmy podjęli następny krok. Chciała, bym dorósł. Dała mi ultimatum.

- Wczoraj w nocy?

- Nie, nie. Kiedy się rozstaliśmy. Dała mi czas, miesiąc, bym się oświadczył, potem wszystko miało być skończone.

- I co? - spytała Amy, choć wiedziała, jaki musiał być tego rezultat. O co chodziło z facetami i terminami? Zupełnie jakby chcieli wierzyć, że są nieśmiertelni, że nie muszą liczyć się z czasem, mają go tyle, ile chcą, by uporządkować swoje domy, naprawić błędy i skierować swoje życie na właściwe tory. Dlaczego jedynie kobiety rozumiały, jak krótkie jest życie?

- Nie oświadczyłem się. I to największy błąd w moim życiu. Utraciłem moją wielką miłość, ponieważ byłem żaloszny, miałem głupie wątpliwości co do rzeczy, które tak naprawdę się nie liczyły. A teraz jest już za późno. Popsułem to. Zmarnowałem kawał czasu.

- Znajdzie się ktoś inny - odparła Amy. Zupełnie jakby mówiła do siebie, chociaż w to nie wierzyła. Ale Hal był gwiazdą filmową. Oczywiście, że ktoś się znajdzie dla niego.

- Jak ty? - zagadnął tonem, jakby się droczył. Gdyby go odepchnęła, mógłby powiedzieć, że tylko żartował.

- Nie ja. - Uśmiechnęła się. - To by nie wyszło. Jesteśmy z różnych planet, i nie mam na myśli Marsa i Wenus. Ty jesteś na planecie celebrytów, jesteś otoczony pięknymi kobietami, lataasz po całym świecie. Nie ma mowy, byśmy mogli być razem.

- Mógłbym się zmienić. Rzucić to wszystko. Można by wyjechać i zamieszkać na wsi. Ty byś opiekowała się chorymi, a ja ogrodem. - Ale był tylko uprzejmy, nie myślał tak. I na szczęście Amy go przejrzała.

- Nie ma mowy, umarłbyś z nudów. Musisz tylko mniej pracować. Nic więcej. Leć do Ameryki. Zdobądź rolę w filmie tego Bavottiego czy jak mu tam. I powiedz Marinie to, co mnie powiedziałeś. Że wszystko popsułeś.

- Miałem swoją szansę dzisiaj rano. Przyszła się ze mną zobaczyć. Jestem pewien, iż liczyła, że nie jest za późno. Ale to zmarnowałem.

- Dlaczego?! Hal westchnął.

- Duma. Strach. Chociaż przeważała duma.

- Zatem jeszcze nie jest za późno. Zadzwoń do niej. Powiedz, że to przez dumę i strach. Płaszcz się. Powiedz jej, że jesteś skończonym idiotą i umrzesz bez niej.

- Nie mogę tego zrobić.

- Właśnie, że możesz.

- Gdyby twój facet tak zrobił, zadziałałoby? Zastanowiła się przez chwilę. Nie. Skończyła z Dougiem. Może Lisa, może Hal, ktoś z ostatnich kilku dni uzmysłowił jej coś, co i tak wiedziała, że sposób, w jaki

go kochała, nie był wystarczający. Musiałby ją kochać tak samo, a na to nie mogła liczyć. Doug taki po prostu był.

Ale Hal rzeczywiście kochał Marinę i mógłby zmienić się dla niej. Widziała to w jego oczach poprzedniej nocy.

- Zrób to - namawiała z przejęciem.

- Możliwe, że jej jacht już odpłynął. - Hal spojrzął na zegarek.

- Powiedziała, że wypływają o dziesiątej, po kolacji.

- Proszę. - Amy nie mogła tego znieść.

- Pojedziesz ze mną?

- Nie sądzę, by moja obecność miała pomóc.

- Nie musi cię widzieć. Ale chciałbym, byś była ze mną w samochodzie. Potrzebuję moralnego wsparcia.

- Zgoda.

- Świetnie. - Hal sięgnął po telefon.

- Cześć, Nessie. To ja. Dzisiaj wieczorem... Słucham? - Amy słyszała jej gadaninę, podczas której mina Hala zmieniała się: zirytowana najpierw w zdziwioną, potem rozśmieszoną.

- Więc będziesz pracować dla Justiny? - Słuchał dalej.

- Zatem powodzenia, Nessie. Szkoda cię tracić, ale masz rację. Ona ma przed sobą przyszłość. A sprzątanie mojego nędznego bałaganu musi być harową. W porządku, kochanie. *Ciao*. Mój nowy asystent skontaktuje się z tobą za kilka dni, by załatwić całą papierkową robotę.



Z różnych powodów, w tym z powodu opieszałości przyjaciółek Amy i niedostępności białej limuzyny w innym terminie, wieczór kawalerski i panieński odbywały się nie w rozsądnym czasie, to znaczy cztery miesiące wcześniej, ale w noc przed ślubem.

- To okropny pomysł - powiedziała Amy. - Wszyscy wiedzą, że skończysz na drugim końcu miasta, przypięty łańcuchem do latarni, osmołowany i obsypany pierzem.

- Nie - odparł Doug. - Wypiję tylko parę drinków, zupełnie jak w piątkowy wieczór. Szczerze mówiąc, co jeszcze powinienem robić w ostatnim dniu wolności? Siedzieć w domu i sikać w spodnie?

Amy miała nadzieję na spokojną kolację z udziałem Gubbinsów i Fraserów, ale wiedziała, że ten pomysł nie przejdzie. Nie mogła kontrolować Douga, ale była zdeterminowana, by wypić jednego drinka, potem przerzucić się na wodę i wrócić do domu przed północą. Ale zabawa była czaderska, nie zabrakło tablic z nauki jazdy i czekoladowych penisów we włoskiej restauracji w Soho, więc pozwoliła sobie na trzy drinki. O jedenastej w klubie parę przecznic dalej, gdy Madhura zaczęła tańczyć na stole,

Amy patrząc na to z przymrużeniem oka, postanowiła już pożegnać towarzystwo.

- Zostaję jeszcze piętnaście minut - krzyknęła do ucha Gaby.

- W porządku. Ja też. To przekłete dziecko mnie wykańcza.

- Wejdę tylko na chwilę do łazienki, a potem sprawdzimy, czy są jakieś taksówki.

Przepchała się przez drzwi przeciwpożarowe na korytarz. Wpadła na poważnie wyglądającego faceta w spodniach w prążki i niebieskiej koszuli rozpiętej do pasa.

- Amy!

- Danny! Co tutaj robisz?

Ostatni raz widzieli się twarzą w twarz, gdy płakał i błagał ją, by nie odchodziła. Teraz był zarumieniony i emanował radością.

- To mój wieczór kawalerski.

- Nie! To mój wieczór panieński.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Amy, która tak wiele razy w ostatnich miesiącach zastanawiała się nad swoją decyzją, teraz upewniła się, że dobrze zrobiła. Danny był nią tak zainteresowany, jak długoterminową prognozą pogody dla Calgary w Kanadzie, chociaż nadal miała nadzieję, że zauważy, jak bardzo schudła i że nie rozmazał jej się tusz.

- Więc - mówił Danny swoim niskim, głębokim głosem, który wrył się w duszę Amy - żenię się za trzy tygodnie. Ale pomyśleliśmy, że lepiej będzie urządzić wieczór panieński i kawalerski wcześniej. Nie żeby Alison szalała. Jest w piątym miesiącu ciąży, rozumiesz.

- Och - powiedziała Amy zszokowana wrażeniem, jakie to na niej zrobiło. Wzięła głęboki oddech. - Gratulacje.

- Tobie też gratuluje, Amy. Kiedy jest twój wielki dzień?

- Jutro. O piątej.

- O kurczę. Tak w sam raz, prawda? Ale to typowe dla ciebie, prawda? Cóż, powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie według planu.

- Tobie też życzę powodzenia.

Zastanawiała się, czy nie zostać jeszcze godzinę i następnego dnia wspomagać się Midnight Secret Guerlain, ale zdecydowała, że jednak weźmie taksówkę.

Przed pierwszą była już w łóżku i szybko zasnęła, śniąc o przekąskach i przemowach, kiedy trzasnęły drzwi. Doug wczuł się do łóżka obok Amy, cuchnął wodą, narkotykami i papierosami. Na policzku miał ślady krwistoczerwonej szminki, niewątpliwie marki Chanel i należącej do Pinny. Ona naturalnie wolała wieczór kawalerski od panieńskiego.

- Hej.

- Hej. - Ziewnęła. - Fajnie było?

- Zabawnie. - Doug westchnął, lekko bekając. - Coraz bardziej daję się wciągnąć w te małżeńskie brednie. Chciałbym tylko, żebyś mi powiedziała, gdzie jedziemy w podróż poślubną.

- To niespodzianka.

- Nie możesz mi dać jakiejś wskazówki?

- Nie. - Obróciła się na drugi bok. - Dobranoc, Doug. Do zobaczenia rano.

- Ale wrócimy do piątego września, tak?

Była zaskoczona, słysząc tak konkretne pytanie z ust Douga.

- Tak. Akurat. A dlaczego?

- Bo szóstego jedziemy w trasę. Nagle całkiem się obudziła.

- W trasę?

- Taa.

-Nic mi nie mówiłeś. Gdzie jedziecie? Na jak długo? Ziewnął przeciągle.

- Jestem pewien, że mówiłem. Belgia, Holandia i Francja na trzy tygodnie.

- Trzy tygodnie?

- Taa. To niedaleko, laleczko. Mógłbym wpadać, by się z tobą zobaczyć w co drugi weekend.

Słońce zaczęło zaglądać przez żaluzje. Amy czuła, jakby miała kamień w gardle.

- Ale nie w tym rzecz. Nic nie mówiłeś, że jedziesz. Myślałam, iż uzgodniliśmy, że po ślubie, jeżeli zespół nie będzie się rozwijał, rozwiążesz go.

Cisza.

- Doug? Tak uzgodniliśmy. Doug usiadł.

- Ames, a co innego mogę zrobić? Nie mogę wrócić do biura. Musisz mi dać trochę więcej czasu.

- Ale ja wciąż daję ci czas. A co z czasem dla mnie? Co będzie, jeśli będę miała dziecko, Doug? Nie chcę wtedy pracować na pełen etat. Chyba że ty zostaniesz w domu i je wychowasz.

Proszę. Byli ze sobą trzy lata i nigdy nie poruszyli tego tematu. Aż tu nagle, proszę, przyłapani jak złodziej na gorącym uczynku. I wyraz twarzy Douga mówił wszystko.

- Doug, chcesz mieć dzieci, prawda?

Leżał nieruchomo.

- Nie wiem - odparł szeptem. Była dziwnie spokojna.

- Nie wiesz? Czy nie chcesz?

- Nie. - Zabrzmiało jeszcze ciszej. - Nie chcę mieć dzieci. Są głośne i śmierdzą, i bałaganią, i za bardzo wpływają na twoje życie. Zespół nie przetrwa, jeżeli będę się rozpraszać. A chciałbym pojechać w trasę do Australii. Nie można tego zrobić z dziećmi.

Co mogło być głośniejsze i bardziej bałaganiące od zespołu, pomyślała Amy, ale odparła:

- Wolisz jechać do Australii niż dać początek nowemu życiu?

- Tak, wolę. Przykro mi, Amy, ale każdy idiota może począć nowe życie. Nie każdy za to może być w zespole. Poza tym na świecie i tak jest już zbyt dużo dzieci.

Zupełnie jakby zatrzasnęła się pokrywa fortepianu. Amy nie miała słów. Głęboko w sercu zawsze to wiedziała. Doug nie chciał mieć dzieci. Za bardzo sam był dzieckiem. Oczywiście mogła latami czekać w nadziei, że zmieni zdanie. Albo „przypadkowo” zapomnieć o spirali. Ale taka nieuczciwość ją mierziła. Widziała już zbyt wiele nieszczęśliwych dzieci w klinice - nie tylko z dzielnicy, ale też z wielkich domów w Islington, które kosztowały ponad milion funtów - znie-nawidzonych przez własnych rodziców lub jedno z nich. I widziała też zbyt wiele samotnych matek, z każdego przedziału zarobkowego, walczących, by zrobić wszystko jak najlepiej, by uczynić ten pomysł bardziej romantycznym.

W małżeństwie chodziło o jedną rzecz. Świadomość, że nie wszystko będzie idealne. Że przyjdą trudne czasy,

niedające się przewidzieć, ale jakoś będzie można sobie poradzić. Co innego jednak stanąć w obliczu rodziny i przyjaciół i składać przysięgę, podczas gdy nie zgadzasz się w najbardziej zasadniczej kwestii i wiesz, że jedynym sposobem na spełnienie twojego najskrytszego pragnienia będzie oszustwo, które najprawdopodobniej doprowadzi do katastrofy.

Powinni byli odbyć tę rozmowę dużo, dużo wcześniej. Odbyli ją następnego ranka po zaręczynach. Ale wtedy Amy miała absurdalną nadzieję, że jeśli zamknie oczy i zignoruje to, problem zniknie. Trochę tak jak ze strachem przed chrobotaniem w szafce pod zlewem, które - wiedziała o tym - było sprawką myszy.

Znów jednak o tym mówili.

- Doug, jeżeli naprawdę nie chcesz mieć dzieci, to nie możemy się pobrać.

Patrzył na nią osłupiały.

- Ale zawsze wiedziałas, że tak jest.

- W jakimś sensie wiedziałam, ale nigdy nie wyraziłeś się jasno. To moja wina. Powinnam była zapytać cię wprost lata temu. - Była zaskoczona, że tak jasno myślała i stanowczo broniła swego. - To znaczy, że ślubu nie będzie.

- Ale ślub jest jutro. Dzisiaj. Nie mówisz serio, Amy.

- A jednak,

- To tylko trema. Zmienisz zdanie.

- Nie zmienię.

Wstał z łóżka. Stał w samych bokserkach. Bardzo przystojny. Amy go uwielbiała.

- Cóż, jeżeli rzeczywiście tak uważasz, to lepiej pójdę.

- A gdzie? - zapytała Amy w panice.

- Do Pinny oczywiście. Ona zrozumie.

Wrzucał rzeczy do czarnej zniszczonej torby. Sparaliżowana szokiem obserwowała, jak mężczyzna, któremu w ciągu ostatnich trzech lat oddała wszystko, był gotów do wyjścia po trzech minutach.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy trochę się zdrzemnę - powiedział od drzwi. - Rano wszystko będzie inaczej wyglądać. Zmienisz zdanie. Jesteśmy dla siebie stworzeni, Amy. I ty o tym wiesz.

Podczas gdy Bentley kierowany przez Vincenza pędził na lotnisko drogą, która rozgałęziała się w kierunku wybrzeża, serce Hala podskakiwało jak wahadło, do gardła i z powrotem w dół, do butów. Oddał się w ręce losu. Amy miała rację: musiał spróbować odzyskać Marinę. Pierwszy raz w życiu podjął świadomie wysiłek. Jeżeli nie zrobi tego, co zamierzał, zawsze będzie żałował, obwinił siebie, rozmyślając, co by było, gdyby po prostu dał z siebie więcej.

- Która godzina? - spytała Amy. W całym zamieszaniu tego ranka i po zatrzymaniu w SPA zapomniała włożyć zegarek.

- Prawie dziewięta - odparł Callum. Hal ściągnął go po „zdradzie” Vanessy. - Wypływają za godzinę.

Odbyła się mała debata dotycząca obrania najlepszej taktyki. Hal chciał zadzwonić do Mariny, ale Amy i Callum ostro się temu sprzeciwiali.

- Może mieć wyłączony telefon - tłumaczył Callum.

- Albo Fabrizio będzie stał tuż obok. - Amy obrzuciła go spojrzeniem, jakim obdarowywała pacjentów, którzy biadolili z powodu przyjmowania antybiotyków. - Musisz



to zrobić z pompą, Hal. Musisz do niej pójść i paść na kolana, błagając, by za ciebie wyszła. Kobiety to uwielbiają. A Marina zasługuje co najmniej na tyle.

- Dobrze - zgodził się, ale zaczynał tchórzyc. Marina dawała mu szansę za szansą. Dlaczego teraz miałyby zmienić zdanie? I po co ryzykować odrzucenie?

Po prostu będzie musiał się przyzwyczaić do samotności. Zdał sobie sprawę, że był nieprzerwanie w związkach mniej więcej ponad dwanaście lat. Samotność chyba dobrze mu zrobi. Będzie mógł więcej czytać, może trochę filozofii. Odświeży też swój francuski i włoski. Niewykluczone, że zacznie malować. W szkole zawsze lubił sztukę, ale porzucił ją na rzecz łaciny. Być może powinien postąpić jak Madonna i Guy i zaadoptować małe afrykańskie dziecko, myślał, gdy samochód kierował się do Civitavecchia, rzymskiego portu. Mógłby je wychować jako samotny ojciec, mógłby...

Samochód skręcał na przystań zapełnioną jachtami, wśród których jeden się wyróżniał: góra lodowa otoczona bałwanami.

- Ten jest Fabrizia - powiedział Hal. - Myśli, że posiadanie wielkiej łodzi oznacza posiadanie wielkiego członka. - Patrzył na jacht i westchnął. - To śmieszne. I co teraz mam zrobić? Stać i czekać u stóp trapu jak jakiś prześladowca? A może ona jest już na pokładzie. Może mam się wślizgnąć jak James Bond?

Amy i Callum zmarszczyli czoła. Zafascynowani romantyzmem sytuacji tak naprawdę nie brali pod uwagę realiów.

- Zadzwoń do niej - zasugerowała Amy. - Dowiedz się, co robi.

- Ale przecież dopiero co powiedziałaś, żeby do niej nie dzwonić!

- Hm, no tak - Amy myślała. - Jest ktoś, kto może pomóc.

Poszperała w torbie i wyjęła postrzępioną serwetkę. Widniał na niej numer komórki Lisy, który jej dała parę dni wcześniej w barze.

- Halo? - odezwał się podejrzliwy głos.

- Lisa? - Tak?

- Tu Amy.

- Amy! Jak się masz? Kurczę, Christine i Simon wszędzie cię szukają. Masz zamiar sprzedać im swoją wersję? Zapłaciliby ci kupę forsy.

- Przykro mi. Nie mogę. Ale chcę, żebyś wyświadczyła mi przysługę. Pamiętasz, jesteś mi to winna.

- O co chodzi?

- Dowiedz się, gdzie są dzisiaj wieczorem Marina Dawson i Fabrizio de Michelis.

- Po co?

- Nieważne, po prostu mi powiedz.

- Muszę spytać Simona. Oddzwonię. Ale ostrzegam, będzie okropnie podejrzliwy.

- Dobrze.

- To twój numer mi się wyświetlił?

- Tak. Proszę, nie mów o tym Christine. Dzięki, Lisa To było długie dziesięć minut. Hal gryzł paznokcie

i groził, że zabierze wszystkie swoje manatki.

- Zrobię z siebie głupka - jęczał.

- Przez całe swoje życie robiłeś z siebie głupka - odparł Callum. - Dlaczego choć raz nie zrobić tego w szczytnym celu?

Wreszcie oddzwoniła.

- Są w pizzerii przy drodze dalej na południe - syczała Lisa, zauroczona intrygą. - La Donna Nera. Poznacie ją, bo przed wejściem czai się tłumek paparazzich.

- Dziękuję, Lisa, dziękuję.

- Okej, jesteśmy kwita. - Nastąpiła krótka przerwa, po czym powiedziała: - Powodzenia, Amy, niezależnie od wszystkiego.

- Tobie też, Lisa.

- Chciałabyś, bym powiedziała, że ujrzałam światełko i że mam zamiar go rzucić.

- Yhm.

- Cóż, nie mam. Przykro mi, Amy, ale za bardzo się boję.

- Jesteś dzielniejsza niż ci się wydaje - powiedziała Amy. Rozłączając się, wiedziała, że już nigdy jej nie zobaczy. Ale teraz nie czas, by o tym rozmyślać. Przekazała reszcie, czego się dowiedziała.

- Dobra, zrobmy to - stwierdził podekscytowany Callum. Amy nagle zauważyła, że był bardzo atrakcyjny, kiedy się uśmiechał.

- No nie wiem. - Hal wciąż się wahał.

- Hal! - Oboje zwrócili się do niego. - No, dalej!

Vincenzo wiedział, która to restauracja. Samochód pędził wzdłuż wybrzeża i podjechał na parking na zewnątrz budynku wykończonego białym stiukiem. Upewniła ich mała grupka fotografów przed drzwiami.

- Nie możecie oczekiwać, że wejdę tam i poproszę ją o rękę przy tych ludziach - grzmiał Hal.

- A co innego możesz zrobić? - spytała Amy. Otworzył drzwi, wysiadł, po czym się odwrócił.

- Po tym wszystkim, Callum, zwolnię cię.

- Całkiem fair - odpowiedział Callum wesoło. - Jestem pewien, że Justina mnie przyjmie. - Ale jego uwaga utonęła w nagłym ryku i ostrzale lamp błyskowych.

- Wychodzą - zawołała Amy. - Szybko! Szybko!

Na schodach restauracji stali Marina i Fabrizio. Miała na sobie białe rozszerzane spodnie i zwiewny zielony top. Amy zastanawiała się, jaki miała stanik. Pewnie ze swojej własnej kolekcji bielizny. Będzie musiała to sprawdzić.

Para stała przez moment u góry schodów, uśmiechali się i machali fotografom. Potem zaczęli schodzić do samochodu.

- Hal, musisz to zrobić. Zrób to teraz. Poszedł w ich stronę.

- Szybciej - krzyknęła Amy. - Dalej!

Fabrizio i Marina stali przy drzwiach limuzyny, pozując do ostatnich zdjęć. Hal poruszał się, jakby brodził w piachu albo w syropie cukrowym.

- Pośpiesz się - wrzasnął Callum, gdy tylko otworzyły się drzwi limuzyny i Fabrizio gestem zaprosił Marinę, by wsiadła. Posłuchała go, a Fabrizio wsiadał już z drugiej strony. Nagle coś zaskoczyło w umyśle Hala. Ruszył biegiem przez parking i gdy tylko zawarczał silnik limuzyny, zaczął walić w okno.

- Marina! - wrzeszczał. - Marina, poczekaj! Proszę! Poczekaj na mnie!

Paparazzi, wyczuwając sensację, otoczyli go. Strzeliły flesze. Gdy Hal walił i walił, jego serce także waliło jak oszalałe. Marina patrzyła na niego przez przyciemnione szyby, potem się odwróciła. Ignoruje mnie, pomyślał z desperacją Hal. Po chwili jednak, powiedziawszy coś do Fabrizia, otworzyła drzwi i wysiadła.

- Marina!

- O co chodzi, Hal? - Z tonu jej głosu zdawały się przebijać i sceptycyzm, i podniecenie.

- Marina, nie wolno ci z nim jechać. Bo ja cię kocham. Kocham cię całym moim sercem. Popełniłem straszny błąd, pozwalając ci odejść, i pragnę tylko tego, byś wróciła do mnie i wyszła za mnie, i obiecuję, że będę najlepszym mężem wszech czasów i będziemy żyć długo i szczęśliwie.

Marina jakby się zastanawiała.

- Czy ty mi się oświadczasz, Halu Blackstocku?

- Tak, pewnie, że tak.

To był najdłuższy moment w życiu Hala i Marina go przetrzymała. Potem powiedziała:

- Zatem lepiej uklęknij.

Liczba fleszy potroiła się, gdy Hal jej posłuchał, a Marina, śmiejąc się jak szalona, wyciągnęła lewą dłoń, z której zdjęła pierścień od Fabrizia. Hal wyjął z kieszeni małe czarne pudełeczko, a z niego pierścionek. Włożył jej na palec, po czym wstał, wziął ją w ramiona i pocałował. Ekscytacja i hałas były ogłuszające, ale Hal słyszał, jak jego serce zaczyna się uspokajać i zwalniać, a Marina szeptała mu do ucha:

- Poddałam się, poddałam.

- Przepraszam, kochanie - wyszeptał. - Tak mi przykro. Jestem durniem. Idiotą. Ale już nigdy więcej cię nie zawiodę.

Tylko Amy, z rozkoszą ściskając ramię Calluma trzydzieści metrów dalej przy bentleyu, widziała minę Fabrizia, gdy ten wysiadł. Był mężczyzną, którego serce spadło z dużej wysokości i, roztrzaskane, już nigdy nie da się skleić.

Jazda powrotna do Rzymu była trochę kłopotliwa: Hal i Marina tulili się do siebie, pragnąc być tylko we dwójkę. Amy nie miała pojęcia, co powiedzieć, dopóki Marina nie postanowiła uczynić z niej tematu rozmowy.

- Nie jesteś przypadkiem tą mężatką, z którą Hal ma romans? Co ty tutaj robisz?

Amy zaczęła się jąkać, ale Hal powiedział gładko:

- Nie mieliśmy romansu, kochanie. Po prostu kręciliśmy się razem. Wiesz, jak gazety potrafią kłamać. W gruncie rzeczy to Amy przekonała mnie, bym za tobą pojechał i wyznał ci prawdę. Więc wydaje mi się, że oboje jesteśmy jej dłużnikami po wsze czasy.

Marina popatrzyła na nich wzrokiem pełnym wątpliwości, ale potem zerknęła na pierścionek na palcu i się uśmiechnęła.

- Cóż, zatem dziękuję, Amy. Na zawsze będę twoją dłużniczką. Zadbam, żeby mój asystent wysłał ci kompletny zestaw z mojej kolekcji bielizny i zestaw do kąpieli. - Zwróciła się do Hala: - Zdajesz sobie sprawę, że jutro będziemy na okładce każdej gazety? Więc jeżeli zmienisz zdanie, będzie straszny wstyd.

- Nie zmienię zdania. - Czule trącił ją w nos. - Cal, czy myślisz, że moglibyśmy pobrać się w Rzymie? Jutro?

Po twarzy Calluma przemknął cień obawy.

- Jutro lecisz do Los Angeles. Bazotti? Hal złapał się za głowę.

- O kurczę. Kompletnie zapomniałem.

- Bazotti? - spytała Marina.

- Staram się o rolę w jego następnym filmie. - Nie mógł zmienić dumnego brzmienia swojego głosu.

- No co ty! - Klasnęła z podziwem w dłonie. - Wow, Hal. Dobra robota.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy jutro polecieli? Pójdę na casting, a potem zaplanujemy nasz ślub. Gdziekolwiek chcesz, kochanie. Los Angeles, Paryż, Nowy Jork...

- Swindon - odparła zdecydowanie. Hal przełknął ślinę.

- Swindon?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Chcę, żebyśmy się pobrali w kościele nieopodal domu moich rodziców, a wesele urządzimy w hotelu w mieście. Chcę, by moje siostry były druhnami, a ja włożę sukienkę ślubną mojej mamy, mimo iż jest to najbardziej niekorzystny strój na ziemi.

- Jesteś pewna? Czy nie chcieliście z Fabriziem mieć czegoś wymyślnego, zaplanowanego w hotelu Cipriani? Mogę ci dać lepszy ślub niż on.

- Nie, nie mógłbyś. Biedny Fabrizio jest milion razy bogatszy niż ty kiedykolwiek mógłbyś być. Ale nie o to chodzi. - Zaśmiała się i lekko trąciła go łokciem. - To znaczy prawdopodobnie jesteś wystarczająco bogaty. Chodzi o to, że ślub z Fabbym miał być tylko wielkim



przedstawieniem, żeby lepiej się poczuła. Ślub z tobą jest tym, czego rzeczywiście pragnę.

Nie po raz pierwszy tego wieczoru Amy poczuła szczypanie w oczach.

- Ale najpierw polecicie do Los Angeles? - zapytał z obawą Callum.

- No pewnie, że tak! Kurczę, Hal, film Bazottiego. To jest coś.

- Wiem - odparł z fałszywą skromnością. - Ale nie zapeszajmy. Czuję, że i tak miałem szczęście, odzyskując ciebie.

- Ach. - Marina zaczęła go całować i tulić. Amy i Callum uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Oboje odrobinę ulegli emocjom, obserwując oświadczyzny, Callum wyznał nawet, że zawsze miał słabość do takich scen, a jego ulubioną była ta, w której Patrick Swayze ogłaszał, że „Nikt nie postawi Baby do kąta”\*. Amy zaczęła się zastanawiać, czy nie jest gejem, i z zaskoczeniem stwierdziła, że nie podobał jej się ten pomysł.

Samochód zaparkował w garażu hotelu de Russie.

- Cóż, na nas już czas, jak mi się wydaje. - Hal prawie wyciągał Marinę przez drzwi, tak bardzo jej pragnął. - Zatem rano wylatujemy. To może być rozstanie, Amy. Nie pożegnanie, bo mam nadzieję, że będziemy w kontakcie.

- Tak - dodała Marina. - Musisz przyjechać na nasz ślub. - Chyba naprawdę tak myślała.

\* Kwestia z filmu „Dirty Dancing” („Nobody puts Baby in a corner”) zajmuje 98. miejsce na liście najlepszych kwestii filmowych świata według opracowania Amerykańskiego Instytutu Filmowego - przyp. tłum.

- Chcecie mój apartament na tę noc? - spytała Amy z uśmiechem. - Bądź co bądź to apartament nowożeńców.

Hal był gotów się skusić, ale potem odparł:

- Nie, nie, nie będziemy ci sprawiać kłopotu. Damy sobie radę.  
- Pochylił się i pocałował Amy w oba policzki. - Dziękuję ci - wyszeptał do jej ucha. - Nigdy cię nie zapomnę, Amy.

- Ja ciebie też, Hal. -1 to była prawda. Z Halem przypomniała sobie, jak to jest znów być beztroską i swobodną, bawić się, nie martwić konsekwencjami.

Marina i Hal przytuleni śmiejąc się, weszli do hotelu. Amy i Całum siedzieli nadal na skórzanych siedzeniach. Oboje westchnęli.

- Cóż - zaczął Całum. - Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu po tych wszystkich przeżyciach. Masz ochotę na kolację?

Była jedenasta następnego ranka. Amy się pakowała. Żegnajcie, dwa kostiumy bikini, buty od Emmy Hope, sukienko od Prądy, której prawdopodobnie już nigdy nie włoży, różne sukienki letnie i topy na ramiączkach, biustonosze bez ramiączek, których większość nigdy nie została użyta i których też pewnie już nigdy nie włoży z powodu wspomnień, jakie przywołają.

Callum zabrał się do roboty, kazał zająć się sprawą swojemu asystentowi i zdołał znaleźć dla niej miejsce w samolocie wylatującym dzisiaj po południu, o czwartej. Zostało dużo czasu na leniwe śniadanie i może ostatnią przechadzkę brukowanymi uliczkami, które bardzo polubiła. Vincenzo miał ją zabrać na lotnisko o pierwszej trzydzieści, co, jak zapewnił, zupełnie wystarczy, chociaż Amy wcale nie była przekonana, zważywszy, jak wygląda odprawa ostatnimi czasy. Może powinna przyspieszyć wyjazd o pół godziny? Gdyby była z Dougiem, zjawiliby się na lotnisku piętnaście minut przed odlotem, pokłócili z obsługą, ale jakimś sposobem wsiedli do samolotu, chociaż jakim kosztem ciśnienia Amy, tego nie mogła powiedzieć.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Wyszła na taras i pierwszy raz rozejrzała się po dachach Rzymu.

- *Arrivederci Roma* - powiedziała. - Nie wydaje mi się, żebym tu jeszcze wróciła.

Weszła z powrotem do środka i umalowała się w łazience. Rozmyślała o wczorajszej kolacji. Callum zabrał ją do cichej restauracji Da Emilia w dzielnicy Ghetto. Zjedli ogromne talerze *gnochetti alla matriciana*, klusek polanych ostrym sosem pomidorowym, a potem *coda alla vaccinara*, to znaczy gulasz z ogona wołu. Pod koniec posiłku czuła się, jakby miała cegłę w żołądku. Ale gdy potem Callum odprowadzał ją do hotelu nagrzanymi uliczkami, przy fontannie di Trevi znów była głodna, więc wstąpili do lodziarni Hala na lody. W pucharkach.

Najpierw rozmawiali o potwornym nękanii Amy przez prasę, ale potem dzielili się wrażeniami z wakacji, mówili o ulubionych filmach. Callum prowadził bardziej światowe życie niż ona, co wieczór wychodził do kina czy teatru, ale wykazywał szczerze zainteresowanie jej pracą i przyszłością systemu opieki zdrowotnej.

- Bardzo bym chciał zjeść kiedyś z tobą kolację w Londynie, Amy - powiedział, gdy wrócili do de Russie.

Przełknęła ślinę. Trochę liczyła na to. W czasie kolacji powiedział kilka miłych, ale nie nachalnych słów na temat pięknych kobiet, więc była przekonana, że nie jest gejem: tylko trochę żartownisiem.

- Byłoby wspaniale - odpowiedziała. Wymienili się numerami telefonów, pocałował ją w oba policzki i obiecał, że będzie w kontakcie. Myśląc o tym teraz, Amy poczuła

falę ciepła w brzuchu, obietnicę nadejścia lepszych dni. Nie znaczy to, że zbyt szybko wda się w cokolwiek.

Myślała o Halu i Marinie. Na pewno im się uda. Trochę głupio jej było, że dała się tak zwieść tego dnia, że między nią a gwiazdą filmową może coś być, ale ogólnie oceniając sytuację, nie zmarnowali czasu. To uczyniło jej podróż poślubną niezapomnianą.

Podniosła telefon i zadzwoniła do Gaby. Włączyła się poczta głosowa. Na szczęście Gaby spała.

- Kochanie, to ja. Wracam dzisiaj do domu. Wpadnę do ciebie wieczorem, jeśli mogę. Jeżeli się nie odezwiesz, zakładam, że nie masz nic przeciwko temu. Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć ci wszystkie moje przygody. - Gdy tylko się rozłączyła, telefon zadzwonił. Vincenzo? Zastanawiała się, patrząc na wyświetlacz, ale numer, który się pokazał, dość ją zaskoczył.

- Pinny?

- Amy! Dziecinko. Jesteś gwiazdą!

- Nie, nie jestem. - Prawdziwa przyjaciółka zadzwoniłaby wcześniej, ale Amy dopiero teraz była w gazetach, a Pinny właśnie taką Amy chciała znać.

- Ależ jesteś. Ale nieważne, nie w tym rzecz. Musisz teraz wyjść na taras i spojrzeć w dół.

-Co?

- Po prostu zrób, co mówię. Idź na taras i spójrz na dół.

Amy miała okropne przeczucie; aż ścisnęło ją w żołądku. Ale posłuchała: odłożyła telefon i wyszła na zewnątrz. Spojrzała na dół, na Piazza del Popolo. Żołądek fiknął salto. Tuż pod jej oknem stał Ambrosial. Była tam Pinny w szortach, koszulce na ramiączkach i japonkach, Gregor

grał na gitarze, Baz siedział przy perkusji. I był tam Doug, w bojówkach i workowatej niebieskiej koszuli, z gitarą zawieszoną na szyi.

- Amy! - wrzasnęła Pinny, machając do niej. Potem Doug spojrział w górę i pomachał nieśmiało.

Pinny chwyciła mikrofon.

- Jesteśmy gotowi, chłopaki? Dalej. Raz, dwa, trzy, cztery. Zaczęli grać. Pinny śpiewając do mikrofonu, szalała po placu, by się popisać. Baz walił w bębny. Gregor brzdąkał, mrużąc oczy w jaskrawym słońcu. A Doug stał wyniośle, nadąsany, i szarpał struny.

- *Voolare* - śpiewała Pinny - o, o. *Cantaaare. Du, bi, di, du. Di blu, dipinto di blu.* - To była ich przeróbka starych włoskich piosenek. Amy nie mogła powstrzymać uśmiechu. Po kilku taktach przeszli do *One True Love*, która była najbardziej romantyczną piosenką zespołu. Grupa turystów zebrała się, by zobaczyć, jak przy ostatnim wersie Doug zabrał Pinny mikrofon.

- Muszę coś powiedzieć - zapiszczał sopranem a la David Beckham.

*A-a-a-a-my,*

*Jesteś moją prawdziwą miłością, Bądź ze mną dzisiaj, hej, hej, hej, hej.*

Przy pisku sprzężenia odłożył gitarę. Tłum klaskał entuzjastycznie. Baz zaczął krążyć ze swoją bejsbolówką w ręku. Wstrząśnięta Amy zauważyła Christine Miller przepychającą się przez tłum; szybko mówiła coś do Simona, ten podążał za nią, trzymając aparat.

- Amy! - krzyczała Pinny przez mikrofon. - Przyjechaliśmy cię odszukać. Mamy niesamowitą wiadomość, dziecino. Mamy kontrakt. Prawdziwy kontrakt nagraniowy.

Doug stał za nią, dumnie skinął głową.

- Zejdiesz do nas? - krzyczała Pinny.

Amy pokręciła głową. Osłupiała. Christine Miller zbierała informacje od Baza i Gregora.

- Wy chodźcie do mnie - zawołała. -Co?

Skinęła na Douga.

- Ty chodź do mnie. Spojrzał na Pinny pytająco.

- No idź - powiedział jej wzmocniony głos i Doug poszedł w stronę hotelowego wejścia.

W apartamencie Amy miała nogi jak z waty. Pobiegnęła do łazienki i trzęsącymi rękami poprawiła makijaż. Przeczesała włosy, żałując, że ich rano nie wysuszyła suszarką, tylko pozwoliła im samym wyschnąć. Trampki i skarpetki włożone na czas lotu zmieniła na szpilki od Emmy Hope.

Usiadła na sofie i czekała. I czekała. I jeszcze trochę czekała. Po dziesięciu minutach czekania nie wytrzymała. Wyszła na taras. Zespół bez Douga otaczał Christine Miller, trajkocząc, złaźniony jakiegokolwiek reklamy. Wróciła do środka i jeszcze poczekała, potem podeszła do drzwi i gwałtownie je otworzyła. Stał tam Doug z ręką w górze, tak jakby miał właśnie zapukać.

- O! - krzyknęli oboje.

- Przestraszyłaś mnie - powiedział Doug.

- Przyszłam cię poszukać. Zniknąłeś.

- Nie mogłem znaleźć pokoju. Najpierw musiałem przekonać faceta w drzwiach, że cię znam. Potem musiałem przekonać go, by mi podał numer twojego pokoju. Potem wysiadłem na piątym piętrze zamiast na szóstym. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Nieważne. Ładnie wyglądasz, Amy. Trochę się opaliłaś. - Powoli rozejrzał się po apartamencie i zagwizdał. - Hej, całkiem nieźle.

- Tak. To tutaj mieliśmy spędzić naszą podróż poślubną. Doug podszedł do niej, zauważyła, że jest zdenerwowany.

- Przepraszam, dziecinko, ale wywieriałaś na mnie zbyt dużą presję. Nie wiedziałem, co robić. - Cmoknął ją w policzek. - Czułem się okropnie. Miałem koszmary tygodnie.

- Mój też nie był dużo lepszy.

- Ach tak? - Uniósł brwi jak Roger Moore. - Z mojego punktu widzenia to tak nie wyglądało. Całe to baraszkowanie z Halem Blackstockiem. Pocałunki w świetle księżyca. Wyglądało, że świetnie się bawiliście.

- Do niczego nie doszło.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Gdybyś czytał dzisiejsze gazety, wiedziałbyś, że on żeni się z Mariną Dawson. Po prostu kręciliśmy się razem po mieście.

Doug się uśmiechnął.

- Ty? Kręciłaś się z gwiazdą filmową?

- Cóż, byłam zaręczona z gwiazdą rocka - odparła ostro.

- Przepraszam, dziecinko, przepraszam. - Otoczył ją ramieniem. Jak zwykle czuć było od niego narkotyki. Amy



miała żarliwą nadzieję, że nie próbował przeszmuglować niczego nielegalnego do Włoch. - Dziecino, nie mam pojęcia, co się właściwie stało. Ale wiesz co? To dobrze, że ślub został odwołany, bo mogliśmy dać superwystęp w Arts Club w Notting Hill w zeszłym tygodniu i za kulisami dostaliśmy kontrakt. Nie za duży, ale zawsze kontrakt. Wszystko już ustalone. I wreszcie możemy się pobrać.

Uśmiechnął się tym znajomym butnym uśmiechem, który zazwyczaj przyprawiał ją o motyle w brzuchu.

- I cokolwiek zaszło między tobą a Halem Blackstockiem, wybaczam ci - kontynuował wspaniałomyślnie. - To nawet fajne, że moja dziewczyna miała z nim romans.

- Nie będę powtarzać. Nie spałam z Halem. Doug to zignorował.

- Więc mówię do Pins: „Co mogę zrobić, by odzyskać Amy?”, a ona odpowiedziała: „A może polecimy do Rzymu i zrobimy jej niespodziankę?”. A ja na to: „Ekstra, Rzym to moje ulubione miasto”. Miałaś świetny pomysł, Amy, by zorganizować podróż poślubną tutaj. Może teraz skoro przyjechałem, powinniśmy wziąć ślub. Chociaż zanim przejdziemy do tego, musimy wyjaśnić sobie, o co chodzi z tą ciążą. To znaczy tak naprawdę to nie jesteś w ciąży, prawda?

- Nie jestem.

Teatralnym gestem otarł pot z czoła.

- Cóż, Bogu dziękować.

Do tego momentu Amy zostawiła dla niego lekko uchyloną furtkę. Ale tym stwierdzeniem na zawsze ją zatrzasnął. Uśmiechnął się.

- A może byśmy zrobili to tutaj?

- Ślubu nie będzie - oświadczyła Amy.  
- Słucham? - Doug, który padł na fotel, lekko się podniósł.  
- Ślubu nie będzie. Odwołaliśmy go, pamiętasz?  
- Ustaliliśmy, że zrobimy sobie małą przerwę, przemyślimy parę spraw. I ja tak zrobiłem. I chcę cię poślubić, Amy. -  
Zagwizdał: - *Jesteś dziewczyną dla mnie.*

- Ale ty nie jesteś facetem dla mnie. Mówiliśmy o tym: nie chcesz mieć dzieci, a ja tak.

Widać było, że nie odpowiada mu ten tok rozmowy.

- Musimy robić z tego problem?

- Oczywiście, że tak. To zawsze będzie problem. Dałam ci dużo wolności, Doug. Wspierałam cię w twoich decyzjach. Jeżeli chcesz zostać z zespołem, poprę cię. Ale jeżeli nie chcesz mieć dzieci, tego nie zaakceptuję, zatem musimy się rozstać.

Patrzył na nią ze zdumieniem.

- Przyjechałem tutaj dla ciebie. Kawał drogi, ale zrobiłem wielki gest. Czyż dziewczyny nie lubią wielkich gestów? Pinny mówiła, że lubią. - Przeczesał włosy palcami. - Dzieci są okropne. Staniemy się tacy jak Alan i Jessica, nigdy nie będziemy mieć czasu dla siebie nawzajem.

Zadzwoił telefon. Amy była zadowolona, że przez chwilę nie musi rozmawiać z Dougiem. Zwyczajnie nie było już nic do powiedzenia.

- Halo?

- Amy? Tu Callum. Ja również lecę dzisiaj po południu. Pomyślałem, że moglibyśmy razem pojechać na lotnisko.

- Dobrze, chętnie. Myślałam, że jadę z Yincenzem.

- Nie ma problemu. Zadzwońię do niego i powiem, by zabrał nas oboje. Wiesz, Hal wpadł do mnie, pytając, czy powinien zatrudnić Vincenza jako swojego asystenta. Pewnie nie jest to najlepszy pomysł, ale kim jestem, by się wtrącać?

Amy się zaśmiała.

- Daj mi znać, kiedy pojedziesz. Jestem już spakowana i gotowa do drogi.

Rozłączyła się.

- Muszę się wymeldować, Doug - powiedziała spokojnie. - Dziękuję ci za rozmowę, ale to już koniec. Podobała mi się moja podróż poślubna. Bez ciebie.

Podniosła walizkę i ciągnąc ją za sobą, wyszła na korytarz, w stronę windy. Nacisnęła przycisk, drzwi się otworzyły i Amy zrobiła krok naprzód, ku przyszłości.